

A movie poster for 'Czarna Serbia'. The background is a night cityscape with skyscrapers and light trails. In the foreground, a man in a dark suit is seen from the back, looking towards a woman in a black hijab who is looking directly at the camera. The text 'CZARNA SERBIA' is at the top, 'SENSACJA' is below it, 'MARIUSZ ZIELKE' is in the middle, and 'NIENAWIŚĆ' is in a grey box at the bottom right.

CZARNA SERBIA
SENSACJA

MARIUSZ

ZIELKE

NIENAWIŚĆ

MARIUSZ
ZIELKE
NIENAWIŚĆ

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2017

*Mojej kochanej Żonie i Dzieciakom za wytrzymywanie z takim bezrobotnym,
antysystemowym, niereformowalnym nierobem*

„Niech nienawidzą, byleby się bali”.

Akcjusz

Luty 1995

Prolog

Stary opel chwiał się niebezpiecznie na każdym zakręcie, z opóźnieniem wykonywał manewry, kierownica miała zbyt dużo luzu, a sprzęgło nie odbijało jak należy. Pasażerowie ciągle się kłócili. Kierowca poprawił okulary i otarł pot z czoła. Już żałował, że zgodził się jechać razem z nimi, zamiast – jak początkowo planował – wsiąść do pociągu. No, ale nie miał wyjścia.

W końcu jesteśmy partnerami. Za kilka miesięcy każdy z nas będzie milionerem.

Jeśli tylko wcześniej się nie pozabijamy.

– Przestańcie – zaskomlał, gdy jeden z pasażerów zbyt długo perorował na temat tych cholernych paliw. – I tak ciężko się prowadzi.

Mężczyźni zamilkli. Po chwili wyższy znów nie wytrzymał i zaklął wulgarnie.

– Prowadź i nie zabieraj głosu – warknął, a potem zaatakował: – Gdyby nie te twoje wiarygodne źródła, dziś nie byłibyśmy w takiej dupie.

No i mam za swoje – pomyślał kierowca. Do tej pory pasażerowie kłócili się między sobą lub atakowali czwartego współnika. Wiadomo, najłatwiej zwalić winę na nieobecnych. Teraz przypomnieli sobie o roli, którą w całej sprawie odegrał on. Gdyby nie news od jego wiewiórek, nie byłoby transakcji z Rosjanami, na bocznicy w Szczytnie nie stałby teraz pociąg z zatrzymanymi paliwami, a spółka nie miałaby kłopotu z wyjaśnieniem organom skarbowym szczegółów przedziwnej operacji, w jaką się nieopatrznie wpakowała.

– To miał być pewniak – odparł.

– Pewniak do trumny – szepnął wyższy z mężczyzn. – Co mnie podkusiło, żeby w ogóle was posłuchać?

Kierowca głośno przełknął ślinę i postanowił więcej się nie odzywać. Mocniej zacisnął dłonie na kierownicy. W lusterku widział, że wyższy patrzy mu w oczy. Jakby chciał wyczytać z nich odpowiedź na niezadane pytanie: wiedziałeś o tym, że to prowokacja, świadomie dałeś się podpuścić czy... jesteś zwykłym idiotą?

Wyższy nazywał się Benedykt Wisłocki i był drugą najważniejszą osobą w spółce. Trzymał rękę na finansach, potrafił rządzić. Ustępował tylko Markowi, człowiekowi z genem przywódcy, i to zwykle po długich bojach. Nie miał jednak najbardziej znaczącego daru – intuicji, która sprawiała, że tamtemu niemal wszystko się udawało. Brakowało mu też przebojowości drugiego z pasażerów, znacznie niższego, zdecydowanie gorzej się prezentującego Siergieja Kraciuka, który przypominał raczej narkomana lub niechlujnego dziennikarza niż naukowiec i biznesmena. Ale to jego głowie zawdzięczali swoje najważniejsze produkty i tak

dalekosiężne plany. Siergiej był geniuszem. Tak jak Marek.

A ja? Kierowca jeszcze bardziej posmutniał. Nie miał ani charakteru Benka, ani iskry bożej Marka, ani genialnego błysku Siergieja.

Był w tym towarzystwie nikim. Tylko kierowcą.

– Uważaj – ostrzegł Benek, gdy z tyłu mrugnęła światłami duża niemiecka limuzyna i natychmiast zaczęła ich wyprzedzać, nie bardzo się przejmując jadącymi z naprzeciwka. Długi czarny przód zdobił znaczek koncernu Mercedesa.

– Co za wariat! Wyprzedzać w taką pogodę!

– Ustąp szybszemu. – Siergiej wskazał na znak przy drodze radzący w podobnych przypadkach zjeżdżać na pobocze. – U nas w Moskwie są dwie zasady: nie wchodzi nigdy na pasy dla pieszych, jak ktoś nadjeżdża, nawet gdy masz zielone, i przy ocenie pierwszeństwa zawsze uwzględniaj rozmiar konkurenta. Większy ma pierwszeństwo.

Siergiej lubił mówić: u nas w Moskwie, choć wcale nie był Rosjaninem. Tylko się za takiego uważał.

Ktoś zatrąbił, gdy limuzyna zrównała się z ich oplem, i wtedy zjechali nieco na pobocze, jednocześnie zerkając w lewo. W mercedesie siedziało dwóch zarośniętych mężczyzn. Wyglądali na prawdziwych bandytów.

Kierowca wzdrygnął się i bezwiednie zwolnił. Kątem oka zobaczył, że pasażer limuzyny przykłada do ucha wielkie pudło telefonu komórkowego. On wciąż był negatywnie nastawiony do tego typu wynalazków. Przez komórkę czuł się, jakby był ciągle na smyczy.

Mercedes w końcu ich wyprzedził i pognął do przodu. Pięć kilometrów dalej zwolnili, mijając ten sam samochód, który stał na poboczu obok policyjnego radiowozu.

– Ma za swoje – skomentował Siergiej.

Obejrzał się jeszcze, bo kontrolowani bandyci wcale nie wyglądali na zmartwionych. Przeciwnie, jeden z nich poklepywał się z policjantami, a drugi stał obok i ciągle rozmawiał przez komórkę. Dosłownie na ułamek sekundy Siergiej napotkał wzrok tego człowieka i wtedy ogarnęło go jakieś nieokreślone przecucie. Coś więcej niż niepewność. Obawa. Strach. Że zaraz się wydarzy coś naprawdę złego. Odwrócił pospiesznie głowę i skupił wzrok na długim rzędzie ciężarówek ze zwirem, które sunęły poboczem tak wolno, że chcąc nie chcąc, musieli je wyprzedzić. Nadjeżdżający z naprzeciwka pojazd zjechał na prawy pas, dając im światłami znać, że mogą bezpiecznie wykonać manewr.

Kiedy opel zrównał się z trzecią ciężarówką, uprzejmy kierowca nagle zmienił zdanie i wrócił na główny tor jazdy.

Siergiej oniemiał. To też była ciężarówka ze zwirem. Duża, ciężka. Choć nie jechała zbyt szybko, błyskawicznie rosła w oczach.

A oni nie mieli gdzie uciec.

Zanim doszło do czołowego zderzenia, Siergiej pomyślał jeszcze o innej zasadzie, od lat dobrze znanej w Moskwie i coraz częściej powtarzanej szeptem w byłych krajach obozu komunistycznego.

Gdy poznasz zbyt wiele tajemnic, uważaj na ciężarówkę ze żwirem.

Dwadzieścia lat później

Starzec długo przygotowywał atak. Posyłał zaskakująco precyzyjne, mocne piłki w lewy narożnik kortu, by ostatecznie zakończyć wymianę niesamowitym dropszotem tuż za siatkę. Jego o czterdzieści lat młodszy przeciwnik otarł pot z czoła i skinął z uznaniem.

– Jak ty to robisz? – zapytał, gdy wymieniali uściski dłoni.

– Trzeba być mężczyzną. – Starzec mrugnął powieką. – O tu. – Przyłożył dłoń do serca. – Choć tu też nie zaszkodzi. – Dłoń zawędrowała między nogi i zacisnęła się na członku.

Młodzieniec pokręcił głową, wyraźnie rozbawiony. Nasłuchał się trochę o tym starym lisie.

– Będą pisać o tobie książki.

– Żebyś wiedział!

Starzec zaczerpnął w płuca świeżego sopockiego powietrza, poszedł pod prysznic, wytarł ciało, włożył nieco zbyt lekki jak na dość kapryśną pogodę garnitur, sprawdził w smartfonie najnowsze wiadomości i zalogował się do portalu randkowego. Od pewnego czasu tą drogą wyszukiwał partnerki, które spełniały jego oczekiwania znacznie lepiej niż siedemdziesięcioletnia żona. Podobnie jak partnerzy do tenisa i towarzysze z jazd konnych, nie mogły wyjść z podziwu dla jego wigoru. Im też sprzedawał tę bajeczkę o sercu...

Nowa wiadomość od użytkownika Kinia załadowała się na czacie.

Potwierdź dzisiejszą sesję, ogierze!

Kliknął przycisk potwierdzenia i odetchnął głęboko. Życie należy przeżyć, a nie przeczekać. Czerpiąc garściami ze wszystkich dostępnych przyjemności. Kinia miała dwadzieścia pięć lat i była ostatnio jego ulubioną zabawką. Wyjątkowo atrakcyjną i namiętą, nieudającą niczego, łatwo osiagającą szczyt i wspaniale się prezentującą w lustrach, które zawiesiła na suficie sypialni. Krągłe pośladki, oliwkowa skóra, długie gładkie nogi i nieco za małe w stosunku do ud i tyłka, za to cudownie twarde i sprężyste piersi.

„Jak tak dalej pójdzie, umieszczę cię w testamencie” – zażartował kilka dni temu, gdy po godzinnych zapasach oraz prawdziwej symfonii jęków i krzyków Kinia wyłkała mu w ucho, że nigdy nie miała lepszego kochanka.

Prawdziwy casanova.

Siedemdziesięciodwuletni ogier o ciele i charyzmie czterdziestolatka.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła piętnasta. Zgodnie z zaleceniami lekarza prowadzącego powinien zaraz przyjąć ostatnią dawkę preparatu. Potem trzy miesiące przerwy i znów dziesięć zastrzyków. Brał je prawie od roku i efekt był niewiarygodny. Współczesna medycyna może zdziałać cuda.

Jeśli tylko cię na to stać.

A jego było stać.

Wyciągnął niewielki aplikator, usiadł, rozluźnił się, odetchnął kilka razy głęboko, po czym przystawił urządzenie do luźnej skóry nad szyją z tyłu głowy, w miejscu zakrytym przez wciąż bujne włosy. Pochwycona dwoma palcami skóra, jedno przyciśnięcie guzika i napełniony fabrycznie dozownik wstrzyknął mu implant.

Od razu poczuł w głowie przyływ mocy, choć wiedział, że to tylko autosugestia. Implant będzie stopniowo uwalniał substancję czynną, a efekt zastrzyku organizm zacznie odczuwać dopiero po sześciu tygodniach. Tyle że do tego momentu wciąż będzie działać poprzednia dawka.

Moc.

Czuł potworną moc.

Odłożył dozownik do szafki, wypił pół litra wody, zamknął drzwiczki i poczuł kolejny dreszcz przyjemności. Miewał je ostatnio tak często. Wyzwalały euforię, sprawiały, że chciało się żyć, chciało się jeszcze więcej, ciągle i na nowo. Oczywiście w znacznej mierze była to tylko autosugestia. Co z tego, skoro dawała realną siłę?

Czyż nie jest faktem, że umysł to najgroźniejsza broń człowieka?

Wystarczy go odpowiednio nastroić, a... potrafi czynić cuda.

Zawiązał buty, chwycił sportową torbę i wtedy ni stąd, ni zowąd poczuł pierwsze zawirowanie. Zrobił krok do przodu i znów to samo. Nogi się pod nim ugięły. Mięśnie nagle straciły moc. Próbował oprzeć się dłonią o ścianę, ale ona cofnęła się gwałtownie, a może nigdy nie było jej w tym miejscu...

Osunął się na ziemię, choć wydawało mu się, że wciąż stoi. Jego wzrok pozostał na górze, w stop-klatce, niczym jakiś komputerowy bug, i śledził teraz wijące się w konwulsjach ciało. Upłynęło kilka sekund, zanim zamarło w bezruchu.

I wtedy wszystko zgasło.

Do pomieszczenia wślizgnęła się niepozorna postać, wyjęła z kieszeni trupa kluczyki, otworzyła szafkę i podmieniła w niej kilka przedmiotów. Na koniec zamknęła drzwiczki, ostrożnie włożyła kluczyki tam, skąd je wzięła, i wyszła tak cicho, jak się pojawiła.

Zemsta! Słowo klucz. Warto wiele dla niej poświęcić. Napędza, motywuje. Jest celem, środkiem, wynikiem. Wszystkim. Pochłania bez reszty. Nie pozwala na odpoczynek. Nie daje za wygraną.

Nigdy.

Czasem myślała o wybaczeniu. Starła się postępować racjonalnie, nie kierować się impulsami i emocjami. Nie była przecież rozkapryszoną, zacietrzewioną idiotką, która pod wpływem chwili stawia wszystko na jedną kartę.

Nie.

Myślała. Planowała. Realizowała.

W tej kolejności. Nigdy inaczej.

Właśnie dlatego czasem rozbierała sprawę na czynniki pierwsze i rozważała, co bardziej się opłaca. Dwa zbiory. Plusy i minusy, za i przeciw, korzyści i straty, pasywa i aktywa. Suma przeciwności i wynik. Jedna strona może równać się drugiej, ale tylko w bilansie, bo w rzeczywistości zawsze trzeba coś tam podciągnąć. A w jej przypadku wynik... był ten sam.

Jeden zero, zero jeden.

W języku programistów układ doskonale przewidywalny.

Zbiór prostych zasad.

Włączyła komputer i weszła na stronę pewnego biznesmena, którego profil niedawno polubiła. Obiecywał zmienić ten kraj, raz na zawsze pogrzebać komunę, wyrzucić za nawias czerwonych, rozliczyć łapówkarzy, naprawić patologie, wygrać przyszłość. Wulgarnie i bez przerośni.

Wprost, bez żadnej taryfy ulgowej.

Był tak do niej podobny. Nazywał rzeczy po imieniu.

I gdy ktoś mu podpadał, natychmiast dostawał kontrę oraz obietnicę zemsty.

Tobą też się zajmiemy.

Ona działała dokładnie tak samo. Każdy wróg mógł liczyć na rewanż.

– Nie obchodzi mnie, czy stoją za tobą WSI. Ważne, że mamy wspólne interesy – powiedziała na głos.

Potem otworzyła komunikator i utworzyła nową wiadomość. Napisanie maila zajęło jej prawie godzinę. Sprawdziła pisownię, poprawiła dwa błędy ortograficzne, przebiegła całość niezbyt długiego tekstu i po krótkim wahaniu kliknęła Wyślij. Następnie otworzyła dokument tekstowy i sporządziła w nim notkę o poczynionych dziś działaniach. Notatnik zawierał wiele rekordów i nazwisk. Poza właśnie opisanym biznesmenem byli w nim posłowie, policjanci, dziennikarze, prawnicy.

Zmniejszyła poziom powiększenia tekstu, odsunęła się trochę od komputera i spojrzała z dumą na listę nazwisk.

Była doprawdy imponująca.

Tak, wszyscy mamy ten sam cel.

Mężczyzna uważał się za twardego gracza. Przez lata spędzone w biznesie przeżył wiele starć i prawdziwych wojen. Poznał oszustów, łapówkarzy, cynicznych doradców, dwulicowych agentów, zdeprawowanych prawników, bezwzględnych polityków i prawdziwie okrutnych bandytów, dla których życie ludzkie nie stanowiło żadnej wartości. Bywało, że miał ich po swojej stronie, to znów byli jego przeciwnikami. Nauczył się manipulować, kontrolować, zwodzić i zwalczać. Był doskonałym taktykiem, w razie potrzeby zmieniającym się w groźnego, nieustępliwego wojownika. Wiele razy podejmował decyzje, od

których zależała przyszłość jego i wielu innych. Czasem decyzje najwyższej wagi.

Mimo to, patrząc teraz w oczy najbliższego współpracownika, poczuł się słaby i zmęczony. Może tych wojen było zbyt wiele. Może nie powinien wdawać się w kolejną. Może już czas na emeryturę.

– Kto za tym stoi?

Doradca – człowiek w jasnym garniturze, o dużej głowie, imponującej łysinie, w okularach z grubymi oprawkami i szklami jak denka szklanek do whisky – wyglądający trochę na prawnika, trochę na inspektora z urzędu skarbowego, chrząknął i wskazał na leżącą między nimi na stoliku teczkę z dokumentami.

– Wiesz kto.

– Niemożliwe.

– Może jednak mu zapłaćmy...

– Nigdy.

Biznesmen westchnął głośno, potem dodał:

– Jeśli masz rację, oferta jest blefem.

– Też tak sędzę.

– Mimo to rekomendujesz podjęcie negocjacji.

– Poznaj przeciwnika...

– ...zbierz siły.

– Właśnie.

– A może... – Biznesmen spojrzął znacząco na inny stos dokumentów, opatrzonych logo i barwami znanej firmy audytorskiej specjalizującej się w fuzjach i przejęciach.

– Nie, to nie oni.

– Nie o to mi chodzi.

Prawnik skrzywił się z niechęcią.

– Chcesz się poddać?

Biznesmen nie odpowiedział. Sięgnął po szklankę z wodą. Pił łapczywie, tak samo, jak wykonywał inne życiowe czynności. Tak samo, jak zachowywał się w biznesie. Nie miał czasu na gry i gierki. Atakował gwałtownie, wszystkimi siłami, często instynktownie. Wielu mu zarzucało, że przez to zbyt ryzykuje i ponosi niepotrzebne porażki. Emocje są złym doradcą. Ale ci ludzie mylili emocje z odwagą i umiejętnością podjęcia błyskawicznej decyzji. Ostatecznie to on jest na szczycie, a nie oni. To jego strategia najczęściej okazywała się właściwa.

A może po prostu ma szczęście.

– Przejdźmy do ostatniej sprawy. Przypomnij... jak się nazywa ten chłopak?

Mecenas odpowiedział, podając najpierw nazwisko, następnie powtarzając je wraz z imieniem.

– I rzeczywiście jest taki dobry?

– Tego nie wiem, ale w obecnej sytuacji jest... najlepszą opcją.

– Boję się, że może nam się wymknąć spod kontroli.

– Ja też, ale chyba nie mamy wyjścia.

Biznesmen nie wydawał się przekonany. Uniósł głowę najwyżej, jak mógł, poczuł opór kręgow i napięcie mięśni szyi. Wyglądało to tak, jakby wpatrywał się w sufit, poszukując rady czy znaku od Najwyższego. W rzeczywistości przymknął oczy i próbował zapomnieć o bólu, który coraz natarczywiej atakował skronie.

Działaj szybko, podejmuj odważne decyzje. Kieruj się intuicją.

Tylko że tym razem intuicja milczała. Nie podpowiadała mu zupełnie niczego. Jakby Opatrzność pozostawiła go samego. Już to było złym znakiem. Do tej pory w chwilach poważnego zagrożenia czy wielkiej okazji zawsze czuł obecność tej nienazwanej, tajemnej siły. Dziś jej tu nie było.

– Dobrze, spróbujmy.

Oddech i praca rąk – powtarzał sobie Kuba Zimny, odliczając kolejne okrążenie i starając się nie myśleć o bólu łydek i kolan. Czterdzieste. Przebiegnięte po zewnętrznej, na ostatnim torze bieżni, co oznaczało zwiększenie dystansu o jakieś półtora kilometra w stosunku do nominalnego wymiaru stadionu. Łącznie z pokonanym od parkingu dystansem – dwanaście kilometrów. Nieźle jak na takiego starego lumpa. Czas – nieco ponad godzinę – może niezbyt imponujący, ale liczyła się odległość i regularność. Dzięki nim wracał do normalnej wagi po tym, jak przez ostatnie kilka lat poważnie się zaniedbał.

Zbiegł z bieżni i potruczał ostatni kilometr do samochodu. Zanim uruchomił silnik, pochłonał pospiesznie banana, baton owsiany i wypił pół litra własnoręcznie przygotowanego napoju z odrobiną soli morskiej, listkiem mięty i dużą ilością cytryny.

Zdrowe życie.

Udawał przed przyjaciółmi, że nim rzyga, ale prawdę mówiąc – coraz bardziej mu odpowiadało.

W domu wziął prysznic i sprawdził skrzynkę mailową. Dwadzieścia nowych wiadomości. Dziesięć od wariata próbującego go przekonać, że za wszystkimi ostatnimi aferami stoi pewien specyficzny, świetnie zorganizowany gang hakowy. Pozostałe dotyczące nowych spraw. Od dawna nie pracował w gazetach i nie pisał tekstów, a jednak wciąż było wielu, którzy uważali go za dziennikarza, próbowali zainteresować tematami. Większości pomagał; przekierowywał maile do innych reporterów. Dla wariata utworzył osobny folder. Jego wiadomości przynosił do tej wyodrębnionej teczki bez czytania.

– Może kiedyś – mruknął.

Otworzył butelkę jacka daniels'a i powąchał alkohol. Jeszcze parę godzin. Sam nie uważał się za alkoholika i w sumie nie interesowało go zdanie innych. Dopóki nie dymi, nie rzuca się na innych, nie robi pod siebie, nikomu nic do tego. Nie miał ciągu od rana, nie myślał bezustannie o piciu i potrafił sobie odmówić. Po

prostu lubił pić.

A że pił codziennie...

W pewnej chwili postanowił coś zmienić. Oprócz biegania zaczął ćwiczyć na siłowni, zapisał się też do sekcji aikido, ale bardziej odpowiadał mu uprawiany po sąsiedzku boks i ostatecznie skończył na zajęciach prowadzonych przez dwudziestolatkę, która na razie legitymowała się rekordem sześciu wygranych walk, ale Zimny nie wątpił, że kiedyś zostanie mistrzynią świata. Bokserzy wbrew obawom dziennikarza byli przyjaźnie nastawieni, inteligentni i sympatyczni. Nie znosili tylko dwulicowych sukinsynów i tchórzy.

Kuba nie był ani jednym, ani drugim. A może tylko dobrze udawał.

Spojrzał na zegarek. Do kolacji z klientem miał jeszcze sporo czasu, jednak postanowił, że wyjdzie z domu wcześniej. Włożył świeżą koszulę, marynarkę i spojrzał na siebie krytycznie w lustrze. Podstarzały, trzydziestoparoletni amant ze zmęczoną twarzą, zbyt szarą, ziemistą cerą, krzywym nosem i wodnistym spojrzeniem. Po błyskawicznej terapii odchudzającej aż za suchy, zbyt kościsty. W wymiętej bluzce czy flanelowej koszuli wyglądałby okej, a tak miał prezencję aż nazbyt tęczową.

– Co to za gej-dżender?

Do tego zgolony zarost i te przydługie, nierówno przystrzyżone, posiwiałe miejscami włosy. Gdy gębę przykrywała gęsta czarna siatka, nadawały twarzy drapieżnego charakteru. Teraz wyglądały na celową stylizację i wraz z niebieską marynarką oraz jasnymi spodniami dopełniały obrazu lalusia. No, ale jak chcesz robić w piarze, to nie możesz ubierać się jak dziennikarz. Nawet jeśli jesteś tylko takim udawanym piarowcem.

Kiedy uda się chwycić jakiś porządny kontrakt, popracujemy nad zmianą wizerunku – obiecał sobie.

Dwie godziny później ścisnął dłoń łysego mężczyzny w bardzo dziwnych okularach, tak dużych i grubych, że sprawiały wrażenie celowo wydumanych. Klient wyglądał trochę jak postać z kreskówki skrzyżowana z aktorem czarno-białych filmów Cassavetes. Był niski, osobliwie gruby. Jak jajko lub beczka – pomyślał Kuba. Mała głowa bez szyi, odstające spore uszy, choć nie tak duże jak u byłego komunistycznego rzecznika. Grube szkła powiększały małe, czujne oczka do karykaturalnego rozmiaru.

– Mam dużą wadę wzroku – wyjaśnił mężczyzna.

Kuba zdał sobie sprawę, że zbyt długo się w niego wpatruje.

– Przepraszam – odparł zawstydzony. – Zawsze muszę coś zawalić na początku.

– Nic nie szkodzi. Wnikliwość to w dziennikarstwie ceniona cecha. – Klient mówił powoli, starannie, z bardzo dobrą dykcją.

– Nie jestem już dziennikarzem.

– Tak, wiem.

Mężczyzna uśmiechnął się. Nie wiedział, czy dziennikarz celowo tak prowadzi rozmowę, by szybko przejść do konkretów, ale skoro tak... Sięgnął po wizytówkę i wręczył ją Kubie, mimo że ten miał już wszystkie jego dane, przesłane w mailu trzy dni wcześniej.

Kuba zerknął na niewielki kartonik.

Jarosław Mastalerz

doradca zarządu

SAWICKI S.A.

Spółka notowana na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie

Kuba sięgnął do kieszeni i udawał, że poszukuje własnych wizytówek. Nie mógł ich znaleźć. Obiecywał sobie od miesiący, że w końcu je zamówi, i zawsze zapominał, odkładał sprawę w czasie.

– Przepraszam, zapomniałem wizytownika.

– Nie szkodzi. Mam wszystkie pana dane. – Prawnik uśmiechnął się znacząco.

No tak, dał mi właśnie znać, że niepotrzebnie ściemniam.

– Zatem...

Kilka stolików dalej kelner postawił zamówione dania, po czym podszedł do nich, stanął w odległości dwóch kroków i zapytał, czy dokonali już wyboru.

– Zamówmy najpierw – zaproponował Mastalerz.

Kuba poprosił o sałatkę i wodę, mecenas o dobrze wysmażony stek i zachęcił swojego rozmówcę do wyboru wina lub czegoś mocniejszego.

– Nie piję – skłamał Zimny. Może to jakiś test.

Mastalerz poczekał, aż kelner odejdzie, poprawił się na oparciu i przeszedł do rzeczy.

– Jak pan wie, firma Sawicki, którą reprezentuję, jest jednym z największych prywatnych przedsiębiorstw notowanych na naszej giełdzie...

Kuba skinął głową i dodał:

– Biotechnologicznym gigantem obiecującym inwestorom rewolucyjne wynalazki, ale... niezapominającym też o odnogach dających zdrowe przychody.

Kiedyś powiedziałby inaczej: obiecującym gruszki na wierzbie, a zbijającym kasę na papierze toaletowym. Istotnie był pod wrażeniem wyceny firmy, nie miał jednak pewności, czy to nie jest jakiś nadmuchany balon. Już raz ledwie przetrwał starcie z domem maklerskim, który wyceniano na miliardy, a w środku nie było nawet jednej dziesiątej tej wartości. Nadmuchane balony zawsze kończą podobnie. Jeśli same nie wybuchają, ktoś je przebija.

Mastalerz chyba wyczuł fałszywą nutę w głosie Kubie, ale ciągnął grę.

– Odrobił pan lekcję. Staramy się zachować zdrowe proporcje pomiędzy badaniami i nauką a liniami produktów tradycyjnych, przynoszących gros przychodów.

– To prawda z tym zwalczaniem komórek rakowych? Ten lek rzeczywiście działa?

– Powiedzmy, że rokuje. Bardzo dobrze rokuje.

– Jednak na razie waszym głównym produktem są leki odtwórcze, jednorazówki i analizatory.

– Owszem. Jesteśmy postrzegani przede wszystkim jako dostawca generyków.

– I obietnic – dorzucił Kuba, zanim ugryzł się w język.

Szybki research przed spotkaniem dał mu w sumie sporą wiedzę na temat spółki i samego Sawickiego. Koncern robił inwestorom spore nadzieje i raczej nie zawodził. Przynajmniej w kwestii wyników finansowych. Nieco inaczej było z przekroczeniem pewnej bariery rozwoju, wybiciem się ponad przeciętność. Oczekiwania pokładane w nowej metodzie walki z rakiem nie do końca się spełniły. Sawicki od trzech lat przesuwiał też premierę jakiegoś rewolucyjnego, nowatorskiego preparatu, który miał znacząco wpłynąć na cenę akcji. W przeciekach puszcanych do mediów było jedynie pełno ogólników. Praktycznie zero konkretów.

– Mówi pan o vialixie? – uzupełnił Mastalerz. – Nigdy tak naprawdę nie podaliśmy terminu uruchomienia jego produkcji.

– Inwestorzy wymuszają spekulacje.

– Dobrze pan to określił. To są spekulacje, których zarząd nigdy oficjalnie nie potwierdził. Przyznaliśmy jedynie, że rzeczywiście pracujemy nad takim rozwiązaniem, i podaliśmy orientacyjne terminy. Możliwe terminy wprowadzenia vialixu na rynek. W przypadku zaawansowanych preparatów tak naprawdę nie da się przewidzieć czasu, jaki jest potrzebny na testy, opracowania naukowe, certyfikacje i zatwierdzenia różnych komisji lekarskich, ministerialnych i innych.

– Czym jest ten vialix? To lek?

– Preparat – poprawił Mastalerz i wyrecytował formułkę jak z folderu reklamowego: – Rewolucyjny wynalazek, który może wpłynąć na jakość życia każdego z nas.

No tak, ogólniki.

– Polska viagra?

Mastalerz uśmiechnął się znacząco.

– Coś znacznie bardziej... nowatorskiego i potrzebnego.

– No tak – mruknął Kuba, co zabrzmiało: obietnanki cacanki.

– Proszę zrozumieć. W tej branży wyścig technologiczny i patentowy jest tak bezwzględny, że czasem wszystko musi pozostać w najgłębszej tajemnicy.

– Jak z gonieniem króliczka...
– Proszę?
– Nie, nic. – Kuba machnął ręką i ugryzł się w język. Hamuj się!
– Chce pan powiedzieć, że niektóre obietnice działają najlepiej, gdy się nie potwierdzają? Bo często potem i tak ludzie są rozczarowani. Spodziewali się rewelacji, a dostają... coś zupełnie zwyczajnego.

Kuba skończył jeść, odłożył widelec, wytarł usta i spojrzał w powiększone przez okulary oczy prawnika.

– Cóż... czego zatem pan ode mnie oczekuje?

Mecenas także odłożył sztućce. Poprawił nóż, by leżał niemal idealnie równoległe do widelca, wytarł usta grubą beżową serwetą i popatrzył rozmówcy w oczy. Co najmniej kilka sekund za długo. Zimny jednak wytrzymał jego spojrzenie. Ciekawił go ten człowiek. Nie mniej niż ten, który stał za nim. Sporo słyszał o Sawickim. Dużo dobrego. I dużo złego.

– Planujemy spektakularną kampanię promocyjną spółki i chcieliśmy pana w nią włączyć.

Kubie spodobało się to zdanie. Proste, czytelne, jasne. Bez żadnej ściemy. Pozornie. Na nią pewnie nadejdzie czas.

– Chodzi o vialix?

– Nie do końca. Chodzi o markę Sawicki.

– Ma się dobrze. W ciągu ostatnich miesięcy nie widziałem żadnych negatywnych artykułów.

– Nigdy tak naprawdę ich nie było. No, może poza tym...

– ...vialixem?

– Przesunięciami terminów wprowadzenia preparatu – uściślił prawnik. – Ale i one były dość łagodne z powodów, o których wspomniałem. To nie my pompowaliśmy balon.

– Ale tak to odbierano. Tak czy inaczej marka ma się dobrze.

– Zawsze może być lepiej.

Mecenas był wyraźnie ostrożny i oszczędnie dzielił się informacjami. Kuba w sumie się nie dziwił. Na pierwszym spotkaniu nie należało oczekiwać odkrycia kart. Poza tym zanim zwrócił się do Zimnego, z pewnością sam o niego popytał, a Kuba był pewien, że ma równie wielu wrogów co przyjaciół. Wiedział, że opowiadają o nim różne bzdury. W tej sytuacji trudno było oczekiwać jakiegось wyjątkowej otwartości. Jeśli jednak miał się podjąć jakiegoś zadania, to musiał przecież wiedzieć, czego ono ma dotyczyć. W tej śliskiej dziedzinie, w której się ostatnio poruszał, niedopowiedzenia bywają akceptowalne, ale pod warunkiem, że jednocześnie są dość przejrzyste dla obu stron.

– Planujemy kampanię wizerunkową na niespotykaną w Polsce skalę – rzekł Mastalerz. – Będzie to największy projekt medialny w tym dwudziestopięcioleciu.

– Raczej specjalizuję się teraz w gaszeniu pożarów niż w ich rozprzestrzenianiu – odparł ostrożnie Zimny.

– Niebezpiecznie gasić ogień paliwem, czasem jednak to najlepsza metoda.

Kuba milczał. Mastalerz przejechał językiem po przednich zębach. Nie był chyba pewien, w którym kierunku poprowadzić rozmowę. W końcu podjął:

– Nie upoważniono mnie do zdradzenia tych szczegółów, więc proszę o poufność – zaznaczył.

– Oczywiście. – Zimny powoli skinął głową.

– Oficjalnie kampania ma być przeprowadzona z okazji dwudziestolecia spółki. To uzasadnienie dla wielkości budżetu i zaangażowania aż tak dużych środków. Tak naprawdę jednak chodzi o coś innego. Być może pan słyszał, że Sawicki toczy cichą wojnę z niemieckim koncernem BiOtto Technologies. BiOtto to część korporacji Otto, która jest jednym z liderów rynku farmaceutycznego na świecie. Od prawie pięciu lat Otto próbuje przejąć Sawickiego. Właściciel najpierw dostał kilka bardzo korzystnych finansowo ofert, potem próbowano doprowadzić do wrogiego przejęcia.

– Tak, coś słyszałem...

Kuba przypomniał sobie nagłówki dzienników biznesowych sprzed dwóch–trzech lat. Spekulowały o negocjacjach przejęcia i potajemnym skupowaniu akcji przez Niemców. Ponieważ do transakcji nie doszło, uznał, że były to newsy dmuchane przez kogoś, komu zależało na wzroście kursu. Naturalnym podejrzanym był sam Marek Sawicki lub jakiś inny znaczący akcjonariusz.

– Pewnie myślał pan, że to manipulacje? Tak nie było. Prowadziliśmy cichą wojnę z Otto i nie ma co ukrywać, że obie strony stosowały w niej metody, delikatnie mówiąc, na granicy prawa. Wygraliśmy, Otto zrezygnował i skupił się na inwestycjach w Azji. Teraz sprawa wraca.

– Otto ponownie próbuje wrogiego przejęcia?

– Nie jesteśmy do końca pewni, czy to Otto, czy ktoś inny się pod nich podszywa, ale podjęto zarówno oficjalne, jak i nieoficjalne działania w tym kierunku. Jedna ze spółek doradczych dostała zlecenie na raport o nas i koordynuje działania związane ze skupowaniem akcji.

– I wy na to reagujecie kampanią promocyjną? Chodzi o zwiększenie wartości? Stymulowanie rynku, by ceną przyblokować skup?

– Zapisy w statucie bronią nas przed wrogim wykupem akcji. Bez zgody Sawickiego Niemcy, czy ktokolwiek jest kupującym, nic nie wskórają.

– Po co więc ta kampania?

– Są sposoby na wywarcie presji. Jak pan wie, często dość nieczyste, wręcz brutalne. Boimy się, że spróbują je zastosować, by nacisnąć nie tylko na mniejszościowych akcjonariuszy, ale też na polskie fundusze.

– Jeśli założyciel i główny akcjonariusz będzie miał wszystkich przeciwko

sobie, może ulec?

– Właśnie. Dlatego chcemy pokazać, że nie jesteśmy graczem z niższej ligi, że potrafimy działać spektakularnie, że nie jesteśmy jakąś tam małą społeczką do przejęcia, tylko koncernem światowej rangi.

– A tak jest?

– Sawicki to dziś szósta marka w biotechnologii na świecie. Co roku poprawialiśmy nasze pozycje w rankingach. Nawet bez spektakularnych nowych produktów utrzymamy miejsce w czołówce.

– A jeśli wyjdzie z vialixem, będzie jeszcze lepiej?

– Jeśli wyjdzie... możemy w ciągu roku osiągnąć nawet pozycję lidera w naszej specjalności i wejść do pierwszej dziesiątki firm farmaceutycznych w ogóle. Wyobraża pan sobie polską korporację w czołówce tak konkurencyjnej branży?

– Nie bardzo.

– A jednak to możliwe. Jeśli przejmie nas Otto czy... ktoś inny, to o tym marzeniu Marka możemy zapomnieć.

– Marzeniu Marka – powtórzył Zimny z zadumą, bez sarkazmu, a jednak zabrzmiało to jak ironia niedowiarka.

– Marek Sawicki ma właśnie takie marzenie. Stworzenie rozpoznawalnej na całym świecie polskiej korporacji, która będzie wyznaczać nowe trendy, ustalać standardy, a nie stanowić bazę taniej siły roboczej dla inżynierów z lepszego świata. Marzenie... które może stać się rzeczywistością.

Kuba aż tak nie zbadał tej spółki, żeby wiedzieć, w jakim stopniu te deklaracje są realne. Brzmiało to jak dobry marketing, przyprawiony sporą dozą piarowskiego patosu i pseudopatriotyzmu. Niemniej jednak działało. Poczul, że serce bije mu szybciej. Też chciałby, żeby zachodni gracze traktowali polskie spółki jak partnerów, nie magazynierów i pośredników do wręczania łapówek.

– Piękny sen.

– Chcemy pokazać, że to nie sen. Przekonać fundusze i mniejszościowych, żeby grali z nami bez względu na presję i wartość ofert. Żeby nie pozwolili na pogrzebanie tych marzeń.

– I uważacie, że duża kampania na to wpłynie?

– Jeśli będzie wystarczająco sugestywna i spektakularna? Tak. Głównym projektantem kampanii promocyjnej będzie Bruno Giacomo. Mówi panu coś to nazwisko?

– Nie – przyznał Kuba, nie widząc powodu do wstydu.

– To absolutny top projektantów. Poziom światowy. Znany z odważnych pomysłów, szokowania klientów i kampanii opartych na skojarzeniach. Jego projekty nie mają nic wspólnego z reklamami proszków do prania czy tamponów. To prawdziwa sztuka. Prace Bruna co roku zdobywają nagrody na festiwalach

reklamy, Amerykanie zrobili z nich nawet pełnometrażowy film, który wyświetlano z sukcesami w Cannes i w kinach studyjnych. Na Giacomą stać tylko najlepszych i najbogatszych, a on wybiera sobie klientów, którzy stoją w długich kolejkach.

– Odstaliście swoje?

– Nie musieliśmy. Gdy zobaczył naszą wizję i strategię, od razu się zgodził. To Marek go przekonał. Sawicki ma w sobie coś... wielkiego, imponująco wielkiego, sam pan zobaczy i zrozumie, o czym mówię. Bruno się z nim zaprzyjaźnił i tak naprawdę pieniądze nie miały dla niego znaczenia. Niemniej jednak ma... otwarty budżet. Szacujemy, że cała kampania na świecie będzie kosztowała około trzydziestu–czterdziestu milionów dolarów i będzie jedną z najdroższych wśród dotąd przeprowadzonych. W skali świata, nie Polski.

Kuba omal nie zachłysnął się śliną. Nie bardzo znał się na wielkościach budżetów reklamowych, ale ten poziom wydawał się znaczący.

– Tak naprawdę na cały marketing z tym związany wydamy znacznie więcej, ale marka zyska na wartości, będzie rozpoznawalna, inwestycja zwróci się błyskawicznie, jak wszystko... czego dotknie Marek.

Prawdziwy Midas – pomyślał Zimny, jednak nie odważył się na kolejną uszczypliwość. W sumie to ten Marek już mu się podobał. Może w końcu trafi na porządnego biznesmena z czołówki rankingu. Dotąd raczej nie miał szczęścia.

– Przy takim projekcie – podsumował Mastalerz – nie stać nas na żadne oszczędności i kompromisy. Krótko mówiąc, potrzebujemy najlepszych w swoich dziedzinach.

– I ja jestem jednym z tych... najlepszych?

Prawnik skinął tylko głową.

– Co dokładnie mam robić?

Jarosław Mastalerz uniósł szklanekę z wodą. Przeplukał usta, przełknął i mlasnął z uznaniem.

– To, co ostatnio pan zwykle robił. Napisać książkę.

No i znów się wpieprzyłem – pomyślał Zimny. Miał tyle fajnych planów i pomysłów, a zgodził się wejść w kolejny dziwaczny projekt. Bo mimo spektakularnej wizji roztoczonej przez Mastalerza, nie bardzo w to wszystko wierzył.

Więc tak naprawdę zgodził się... dla kasy. Dla niej się zdecydował, choć udawał przed samym sobą, że jest inaczej, że to te wzniosłe hasła przeważały.

Kłamstwa. One też nie były bez znaczenia.

Książka historyczna? Biografia właściciela i jego firmy? Akurat. Już widzę tę bezpłciową historyjkę o sukcesach Sawicki S.A., którą w swoim nowatorskim, dalekim od sztampy projekcie wykorzysta słynny Bruno Jakiśtam.

Przekupna z ciebie dziwka i tyle. Cholerny łapówkarz.

Ale przecież to nie była łapówka, tylko zwyczajna oferta biznesowa. Nie jesteś już dziennikarzem, nie musisz myśleć o etyce, moralności, prawie, podatkach. Jedna z największych polskich firm, być może przyszły światowy potentat, chce ci zapłacić za książkę. Firma z wizją i spektakularnymi planami. Firma, o której z pewnością warto napisać. Firma, dla której po prostu warto pracować, którą należy wspierać, za którą z czystym sumieniem można trzymać kciuki.

Patriotyzm gospodarczy, tak to się nazywa, nie?

Dlaczego więc miałbym się wahać?

Bo są nieszczerzy? Najprostsza odpowiedź i na pewno prawdziwa. Kuba był przekonany, że Sawicki ma zupełnie inny cel niż ten, o którym opowiadał jego najemnik. Owszem, historia z Otto mogła być prawdziwa. Haczyk z tą superkampanią i wizjonerskimi planami również. Ale rola Zimnego na pewno miała różnić się od tej, którą mu zaproponowano.

Nie chcieli od niego żadnej książki, a przynajmniej nie takiej, o jakiej mówili.

Więc o co chodzi?

Przecież nie o wyszukiwanie brudów, w czym był dobry, bo w takich akcjach brudy należy zostawiać ukryte jak najgłębiej w szafach.

A może w tym tkwi odpowiedź? Może Sawicki wie, że ma wiele do ukrycia i chce się przekonać, co Zimny może znaleźć, co należałoby schować lepiej, głębiej, zakopać na zawsze?

A jeśli tak, to jak on sam się zachowa, gdy to znajdzie?

Cóż, odpowiedzi na te wszystkie pytania mógł znaleźć tylko w jeden sposób: podejmując wyzwanie.

Mimo zawrotnej kwoty honorarium zaproponowanej przez prawnika nie odpowiedział od razu. Poprosił o czas do namysłu, a gdy już się żegnali i mocno ścisnął dłoń mecenasu, podjął ostatnią próbę wybadania klienta.

– Byłoby mi łatwiej, gdyby pan powiedział, o co tak naprawdę chodzi.

Mastalerz długo milczał. W oczach miał jakąś taką obojętność. Jakby w sumie nie zależało mu na Kubie. Może Marek Sawicki chciał go zatrudnić, a prawnik był przeciw? Przekazał ofertę zgodnie z instrukcjami, w sumie postarał się całkiem nieźle, żeby nie mieć wyrzutów sumienia, ale teraz ucieszy się, jeśli Kuba jej nie przyjmie...

– Już powiedziałem. O książkę. Proszę dać znać, jeśli pan się zdecyduje.

Wrócił do domu grubo po północy. Dwa wypite w knajpie na moście Poniatowskiego piwa sprawiły, że szumiało mu w uszach. Dziwne, czyżby miał coraz słabszą głowę? A może doprawili te piwa jakimś mocarzem? Bez sensu, bo przecież knajpom powinno zależeć, żeby pił więcej, a nie mniej. Tyle że odpowiedź wcale nie musi być prosta. Nie wszystko jest zgodne z logiką, czasem

jest dziełem zwyczajnego przypadku, innym razem zbiegu okoliczności czy złośliwości rzeczy martwych. Dzieje się ot tak, bez celu czy zamierzenia.

W domu na Czeskiej poczuł się strasznie samotny. Od kiedy zginął Stefan, właściciel domu i jednocześnie jego współlokator zajmujący piętro i poddasze budynku, Kuba mieszkał sam w zdecydowanie za dużym na jego potrzeby lokalu. Co prawda nie wciskał nosa na piętro, ale cały czas miał poczucie, że robi coś złego. Nie płacił przecież za całą górę. Wynajem kosztował go śmiesznie mało. Ale rodzina Stefana nie mogła się dogadać co do spadku i jego kuzynka była bardzo szczęśliwa, że Kuba chce tu zostać.

„Nie każdy ma ochotę mieszkać w domu, w którym doszło do zabójstwa”.

Dziewczyna popatrzyła w tamtej chwili na niego jak na zbrojeńca i Kuba tak właśnie się poczuł. Próbowano go zabić w tym pokoju dwa razy, a on mimo wszystko chciał tu zostać.

Coś ze mną jest nie tak, zdecydowanie potrzebuję psychologa. Zwłaszcza że nawet nie cierpię na bezsenność. Przeciwnie, sypiam bardzo dobrze.

Ale tego dnia nie chciało mu się jeszcze spać. Wszedł na portal porno i obejrzał dwa krótkie filmy nakręcone ukrytą kamerą. Poczul podniecenie, które jednak szybko opadło. Nie miał nawet ochoty się brandzlować. Co za podły wieczór!

Już miał wyłączyć komputer, gdy spojrzął na folder z wiadomościami od tajemniczego informatora donoszącego o grupie hakowej.

Był pewien, że wysyłający je chłopak jest szurnięty, i nigdy tak naprawdę nie dał mu szansy. A przecież każdy zasługuje na szansę.

– Byle nie na trzeźwo.

Sięgnął po butelkę jacka daniels'a i tym razem nie tylko ją powąchał. Uwielbiał ten trunk, wołał go od wszystkich tych piekielnie drogich single maltów.

– Po prostu ze mnie jest prawdziwie robotnicza dusza.

A z ciebie?

Folder otworzył się ze sporym opóźnieniem. Małe ikonki oznaczające wiadomości zapełniły ekran. Poniżej, na pasku informacyjnym, podana była liczba: 358. Już tyle?

Chłopak pisał je z kilkudziesięciu adresów mailowych. Czasem podawał nazwisko i imię, innym razem tylko pseudonim. Upierał się, że znajduje się pod nadzorem służb, a wszystko, co się dzieje, jest kontrolowane przez tajemnicze bractwo herbowe. Potem przechodził do konkretów.

Większość maili skupiała się na głównej historii, całkiem spójnej jak na szaleńca. Różniły się w szczegółach, ale generalnie wszystko sprowadzało się do opowieści, w której jeden z profesorów uniwersytetu sprowadził do Polski tajemniczy zakon, trochę podobny do masonów czy innych stowarzyszeń, i ów

zakon stworzył wpływową grupę, gang złożony z polityków, agentów, prawników, dziennikarzy i wojskowych.

Oni mieli rządzić krajem, wspierać swoich, niszczyć przeciwników, finansować i organizować prowokacje, afery, wojny medialne. Inwigilować, wykorzystywać służby specjalne, szantażować i zwodzić.

Całkowity odlot.

Przeczytał lub przejrzał około stu maili i sobie darował.

– Sorry, przyjacielu, ale mogę jedynie stwierdzić, że zwariowałeś. A na pewno nie chcesz usłyszeć takiej diagnozy.

Wyłączył komputer, położył się na łóżku i dłuższą chwilę wpatrywał się w ciemność. Noc była spokojna, piękna i jasna. Morze gwiazd zaglądało do sypialni przez duże okna tarasowego balkonu.

Miliony szpiegów. Odległych, z różnymi intencjami, zadaniami, celami. Są tam, tak po prostu.

Wrogowie nazywali go Mięśniak, przyjaciele mówili Foka. Mierzył ponad metr dziewięćdziesiąt, ważył sto dwadzieścia, w porywach do stu trzydziestu kilo. Prawie pięćdziesiątka w bicepsie, twarda szczęka, żelazo w obu pięściach. W młodości uprawiał boks, po kontuzji już tylko kulturystykę, dżudo i trochę zapasów. Dwadzieścia lat temu został ochroniarzem jednego z najwspanialszych ludzi na świecie. Udawał kierowcę, w rzeczywistości miał dbać o bezpieczeństwo szefa. Poza doświadczeniem w bójkach, siłą i kondycją nie miał specjalnych kompetencji w ochronie, jednak pracodawcy to nie przeszkadzało.

– Ważne, że mogę ci ufać – mówił.

I miał rację. Bo Foka po roku pracy dla biznesmena był gotów oddać za niego życie. Bezapelacyjnie, bez wahania.

Przez tyle lat pracy interweniował tylko dwa razy. Raz, gdy przyplątał się jakiś pijaczek i chciał na piwo. Drugi, gdy po gwałtownym spadku kursu rzucił się na pracodawcę zdesperowany inwestor. W obu przypadkach biznesmen nie pozwolił na oklepanie winnych, na co ochroniarz miał osobiście wielką ochotę. Pozwolił Foce jedynie uspokoić desperatów, a potem przeprowadził z nimi krótkie rozmowy. I obu, zamiast podać na policję, obłaskawił. Pijaczkowi nie dał na piwo, ale zatrudnił go w jednej ze spółek, dał szansę na nowe życie, a inwestorowi sfinansował odbicie od dna.

Złoto nie człowiek.

Dziś ci dwaj stali twardo na nogach i też byli gotowi oddać za biznesmena życie.

Jak Foka.

Ale pewnego dnia wszystko się zmieniło.

Najpierw przyszedł jakiś doradca i stwierdził, że jeden ochroniarz to za mało, że Foka sobie nie poradzi, jeśli ktoś będzie chciał szefa porwać lub zabić, że tu trzeba całego zespołu, który będzie znał się na inwigilacji, planowaniu, wyborze bezpiecznych dróg, a nie tylko na ochronie fizycznej.

Siła mięśni na nic się zda w konfrontacji z mocą najnowocześniejszej techniki szpiegowskiej i zbrojeniowej.

Potrzeba ludzi z doświadczeniem, byłych agentów, antyterrorystów, siepaczy ze służb. Takich, którzy znają temat, mają kontakty na świecie, należą do tej słynnej międzynarodówki służb.

Którzy będą potrafili poruszać się nie tylko po polskich bezdrożach.

Foka mógł zostać, ale z dnia na dzień coraz dalej odsuwano go od szefa, aż pewnego dnia okazało się, że jakaś kasa zniknęła i odnalazła się na koncie Foki. Owszem, była tam, a Foka z niej korzystał, no bo po co miał zgłaszać, skoro sama

przyszła. On jej nie ukradł.

I to chciał powiedzieć szefowi, ale nie dopuszczono go do niego. Nie pozwolono wyjaśnić.

Foka więc wyleciał.

Dostał odprawę i plaskacza na do widzenia, żeby nie dymił. Prowokowali go w pięciu, śmiali mu się w oczy, a Foka mógł tylko zacisnąć pięści, bo wobec takiej przewagi nie miał szans.

Jak będziesz dymić, to ci inaczej wytłumaczymy.

Odpuścił.

Nie to, żeby się bał.

Foka nigdy się nie bał, ale zadzieranie z całą bandą byłych psów to byłaby głupota. Poza tym nawet w tej sytuacji nie chciał grać przeciw szefowi, a bójka bez względu na wynik mogła zaszkodzić jego reputacji. Mogła kiedyś zostać wykorzystana w niecznych celach.

Więc Foka poszedł swoją drogą.

Rzucił ukochaną Gdynię, przeniósł się do brata do Szczecina i założył prywatną siłownię na Pomorzanach. Próbował nie myśleć o starych czasach, o firmie, prezesie i przeklętych prowokatorach, przez których stało się, co się stało.

Mimo to cały czas był gotów oddać życie za prezesa, kiedy więc kilka dni temu dostał informację, że ktoś planuje jakiś zamach czy inne akcje przeciwko byłemu pracodawcy – na dodatek z wykorzystaniem jego osoby – Foka rzucił wszystko i pojechał na wyznaczone przez informatora miejsce spotkania.

Był przygotowany na każdy scenariusz, choć nie podejrzewał pułapki. Bo po co ktoś miałby się na niego zasadzać? Po co miałby przeprowadzać na nim jakąś intrygę, prowokację czy inne gówno? Przecież Foka nic nie znaczył.

Nie dymił, nie próbował się mścić.

Mało tego, całe to doświadczenie sprawiło, że w ogóle spokorniał.

Zapisał się do świadków Jehowy i chodził po domach rozmawiać o Bogu.

Nikogo nie bił, za to kilka razy z pokorą ustępował.

Tak więc nie miał powodów do obaw, nawet gdyby był mądrzejszy, niż był.

Miejsce spotkania też nie budziło jego podejrzeń, bo przecież tajemniczy informator miał prawo wybrać takie odosobnione miejsce nad jeziorem, żeby nikt ich nie widział, żeby nie mogli go namierzyć ci źli ludzie, przeciwko którym chciał teraz wystąpić, a którzy spiskowali na życie i mienie szefa.

Czekał na tego gościa ponad godzinę i nic się nie działo, więc pomyślał, że ktoś zrobił go w konia, zwyczajnie z niego zakpił. Może któryś z kumpli. Może jakieś dzieciaki czy zdenerwowani jego nowym życiem religijnym sąsiedzi.

Wiadomo, Foka nie był zbyt bystry.

No, ale kto chciałby robić sobie tyle zachodu? Wysłać mu mapkę z Googli, dane do nawigacji, zdjęcia, żeby się nie pomylił. Dokładnie mu powiedziano, gdzie

ma przyjść. Poprowadzono go za rączkę, niemal wytyczono ścieżkę białymi strzałkami. Jak kiedyś w podchodach. Foka był dobry w podchodach. Zawsze miał za partnera kogoś bystrzejszego, bo tacy lubili chodzić z dużym Foką, którego wszyscy się bali i którego nie napadłby żaden wilkołak czy zbok.

Zerknął na zegarek i postanowił, że czeka jeszcze tylko pięć minut.

Gość nadszedł w czwartej.

Był mały, niski, dziwny. Ubrany na czarno, z twarzą ukrytą w cieniu czapki.

Foka ucieszył się, pomachał do niego ręką.

Bąknął nawet coś pod nosem.

Coś jak:

– Fajnie... fajnie, że jesteś.

Fajnie, bo dzięki tobie będę mógł pokazać szefowi, że wciąż jestem coś wart, że moje zwolnienie było pomyłką, błędem.

Będzie mógł wytłumaczyć te wszystkie nieporozumienia, wyjaśnić, że to nie on buchnął kasę i że nie ma z tamtą dawną aferą nic wspólnego.

Przybysz podchodził powoli, patrząc uważnie na Fokę, który coraz bardziej się rozluźniał, bo przecież ktoś o tak niepozornych gabarytach nie mógł być dla niego groźny.

Kiedy gość podszedł na jakieś trzy metry, uniósł dłoń i wtedy Foka zobaczył, że tamten trzyma coś w ręce. Coś przypominającego pistolet zabawkę, dziwnie powyginany, jak broń ze *Star Treka* albo *Kosmos 1999*. Foka w dzieciństwie uwielbiał te seriale.

Wciąż się nie bał.

Uśmiechnął się nawet, miał ochotę unieść ręce i powiedzieć: „Spokojnie, ja tylko wyglądam tak groźnie, ale nic ci nie zrobię. Nie ma potrzeby się obawiać”.

Nie zdążył pomyśleć nic więcej. Usłyszał jakiś syk, a potem dwie żyłki wyskoczyły z pistoleciku, przecięły bawełnianą koszulę, wbiły się haczykami w ciało i Foka odpłynął.

Padł jak rażony piorunem, nic nie rozumiejąc.

Kiedy napastnik do niego podchodził, Foka chciał go zapytać, po co to wszystko zrobił, ale nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Był całkowicie sparaliżowany, niezdolny do ruchu.

A potem mały pokazał Foce, że wielkość nie ma znaczenia. Przynajmniej jeśli chodzi o skłonności psychopatyczne.

Umowa zakładała, że Kuba zwiedzi najpierw zakłady Sawickiego w Wicku, potem przejrzy dokumentację w siedzibie firmy i na koniec przeprowadzi serię wywiadów z kluczowymi menadżerami oraz założycielem i głównym akcjonariuszem firmy. Na konto Zimnego wpłynęła zaliczka stanowiąca dwadzieścia procent honorarium. Po miesiącu miała zostać wpłacona kolejna dwudziestoprocentowa transza, a potem w dwóch ratach pozostała kwota. Gdyby

na którymś etapie zrezygnował, nie byłby zobowiązany do zwrotu już zainkasowanych pieniędzy.

W kontrakcie oczywiście zawarto wiele klauzul dotyczących zdrady czy niełojalności i pozwalających na sporą dowolność w interpretacji ewentualnych sporów, ale Zimny nie widział w nich zagrożenia. Ot, zwyczajne akcje prawników. Oni zawsze próbują zepsuć coś, co jest do zepsucia, a potem strasznie się cieszą, jeśli ich obawy okazują się uzasadnione. Tak już jest.

Kuba wyjeżdżał z Warszawy pełen obaw, ale bez żalu. Miał już dość dusznego miasta. Potrzebował oddechu, wolności, przestrzeni. Żeby uniknąć korków, wyruszył po południu, autostradą dojechał do Trójmiasta, przed Gdańskiem odbił na Kościerzynę i dwie godziny później meldował się na miejscu.

Wicko było niewielkim kaszubskim miasteczkiem z jedną długą ulicą, przy której mieściło się kilkanaście kamienic, szkoła podstawowa z przedszkolem, klub sportowy, dwa kluby-kawiarnie, restauracja, kościół, posterunek policji oraz mała przychodnia zdrowia i dom pomocy społecznej.

Dawniej miasteczko nazywało się Wëcko, ale z czasem nazwę zmieniono najpierw na Wuëcko, a potem nadano jej polskie brzmienie – Wicko.

Nad ranem całe Wicko pachniało jagodziankami i świeżym pieczywem z piekarni mieszczącej się w ostatnim budynku przy głównej ulicy. Po południu w centrum panował już zapach frytek, kiełbasy, piwa i kurczaka z rożna. Wieczorem przestrzeń wypełniała dudniąca muzyka i krzyki młodzieży z usytuowanej nieco na uboczu, w wąwozie, dyskoteki.

Latem miasto i okolice żyły w dwójnasób, jak każdy ośrodek turystyczny. Jesienią i zimą usypiały.

Zakłady Sawickiego tchnęły w nie drugie życie, dzięki czemu knajp i hotelików nie zamykano poza sezonem.

Przez miasto przepływała rzeka łącząca dwa duże czyste jeziora. Trzecie, nieco mniejsze, było w lesie i korzystali z niego głównie mieszkańcy dwóch kolonii – osiedli domków jednorodzinnych, które należały do bogatszych mieszkańców, dawniej pracujących przeważnie w Trójmieście, dziś stanowiących trzon załogi fabryk Sawickiego. Przy samym jeziorze można było podziwiać kilka okazałych willi artystów, piosenkarzy i aktorów. Naprzeciwko mieścił się ośrodek wypoczynkowy nadleśnictwa, dawniej siedziba właścicieli – kolejno: Heidelbergów, Mirowów, wreszcie Sawickich. Za komuny dwór gościł najważniejszych sekretarzy i peerelowskich dygnitarzy. Do kościoła przyjeżdżał na niedzielne msze sam Wałęsa.

Zakłady Sawickiego wyrosły w specjalnej strefie ekonomicznej na polach oddalonych o pięć kilometrów od miasta. Zajmowały prawie trzydzieści hektarów i wyglądały jak zbiór supermarketów.

Zimnemu przychodziło na myśl jeszcze jedno, niezbyt dyplomatyczne

porównanie: cały ten zespół budynków przypominał nowoczesny obóz koncentracyjny.

Wielkie, długie, białoszare hale ogrodzone wysoką siatką, z kilkoma niewielkimi budynkami biurowymi w centrum.

Mimo wszystko inwestycja wyglądała imponująco.

Zimny zatrzymał się na wzniesieniu jakieś trzysta metrów od bramy i wysiadł z samochodu. Z tego miejsca widział fragmenty dwóch jezior, część domów miasteczka, budynki i infrastrukturę ośrodków wypoczynkowych oraz jedną z kolonii. No i hale Sawickiego.

Zastanawiał się jeszcze przez chwilę, czy bardziej szpecą, czy zdobią tę piękną okolicę. Z pewnością dają pracę ludziom. Ile osób może być zatrudnionych w tych leżących wieżowcach? Pięć tysięcy, może nawet więcej? Jeśli tak, to pewnie wszystkie okoliczne wioski pozbyły się problemu bezrobocia.

W encyklopedii internetowej przeczytał, że Sawicki zatrudnia na całym świecie ponad dwadzieścia tysięcy pracowników, z tego w Polsce około dziesięciu tysięcy. Największe zakłady były w Wicku, Izraelu i Rumunii. Poza tym koncern kupił spółki produkcyjne w Chinach i USA. Ale siedziba pozostawała w Polsce, w maleńkiej kaszubskiej enklawie.

Imponujące – pomyślał Zimny. Jeśli rzeczywiście Sawickiemu uda się wprowadzić jakąś rewolucyjną viagrę, to może nieźle zawojować świat. Koncern z prowincjonalnego Wuëcka przegania Glaxo i Roche! Brzmi nieźle. Takich potęg jak Pfizer czy Novartis nie doścignie, ale niechby zajął miejsce gdzieś w sąsiedztwie Abbotta czy Tevy. Może Sawicki zacznie sponsorować Manchester United albo kupi sobie Chelsea?

Marzenie, piękny sen biznesmena.

Tylko czy aż?

Realny czy zupełnie odjechany?

Warto mieć takie marzenia, nawet jeśli poprzeczka jest zawieszona niezwykle wysoko.

Wrócił do samochodu i powoli podjechał do bramy. Nie było na niej żadnego szyldu ani znaku z dumnym napisem informacyjnym. Zwykła brama, jak w więzieniu – pomyślał Kuba.

Mężczyzna w uniformie wyszedł mu na spotkanie. Był gruby i lekko wczorajszy. Gdy dziennikarz zapytał, czy na pewno dobrze trafił, ochroniarz podrapał się po głowie, zabawnie przekrzywiając służbową czapkę.

– Sawicki? – zdziwił się. – Sawicki... a, to musicie do wsi wrócić i skrócić na Gdusk. We wsi podpytacie. *Pò kaszëbskù gòdacie?*

Zimny westchnął. GPS pokierował go do zakładów, a główne biura były pewnie gdzie indziej.

– Nie. Ale poradzę sobie.

Chciał już wrócić do samochodu, gdy ochroniarz roześmiał się, a potem chyba wystraszył.

– Na *szpòrtach* się nie znacie? Gdzie miałyby być Sawicki, jak nie tu? Przeca pisze. – Pokazał w bok, na bramę, gdzie była jakaś mała plakietka. – Ale główna brama jest od drugiej strony, o tam. *Wë jesce tē pisôrz?*

– Dziennikarz – poprawił Kuba, z trudem się domyślając, o co pyta Kaszub.

– A, *gazétnik*. Jeden czort. Pojedziecie prosto i w prawo, potem w pierwszą w lewo i do końca do budynków biurowych.

– Dzięki.

Ochroniarz wpisał coś do kajetu i pilotem podniósł szlaban.

Przed halami stały grupki pracowników. Większość miała na sobie białe kitle. Korzystając z przerwy w pracy, opowiadali kawały, pochłaniali kanapki z wędliną i wystającą z bułek zieloną sałatą, przepijali kefirem, a na koniec palili fajki. Zimny odetchnął, bo przez chwilę bał się, że nawet nie będzie mógł zapalić.

Wszędzie te cholerne zakazy.

Starł się rozglądać uważnie, ale nie bardzo mu to wychodziło. Był zbyt poruszony ogromem kompleksu. Spodziewał się takiej sobie małej ściemy. Jednego, dwóch budynków, które udają, że to już jest „korporacja”. Zastał coś, co robiło większe wrażenie niż wietnamskie fabryki Maciarza, które kiedyś zwiedził.

Gdy zaparkował przed budynkiem biurowym od razu ją zobaczył. I wiedział, że czeka na niego.

Kobieta.

Wyjątkowa kobieta.

Oliwkowa skóra, proste włosy w biało-czarno-rudych pasemkach, duże oczy w kolorze ciemnego miodu, nieco puciołowate policzki i usta jak u wietnamskiej lalki. Słowem, oryginalna i piękna. No i mała. Bardzo mała. Metr pięćdziesiąt na dziesięciocentymetrowych obcasach. Metr pięćdziesiąt seksownej pikanterii.

Podeszła do niego i wyciągnęła rękę na powitanie.

– Magda Buchner.

– Kuba Zimny.

Gdy go oprowadzała po terenie, cały czas się zastanawiał, czy specjalnie dali mu taką fajną laskę za przewodniczkę. Czy oprócz pokazania mu fabryki miała też inne zadanie? Usilnie starał się nie dać po sobie poznać, jakie wywarła na nim wrażenie. Na nic. I dobrze, a co!

– Podróż chyba była ciężka – zagała w pewnej chwili. – Taki pan napięty...

Nie skomentował, choć cisnęło mu się na usta coś brzydkiego.

Potem szedł za nią i słuchał. O poziomach dostępu, liniach produktowych, działach certyfikacji i audytu, laboratoriach testowych i badawczych, procedurach, procedurach i procedurach.

– Być może pan już o tym słyszał, a Marek pewnie będzie do znudzenia panu

powtarzał, że Polsce najbardziej brakuje właśnie tego: procedur. A może bardziej świadomości, że trzeba ich bezwzględnie przestrzegać. Tego, że jak coś jest ustalone i ma być tak a tak, to nie znaczy, że można sobie to obejść po swojemu. W Sawickim przykładamy do tego dużą wagę.

– Jak jest napisane, że ma być dodane sto mililitrów wody, to sto, a nie około stu? – wtrącił Zimny, choć nurtowały go zupełnie inne pytania. Ciekawe, czy specjalnie powiedziała o szefie „Marek”, żeby je sobie zadał. No i zadał.

– Masę czasu poświęciliśmy na to, by zespół to zrozumiał. Marek zresztą uwielbia... wiesz... wie pan... kontakt z ludźmi, bliski kontakt.

Uff, naprawdę była niezła w dwuznacznościach...

– Czasem, wizytując zakłady, potrafi cały dzień przesiedzieć z pracownikami – kontynuowała Magda, udając, że nie dostrzega na twarzy Zimnego efektu swoich słów. – Pozwala im się wygadać, wypytuje o problemy, potem opowiada o swoich marzeniach, a oni słuchają wpatrzeni w niego jak w obrazek. I zawsze kończy: ale żeby to się udało, trzeba powoli, krok po kroczku, robić to, co do nas należy. I tylko to, bez innowacji na poziomach, na których się ich nie wymaga.

– Nie lubi innowacji? Wydawało mi się, że jest zupełnie inaczej.

– Nie w kwestii konserwacji powierzchni płaskich. Sprzątaczką ma po prostu zmyć podłogę.

– Przy użyciu wiadra wody, robiąc dwa ruchy w przód i jeden w tył?

Uśmiechnęła się na ten sarkazm.

– Nie jesteśmy Amerykanami. – Otworzyła drzwi do jednej z hal i z rozrzwinięciem spojrziała na dziesiątki ludzi pochylonych nad stolikami. Wszyscy wykonywali dokładnie tę samą czynność, niemal w równym rytmie. Zsynchronizowani jak wioślarze na galerze. Czy jest tu jakiś podający rytm bębniarz? – Kiedyś Marek bywał w zakładach kilka razy w miesiącu...

– Myślałem, że siedziba jest w Wicku – przerwał Zimny, żeby nie zapomnieć o tym pytaniu.

– Tak, ale mamy też biuro w Warszawie. Inwestorzy naciskali nawet na przeniesienie centrali do WFC, gdzie jest dział analiz, lub do budynków na Woli, które mamy po przejęciu Holdingu Farmacja. Marek jednak twardo obstaje, że Sawicki jest firmą z Wicka, czy jak to on lubi mówić...

– Z Wuëcka – dopowiedział dziennikarz.

Magda uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Sawicki mówi po kaszubsku? – zapytał Kuba.

– Dla niego to jest... *to je sztëczk rajù, w chtërnym nalézesz wszelejaczù dobro.*

– Aha. – Zimny niby coś zrozumiał.

– On *jë Kaszëb*. Uważa się za Kaszuba, choć jego rodzina, ta od strony ojca, to typowi Polacy, którzy w dziewiętnastym wieku przybyli na Pomorze

z Wielkopolski. Jednak Marek zawsze podkreśla swoją kaszubskość. Czasem nawet prowadzi w tym języku posiedzenia zarządu. – Magda uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Wielu z nas nic nie kuma, ale mamy niezły ubaw. Zresztą Kaszubi są znani z poczucia humoru i żartobliwego usposobienia. Czasem zupełnie nie wiadomo, kiedy stroją sobie *szpòrti*, a kiedy mówią poważnie.

– Zauważyłem.

– Człowiek na bramie próbował pana odesłać na drugą stronę wsi?

– Powiedzmy. Pani nie jest Kaszubką?

– Pochodzę z... Mazowsza. – Magda chrząknęła, dając znać, że chce wrócić do poprzedniego wątku. – Marek częściej przebywa dziś w Londynie czy Tel Awiwie, nie ma już zbyt wiele czasu dla Wicka, a był dla pracowników najlepszym czynnikiem motywującym. Naprawdę mu ufamy. Wszyscy.

Tak, roboty kochają swojego twórcę. Ciekawe, czy mają wbudowane procedury bezpieczeństwa. Po pierwsze: nie krzywdzić... twórcy.

– Mówi pani z dużym przekonaniem. Lubi pani szefa, prawda?

– Jestem jego... najwierniejszą zwolenniczką. – Uśmiechnęła się tajemniczo. Potem szybko spoważniała. – Marek to geniusz. Jest niezwykłym człowiekiem. Prawdziwym wizjonerem. Jak Jobs, Gates... Gdyby takim ludziom państwo nie rzucało kłód pod nogi, przeskoczylibyśmy każdą Irlandię. Rząd nie rozumie, że prawdziwi przedsiębiorcy nie robią biznesu tylko dla kasy, że nie chcą ukraść tych ich podatków, przetargów, funduszy unijnych i rządowych zleceń. Oni tworzą, budują. Nie mówię o handlarzach, tylko o prawdziwych przedsiębiorcach. Są twórcami i innowatorami. Chcą, żeby Polska kojarzyła się z rozwojem, postępem i nowoczesnością, a nie z opychającymi się ośmiorniczkami cwelami, przepychającymi się w kolejkach grubasami, spoconymi księżmi i innymi oszołomami. Pracują dla kraju, dla społeczeństwa, dla przyszłości.

Howgh!

– Na pewno – powiedział ostrożnie Zimny, co przez Magdę mogło być odebrane na dwa sposoby, ale ona już dalej szła przez halę, nie patrząc, czy Zimny nadaża. A wyraźnie przyspieszyła. – Przechodzimy do części badań i rozwoju.

Mówiła odwrócona do niego plecami, więc nie wszystko dobrze słyszał, tym bardziej że w kolejnych pomieszczeniach było czasem dość głośno, a w innych tak cicho, że słowa potrafiły w tej ciszy zniknąć, jakby pochłaniały je ruchome piaski. W każdym razie zrozumiał, że ma szczególne podejście do tych działów (a Zimny natychmiast zaczął się zastanawiać, czy to zgodne z procedurami), bo zawsze marzyła, by być naukowcem badaczem, ale zanim awansowała, musiała przejść przez wszystkie działy, od zwykłego robola przez chemika do analityka.

Gdy Kuba zaczął się zastanawiać nad jej słowami, wyszło mu, że musi mieć z siedemdziesiąt lat. A wyglądała na dwadzieścia, góra dwadzieścia pięć. I znów odpowiedziała na niezadane pytanie:

– W Sawickim wszystko dzieje się jakby szybciej. Gdy Marek widzi w kimś potencjał, bierze go pod kuratelę, motywuje, popędza, żeby szybciej przeszedł wszystkie szczeble i mógł być blisko... tak naprawdę blisko niego. W bezpośrednim otoczeniu Marka jest kilkanaście osób i wszystkie mają duży wpływ na podejmowane decyzje. Są wśród nich starcy i prawie dzieciaki. Wcale nie jestem najmłodsza.

– Studiowała pani chemię?

Przekręciła głowę w taki zabawny sposób, jakby chciała odpowiedzieć: naprawdę jesteś taki głupi czy tylko udajesz?

– Stosunki międzynarodowe.

No tak. Mało co nie westchnął głośno.

– I dziennikarstwo – dodała.

– Ten sam wydział – przypomniał Zimny.

– Zależy, na którym uniwersytecie – odpowiedziała. – Ale ma pan rację, chemię też studiowałam. I informatykę.

Kobieta zagadka.

– I jeszcze parę innych kierunków – odpowiedziała. – Profesorowie dobrali się do mnie, gdy miałam siedem lat.

Znów jej słowa zabrzmiały dość dwuznacznie, ale nie chciała chyba grać na tej nucie, bo szybko dodała:

– Krajowy Fundusz na rzecz Dzieci. Słyszał pan o czymś takim?

– Nie – przyznał Zimny.

– Kilku profesorów wymyśliło sobie, że będą szukać geniuszy już w podstawówkach, a potem prowadzić ich za rękę, fundować stypendia, umożliwiać rozwój, kształtować i motywować.

– Była pani jednym z wyłowionych talentów?

– Takim małym eksperymentem. Miałam być pierwszą zawodniczką Uniwersytetu Warszawskiego w mistrzostwach świata w programowaniu zespołowym.

– Ale się nie udało?

– Zespół zdobył mistrzostwo świata.

– Bez pani?

– Ostatecznie wybrałam chemię. Chemia... jest królową nauk. – Znów powiedziała to bardzo namiętnie.

Stała tuż przed nim. W tej chwili ta drobna kobieta wydawała się znacznie większa. I ciągle rosła, wypełniając jego myśli, całą głowę – a w zasadzie całe ciało – przyjemnie niepokojącym dreszczem.

Dotknęła jego piersi i szepnęła:

– Wszystko, co właśnie dzieje się w tobie, to chemia.

A działa się, działa.

Hotel pracowniczy przylegał do biurowca. Na piętrze oba budynki łączył oszklony korytarz. Zimny dostał jeden z lepiej wyposażonych pokoi gościnnych. Sypialnia miała niewielki aneks kuchenny, przy ścianie stał stół z dwoma krzesłami, pod oknem szafka z telewizorem. LCD, nie żaden stary lampowy złom jak w większości podobnych miejsc. Naprzeciwko stołu łóżko.

Całkiem szerokie – pomyślał, zerkając na kobietę. Zmieścilibyśmy się oboje. Uśmiechnął się na tę myśl.

Magda obiecała, że jeśli będzie chciał zostać dłużej w Wicku, załatwi mu jakąś bardziej wypoczynkową kwatere. Coś bezpośrednio nad jeziorem lub w lesie. Wprawdzie marzec to nie wakacje, ale przy ładnej pogodzie powinien być zadowolony.

Zmyła się przed kolacją i Zimny przeklinał, że jakoś nie zareagował na ten brak gościnności. Był chyba sam na całym piętrze. Od Magdy wiedział, że hotel postawiono dla zamiejscowych pracowników, ale prawie wszyscy do dziś pobudowali się w pobliżu, nad jeziorem lub w lasach. Jedynie w dniach zjazdów czy imprez integracyjnych hotel pękał w szwach.

Zakład powoli się wyludniał i koło dziewiątej zrobiło się całkowicie cicho i głucho. Przeszedł się po hotelowym korytarzu i pomyślał, że gdyby Magda jednak została, mogłoby być całkiem przyjemnie. A tak jest tylko strasznie.

Za oknem wydzierał się jakiś kot. Jego marcowe zaloty brzmiały jak płacz małego dziecka.

Kuba był zbyt zmęczony, żeby biegać czy pracować.

Usiadł na łóżku, położył przed sobą paczkę fajek, otworzył małą butelkę whisky i sięgnął po książkę, w której zgodnie z najnowszymi trendami główni bohaterowie zmagali się z księżmi, pedofilami, Żydami, Murzynami i sami ze sobą.

Makler Paweł Formala miał kilku specjalnych klientów, dla których rezerwował czas o każdej porze dnia i nocy. Starał się, by było ich trzech–czterech, co pozwalało mu żyć na naprawdę wysokim poziomie. Klienci rzadko się orientowali, że ich okrada, a nawet jeśli, zwykle akceptowali te drobne kwoty, które uznawał za prowizję i pobierał po cichu. W końcu dzięki niemu mieli lepsze cynki, w pierwszej kolejności dowiadywali się o wtopach, zyskiwali kontakty do naprawdę spektakularnych operacji. Stawali się jeszcze większymi milionerami, niż byli.

Ale zdarzali się też tacy, którzy w momencie odkrycia podwójnej rachunkowości Pawła rezygnowali z jego usług, grozili dziennikarzami lub policją. Oczywiście Paweł ustępował, chciał się dogadać. Oddawał część zysków. Jeśli to nie wystarczało, delikatnie sugerował, że też potrafi być niemiły i też ma haki na swoich klientów. Wtedy raczej działało. Tylko jeden raz było inaczej, gdy klient odszedł z hukiem i wypowiedział mu prawdziwą wojnę. Odebrał wszystko, co Paweł zyskał nielegalnie, i nie przejmował się żadnymi groźbami. Na szczęście nie chciał dochodzeń i prokuratury.

Paweł wzdrygnął się na wspomnienie tego klienta.

Myślał o nim nieprzypadkowo, bo właśnie dziś rano otrzymał maila od osoby, która rzekomo była doradcą inwestycyjnym i chciała doprowadzić do ich pojednania.

Mój mocodawca docenia pana osiągnięcia i chciałby ponownie nawiązać współpracę. Warunkiem jest precyzyjne i otwarte określenie pana oczekiwań prowizyjnych.

Paweł czytał te parę zdań ze sto razy, zanim odpowiedział. Kompletnie tego nie rozumiał. Przecież ten człowiek odniósł niewyobrażalny sukces. Po co miałby teraz wracać do nieuczciwego maklera, który w sumie ciągle tkwi w tym samym miejscu i zadowala się małymi oszustwami. Spojrzenie prawdzie w oczy nie było dla Pawła tak miłe jak kłamstwa w mailu. Obaj dobrze wiedzieli, że Paweł jest na dnie, a jego były klient i obecny mocodawca owego tajemniczego doradcy – na samym szczycie.

Powinien olać tego maila i nie odpowiadać.

A jednak ciekawość i nadzieja, że jest inaczej, niż to przeanalizował, zwyciężyły i godzinę później odpisał.

Bo przecież może się mylić. Czarne wcale nie jest czarne, tylko szare. A może klient potrzebuje właśnie takiego nie do końca uczciwego maklera do jakiegoś specyficznego dealu?

Wymiana maili trwała do południa, aż w końcu ustalili, że powinni się

spotkać w jakimś odosobnionym miejscu, by dogadać szczegóły.

Tylko żadnego nagrywania – zakończył doradca.

Żadnego nagrywania – odpisał Paweł, uśmiechając się pod nosem. Dziś wszyscy nagrywają. Tylko idiota idzie bez dyktafonu na spotkanie, na którym mógłby zebrać haki i dowody. Paweł miał najnowocześniejszy dyktafon używany przez służby, ukryty w niepozornym pendrivie, zbierający doskonale dźwięki z otoczenia, z wieloma opcjami nagrywania i modyfikacji dźwięku.

Leśny parking na dalekim Żoliborzu był o tej porze praktycznie nieużywany. Tylko czasem odwiedzali go jacyś odważniejsi kochankowie. Wszyscy pozostali mieli ciemne interesy do załatwienia.

Paweł zgodnie z umową stanął na końcu parkingu, wyłączył silnik i światła. Czekał. Zerknął na zegarek mniej więcej co minutę. Po kwadransie pomyślał, że został zrobiony w konia. Rozmówca się spóźnił. Kiedy już przekręcał kluczyk w stacyjce, by odjechać, zobaczył postać idącą w jego kierunku w cieniu drzew. Była ubrana na czarno, w obcisły strój, który sprawiał, że jej ruchy wydawały się sprężyste i giętkie, wręcz kocie. Formala obliznął usta, położył pendrive-dyktafon w zagłębieniu na kubki, otworzył drzwi pasażera i uśmiechnął się do przybysza.

Był to ten sam nieszczery, w gruncie rzeczy pełen pogardy i lekceważenia uśmiech, jakim nader często witał wszystkich frajerów. Dość denerwujący tik, nad którym nie potrafił, mimo szczerych chęci, zapanować.

Przybysz wsiadł do samochodu, zamknął drzwi i spojrzał Pawłowi w oczy. Wtedy właśnie Formala pomyślał, że to jednak nie skończy się dobrze.

I miał rację.

Zimny próbował ustawić w telewizorze kanał, który transmitował mecz w piłkę kopaną. Pechowo antena łapała tylko telewizję Trwam, a w niej leciał akurat koncert ku chwale Ojca Dyrektora. Jakaś kapela podwórkowa śpiewała megahit pod tytułem *Ojciec Tadeusz jak Prometeusz*.

Nieźle klimaty...

Trzy dni spędzone w Wicku całkowicie zbiły go z tropu.

Przypuszczał, że to będzie banalna historia biznesmena o wydumanych aspiracjach i przerośniętym ego. Nudne wyszukiwanie anegdot i dmuchanie historyjek zasłyszanych od magazynierów, sprzątaczek i różnych lizodupców. Mozolne przerabianie biznesowej opowieści w jakiś strawny językowo twór, z którego i tak nie będzie dumny, bo jak można być dumnym z takiej książki.

Po tych trzech dniach było mu trochę wstyd i zwyczajnie głupio. A jednocześnie zaczął się zastanawiać, czy nie stracił tej swojej żyłki śledczej, nie zaufał zbyt poźornie szczeremu znakom wysyłanym przez otoczenie Sawickiego.

Wychodziło na to, że ten człowiek był – jeśli nie święty – to co najmniej genialny i wspaniałomyślny. Godzien samych pochwał i naprawdę porządnej biznesowej biografii, jak Jobs.

Bez naciągania.

Czy Zimny był w stanie napisać coś na takim poziomie?

To, co na początku mu ewidentnie śmierdziało – te wszystkie mrzonki o wielkich biznesowych planach, opowiadki o cudownym charakterze, wizjonerskich zapędach, genialnych ruchach i strategiach – nagle przestało być tak kurewsko naciągane. Z każdą minutą stawał się poplecznikiem Sawickiego i coraz mniej ufał swoim wcześniejszym przeczuciom czy obawom.

Śledczy nos cały czas śwędział, ale chyba tylko dla zachowania pozorów.

Wpływ na to miała też Magda.

Dziewczyna początkowo nie odstępowała go ani na krok, precyzyjnie odpowiadała na pytania, tłumaczyła biznesowe czy technologiczne zawiłości, których nie pojmował. Pomogła mu zrozumieć wszelkie kwestie dotyczące struktury sprzedaży, zmieniających się trendów, rozwoju nowych produktów i usług.

– Wiesz, wciąż sześćdziesiąt procent przychodów firmy to analizatory i jednorazówki. Biznes, który w zasadzie wcześniej czy później straci w Europie rację bytu, bo ze względu na niższe koszty przeniesie się całkowicie do Azji. Ale pięć lat temu ta grupa produktów miała osiemdziesięcioprocentowy udział, a jeszcze wcześniej całkowicie dominowała.

– Czyli nowe, bardziej zaawansowane preparaty wypierają te prostsze?

– Jednocześnie zmienia się struktura sprzedaży. Coraz częściej usługi zastępują produkty. Konsulting i bardziej skomplikowane, całościowe rozwiązania mają wyższą marżę, czyli mówiąc wprost: więcej na nich zarabiamy. Na przykład negocjujemy z różnymi instytucjami, a nawet rządami, sprzedaż całych pakietów programów biotechnologicznych, w których możemy obsługiwać programy szczepień czy wprowadzania na rynek różnych suplementów.

Unikała jedynie odpowiedzi na pytania o vialix i inne nowe preparaty czy wynalazki. Nie chciała nawet mówić o opisanym już przecież w gazetach programie walki z rakiem, wprowadzonym przez Sawickiego.

– Jak pewnie przeczytałeś, nasze leki tym różnią się od produktów konkurencji, że zwalczają tylko chore komórki rakowe, nie ruszając zdrowych. Chemioterapia jest więc mniej wyniszczająca dla organizmu, bezpieczniejsza, przy podobnej, a czasem nawet większej skuteczności.

– Tyle że... – podpowiedział.

– Co tyle że?

– Coś musi być nie tak, skoro jeszcze nie zawojowaliście tym programem świata. Przy tej skali problemu powinniście mieć już teraz znacznie większy udział w rynku.

– To nie takie proste – ucięła.

– Wytłumacz mi. Kłamiecie? To tylko reklama?

– Nie. Ale nikt nie może być pewien długofalowych skutków. Tak naprawdę oceny preparatów tego typu będzie można dokonać za pięćdziesiąt lat, kiedy będą bardziej wiarygodne badania skuteczności. Przy czym nie wiadomo, czy kiedykolwiek będą.

– Jak to?

– Mamy kryzys autorytetów i kryzys zaufania, pewnie o tym słyszałeś?

Zimny poczuł się trochę urażony jej tonem. Gówniara go pouczała. Nawet genialna gówniara mogłaby zachować te wstawki dla siebie. Po prostu działamy w innych dziedzinach, dziecino, nie muszą się znać na wszystkim – miał ochotę ją zrugać. Po czym zaraz pomyślał, że przecież w sumie ma rację. Kryzys... coś tam słyszał, wiedział, że dzwoni, ale w którym kościele? I czy kościół to w tym przypadku właściwe porównanie?

– Korporacje postępowały w taki sposób, że przestaliśmy im ufać. Ale dotyczy to jakichś dziesięciu procent społeczeństwa, pozostali idą na rzeź tam, gdzie zaprowadzą ich reklama i marketing. Te dziesięć procent jednak przestało ufać samym sobie. Za dużo było wpadek, kupowanych i manipulowanych wyników, nierzetelnych badań i programów. Jak tylko zaczęliśmy mówić o naszym pomysłe, inne korporacje i firmy natychmiast zmieniły sposób reklamowania i głoszą to samo. I błyskawicznie podpierają się badaniami, które niby potwierdzają ich słowa, choć w rzeczywistości wcale tego nie robią. Ale reklama i dziennikarze wszystko kupią.

– Trzeba kłamać skuteczniej?

– Z tym jest pewien problem.

– Jaki?

Uśmiechnęła się, a potem odwróciła do ściany, jakby chciała ukryć prawdziwe myśli.

– Marek. Marek nie jest kłamcą. Jak tylko zaczyna się pojedynek... powiedzmy, na nieściskości, Marek ustępuje pola. Odpuszcza. Potem na zarządzie tłumaczy, że to widocznie jeszcze nie ten moment, jeszcze nie ta pora. Wszystkim nam przypomina, że powinniśmy być cierpliwi, nie ścigać się w niegodziwościach, bo one tylko zbliżają nas do piekła, a przecież my chcemy sięgnąć nieba.

– Aha.

– On w to wierzy. Szczerze. Robi tylko to, w co wierzy.

No tak, brzmi dobrze. Zimny jednak nasłuchiwał się już zbyt wielu podobnych historii.

– Z vialixem może być ten sam problem? Też konkurenci mogą wam... ukraść pomysł na reklamę?

– Nie, bo vialix nie ma w tej chwili odpowiednika. Jest...

– Rewolucyjny? – dopytał, gdyż nie dokończyła.

– Tak, to chyba odpowiednie słowo...

- Dlatego trzymacie go w takiej tajemnicy?
- Między innymi.
- No i jak ja mam napisać książkę, kiedy nic nie wiem o najważniejszym projekcie firmy?

Magda uśmiechnęła się, jakby chciała powiedzieć: przeceniasz swoją rolę. Masz stworzyć zwykły folder, a nie arcydzieło. Tyle że on już miał większe ambicje. Po tym, co usłyszał, byłoby mu zwyczajnie wstyd pokazać Sawickiemu coś przeciętnego.

- Spokojnie, Marek na pewno ci wszystko wyjaśni.

Z czasem, gdy już poznał trochę firmę, zaczął sprawniej sam poruszać się po terenie zakładu. Magda nie oponowała. Nie robiła żadnych trudności.

– Dzięki swojej karcie wejdiesz prawie wszędzie – powiedziała. – Nie mamy tu jakichś wojskowych tajemnic. A jeśli gdzieś nie będziesz miał dostępu, wystarczy, że zadzwonisz po mnie, i cię oprowadzę.

- A jak przypadkiem trafię do działu odpowiedzialnego za vialix?
- Nie trafisz.

Starał się dużo rozmawiać z ludźmi, szczególnie że każdy miał okazję osobiście poznać szefa i prawie każdy mówił o nim per Marek. Czyżby ze wszystkimi prezes był na ty? Nawet ze sprzątaczkami i kucharkami z zakładowej stołówki? Podawano tam, o dziwo, tak dobre dania, że sam chętnie poznałby kucharki.

Smakowały mu zwłaszcza kuchy, napompowane drożdżami i owocami, kruche z zewnątrz i rozpływające się w ustach w środku, zdobione fantazyjnie kruszonką i lukrem.

Jaka stołówka zakładowa daje dwa dania i deser?

I to za darmo, bo nie zauważył, żeby ktokolwiek płacił.

Nie znalazł ani jednej osoby, która by skrytykowała Sawickiego. Dobrze, może i nie miał na to szans, bo przecież żaden pracownik nie podłożył się wynajętemu przez firmę dziennikarzowi i nie zaczął narzekać.

Ale miał wrażenie, że mówią szczerze.

Prezes rzadko karał, praktycznie nikogo nie zwalniał z pracy. Owszem, ludzie odchodzili w wyniku różnych wewnętrznych sporów, bo nie każdy konflikt dało się załagodzić, ale gdy tylko problem trafiał do Sawickiego, ten z reguły rozsądzał go sprawiedliwie.

Zimny nasłuchiwał się masy opowieści, ilu to dyrektorów, specjalistów i naukowców żarło się, walczyło na noże, chciało odchodzić z powodu lepszych ofert, a po interwencji Sawickiego zmieniało swoje postępowanie czy decyzje.

– Tu każdy za Marka da sobie rękę uciąć, a wielu i coś więcej – powiedział mu jeden z magazynierów. – To złoty człowiek.

Podobno konkurencja musiała zrezygnować z prób podkupowania

pracowników, bo ci nigdy z takich powodów nie odchodzili. Każdy zarabiał godziwie. Zimny usłyszał nawet określenie „tyle, ile chciał”. Wydawało się to nieprawdopodobne, ale gdy zaczął pytać kolejnych pracowników, czy chcieliby podwyżkę, oni jak jeden mąż odpowiadali: „Jeśli potrzebujemy podwyżki, to ją dostajemy”.

– Jak to możliwe? – zapytał Magdy.

– Po prostu – odparła. – Marek ma taki system premiowania, że każdy jest zadowolony. Oczywiście pracownik fizyczny rozumie, że nie może zarabiać tyle co naukowiec, lekarz czy inżynier. Ale nigdzie nie znajdzie lepiej płatnej pracy, a jeśli tylko się wyróżnia, dostaje awans. Kiedyś, na samym początku, ludzie z linii produkcyjnych podbierali prefabrykaty, składniki czy gotowe produkty. Można było ich wyłapywać i karać, stworzyć system monitoringu, ale Marek wymyślił coś innego. Policzył, ile strat przynoszą kradzieże, i dokładnie taką samą kwotę przeznaczył na premie dla pracowników, jeśli kradzieży nie będzie. Przez trzy miesiące fundusz miał dopłacać do pensji podstawowych równowartość kwoty, potem jednak suma na fundusz miała być pomniejszana o wartość ukradzionych produktów. Efekt: pracownicy sami zaczęli się pilnować i dziś kradzieży praktycznie nie ma.

– Samokontrola.

– Ja myślę, że to też szacunek dla Marka. Oni nie chcą go okradać. No i widzą, że nie jest pazernym sukinsynem. Wiesz, że ma najniższą pensję z całego zarządu?

– Poważnie?

– Tak, odbija sobie z dywidendy. Choć i to niewiele. Uważa, że zarabianie ponad rzeczywiste potrzeby jest niemoralne.

– W takim razie mamy bardzo niemoralną elitę.

– Marek też tak uważa. Namawia pracowników do inwestycji w spółkę różnymi programami opcji menedżerskich i pracowniczych. Na przykład ktoś, kto zdecyduje się zainwestować w firmę po raz pierwszy, dostaje drugie tyle akcji jako premię, czyli kupuje jakby za pół ceny. Ma też w pierwszym roku podwójną dywidendę.

– Nie wierzę.

– To uwierz. Marek jest przeciwieństwem drapieżnego kapitalisty. Potrafi doceniać innych. Zawsze powtarza, że chce, by otaczali go lepsi od niego.

– I są lepsi?

Uśmiechnęła się.

– Nie sędzę. Ale członkiem zarządu jest na przykład facet, który zaczynał na linii produkcyjnej jako zwykła pomoc laboranta. Potem zrobił uprawnienia technika i studia zaoczne. Dziś kieruje pionem produkcji. Za logistykę odpowiada transportowiec, kiedyś zwykły kierowca, który też chciał się uczyć. Marek

każdemu umożliwi awans, szkolenia, rozwój. Ta wizja działa nie tylko u nas. Gdy Marek proponuje komuś fuzję, wygrywa nie dlatego, że daje kasę, ale ponieważ dzieli się już osiągniętym sukcesem i obiecuje więcej. Firmy chcą się do nas przyłączyć, bo Sawicki proponuje coś nowego, uczciwego, do czego nie trzeba stosować tysięcy gwiazdek, kruczków prawnych, obostrzeń i procedur zabezpieczających. On nie stosuje systemu kar, tylko program nagród.

– Brzmi za ładnie. Nie ma takich ludzi.

– Czytałeś kiedyś Bliklego?

– Nie.

– A powinienes.

O ile oficjalnie Sawicki był polukrowany i słodki jak pączek, o tyle w internecie nie było już tak różowo.

Zimny przeczytał sobie całą historię firmy ze strony i z różnych portali biznesowych. Można ją było streścić w kilkunastu zdaniach. Marek Sawicki założył firmę ze współnikami na początku lat dziewięćdziesiątych. Miał wtedy dwadzieści pięć lat. Do czasu otwarcia biznesu był studentem Uniwersytetu Gdańskiego. Zamierzał doktoryzować się na tej uczelni, ale procedury nie zakończył. Zawsze podkreślał swoje pochodzenie i związek z Kaszubami i Wuëckiem, obiecywał inwestycje w regionie. Przedsiębiorca wygrał z naukowcem.

Zaczynali od produktów do higieny osobistej. Prostych, najprostszych. Po trzech latach firma pozyskała pierwszych inwestorów finansowych, sprzedała część wytwarzającą środki higieniczne, a zdobyte w ten sposób pieniądze przeznaczyła na inwestycje w farmację i biotechnologię. W 1995 roku czterdzieści procent akcji kupił fundusz venture capital Investor Ventures, lokujący w Polsce kapitał z Ameryki Południowej.

Od tego momentu Sawicki rozpoczął pełen sukcesów marsz na szczyt. Spółka przeniosła siedzibę do Wuëcka i zaczęła inwestować we własne fabryki, magazyny, logistykę, centra obsługi. Co roku podwajała przychody i zyski, dywersyfikowała działalność, w 1997 roku weszła na giełdę i zaczęła przejmować konkurentów.

W 2001 roku Investor Ventures sprzedali swój pakiet akcji funduszom emerytalnym i bankowym, z potężnym zyskiem, ale chyba za wcześnie, bo przez kolejne dziesięć lat Sawicki tak rozbuchał firmę, że jej wartość z niespełna pół miliarda poszybowała do sześciu miliardów złotych.

Po 2010 było ciągle lepiej i więcej. Mariaż z hiszpańskim producentem i dystrybutorem generyków sprawił, że polski koncern zyskał oddziały w całej Europie i kilku krajach Ameryki Południowej. Potem były przejęcia na Bałkanach, wreszcie fuzja z niezwykle prężnym izraelskim dostawcą technologii medycznych i suplementów diety. W efekcie wartość polskiego koncernu przekroczyła

piętnaście miliardów złotych. W okresach bessy zdarzały się krótkie korekty, ale trend wzrostowy cały czas trwał.

Żadnych czarnych kart, żadnych zarzutów czy brudów.

Sawicki i jego rodzina nawet nie byli notowani w IPN, nie mieli pięknych kart opozycyjnych ani mniej pięknych teczek tajnych współpracowników.

– Jeśli ten vialix będzie rzeczywiście takim hitem, to kto wie, czy wkrótce nie będziecie mierzeni w dziesiątkach miliardów – mruknął Zimny.

Żeby wejść do pierwszej dziesiątki firm farmaceutycznych, trzeba by rozdmuchać ten balon tak, by przekroczył magiczną barierę pięćdziesięciu miliardów dolarów. Możliwe? Raczej nie. Kwota niewyobrażalna dla jakiegokolwiek polskiej spółki. Wobec światowych korporacji nawet państwowe molochy były liliputami.

Więc to bajka?

Chyba że vialix jest nową viagrą.

Fora internetowe w to nie wierzyły. Pełno było w nich wpisów negatywnie oceniających strategię Sawickiego, hejtujących jego samego, produkty, reklamy, komunikację z rynkiem i stosunki z nadzorcami.

Zimny był trochę zaskoczony. Gdy przed spotkaniem z Mastalerzem robił pierwszy research, nie sięgał tak głęboko, sprawdził tylko wyniki z wiarygodnych źródeł i gazet. Blogi i fora sobie odpuścił, wiedząc, że tam jest zawsze dużo nieuzasadnionego syfu.

Ale czasem i ten ma podstawy.

W przypadku Sawickiego trudno było to ocenić. Tak czy inaczej do pewnego momentu każda, nawet najdrobniejsza wpadka zyskiwała dziesiątki wpisów na blogach zajmujących się giełdą.

Dziwne, ale prasa tego nie chwyciła. Choć może niedziwne. Może czytelnik nie powinien już oczekiwać weryfikowania sygnałów z rynku. Może rzeczywiście gazety się skończyły.

Jeszcze bardziej zaskakujące było to, że Sawicki w ogóle nie reagował na krytykę. Ani jednej odpowiedzi na zarzuty. Nawet na te łatwe do zbicia. Po prostu milczenie. Taktyka lekceważenia, owszem, skuteczna, ale chyba nie za bardzo pasująca do obrazu Sawickiego, który Zimny sobie wyrabiał.

Przecież ten facet nie powinien się niczego wstydzić. Jeśli rzeczywiście postępuje tak, jak mówią współpracownicy, to podobna strategia jest błędem.

Przy najbliższej okazji zapytał o to Magdę, a ona odpowiedziała wzruszeniem ramion.

– Marek zakazał.

– Czego zakazał?

– Wytaczania im procesów i reagowania.

– Więc o Sawickim wszystko można napisać i nie będzie reakcji?

– Nie wiem, czy wszystko. Biuro mecenas Mastalerza monitoruje publikacje, mamy też dział relacji inwestorskich, ale... jest, jak jest. Tyle że właśnie to przynosi najlepszy efekt. Te fora i blogi z krytyką zwyczajnie umierają.

Może i tak, ale rysy zostają.

Zimny wolał walczyć, zawsze sobie obiecywał, że odpowie na każdy negatywny komentarz i nie pozwoli hejterom się rozkręcić.

I co? Jaki miałeś efekt? Kolejna fala hejtu.

A Sawicki? Większość wpisów była dość stara, nowe zaś zyskiwały coraz mniej komentarzy. Niekarmiony potwór umiera, choćby był najbrzydszy, najbardziej cuchnący czy najgroźniejszy.

Więc może podejście Kuby było złe?

Jeden z ostatnich wpisów, jakie Kuba znalazł, zamieszczono na blogu Sawicki-Przekręt. Notka była niedługa i dotyczyła vialixu. Autor przekonywał, że ten lek nigdy nie powstanie, że tak naprawdę go nie ma i jest ściemą, którą zarząd karmi partnerów, inwestorów i polityków, dzięki czemu skuteczniej przekonuje do fuzji czy rządowego wsparcia projektów.

Balon i tyle – kończył bloger.

Wpis zyskał tylko pięć komentarzy. Rzekomo od inwestorów. Bronili Sawickiego i atakowali blogera za brak konkretów. Z ostatnim krytykiem bloger wdał się w dłuższą dyskusję. Była na tyle intrygująca, że Zimny przeczytał ją dwukrotnie. Nie wiedział, komu wierzyć, ale miał wrażenie, że obaj dyskutanci nie piszą od czapy, więc nie był to taki zwyczajny hejt na zasadzie: nie chce mi się pierdzieć w wersalkę, to se napiszę coś krytycznego o kimkolwiek.

Wymianę zdań spróbował ostatecznie uciąć krytyk blogera, zarzucając mu, że jak każdy Polak tylko krytykuje, zamiast samemu coś zrobić.

Bloger odpowiedział niemal natychmiast:

Lepiej krytykować niż mordować.

Kto twoim zdaniem jest mordercą?

A jak myślisz? Prześledź sobie lepiej całą historię swojego idola.

Prześledziłem dokładnie. I co? I nic.

Sprawdź początki firmy. Może coś zrozumiesz, chłopcze.

Na tym rozmowa się urwała.

Zimny przez dłuższy czas wpatrywał się w to zdanie, a potem zapisał w notatniku: dokładnie przeczytać akty notarialne w sądzie.

Przebrał się i poszedł pobiegać.

Patrzyła na tego mężczyznę i zastanawiała się, co wyniknie z jego zatrudnienia. Nie ufała mu, ale też rozważała, czy nie jest dla niej szansą. Czy dzięki niemu nie uda jej się zrealizować własnych celów.

Spędził w Wicku już kilka dni. Codziennie, prócz dnia przyjazdu, wychodził wieczorem biegać. Był odważny, skoro praktycznie po ciemku szedł do lasu. Albo

głupi. Nie znał tych rejonów, nie wiedział, że potrafią być naprawdę groźne. Ona sama się o tym boleśnie przekonała. Tak boleśnie, że teraz ta chwila powracała nieustająco i toczyła w niej złą krew.

 Nie potrafiła o niczym innym myśleć, nie potrafiła zapomnieć.

 Żyła dla zemsty.

 W jej żyłach płynęła krew skażona nieznanym dawniej uczuciem.

 Nienawiść. To ona nią zawładnęła.

 Żyła dla nienawiści.

„Nazywam się Rafał Zawada i zajmuję się finansowaniem szpitali” – lubił mawiać korpulentny biznesmen. W rzeczywistości pośredniczył w sprzedaży leków i wyposażenia, starając się znaleźć sponsorów na zakupy. Przy czym często się okazywało, że namówiony na transakcję szpital musiał jednak sam płacić, bo sponsor się wycofywał. Dla takich „oszukanych” przez niecnych biznesmenów instytucji Rafał szybko miał ofertę finansowania długów lub restrukturyzacji zadłużenia. Za drobny procent...

Z powodu zbytniego zamiłowania do uproszczeń i lichwy partnerzy nie traktowali Rafała jak finansisty. Mawiali o nim „Gumiś” lub „Rafał Kłamacz”. Rafał był znany z tego, że kłamał. Na każdym kroku i przy każdej sposobności. Potrafił kłamać naprawdę wiarygodnie, dzięki czemu osiągnął znaczącą pozycję i prawie stał się milionerem. Przynajmniej tak mówił.

Sam Rafał nie uważał się za jakiegoś specjalistę od manipulacji czy kolorowania rzeczywistości. Po prostu był dobrym naciągaczem. Jak przystało na poznaniaka, musiał się dobrze poruszać w biznesie.

Dziesięć lat wcześniej Rafał wykreślił swój najbardziej spektakularny numer, dzięki czemu namówił do współpracy przedsiębiorcę, który powoli stawał się liderem w sektorze zdrowia. Biznesmen zaufał mu na tyle, że Gumiś dostał nawet wizytówkę z logo i mógł oficjalnie reprezentować spółki mocodawcy. Rafał nie byłby sobą, gdyby trochę nie koloryzował. Zwykle więc między słowami dawał do zrozumienia, że tak naprawdę to on tu jest szefem. Niby tylko doradca zarządowi, bo stosuje różne kamuflaże. Wygodniej jest dowodzić z tylnego siedzenia.

„Tylko głupcy wystawiają się na strzał” – kończył.

Zanim mocodawca się zorientował, co z niego za ziółko, Rafał obrobił go na jakieś milion siedemset. Byłoby dwa razy więcej, gdyby dostał jeszcze tydzień lub dwa. Właśnie miał dopinać pewien spektakularny deal, gdy pojawili się w jego biurze. Sam Duży Prezes, ten jego śmieszny gruby prawnik i jakaś mała osa, ładna jak z obrazka. I dla postrachu dryblas z tyłu, wyglądający jak wielka tłusta foka.

On, Gumiś, nie bał się ani tych z przodu, ani tych z tyłu. Owszem, było mu głupio, ale przecież na tym ten biznes polega. Jeden kantuje drugiego, drugi trzeciego. Łańcuszek szczęścia. Misja? Nie wierzył w te wszystkie brednie wygadywane przez Dużego Prezesa. Moralność, etyka, uczciwość, zaufanie? Bzdury. Patriotyzm, slogany i bujdy dobre były dla frajerów. Liczy się tylko kasa.

Mnie nie oszukasz.

– No dobra, skrewiłem – przyznał w końcu, gdy mocodawca zbyt długo patrzył mu w oczy. – Przyznaję się, oddam, co nie moje. Nie ma tematu.

Duży Prezes wciąż się gapił.

– Głupia sprawa, wiecie, miałem pewną okazję, więc chciałem trochę pożyczyć, potem bym oddał.

Cisza.

Odetchnął głębiej.

Ta cisza stawała się... niebezpieczna. Zachowanie tego bubka było nieprzewidywalne. A tego nie lubił. Jak wszyscy kolesie.

– Słuchajcie, współpracuję ze służbami. Wszystkimi. ABW, CBA, SKW, kogo tam jeszcze chcecie. Ze wszystkimi. Mam w kieszeni chłopaków z miasta, z cebeesiu też. Kumpluję się z gromkami. Wyluzujcie więc. Rozstańmy się w pokoju... Zapomnijmy...

Tyle się nagadał, a tamten nie powiedział nawet słowa.

Po prostu w pewnej chwili wstał i wyszedł. Prawnik i laska za nim. I ochroniarz na końcu, ze wzrokiem, którym błagał Rafała o jakieś zaproszenie do bójki, ale Gumiś przecież głupi nie był.

Potem oczywiście uruchomili całą lawinę różnych gównianych pisemek, pozbyli się go, ale ostatecznie się opłaciło. W zasadzie nie musiał oddać niczego, co zarobił. Dosłownie. Wszystko zostało w rodzinie.

Również wkurwienie.

Bo z Gumisiem się tak nie pogrywa. Nie nachodzi się go, nie straszy, nawet jeśli ma się rację. Gumiś jest kłamcą, ale kłamcą lubianym w różnych towarzystwach.

I one służą mu pomocą.

Rafał korzystał z każdej okazji, żeby dowalić dawnemu partnerowi. Wywalał w internecie wszystko, co wie, zakładał blogi, tworzył donosy. Na nic. Gość był twardy, nawet nie próbował mu wytoczyć procesu. Traktował jak powietrze. Rafał więc napisał wprost do niego. Długie pismo. Piekielnie długie. Wycenił je odpowiednio, no bo przecież tyle się napracował na sukces, a wyrzucono go z okrętu, gdy ten już był na pełnym morzu.

Przez prawie pięć lat nikt nie odpowiedział.

Rafał zdążył już zapomnieć o tamtym mailu.

Zajął się innymi sprawami. Metalami, stoczniami, prawnikami. Tylu było frajerów do oskubania. Tylu trzeba było nauczyć, że z cwaniakami biznes na gębę się nie opłaca.

Wyszedł na prostą.

Aż tu nagle z samego rana dostał odpowiedź.

Nie bezpośrednio od Dużego Prezesa, ale z jego adresem mailowym w polu dw – do wiadomości.

Zgoda, jesteśmy gotowi do rozliczeń – tak mu napisali. W trzech czy czterech prawniczych zdaniach.

To było jak zły sen. Bo on przecież już całkowicie o sprawie zapomniał.

Dlaczego więc wracała?

Spodziewał się jakiejś prowokacji, ale podjął rozmowy. I dalej przebiegły już zwyczajnie.

On kłamał, tajemniczy rozmówca kłamał, rozumieli się doskonale.

Umówili się w knajpie koło klubu fitness w hotelu, bo tam był darmowy parking i jeszcze zniżka na kawę. Rafał wziął pakiet ze zniżką i dodatkową kanapkę z łososiem. Podobno łososie to trucizna, bo wciskają nam hodowlane zamiast tych złowionych w morzach i oceanach, ale co tam.

Parówki też lubił i żył.

Zjadł kanapkę i poczekał dwa kwadransy, ale gość nie przyszedł. Może coś mu wypadło albo zmienił zdanie i nie chciał się już macać z Gumisiem.

Mała strata – pomyślał Rafał, dopił kawę, wziął batonik na później i wrócił do samochodu.

Wsiadł, włożył kluczyki do stacyjki, w ogóle nie zauważając ubranej na czarno postaci na tylnym siedzeniu.

A kiedy wreszcie ją dostrzegł, w tej samej chwili jego szyję oplotła giętka garota.

Morderca musiał mieć dużą wprawę w operowaniu tym narzędziem, bo Rafał nie zdążył nawet zawołać pomocy. Nieznajomy zacisnął pętlę i przez kilka minut trzymał uścisk. Upewnił się, że ofiara nie żyje, i wysiadł z samochodu.

Bruno Giacomo wyglądał jak człowiek wart miliard dolarów. W rzeczywistości wyceniano go na nieco niższą kwotę. Tak czy inaczej był największą gwiazdą, jaka kiedykolwiek odwiedziła Wicko. Jak każda topowa gwiazda miał czarnego grubego ochroniarza (nawet dwóch), takie sobie maniery, a po alkoholu lub narkotykach – skłonności samobójcze.

Przyjechał dłuższą niż autobus limuzyną Hummer, która ledwie zmieściła się na parkingu przed drzwiami biurowca, zajmując sześć miejsc. Poczekał, aż wysiądą ochroniarze i asystentka, a potem wytoczył swoje sto dziesięć kilo odziane w coś w rodzaju prześcieradła skrzyżowanego z damską chustą plażową i indiańską derką. Gruby raperski łańcuch ze szczerego złota błysnął w słońcu.

Giacomo cały był barwną postacią, ale Zimnemu najbardziej spodobały się jego dłonie. Zbyt małe w stosunku do ciała, za to z długimi umalowanymi pazurami.

Tipsy?

Kuba spodziewał się, że skoro jego praca też miała być wykorzystana przez Giacoma, dojdzie pomiędzy nimi do jakichś ustaleń, ale okazało się to niepotrzebne. Włoch przyjechał, obejrzał Wicko, uścisnął dłoń Kuby, uszczyptał w tyłek Magdę (a może zrobił coś więcej) i już go nie było.

Orszakowi gwiazdora towarzyszył też Mastalerz i sam Marek Sawicki, dzięki czemu Zimny mógł po raz pierwszy zamienić z przedsiębiorcą kilka zdań.

Biznesmen wyglądałby dość zwyczajnie, gdyby nie dbałość o szczegóły. Drobny, szczupły, schludny. Przeciętny, może nawet niski wzrost, góra metr siedemdziesiąt, krótko ostrzyżone, starannie uczesane ciemne włosy, wypielęgnowane paznokcie i dłonie, opalona mądra twarz. Do tego świetnie skrojony garnitur, wygodne buty, nierzucający się w oczy, ale na pewno superdrogi zegarek. To wszystko sprawiało, że miało się wrażenie obcowania z człowiekiem naprawdę dużej klasy.

Wydawał się potwornie zmęczony, ale i tak wypadł niezłe. Objął Kubę ramieniem, odciągnął na bok i powiedział konfidencjonalnie:

– Wiem, że może się to wszystko wydawać dziwne, ale naprawdę chcę dobrze. Proszę spojrzeć na to. – Zrobił nieokreślony ruch ręką, jakby zamierzał zgarnąć do worka hale i biurowce. – Kiedyś to była zabita dechami wiocha, dziś jest zakład, którego nazwę dobrze znają Włosi, Hiszpanie, Anglicy, Francuzi... wielu innych. Marzenie... tak, już nie tylko marzenie... Mam nadzieję, że będziesz zadowolony z naszej współpracy. Mówmy sobie po imieniu, dobrze? Nie znoszę tych wszystkich panów, tytułów, prezesów, głupot...

– Oczywiście – odparła Kuba. Nie bardzo wiedział, co mógłby dodać, więc bąknął: – Już jestem zadowolony.

Wcale nie kłamał. Sprawa wyglądała coraz ciekawiej.

– Dziś... muszę już lecieć, ale Jarek i Magda zorganizują nam dłuższe... spotkanie. Bardzo miło było cię poznać.

Głębokie spojrzenie zmroziło Kubę. Było w nim to, o czym opowiadali jego dotychczasowi rozmówcy: błysk geniuszu, świadomość władzy i własnej wielkości, mądrość życiowa i przenikliwość. I coś jeszcze, czego nie potrafił nazwać, ale było to coś niepokojącego. Twardego, wojowniczego, odważnego. Coś, czego się nie lekceważy, bo można skończyć na aucie lub pod ziemią. Ten miły, sympatyczny mężczyzna z pewnością potrafił też pokazać inną twarz. Wrogom, a może nie tylko wrogom.

– Do widzenia.

Znów to objęcie, przyjacielskie poklepanie po ramieniu, szczery, słoneczny, a jednocześnie zdradzający siłę i spokój uśmiech. Marek Sawicki, człowiek, który zbudował największe prywatne imperium w tej części Europy, właśnie mnie uściskał – pomyślał Zimny. Niemal natychmiast przyszło mu na myśl kolejne głupkowane pytanie. Czy gdyby był homo, tobym się poświęcił?

– I jak pierwsze wrażenie? – Magda stanęła tuż przy Kubie. Patrzyła za oddalającym się orszakem prezesa i włoskiego projektanta.

Kuba też patrzył. Szczególnie na dwóch zamykających korowód typów, których już kiedyś gdzieś widział, ale nie bardzo potrafił powiedzieć gdzie. Niby wyglądali podobnie jak ochroniarze Bruna, a jednak zupełnie inaczej. Obaj byli bardzo krępi i mocno zbudowani. Mieli krótkie szyje, zwaliste ciała napakowane mięśniami, dzięki czemu poruszali się ruchliwie i nieco chaotycznie. I te oczy

strzelające badawczo na wszystkie strony. Pomyślał, że nie chciałby wejść w konflikt z tymi ludźmi.

– Pytasz o Sawickiego czy o Bruna?

– O Marka. Bruno to pewien symbol. Nie należy go oceniać w znanych nam kategoriach.

– A w jakich? Boskich?

– Po prostu lepiej go nie oceniać. Możesz być jego fanem lub... może cię nie być.

– Wolę nie być.

– Bruno robi nam wspaniałą kampanię. Zobacysz.

– Wierzę... na słowo.

Akta sądowe Sawickiego ściągnął z jednego z płatnych serwisów wywiadowni gospodarczych. Ważyły kilka gigabajtów i zawierały prawie pięć tysięcy skanów. Koszt ściągnięcia: raptem parę złotych. Tyle że musiał poczekać kilka godzin, aż się załadują przez łącze wi-fi.

Przeglądając zdjęcia, nie czuł się już tak dobrze. Jakby był zdrajcą. W końcu siedział tu za pieniądze Sawickiego. Nawet za te zdjęcia zapłacił z jego portfela.

Mógł przecież poprosić, sam zapytać.

Obok, w biurowcu, pewnie są oryginały wszystkich akt.

Mastalerz raczej by nie odmówił. Kuba nie mógł oczywiście wykluczyć, że czegoś nie ukryli, ale tak... byłoby uczciwie.

A tak jest... jak jest.

Lekturę zamierzał rozpocząć następnego dnia. Nie mógł się jednak powstrzymać. W efekcie do trzeciej w nocy ślęczał nad dokumentami i powoli zaczął rozumieć, o co chodziło blogerowi.

Co nie znaczy, że podzielał jego teorię spiskową.

Sawicki. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością założona przez czterech studentów uniwersytetu. Zarejestrowana początkowo pod nazwą Anika. Każdy wspólnik miał po dwadzieścia pięć procent udziałów. Wszyscy zasiadali w zarządzie, prezesem został mianowany Marek Sawicki.

Benedykt Wisłocki odpowiedzialny za finanse, Siergiej Kraciuk – produkcja, Artur Czerniewicz – marketing i sprzedaż. Zimny zanotował nazwiska i jednocześnie wygooglował je w przeglądarce internetowej. Niestety, w sieci prawie nie istnieli. Nic dziwnego, zważywszy na to, co dalej odkrył. Porzucił poszukiwania w necie i wrócił do akt.

Anika początkowo nie odnosiła jakichś specjalnych sukcesów. Pierwszy rok zamknęła stratą, wynikającą z inwestycji w nawiązanie relacji handlowych i budowę własnej sieci sprzedaży.

W sprawozdaniu zarząd zapowiadał świetlaną przyszłość i szybkie wzrosty.

Jak każdy zarząd.

Tyle, że ten nie kłamał.

Już rok później dzięki kontraktom z hurtowniami pieluszek, papieru toaletowego i innych artykułów jednorazowych nadeszły całkiem pokaźne zyski. Całość przeznaczono na kapitał zapasowy i inwestycje.

Mądrzy ludzie nie przejadają pierwszych zarobionych pieniędzy, tylko wkładają w biznes, żeby je pomnożyć.

Anika radziła sobie coraz lepiej i już w 1993 roku stała się znaczącym graczem na rynku. Zarząd zapowiadał wejście do sektora chemii użytkowej, lecz w połowie roku trafił na prawdziwą złotodajną niszę – zaczął sprzedawać pierwsze analizatory. Dwa lata później Anika była już minipotęgą zmierzającą na giełdę.

Dlaczego Sawicki nic nie pisze o swoich początkach i Anice? – zanotował Zimny.

W 1995 roku doszło do znaczących zmian i przekształceń własnościowych. Firma zmieniła nazwę na Sawicki, stała się spółką akcyjną, a większość akcji objął Marek.

Pozostali udziałowcy zniknęli.

Wyjaśnienie Zimny znalazł na końcu drugiego tomu akt, w zeskanowanej kolumnie „Głosu Pomorza”.

OGŁOSZENIE PŁATNE. W wyniku tragicznego wypadku samochodowego przedwcześnie zginęli: Benedykt Wisłocki, Siergiej Kraciuk oraz Artur Czerniewicz, członkowie zarządu spółki Anika. Prezes zarządu, pracownicy i osoby związane ze spółką składają najszczerze kondolencje i wyrazy współczucia rodzinom ofiar tego tragicznego zdarzenia.

Wrócił do skanów aktów notarialnych z 1995 roku, które początkowo pominął. Odpowiedzi na podstawowe pytania znalazł w ciągu kwadransa.

Zgodnie z zapisami w aktach Marek Sawicki porozumiał się ze spadkobiercami ofiar wypadku i spłacił ich, korzystając z opcji pierwokupu. Jednocześnie podniesiono kapitał spółki, a nowym udziałowcem stał się fundusz inwestycyjny Investor Ventures.

Dlatego nic nie znalazł o partnerach Sawickiego w Googlach. Za stare dzieje. Polski internet wtedy prawie jeszcze nie istniał, nie indeksował danych, nie odnotowywał zwykłych wypadków. Akta też były zebrane w starym rejestrze RHB, który obowiązywał przed KRS.

Wypadek – więc o to chodziło blogerowi. Tylko czy miał jakiegokolwiek podstawy do sugerowania, że Sawicki stał za tym wypadkiem lub choćby był mu on na rękę? Czy też po prostu obrzucał błotem, jak to anonimowy hejter?

Zimny sięgnął po telefon i zadzwonił do Grubego, przyjaciela jeszcze z dzieciństwa, który oprócz pracy handlowca w supermarkecie z elektroniką bawił

się w hakera. Gruby był naiwny, tchórzliwy, nieprzystosowany, trudny w relacjach i aspołeczny. Ale Zimny nie spotkał nikogo, kto by się lepiej znał na komputerach. Z wyjątkiem Rose. No, ale Rose nie odzywała się od miesiący i w tym przypadku ze względu na barierę językową byłaby nieprzydatna.

– Spróbuję znaleźć coś jutro – obiecał przyjaciel.

– I o tych trzech gościach też – poprosił Kuba.

– Jasne.

Kuba wyłączył komputer i poszedł spać.

Mail od Grubego czekał na niego z samego rana. Według akt policyjnych całą winę za spowodowanie wypadku ponosił kierowca opla, którym jechali członkowie zarządu Aniki. Wyprzedzał na podwójnej ciągłej, na odcinku wyraźnie opatrzonym znakami o robotach budowlanych, znacznie przekraczając prędkość. Zderzenie czołowe z ciężarówką wiozącą materiały budowlane spowodowało całkowite zniszczenie auta i śmierć na miejscu wszystkich podróżnych. Kierowca ciężarówki nie odniósł żadnych obrażeń, jednak był w szoku. Pasażerów wyciągnięto ze zmiążdżonego opla w stanie, którego nie sposób opisać.

Dane kierowcy ciężarówki w protokole wpisano bardzo niewyraźnie.

Dziwne. Kuba zanotował, że powinien to sprawdzić.

Za to Gruby postarał się w kwestii współników Sawickiego.

Z jakiegoś forum wyciągnął zdjęcie paczki i wiele dość szczegółowych informacji o studentach, którym marzył się własny biznes w raczkującym kapitalizmie.

Zimny był pełen podziwu.

– Jak to zrobiłeś? – zapytał, gdy zadzwonił do Grubego.

– Ma się te sposoby, Zdzichu.

– Miałeś tak do mnie nie mówić.

– Aaa, zapomniałem. W porządku, już nie będę.

– Te informacje są pewne?

– Każdy może ściemniać, wiesz, jak jest, ale ja się znam na ludziach, więc chyba jednak to prawda.

– Czyli Sawicki, Wisłocki, Kraciuk i Czerniewicz mieszkali razem w akademiku w Sopocie? Tak się poznali i założyli spółkę?

– Na to wygląda.

– Pierwszą kasę zrobili na rozprowadzaniu fałszywych banknotów?

– Takie były czasy. Studentom dawano pięć dych w cenie dychy.

Pięciokrotna przebitka. Nasza złota czwórka zajmowała się dystrybucją towaru. Tak nauczyli się biznesu, potem już działali legalnie. Jeszcze wcześniej ruszyli na podbój Holandii. Pracowali w zakładach rybnych u pewnego kierowcy wyścigowego. Po roku wrócili z kapitałem, z którym można było już działać. No i językowo bardziej sprawni, bo tam porozumiewali się po angielsku. W tej

Holandii przeszli dobrą szkołę kapitalizmu.

Zimny zapisał informację o nielegalnym handlu fałszywkami, choć nie uznał jej za zbyt wiarygodną. Trzeba by wyciągnąć z Grubego dane informatora.

– Czwórka z akademika – powiedział tylko po to, żeby nie urwać wątku.

– Czwórka przyjaciół – podkreślił Gruby. – Zabawne, skąd wzięła się nazwa ich firmy.

– Nie doczytałem.

– Mieli jakąś przyjaciółkę, podobno wszyscy się w niej kochali, taka była piękna. Nie wiem, jak miała naprawdę na imię, ale nazywali ją właśnie tak. Anika. To i spółkę założyli pod tą nazwą.

Ciekawa, nowa, zupełnie nieznana Zimnemu kwestia. Kuba poczuł podniecenie. Jednak chyba będzie w stanie zaskoczyć Sawickiego podczas rozmowy. Ciekawe, czy biznesmen spodziewa się takich pytań?

– Ta Anika była partnerką któregoś z nich?

– Czy ją posuwali?

– No, a o co pytam?

– To pytaj normalnie, a nie tak jakoś nie po swojemu. Nie wiem. Może była kochanką, może tylko przyjaciółką.

No tak. Trzeba by odnaleźć tę Anikę.

– Trochę dziwne, że Sawicki potem zmienił nazwę – napomknął. Może Gruby zna więcej szczegółów.

– Czy ja wiem... Może po prostu Anika w jakiś sposób załaziła mu za skórę, a po śmierci przyjaciół nie musiał się już przejmować ich zdaniem. A może nie czuł się upoważniony do korzystania z tej nazwy, gdy przyjaciele zginęli. Wiesz, tyle teorii możesz sobie zbudować, ile zechcesz. Najlepiej sprawdzić u źródła. A nuż ci powie.

– Okej, a nie możesz zapytać o to swojego źródła?

– Niby mogę.

– To zapytaj. Albo najlepiej podaj mi namiar, to sam zapytam.

– Hola, hola. Tego zrobić nie mogę.

– Dlaczego?

– Etyka. Poza tym... po prostu nie chcę ci go dać.

– Aha.

– Chcesz jeszcze coś wiedzieć?

Kubie przyszło na myśl kilka pytań, ale postanowił je na razie zostawić i wrócić do wypadku.

– Dlaczego Sawicki nie jechał z nimi tym autem?

– Nie wiem. Źródło, od którego wyciągnąłem materiały, też nie. Możemy więc tylko spekulować, że pewnie Sawicki załatwiał coś w Warszawie, na przykład umowę z inwestorem, a oni mieli stawić się później, żeby podpisać papiery. Stąd

jechali wszyscy razem.

– Oprócz Sawickiego.

– Właśnie.

– Mógł to ustawić? Mógł zaplanować morderstwo?

– Po co?

– Dla kasy.

– No co ty? Miał jej już wtedy na pęczki.

– Podobno zawsze chcą więcej.

– Owszem, ale nie wydaje mi się, żeby tak ryzykował. No, chyba że była tam jeszcze jakaś zła krew. Tak czy inaczej masz chyba co badać, nie?

– Mam. Wielkie dzięki.

– Nie ma sprawy, Zdzichu.

Po drugim kilometrze zwiększył tempo i postanowił, że spróbuje utrzymać prędkość przez następne trzy kilometry, aż do jeziora. Wiedział, że ścieżka zaprowadzi go prosto do brzegu. Endomondo odliczy wtedy około dwudziestu, dwudziestu pięciu minut. Najpierw przez pola, a potem, kiedy zabudowania już całkowicie znikną za plecami, przez gęstą ścianę lasu. Zrobi się ciemno, mrocznie i trochę strasznie.

Kuba wychował się na wsi. Nie bał się jej, choć wiedział, że takie pustkowia mogą kryć wiele niebezpieczeństw. Gdy miał dziesięć lat i biwakował na leśnej polanie, o mało nie padł ofiarą pedofila. Tylko szybka reakcja i pomoc starszych kolegów uratowała go przed wciągnięciem do lasu.

Teraz cały czas miał wrażenie, że ktoś go obserwuje. Nie przystawał, ale starał się uważnie rozglądać. Podobnie czuł się dziś w zakładzie, gdy kontynuował rozmowy z pracownikami. Wtedy przez chwilę mignęła mu jakaś twarz, chyba kobieca, ale nie był pewien. Zarejestrował po prostu czyjś wzrok.

Przez chwilę mu się wydawało, że to Magda tak na niego patrzyła, ale chyba się mylił.

Pomyślał, że może lepiej nie biec przez ten cholerny las, ale ostatecznie nie zmienił trasy. Gdy dotarł do jeziora, ochlapał się cały wodą i ruszył z powrotem. Zmniejszył prędkość i starał się więcej odpoczywać.

Zawsze wykorzystywał te ostatnie kilometry na ułożenie sobie w głowie ostatnich zdarzeń, sklecenie jakiegoś planu na wieczór i następny dzień.

Co miał?

Spory materiał na laurkę o Sawickim, niemało starych i nowych pytań do prezesa i może też do Magdy. Jakieś niejasne podejrzenia, kawałek historii. Blogera hejtera zarzucającego Sawickiemu – nie wprost, ale jednak – najcięższe zbrodnie. Cóż, to wszystko może się złożyć na całkiem ciekawą książkę. Jeśli tylko pozwolą mu o tym pisać.

Przyspieszył tuż przed bramą, żeby popisać się przed strażnikiem.

W pokoju zrzucił i przepłukał przepocone szorty i koszulkę, wszedł pod prysznic, nalał sobie szklaneczkę burbona i zapalił fajkę, a potem szybko ją zgasił.

Musi rzucić to gówno.

Logowanie do skrzynki mailowej chwilę zajęło, gdyż hotelowe wi-fi działało dość kiepsko. Gmail ściągał wiadomości tak długo, że Kuba zdążył nalać sobie drugą szklaneczkę. Z papierosa zrezygnował.

W końcu ekran zappełnił się pogrubionymi tytułami nieprzeczytanych wiadomości.

Czterdzieści jeden. Jak w tym ruskim filmie – pomyślał.

Prawie dwadzieścia przesłał stary znajomy od grupy hakowej. Z pozostałych tylko jedna wydała się interesująca.

Nadeszła z adresu: poinformowana@media.com.

Zawierała zaledwie dwa zdania:

Nie ufaj nikomu! Oni kłamią.

Miał ochotę uśmiechnąć się cierpko, a jednak jakieś przecucie sprawiło, że potraktował tę wiadomość poważnie. Kliknął Odpowiedz i napisał:

Nigdy nikomu nie ufam.

W środowisku nazywali go Profesorem. Miał pięćdziesiąt pięć lat i z zawodu był lekarzem medycyny. Jednak od prawie dziesięciu lat nie praktykował, koncentrując się na pracy naukowej na uczelni, gdzie uzyskał tytuł profesora, i aktywności niezwiązanej z przysięgą Hipokratesa. Jego brat był dziś jednym z najbardziej znanych w kraju kardiologów, autorytetem światowej sławy. Czasem zazdrościł mu, częściej go podziwiał. W chwilach gdy zazdrościł, patrzył na własne, imponujące imperium.

Należał do grona najbardziej znanych inwestorów giełdowych.

Tak zwanych rekinów, nie leszczy.

Do grubasów zarządzających kapitałem spekulacyjnym było mu daleko, ale na rodzimym poletku miał czym trząść.

Czasem obracał dziesiątkami milionów. Lokował je w akcjach i kontraktach terminowych, wkładał X, starał się wyciągnąć X do kwadratu. Czasem się nie udawało, wtedy przegrywał. Po ostatnim krachu przegrał całkiem sporo. O mało nie wypadł z gry. O mało nie skończył z długami zamiast z zyskiem.

Uratowała go jedna transakcja.

Duża, wręcz zbyt duża.

Gdy jej dokonywał, inni stukali się w głowy. Ta spółka jest już i tak przeszacowana – komentowali. Należy oczekiwać raczej korekty niż ponownego odbicia. Analiza techniczna zwiastowała odwrócenie trendu wzrostowego, fundamentalna nie pozostawiała złudzeń. To była spółka na górze, należało uciekać, a nie pakować się na taką skalę.

Włożył prawie pięćdziesiąt milionów. Dziś ten pakiet był wart ponad trzy razy więcej. Dzięki niemu zabezpieczył inne linie kredytowe i nie musiał wszystkiego sprzedawać na dołku. Obronił się.

Znów był silny.

Postanowił podziękować prezesowi spółki, która go uratowała. Napisał do niego długi list i życzył powodzenia. Dostał odpowiedź. Nie od asystenta, nie od jakiegoś tworzącego formaty wyrobника. Napisał sam prezes. Czuć to było w każdym zdaniu, w każdym słowie.

Potrafił to rozpoznać.

Od tego czasu spotkali się kilkanaście razy, a Profesor zdecydował przeznaczać każde wolne środki na dokupienie walorów przedsiębiorstwa reprezentowanego przez nowego przyjaciela.

Aż do dnia, gdy poczuł się... oszukany.

Nie, nie było to żadne prymitywne oszustwo. Nikt nie ukradł mu pieniędzy, nie okantował, nie zaproponował opcji walutowych czy innych instrumentów

poходnych. Nic takiego.

Poczuł się oszukany, ponieważ nie zgadzał się z nową strategią ulubieńca. Uważał, że nie tylko jest zbyt ryzykowna, ale też niebezpieczna dla społeczeństwa. Jakkolwiek górnolotnie to brzmiało, on po prostu nie mógł tego zaakceptować. Zbyt dobrze pamiętał przysięgę, którą składał. „Po pierwsze, nie szkodzić”. Owszem, spółka mogła zarobić, on mógł zarobić, obaj mogli zarobić mnóstwo pieniędzy. Jednak nie wszystko należy przeliczać na srebrniki.

Dlatego Profesor zareagował i znów napisał list.

Jak zwykle bezpośrednio do prezesa.

Tym razem jednak nie dostał odpowiedzi od prezesa, tylko zgrabną formułkę przygotowaną przez jakiegoś kretyna, który uważał, że tak będzie lepiej. Oczywiście Profesor rozumiał, że prezes jest chroniony i nie zawraca mu się głowy jakimiś bzdurnymi listami, do tego na kilkanaście stron. Rozumiał, że asystent nie doczytał i nie chciał ulec wyraźnym naciskom, żeby przekazać list prezesowi. Dlatego zadzwonił najpierw do sekretariatu, a potem na komórkę. Oba telefony odebrali pracownicy. Ale zapewnili, że wiadomość została przekazana.

Nie wierzył im.

Dlatego nie miał pretensji do prezesa, co nie zmieniało faktu, że wciąż czuł się oszukany.

Zdecydował więc, że jeśli ktoś ponowi ofertę wrogiego przejęcia jego ulubionej spółki, on na tę ofertę odpowie.

I taki sygnał wysłał w rynek.

Nie trzeba było długo czekać. Już po trzech dniach od złożenia odpowiednich zleceń w domu maklerskim i rozmowie z doradcą, znanym z tego, że rozsiewa plotki (będące czymś więcej niż plotkami), dostał wiadomość.

Napisano ją z adresu mailowego prezesa ulubionej spółki. Nadawca bardzo przeproszał za zaistniałą sytuację i wyraził chęć podjęcia rozmów w sprawie nabycia jego pakietu lub naprawienia wyrządzonych krzywd.

Profesor był prawie pewien, że znów nie pisał do niego prezes, tylko któryś z asystentów. Dlatego odpowiedział dość wulgarnie, bo też takie postępowanie zasługiwało na chamską reakcję.

Kolejna odpowiedź go zastanowiła. Wyglądała bowiem, jakby rzeczywiście napisał ją prezes.

Drogi Janku (Profesor tak miał na imię), właśnie przekazano mi informację o problemie. Nie mam słów, żeby wyrazić swój żal. Moi pracownicy są osłami i – możesz mi wierzyć – poniosą konsekwencje. Rozumiem oczywiście Twój gniew. Nie wiem, czy będę Cię w stanie przekonać do zmiany zdania, chciałbym jednak spróbować. Proszę, przyjmij zaproszenie na kolację, podczas której wszystko wyjaśnimy.

Profesor analizował maila bardzo dokładnie. Większość zdań była

zbudowana na podobieństwo tych, które formułował wcześniej sam prezes. Ale... było też kilka małych nieścisłości. Na przykład prezes nigdy by nie napisał „poniosą konsekwencje”. Nie lubił podobnych sformułowań. Owszem, mógł zmienić styl, jednak Profesor w to nie wierzył.

Mimo to zgodził się przyjąć zaproszenie.

Zobaczymy, czy przyjdiesz, a jeśli nie – kogo wyślesz.

W następnym mailu dostał zeskanowane uroczyste zaproszenie do restauracji Zamek, w której kiedyś, dawno temu, jadł już kolację z prezesem. Ucieszył się i zaczął wierzyć, że nawet jeśli ten nie pisał do niego osobiście, to korespondencja jest prowadzona za jego wiedzą. Ucieszył się też, że nie będzie musiał jechać do Warszawy, której szczerze nie znosił. Zamek mieścił się w starym pałacyku w mazurskiej miejscowości leżącej zaledwie dwadzieścia kilometrów od włości Profesora, które nabył za zarobione na giełdzie pieniądze.

Spojrzał teraz na te piętnaście hektarów terenu z pięknym ekologicznym domem i równie ekologicznym gospodarstwem korzystającym z własnej ekologicznej minielektrowni. Zbudował ją pod wpływem impulsu, wydając prawdziwy majątek, ale dzięki temu darmowy prąd miała teraz cała pobliska wioska. Zrobił coś dobrego. Dobre uczynki są więcej warte niż pieniądze.

– Przekonam cię, Marku, że jesteś w błędzie – powiedział, wkładając najlepszy garnitur.

O tej godzinie nie było już w posiadłości żadnej pomocy, więc musiał sam otworzyć garaż, wyprowadzić samochód za bramę i pozamykać bramki. Zwykle na spotkania jeździł jaguarem, ale dziś postawił na bmw, sam nie wiedział dlaczego. Nie spiesząc się, ruszył do Zamku na kolację.

Trzy godziny później wychodził z restauracji w naprawdę podłym humorze. Prezes nie przyszedł. Nie przysłał nawet wiadomości, głupiego liściku, nie zadzwonił. Profesor nie usłyszał prostego: przepraszam. Coś mi wypadło. Coś sprawiło, że okazałem się ostatecznie przeklętym dupkiem. Przepraszam.

Tak trudno powiedzieć?

Zdenerwowanie sprawiło, że Profesor zjadł więcej, niż powinien, poczuł się niedobrze, dlatego poprosił o drinka. Kieliszek dobrego koniaku nie zaszkodzi. Po takim jedzeniu na pewno alkomat nie wykaże więcej niż dwie dziesiąte promila.

Wypił powoli, zapłacił za kolację i nieco uspokojony wsiadł do samochodu. Jechał powoli, żeby nie spowodować jakiejś głupiej stłuczki. Czuł jednak, że nic się nie stanie.

O tej porze wąska mazurska droga, prowadząca właściwie tylko do jego posiadłości, była całkowicie pusta.

Rozluźnił się, już zaczął zapominać o upokorzeniu, gdy na ostrym zakręcie zobaczył jakieś auto wbite z dużą siłą w drzewo. Ledwie zdążył zahamować. Wyskoczył czym prędzej z samochodu, zostawiając włączony silnik i światła,

podbiegł do rozbitego auta i wtedy poczuł się jak w filmie Davida Lyncha. W drzewo wbite było bowiem jego własne auto, ulubiony jaguar, który zostawił dziś w garażu. Za kierownicą, wbita w poduszkę, siedziała jakaś ubrana na czarno postać.

Profesor był człowiekiem ostrożnym i przewidującym. Lubił też kino sensacyjne. Wierzył (nieprzesadnie) w różne teorie spiskowe. Powinien zaufać przeczuciu i czym prędzej uciekać. A tak, nachylając się nad domniemaną ofiarą, o mało nie dostał zawału, gdy ta nagle ożyła i uderzyła go pięścią w splot słoneczny.

Potem stanęła nad nim i czekała, aż na nią spojrzy. Wtedy powiedziała:

– Porządny z pana człowiek. Przykro mi, że musi pan umrzeć.

Po czym wbiła mu strzykawkę.

Pięć gramów tiopentalu. To wystarczyło, żeby Profesor umarł, ale postać zrobiła jeszcze dwa zastrzyki, najpierw podając mu pavulon, a następnie chlerek potasu.

Śmierć nadeszła błyskawicznie.

Była praktycznie bezbolesna.

W przeciwieństwie do poprzednich ofiar mordercy Profesor umarł godnie.

Każdy powinien umierać tak, jak na to zasłużył.

Postać odczekała kwadrans, upewniła się, że Profesor nie żyje. Nie trudziła się przenoszeniem ciała na miejsce kierowcy jaguara, tylko wsiadła do bmw i ruszyła w kierunku posiadłości.

Wjechała bmw do garażu i ustawiła je dokładnie tak, jak było zaparkowane wczoraj. Wyszła, zamknęła wszystkie bramki, aktywowała alarm i założyła okulary noktowizyjne. Miała prawie godzinę drogi pieszo przez ciemny las do miejsca, w którym zostawiła własny samochód.

Zimny z żalem opuścił Wicko i wrócił do Warszawy, jednak gdy przekroczył próg na Czeskiej i padł na wyro, pomyślał: wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. Dom? Dobrze sobie. Od dziesięciu lat błąkał się po różnych melinach, na Czeskiej mieszkał najdłużej... ile to już lat? Czuł się tu jak w domu, ale wiedział, że z dnia na dzień mogą go wywalić. Wtedy będzie musiał poszukać czegoś nowego, może w końcu weźmie kredyt i coś kupi.

Tylko kto da mu kredyt, gdy nie ma stałych dochodów?

Bank wypowiedział mu nawet linię debetową, gdy tylko się zorientował, że Zimny stracił stałą pracę w „Expressie Finansowym”. Tyle lat byliśmy partnerami – pomyślał wtedy dziennikarz, a wy okazaliście się takimi dupkami.

Bankierzy to wyjątkowe dupki.

Jak można tak kantować tych wszystkich frankowiczów, robić ludzi w konia na opcjach, namawiać staruszków na polisolokaty.

Jesteście beznadziejnymi dupkami. Nie macie za grosz sumienia i Bóg was

za to osądzi. A jeśli Bóg nie istnieje, to przeznaczenie. Albo inna energia kosmiczna. Po reinkarnacji obudzicie się jako wszy albo pluskwy. Albo staniecie się pedałami. A jak będziecie lubić chłopców, to los zmusi was do poślubienia jakiejś wyjątkowo paskudnej hetery.

Dostaniecie za swoje.

Nawet bym nie chciał od was kredytu.

– Sawicki mi kupi, a co! – powiedział, wstał z ciężkim westchnieniem i otworzył lodówkę.

Pusta. Trzeba ruszyć dupę do sklepu.

Spojrzał na zegarek i wtedy usłyszał parkujący pod domem samochód. Wyrżał. Niewielki chrysler wyróżniał się odważnymi kolorami i stylistyką. Miał przyciemniane szyby, więc Zimny nie widział, kto siedzi w środku, ale jakoś był pewien, że może zamknąć oczy i odgadnąć.

Tak też zrobił, ale gdy po chwili otwierał drzwi, wciąż nie był pewien, kogo zobaczy.

– Co robisz?

– Niespodzianka.

– Aha.

– Jesteś moją niespodzianką.

– Akurat.

– Sam ją sobie zrobiłem.

– Nie wątpię, ale może otwórz oczy, bo nie mam zbyt wiele czasu.

– Pod warunkiem, że zjesz ze mną kolację.

Chwila milczenia.

– Zgoda. Nawet za nią zapłacę.

– Tu już będę oponował.

– A co? Kobieta nie może płacić?

– W sumie to czemu nie? Możesz nawet odwieźć mnie potem do domu.

Kuchnia Artystyczna nie była może jakimś bardzo ekskluzywnym lokalem, ale jeść dawali tam świetnie. Kuba nie skupiał się na jedzeniu, tylko na Magdzie. Przeczytał w jakimś poradniku dla podrywaczy, że to najlepszy sposób. Gapić się ciągle w oczy maślanym wzrokiem i udawać zafascynowanie. Jednocześnie robić minę, która zaświadczy, że te dwadzieścia centymetrów w rozporku jest w stanie przez długie godziny doprowadzać partnerkę do rozkoszy. Najpierw dziewczyna się wkurwi, potem trochę wystraszy, ale jeśli popiszesz się odrobiną wycucia, elokwencji czy wiedzy, masz spore szanse. A jak nazbierasz dużo punktów, to możesz nawet po wszystkim wytrzeć chuja w firankę. Całkiem prawdopodobne, że ją to rozbawi.

Jakie czasy, takie poradniki.

Musiał zacząć się śmiać na głos, bo Magda nie wytrzymała. Przestała jeść

i też zaczęła się gapić.

- Co?
- Co co?
- Czemu się tak gapisz?
- Myślę o pewnym blogu dla podrywaczy.
- To dlatego się tak gapisz.
- No.
- To tak nie działa.
- A jak?
- Trzeba włożyć trochę serca. No wiesz, poudawać.
- Ja nie udaję.
- A powinieś.
- Szczerść nie wystarczy?
- Szczerść może wystraszyć.
- Mam wiecznego pecha. Chyba zawsze źle dobieram środki.

Przestał się gapić i zabrał za jedzenie. Magda uśmiechnęła się pod nosem.

Cały czas patrzyła, dokładnie tak jak on wcześniej.

- No co? – zapytał.
- Nic.
- Debilny sposób. Czuję się jak Egipcjanin.
- Dlaczego?
- Byłaś w Egipcie?

Skiniecie głową.

– Oni tak robią. Gapią się na laski, jakby były tymi jedynymi. Na każdą tak samo. Zjadają je wzrokiem. Mają to wypracowane do perfekcji, podobnie jak zestaw późniejszych wierszyków. Jesteś najpiękniejsza, głaśniecie po ramieniu, najwspanialsza, muśniecie w kark, jesteś moją księżniczką, ręka na biodrze.

Magda przymknęła oczy i z udawaną powagą szepnęła:

- O tak, mów tak do mnie.
- Jak się temu przyglądałem, to aż zacząłem ich podziwiać.
- Kobiety to lubią.
- Co?
- Jak daje im się poczucie tej wyjątkowości. Że są tymi jedynymi.
- Nawet jeśli wiedzą, że to kłamstwo?
- Nie kłamstwo. Tylko część prawdy. W danej chwili jest to cała prawda.

Kłamstwem staje się tylko wtedy, gdy nie ulegają.

- I to wystarczy?
- Jeśli taka jest potrzeba kobiety.
- To jest potrzeba miłości.
- Nie. To jest potrzeba: zrób mi dobrze. Tu i teraz.

– Zaczyna zwyciężać z potrzebą prawdy i tej prawdziwej miłości.

– W grach komputerowych osiągasz kolejne poziomy poprzez pompowanie współczynników w wielu kategoriach. Im więcej, tym bardziej ceniona gra. Choć trzeba zaznaczyć, że są granice. Prawda i miłość mają marne szanse w całym zbiorze cech.

Zimny sięgnął po kieliszek i przepłukał usta winem. Magda nie piła, nie chciała się skusić nawet na odrobinę trunku. Jak prowadzę, nie piję – ucięła tylko. Wino było ekstra. I całą butelkę miał dla siebie.

– Mogę zapytać o coś wprost?

– Wal.

– Ty i Sawicki...

Magda spojrzała zaskoczona.

– Co ja i Sawicki?

– Czy jesteście... hm, byliście ze sobą?

– Co to za pytanie?

– Zwyczajne. Przepraszam za wścibstwo, ale chciałbym wiedzieć... – początkowo chciał dodać: na czym stoję, ale wybrał: – czy mam jakieś szanse?

– Nie masz – Magda spoważniała.

– Aha.

– Nie jestem łatwa.

– No pewnie. Nigdy bym nie pomyślał.

– Nie sypiam z kim popadnie. W ogóle mało mnie interesuje seks. Jestem... tradycjonalistką. Muszę kogoś naprawdę polubić, by myśleć o czymś więcej.

– I nie lubisz mnie?

– Głupie pytanie.

– Przepraszam.

– Po prostu cię nie znam. Nie da się poznać człowieka w kilka dni.

Już lepiej zajmę się plackami z sosem kurkowym – pomyślał Zimny i ponownie skupił się na jedzeniu.

– I to tyle? Już przestałam cię interesować?

– Pomyślałem, że najpierw zjem. – Kuba uśmiechnął się szelmowsko. – Skoro mam dużo czasu...

Teraz gapił się w te jej wielkie brązowe oczy całkiem szczerze. Miała niezwykle białe gałki, mocno kontrastowały z dość ciemną karnacją i brązem tęczęwki. Jego oczy przez niewyspanie były ciągle przekrwione. Poszarpane siatką żylek, zmęczone.

– Nie – rzuciła w końcu, podejmując wcześniejszą grę.

– Co nie?

– Marek i ja nigdy ze sobą nie spaliśmy. Marek... jest dla mnie jak ojciec.

– Aha.

– W ogóle jego to nie interesuje.
– Seks?
– Ma żonę i dwójkę dzieci. Jest wierny, nie szuka skoków w bok. To chyba też kwestia religii. Jest bardzo religijny. Kaszubi i górale tak już mają.
– Ty nie jesteś religijna?
– Jestem agnostykiem.
– Jemu to nie przeszkadza? W tym, żeby cię zatrudnić?
– Marek jest osobą niezwykle tolerancyjną. Zero nacjonalizmu, rasizmu, fanatyzmu i nienawiści do innych. To...
– ...złoty człowiek – podpowiedział. – Tak już go kiedyś określiłaś.
– Chciałam powiedzieć: prawdziwy chrześcijanin. Nie taki namaszczony przez Kościół, reprezentowany przez opasłych księży i fanatycznych, porywczych wiernych.
– Samo dobro.
– Przekonasz się.
– Hm.
– Co hm?
– W zasadzie... byłem już przekonany.
– Byłeś? Nie jesteś?
– Za mało wiem. – Nie zdecydował się na odkrycie kart.
Wyczuła fałszywą nutę. Zachnęła się, wytarła usta serwetką i odsunęła talerz z jedzeniem, dając znać, że już skończyła. Albo inny sygnał: koniec gry wstępnej. Przejdźmy do czynów.
– Mów. Co się stało?
– Nie, nic. Po prostu czuję się trochę niepewnie. Początkowo myślałem, że to jakaś wielka ściema. Propozycja napisania książki dla jakiegoś wizjonera. Wziąłem ją, bo potrzebowałem pieniędzy, miałem odwalić swoje i tyle, ale...
– Ale?
– Poszperałem, posłuchałem i zrobiło mi się głupio. Zacząłem wierzyć, że gość... Marek jest kimś wyjątkowym. Nie zasługuje na to, co chciałem zrobić... na odwalenie roboty. Więc zacząłem szperać głębiej i...
– Do czego się dogrzebałeś?
– Nic konkretnego.
– Chodzi o te fora, o które pytałeś?
– Nie, skąd... Internet zbiera wszystkie śmieci.
– Ale w śmieciach czasem znajdujemy cukierki?
– Jak ktoś lubi...
Magda nagle jakby zeszywniała. Wyczuł w niej jakąś zmianę.
– Więc to te akta, które ściągnęłaś? Co w nich znalazłaś? – zapytała.
Poczuł na całym ciele zimny pot. Powoli spływał mu z karku, rozchodził się

po ramionach, lędźwiach, brzuchu, przyprawiając o dreszcze. Co jest grane? Skąd ona wie o aktach? O fora pytał, ale o akta nie.

Chyba zorientowała się, że palnęła głupstwo, bo nagle z łagodnej, słodkiej dziewczuszki wyszła prawdziwa kobra.

– W co ty grasz, Kuba?

– Ja?

– Jesteś po naszej czy po ich stronie?

– O czym ty mówisz? Po czyjej stronie?

– Pracujesz dla nas czy dla nich? – powtórzyła to samo pytanie nieco inaczej.

– Kurwa, jakich „nich”?

Westchnęła.

– Marek wynajął cię, żebyś zrobił książkę o firmie, a ty potajemnie szperasz w jakichś blogach i ściągasz akta z wywiadowni gospodarczej. Po co? Jak coś cię interesuje, dlaczego po prostu nie spytasz?

– Spytałem. Spytałem też, dlaczego mnie szpiegujecie.

– Szpiegujemy? W hotelu korzystałeś z niezabezpieczonej sieci wi-fi, z naszego serwera, i uważasz, że nie mamy prawa tego wiedzieć?

– To moja sprawa, co mam na własnym komputerze i co ściągam.

– Dopóki nie zaczniesz nagle zasysać na nasz serwer gigabajtów danych. Wiesz, że w jeden dzień zrobiłeś taki transfer, jak cały hotel w ciągu roku. Dziwisz się, że informatycy sprawdzili, co robiłeś, a gdy odkryli, że to jakieś smrody na Sawickiego i akta z wywiadowni, to dali znać ochronie? Nikt cię nie szpiegował, po prostu przegiąłeś, nikogo nie informując, co robisz, i dlatego to sprawdzono.

Nie był pewien, czy mówi prawdę, ale wydawała się bardzo przekonująca.

– Kuba, tak nie wolno – podkreśliła. – Jeśli przyjmujesz jakieś zlecenie, nie możesz nie ufać pracodawcy, robić jakichś podchodów. Tym bardziej że Mastalerz ci powiedział, jakie są kulisy naszych działań i że wokół nas toczy się taka... prawie szpiegowska gra.

Miała rację.

– Cholera, przepraszam. Ale...

– Tak?

– Jestem przyzwyczajony, że tak pracuję. Najpierw robię research, sprawdzam sam wiadomości, potem dopytuję. Przecież nie wykorzystałbym tego bez waszej wiedzy, nie napisał o żadnych podejrzeniach, nie przekazał nikomu.

– Ja to wiem.

– Dlaczego więc mnie atakujesz?

– Nie ja cię atakuję, tylko ty mnie.

– Jak to...

– To ty masz pretensje, że wiemy, co ściągałeś, że cię niby szpiegowaliśmy. Więc ci odpowiadam: nie szpiegowaliśmy. Ochrona zareagowała naturalnie na

nieoczekiwaną sytuację. Ale ja nie powiedziałam, że mam do ciebie jakiekolwiek pretensje. Chodź sobie po jakich chcesz serwerach, ściągaj akta, rób, co zapragniesz. Masz do tego prawo. Jak również do tego, żeby zwyczajnie nas prosić o pomoc i pytać. Gdybyś poprosił o akta, Mastalerz by ci je przyniósł tego samego dnia. Na papierze, nie w skanach. Nie męczylbyś tak oczu.

Odetchnął głęboko.

– Uff, już myślałem, że mnie wyrzucasz.

– A nie chcesz wylecieć?

– Nie.

– To nie wyrzucam. Zgoda?

– Zgoda.

Zastanawiał się, czy ona specjalnie jedzie tak przepisowo i wolno, żeby z nim jeszcze trochę pobyc, czy też jest słabym kierowcą, a może po prostu nie lubi jeździć szybko. Patrzyła przed siebie. On zaś miał ten przywilej, że mógł ją sobie dokładnie oglądać. Jednak perspektywa pasażera ma swoje plusy. Po całej butelce wina człowiek nie przejmuje się, czy baba nie zjedzie nagle do przejścia podziemnego lub nie wbije się w dupę radiowozu, bo pomyli hamulec z gazem. Można się wyluzować, a nawet trochę pomarzyć.

Ale co za dużo, to niezdrowo. Wyczuł w Magdzie jakiś protest i zrozumiał, że musi przestać ją tak ostentacyjnie obcinać. W knajpie to był żart. Teraz to już molestowanie. Wulgarne. Jak by to powiedzieli koleś z „Kulis”: jedziesz, Kuba, nachalnym Durczokiem.

– Gdybym zapytał teraz o te akta, pewnie popełniłbym nietakt?

Poprawił się na siedzeniu. Koniec Durczoka, zagrajmy Lisem.

– Dlaczego? Pytaj, o co chcesz.

– Marek opowiadał ci kiedyś o początkach firmy? O innych udziałowcach?

– Nie. Dlaczego to takie ciekawe?

– Zginęli w wypadku samochodowym. Słyszałaś tę historię?

Pokręciła głową.

– A o kobiecie imieniem Anika? Słyszałaś o niej?

Znów zaprzeczenie.

– Było ich czterech. Czterech przyjaciół z akademika. Założyli firmę, której nadali imię jakiejś laski, podobno bardzo pięknej. Potem trzech z nich zginęło w wypadku, a czwarty zmienił nazwę i został miliarderem. Ciekawa historia na książkę.

Magda rzuciła mu spojrzenie, wyraźnie zbита z tropu. Chyba naprawdę nic o tym nie wiedziała. Albo zaimponował jej swoją wiedzą.

– Nie chcę nikogo ranić, dlatego nie wiem, czy powinienem o tym rozmawiać z Markiem – skłamał Zimny. Dobrze wiedział, że musi o to zapytać. Dziennikarska skaza nie pozwoli mu pominąć drażliwych wątków.

– Marek odpowie na każde pytanie. Nie musisz się obawiać.

Na Czeskiej byli punkt dwudziesta trzecia.

– Mama nie będzie się gniewać, wróciłem na czas – zażartował Zimny.

– Pozdrów mamę.

– Może sama to zrobisz?

– Nie odbiorę ci tej przyjemności.

– Mam fajne płyty.

– Nigdy nie rezygnujesz?

– Nie gdy za dużo wypiję. Przepraszam.

– Za często przepraszasz.

– To może jednak obejrzysz te płyty? Winyłowe, oryginalne. Zeppelini, AC/DC, Morrison, co tylko chcesz. Specjalnie dla ciebie zaśpiewam jakiś masakryczny kawałek Motörhead.

Milczała, jakby się zastanawiając. Zimny nawet się przestraszył, że się zgodzi, bo w sumie... wolałby odłożyć TO w czasie. Ale jeśli TO miałyby się nigdy nie zdarzyć, to już...

– Mam nawet Franka Sinatrę na specjalne okazje. – Zrobił to egipskie spojrzenie.

– Przestań. Mówiłam ci, że muszę kogoś dobrze poznać, zanim...

– Zanim?

– Nie znam cię.

– Jak nie wejdiesz, to nie poznasz. Poważnie. Przecież cię nie zjem. Wiesz, możemy sobie poleżeć na dywanie i powpatrywać się w sufit. Mam taką znajomą, czasem do mnie przyjeżdża, nic nas nie łączy, leżymy sobie na plecach i gapimy się w sufit. Jak zapalimy fajnego lolka, to nawet widzimy gwiazdy. Uwierzysz? Przez dach.

– Nie wierzę.

– No dobra, słyszałem tę opowieść od kumpla. Nie mam nawet dywanu. Ale podłoga jest wygodna.

– Muszę lecieć.

– Na pewno?

– Na pewno.

– No to... cześć.

– Cześć.

Odjechała, naprawdę odjechała. A Zimny miał wrażenie, że jest blisko. Jak to po winie. Mocny alkohol nie daje takiej ściemy. Podszedł do wieży i włączył tych cholernych Zeppelinów.

Whole Lotta Love zagrzmiało z głośników, jakby Jimmy Page, Robert Plant i reszta bandy chcieli z niego zakpić.

– Ładny mi, kurwa, bezmiar miłości.

Pochodził trochę po pokoju, pogapił się w ściany, a potem spojrzął na zegarek. Dwudziesta trzecia, a ja jestem w domu. Sam. Jak żyć, pani premier? Jak żyć?

Nie pamiętał, kiedy zakończył wieczór tak wcześnie.

„Moja młodość pełna jest koślawych ścieżek” – zadrwił Plant.

Tak czy inaczej trzeba pogadać z przyjacielem. Wyjął z szafki flaszkę jacka. Zanim jednak napełnił szklaneczkę, zobaczył w ciemności zbliżające się reflektory. Jakieś auto parkowało pod domem. Gdy usłyszał odgłos szpilek, przymknął oczy. Wróciła. Niesamowite, wróciła.

– Otwarte, wejdz! – krzyknął, zanim zdążyła zapukać.

Otworzyła drzwi, zamknęła.

Stała teraz przed nim. A on cały czas nie otwierał oczu.

Niespodzianka.

Cuda się zdarzają.

Nie trzeba nawet za wiele wypić.

Zaraz usłyszy dźwięk rozsuwanego suwaka, stukot zrzucanych butów, szelest opadającej na ziemię sukienki. Poczuje zapach perfum, gorący dotyk ciała, smak ust na naprężonych mięśniach brzucha. Nie po to trenował sześciopak, żeby tak sobie leżał bezużytecznie, nie?

Niespodzianka.

– Wstawaj – szepnęła Magda. – Musimy jechać.

– Co?

– Coś się stało, musimy zaraz być u Sawickiego. Wstawaj, no już!

Cuda... jednak się nie zdarzają.

Przynajmniej nie tak po prostu.

– Jestem nawalony – zaprotestował.

– Wytrzeźwiejesz.

Myślał, że się go pozbędą. W ministerstwie długo musiał czekać na korytarzu, zanim w końcu drzwi do gabinetu się otworzyły i zobaczył szczupłą twarz podsekretarza stanu, którego wszyscy gliniarze nazywali po prostu Generałem. Generał był najślynniejszym gliną w kraju, obecnie oddelegowanym do resortu, gdzie nadzorował policję i służby mundurowe. Dzięki dogłębnej znajomości zagadnienia stworzył wiele projektów walki z przestępczością zorganizowaną, w tym zmodernizował znacząco program ochrony świadków koronnych.

Był kochany przez policjantów, agentów pod przykryciem, szeregowie gliny. Gorzej z szefami, którzy na każdym kroku próbowali podkopać jego pozycję.

Szczęśliwie bez większych sukcesów.

Generał miewał polityczne wpadki, ale o mundurowych, a szczególnie o formacje walczące z najgroźniejszymi bandytami i mafią, dbał jak nikt. Nawet gdy nagrano go w knajpie podczas rozmowy ze znanym lobbystą, z którym miał ustalić program modernizacji służb, poza wulgarnym językiem i faktem, że w ogóle podejmował podobne rozmowy z podejrzanymi typami, trudno było mu cokolwiek zarzucić.

Generał nie zdradzał swoich podwładnych, walczył w ich imieniu o pieniądze, zapewniał, że dla oficerów policji gotów jest zrobić wszystko.

Po ujawnieniu taśm minister spraw zagranicznych, znany z zamiłowania do komunikacji za pomocą portali społecznościowych, napisał do niego na Twitterze:

Szacun!

Dzisiaj politykę robi się na Twitterze. Ćwierkająco poważnie.

Właśnie dlatego, że oddanie Generała dla munduru było całkowite, Lenz myślał, że to jego koniec.

Podniosłeś rękę na swoich, nasrałeś we własne gniazdo, musisz ponieść konsekwencje.

– No, wchodź, wchodź, nie mam czasu stać tu godzinę – ponaglił go Generał.

Lenz odetchnął głęboko, wstał i pewnym krokiem podszedł do drzwi. Uścisnęli sobie dłonie, twardo, po męsku. Generał popchnął gościa do środka i wskazał krzesło. Gabinet był stosunkowo przestronny i dobrze wyposażony. Choć nie tak dobrze jak legendarne już biuro szefa CPI, mieszczące się naprzeciwno.

– No i coś ty narobił, Lenz? – Generał z naganą pokręcił głową i usiadł za stołem.

Co narobiłem? Lenz pomyślał, że powinien teraz wybuchnąć i nakrzyczeć na zwierzchnika. No bo on też nie był bez winy. Fatalnie, że ta sprawa zakończyła się

medialną awanturą, ale Lenz nie miał wyjścia. Owszem, mógł jak wszyscy udawać, że nie widzi patologii, mógł się zgodzić na zamieszczenie sprawy pod dywan, zapomnieć o przekrętach i po prostu zająć się sobą.

Mógł.

– Oni chronili seryjnego, panie ministrze – bąknął tylko.

Zaczął się, gdy Lenzowi, komisarzowi w jednej z trójmiejskich komend, powierzono na pozór proste śledztwo dotyczące gwałtu na piętnastolatce.

Przesłuchał dziewczynę, świadków, wykonał całą robotę, ale prokuratura umorzyła sprawę, bo uznano, że dziewczyna kłamie.

Lenz był innego zdania, mimo to przełknął gorzką pigułkę. Był tylko prostym gliną. Co miał robić?

Pojechał do domu dziewczyny, żeby się jakoś wytłumaczyć, lecz gdy spojrzął w oczy jej rodzinie, nie potrafił wydobyć z siebie głosu.

Jestem dupkiem i tyle – mógł tylko powiedzieć.

Kilka tygodni później został wezwany na świadka przez prokuratora, który prowadził dochodzenie przeciwko bratu tej dziewczyny i dziewięciu innym osobom. Próbowali sami wymierzyć sprawiedliwość i spuścić łomot gwałtocielowi, a może zrobić mu coś więcej. Lenza uderzyła szybkość i dokładność, z jaką zakończono to postępowanie. Wszystkich oskarżonych uznano za winnych i zasądzono im dotkliwą karę więzienia, podczas gdy gwałtociel pozostał na wolności.

Lenza ruszyło. Postanowił sprawdzić dokładniej. Okazało się, że gwałtociel jest zamieszany w kilkadziesiąt podobnych spraw i trudni się stręczycielstwem nieletnich, które dostarcza bogatym klientom i wprowadza do drogich, ekskluzywnych klubów.

Bezskutecznie próbował zainteresować sprawą przełożonych i prokuraturę, zebrał dokumentację w jednym miejscu, sporządził z niej streszczenia, żeby przełożeni nie musieli za długo czytać, sam po godzinach przeprowadził wiele nowych przesłuchań, zebrał bezsporne dowody winy. I to nie tylko gwałtociela, lecz także całego gangu stręczycieli i korzystających z ich usług... notabli.

Być może gdyby nie oni, sprawa zakończyłaby się inaczej. Ale Lenza zaczął temperować, a że młody komisarz nie lubił, gdy ktoś go próbuje ułożyć, to się postawił.

Odkrył kolejne powiązania i związek z przestępstwami. Kiedy zaś wyszło na jaw, że gwałtociel może być zamieszany w dwa zabójstwa i zaginięcia, nie było już odwrotu.

Okazało się jednak, że ścigając gwałtociela i jego kumpli, nadepnął na odcisk kilkunastu policjantom, którzy po godzinach pracy, łamiąc prawo i procedury, zatrudniali się jako ochrona w lokalach, które obsługiwał gwałtociel.

Lenzowi zaczęło grozić śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Tak, ale z tym pójściem do prasy i publikacjami na własną rękę trochę przesadziłeś – wyrzucił mu Generał.

– Nie wiedziałem, jak daleko to sięga.

– Też byłem podejrzanym? Mogłeś przyjść do mnie.

Łatwo powiedzieć. Tak naprawdę Lenz nie wiedział, komu może ufać. Policjanci ochraniaли nie tylko kluby, ale i gangsterów. Na dodatek odkrył, że działają w większej grupie, na skalę ogólnopolską. Właściwie wszyscy mogli być w to zamieszani. Generał również.

Media w tej sytuacji były tak naprawdę jedynym ratunkiem. I musiał się spieszyć, bo już próbowano zrobić z niego wariata. Za chwilę mógłby przedawkować jakiś lek albo wpaść pod samochód.

Przekazał całą dokumentację dziennikarzom jednego z programów telewizyjnych i następnego dnia... został wezwany do komendanta wojewódzkiego, który próbował zamieść śmieci pod dywan.

Dziennikarze go zdradzili, kumpłowali się z glinami i nie chcieli się narażać.

Szef oczywiście udawał przejęcie, klepał Lenza po ramieniu, gratulował niezłomności, postawy, zaangażowania i działań ku chwale ojczyzny i jej obywateli. Po czym powiedział: „My już się tą sprawą zajmiemy, a was, Lenz, przeniesiemy do Warszawy z dodatkową gwiazdką. Co wy na to, Lenz?”

Chcesz udupić sprawę, daj śledczemu awans.

Nawet nie będzie miał jak się poskarżyć.

Stary, dobry sposób.

Lenz udał, że przyjmuje ofertę, po czym zaraz po wyjściu z komendy i lekko paranoicznej ucieczce przed ewentualnymi szpiegami opublikował całość materiałów na kilku serwerach i na blogu kontrowersyjnego byłego pismaka, którego nikt nie chciał zatrudniać w gazetach. Zastrzegł anonimowość, ale wiedział, że jest ona pozorna, że gliny i przełożeni będą wiedzieć.

Oto jest ten, który zdradził.

Lenz. Komisarz Lenz.

– Liczy się tylko to, że podjęto rzetelne śledztwo – oznajmił Generałowi Lenz.

Wcale nie był pewien tej rzetelności, no ale powstał specjalny zespół do zbadania wszystkich poruszonych wątków. Gwałciciela i potencjalnego zabójcę przymknięto, zarzuty postawiono pracownikom klubów, policjantom i wielu innym osobom.

Zrobiło się z tego prawdziwe megaśledztwo.

A Lenz?

– Gdzie to cię wysłali, Lenz? – Generał uśmiechnął się znacząco. Drań dobrze wiedział, gdzie go oddelegowano.

– Do Małej Zemsty – odparł, choć korciło go, żeby wypowiedzieć zupełnie

inną, trudną do powtórzenia kaszubską nazwę miejscowości.

– Mała Zemsta. A to dobre. Zupełnie przypadkiem, co?! Że też są w Polsce dziury o tak trafnych nazwach.

– Inspektor Grzegorzczak ma poczucie humoru.

– Emerytowany inspektor.

– Zdążył się mnie pozbyć, a nowy komendant jakoś za mną nie zatęsknił.

– Na moją prośbę – powiedział zagadkowo Generał.

Lenz spojrział zaskoczony. O co tu chodziło?

– Nie dziw się, wołałem cię trzymać z dala przez jakiś czas. Taka gra operacyjna, żeby twoim byłem kolegom nie strzeliło coś głupiego do głowy. Co innego pójść siedzieć za nadużycia i udział w gangu, a co innego za morderstwo czy usiłowanie. Byłeś pod dobrą opieką.

Znów ten uśmiech. Zaraz, czyżby...

– Jak się ma Mafia? – Generał ledwie dostrzegalnie mrugnął okiem.

A to drań! Lenz musiał bardzo się postarać, by nie dać po sobie znać, jakie wrażenie zrobiła na nim ta rozmowa. Przez tyle miesięcy był pewien, że ponosi konsekwencje swojej niesubordynacji, a tymczasem Generał zwyczajnie go chronił. Na dodatek w dość ciekawym miejscu. Mała Zemsta była położoną na całkowitym odludziu wioską, w pięknych pomorskich plenerach, w okolicy pełnej lasów i jezior, raptem trzydzieści kilometrów od morza. Zadupie, ale w wakacje raj. Niezbyt daleko od Trójmiasta, a jednak wystarczająco, by być poza zasięgiem przeciwników. Żona Lenza narzekała, że to dzieci były zachwycone. Na dodatek dostali całkiem ładne, nowo wyremontowane mieszkanie na posterunku policji, z własnym dostępem do wody, pomostem i motorówką. I klatką na niedźwiedzie z niezwykle psem w środku. Jakby tego było mało, sąsiadem Lenza okazał się gangster o nienaganych manierach i lekko szyderczej ksywce „Mafia”.

A więc to wszystko było ściemą przygotowaną przez „zośkę” – Zarząd Ochrony Świadka Koronnego?

– Narzeka ciągle na serce – odparł, udając, że ma żelazne nerwy.

– Standard. Nadal uważa, że ktoś chce go otruć?

– Powtarza to dwa razy dziennie.

– Wciąż daje próbować swoje jedzenie psu?

– I gościom.

– Stary, dobry Mafia.

– Jest świadkiem czy gliną pod przykryciem? – zapytał Lenz, zanim ugryzł się w język.

– Kimś... szczególnie – odparł Generał i spojrział znacząco na zegarek. No tak, czas ministrów biegnie zdecydowanie szybciej niż czas prowincjonalnych glin.

– Poprosiłem cię o rozmowę z zupełnie innych powodów.

To było trzy lata temu. Lenz opuszczał gabinet Generała z nominacją na

szefa nowo utworzonego Wydziału Operacji Specjalnych – Wydziału S – i awansem na podinspektora. Już następnego dnia rozpoczął werbowanie kandydatów do zespołu tej specyficznej, ściśle tajnej agendy. W ciągu tych trzech lat wywalczył potrojenie budżetu, zatrudnienie kolejnych osób i rozwiązanie kilku skomplikowanych, niezwykle ważnych dla bezpieczeństwa państwa śledztw.

Z pewnością nie zawiódł Generała, który dziś był już poza firmą i ministerstwem, miał własną spółkę doradczą, oskarżaną zresztą o różne akcje lobbujące.

Lenz wciąż zadawał sobie pytanie, co zrobi, jeśli któreś ze śledztw będzie bezpośrednio dotyczyć byłego przełożonego. Kilka niebezpiecznie się o niego ocierało.

Nie był pewien, czy nie musi się go obawiać. Czy świadcząc płatne usługi, Generał nie zdradzi dawnego protegowanego i innych osób zaangażowanych w działalność Wydziału S? Instynkt zaprzeczał. Lenz czuł, że Generał pozostanie wierny przysiędze, nawet jeśli ktoś będzie chciał mu zapłacić miliony.

Są sprawy, które nie mają ceny.

Wierzył, że tyle samo znaczy też Wydział S dla Generała. Być może kiedyś, gdy będzie już można ujawnić jego istnienie, ktoś postawi byłemu ministrowi pomnik za ten pomysł i jego realizację.

Tak właśnie przechodzi się do historii.

I zapisuje się na jej kartach w zupełnie innych barwach, niż negocjując więzienia z CIA, uczestnicząc w dziwnych akcjach ze szkodą dla własnego państwa czy lobbując na rzecz różnych zboczonych cwaniaków.

Sprawę Sawickiego zespół Lenza monitorował na prośbę prokuratora generalnego od prawie dwóch miesięcy, od pierwszego zabójstwa, jak tylko śledczy się zorientowali, że podejrzanym może być jeden z najbogatszych Polaków. Ze względu na miejsce dokonania zbrodni nadano sprawie kryptonim „Kort”. Lenz wolał drugą z proponowanych nazw – „Apteka”, która bardziej pasowała do ofiary – ale zespół go przegłosował. Zarządzał Wydziałem S demokratycznie: wszystkie kwestie były poddawane głosowaniu, a potem... podejmował decyzję. Jaką chciał. Tym razem przychylił się do zdania większości.

O ile pierwsze zabójstwo spowodowało tylko działania prewencyjne i nadzór nad czynnościami śledczych z Gdańska, żeby przypadkiem komuś nie strzeliło do głowy zatrzymać Sawickiego w świetle kamer, bez niepodważalnych dowodów jego winy, o tyle po wyjątkowo brutalnym zabójstwie Foki w Szczecinie Wydział S przejął wszystkie czynności śledcze.

Szczegółowo zbadano oba miejsca zbrodni, powtórzono czynności śledczych z Gdańska, żeby się upewnić, że zostały wykonane właściwie, przeprowadzono niezbędne analizy laboratoryjne, kontrole monitoringów, przesłuchano dziesiątki świadków.

Na próżno.

Nie było żadnego śladu prowadzącego do zabójcy.

I żadnego wykluczającego pośredni lub bezpośredni udział Sawickiego. Niestety, mimo zastosowania różnych podstępów nie udało się również ustalić, czy przedsiębiorca ma alibi na czas zbrodni.

Pozostawał w kręgu podejrzanych, choć oczywiście nikt nie przyjmował tego na serio.

Trzecia ofiara nie wzbudziła w żadnym z członków Wydziału S odruchu współczucia (chyba wszyscy oni – albo ich bliscy – mieli kredyt we frankach, przez co bankierów darzyli nieskrywaną nienawiścią, a maklera traktowali jako odprysk tego kurewskiego biznesu), ale doprowadziła do małego trzęsienia ziemi.

Nie, z dowodami cały czas był kłopot, choć coraz więcej poszlak wskazywało na związek nie tylko ofiar, ale i tragicznych wydarzeń z Sawickim. Jeśli nie z samym prezesem, to ze stworzoną przez niego firmą.

Cały Wydział S postawiono na nogi, Lenz dostał sporo nowych uprawnień, pełne wsparcie od prokuratury, a także pomoc wydziału dochodzeniowego i cybernetycznego ABW.

Nie wierzył co prawda, że mają do czynienia z seryjnym, a już na pewno, że jest nim ten znany przedsiębiorca o prawie nieposzlakowanej opinii, niemniej związek występujący pomiędzy ofiarami był dość oczywisty.

Gdy niespełna tydzień później znaleziono ciało oszusta Gumisia, a w policyjnej karcie elektronicznego modułu procesowego pojawiło się na liście osób do przesłuchania nazwisko Marek Sawicki, w komendzie głównej i ministerstwie wybuchła prawdziwa panika.

Podobno doszło do serii narad, na dywaniku lądowali kolejno komendanci, prokuratorzy i sekretarze stanu, aż wreszcie wezwano również Lenza.

Niechętnie zabrał ze sobą notatki z już poczynionymi ustaleniami i ruszył do Warszawy.

Delikatna sugestia, że ma się w końcu wziąć do roboty, poskutkowała może nieco za ostrą ripostą, żeby szanowna pani premier pozwoliła mu pracować, a nie tłumaczyć się nie-wiadomo-komu-z-nie-wiadomo-czego.

Potem już grzecznie wyjaśnił, jakie podjął działania i dlaczego wciąż były one niewystarczające, żeby pochwycić winnego lub chociaż zbliżyć się do wyjaśnienia tych „potwornych” – jak to pani premier była uprzejma określić – zbrodni.

– Więc podejrzewacie, że może być w to zamieszany jakiś obcy wywiad?

Lenz westchnął. Niczego takiego nie powiedział, podobnie – jeśli się nie mylił – jak żaden z jego poprzedników na dywaniku. Ale pomyślał, że nie warto prostować.

– Podejrzewamy, że mamy do czynienia z niezwykle groźną grupą

przestępczą – podsumował, a pomyślał: jak ja uwielbiam ten cały patos.

– Gdyby potrzebował pan jakichś dodatkowych środków, proszę zwracać się bezpośrednio do mnie, komisarzu – powiedziała pani premier.

– Oczywiście. – Lenz nie poprawił, że jest inspektorem. Jeszcze pani premier zechciałaby go „awansować” na komisarza! Jak znał złośliwość komendanta głównego, ten z przyjemnością spełniłby jej prośbę.

Ledwie zdążył wrócić do Gdańska, kiedy się dowiedział, że na lądowisku czeka na niego śmigłowiec, z całą sześćoosobową grupą dochodzeniową przydzieloną do „Kortu”.

Przez godzinę lotu próbował się zdrzemnąć, jednak natłok myśli nie dawał mu spokoju. Gdy Lenz usłyszał, że ostatnią ofiarą jest znany inwestor, profesor medycyny, brat jednego z najsłynniejszych kardiologów i bliski znajomy, a może nawet przyjaciel Sawickiego, wiedział, że wszystkie poprzednie problemy to tylko lekki wietrzyk zwiastujący prawdziwy huragan.

Teraz było cicho. Za chwilę się zacznie.

Będzie z hukiem i błyskawicami.

Baaardzo głośno.

Oczekiwał, że pojedą na Wolę lub do wieżowca WFC, gdzie Sawicki miał biura, tymczasem Magda ruszyła w kierunku Ursynowa. Nie chciała odpowiadać na żadne pytania.

– Nie wiem – ucieła i skupiła się na prowadzeniu samochodu.

Na miejsce dotarli przed północą. Zanim Magda podjechała do wysokiego białego muru, drewniana brama otworzyła się mechanicznie. Zimny spojrzął w oczy ochroniarzowi, który trzymał w rękach pilota. Zaparkowali przed jednopiętrowym domem, bardziej przypominającym zwykły, niewielki budynek biurowy niż wille z okolicy. Ale było w nim coś ekskluzywnego. Jakby mówił: wszędzie tu kolumny, piękne dachówki, różne dziwaczne zdobienia, a ja jestem prosty i funkcjonalny, co nie znaczy, że tani. Może nawet najdroższy w okolicy.

Przy drzwiach widniała czarna tabliczka z czerwonym napisem:
NeoTech Sp. z o.o.

– Nie widziałem w strukturach grupy nazwy NeoTech – powiedział Zimny.

– Bo jej tam nie ma.

– Prywatna spółka Sawickiego?

– Nie. To szwajcarska firma.

– Należąca do jakiegoś prawnika, który działa na rzecz nieznanego mandanta? – Zimny pomyślał, że Sawicki może wcale nie jest taki czysty, jak wygląda. Jeśli ma poukrywane jakieś spółki wyciągające kasę z firmy...

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

– Tak? Każdy z tych wielkich biznesmenów ma takie kwiatki w szafach. Udają przejrzystość, pracę dla wspólnego dobra, a potem się okazuje, że milioniki przepływają przez podobne dziwadła.

– Bzdury opowiadasz. Neo... a zresztą, myśl, co chcesz.

W środku żadnych fajerwerków. Dyżurka, umundurowany strażnik, jedne drzwi, drugie, korytarz, kolejne. Przy każdym wejściu kamera i czytnik kart. Piknięcie, dioda zmieniająca kolor z czerwonego na zielony. Na końcu korytarza jakieś drzwi pancerne z wielkimi napisami i znacznie większymi czytnikami, przypominające wjazd do statku kosmicznego. Ale oni do nich nie doszli.

Magda zapukała do drzwi w połowie korytarza.

Otworzył Mastalerz. Czerwony na twarzy, spocony, zmęczony jak cholera. W środku za długim stołem siedział Sawicki. Bez marynarki, z podwiniętymi rękawami. Obok dwaj ludzie bez szyi – ochroniarze. I jakiś gość, którego jeszcze nie poznał. W gajerku, pod krawatem, elegancki, spięty. Zimny nazwał go

„Purpurowe Policzki”.

Pomieszczenie nie miało okien. Szumiała cicho klimatyzacja, ale chyba była mało wydolna albo przed konserwacją. W końcu lato dopiero za parę miesięcy.

To skąd ten zapach i uczucie gorąca?

Gdzie podział się Bruno? – pomyślał Zimny z sarkazmem. Wypełniłby wnętrze zapachem perfum. A tak... śmierdziało.

Magdzie też wyraźnie nie spodobał się zapach, ale szybko ukryła skrzywienie ust w lekkim uśmiechu, który miał znaczyć: cieszę się, że was widzę, choć okoliczności nie sprzyjają i wcale nie mam dobrych wiadomości. Miny pozostałych mówiły, że oni też nie mieli.

Zimny ugryzł się w język, żeby nie zakrzyknąć: „No dobra, kto umarł?!”.

Sawicki podniósł się, podał mu dłoń, wskazał krzesło naprzeciwko.

– Siadaj.

Magda, nieproszona, usiadła obok, Mastalerz po prawej stronie Sawickiego. Ochroniarze poprawili się na swoich krzesłkach na końcu stołu. Purpurowe Policzki chwycił długopis i zaczął nim nerwowo prztykać.

Zimny ciężko przełknął ślinę. Zaczynał trzeźwieć.

– Mogę dostać szklankę wody?

Sawicki spojrzał na ochroniarza.

– Nalej mu.

Począł, aż Zimny się napije, i skinął głową prawnikowi. Mastalerz chrząknął i zaczął „przesłuchanie”.

– Mieliśmy przeprowadzić tę rozmowę nieco później, ale okoliczności zmuszają nas do... zmiany planów. Zresztą chyba pan też się zorientował, że tak naprawdę nie oczekujemy od pana napisania książki, tylko czegoś... innego.

– Więc nie będzie książki. – Zimny udął zmartwienie.

– Może być – powiedział cicho Sawicki. – Wydamy ci, co chcesz...

– No dobrze, więc o co chodzi?

– Jak panu wspominałem, gdy się poznaliśmy, firma Sawicki jest na celowniku kogoś, kto ma ochotę ją wrogo przejąć – podjął Mastalerz.

– Mówił pan o Otto czy BiOtto – przypomniał Zimny.

– Jedno i to samo, ale sądzimy, że może chodzić o kogoś innego.

– O kogo?

– Na tym etapie to mało istotne. Powiedzmy, że to ktoś niezbyt dobrze widziany w naszym kraju.

– Rosjanie?

– Nieważne. Ważne jest to, że podejmują coraz ostrzejsze działania wymierzone w spółkę i akcjonariuszy. To już nie są drobne prowokacje czy dezinformacja...

– Opowiedz wszystko od początku – zaproponował Sawicki. – Bez retuszu.

– Okej. – Mastalerz skinął głową. – Zaczęło się niewinnie, od pewnego dziennikarza, który przysłał nam pytania o vialix. Odpowiedzieliśmy. Żaden tekst na ten temat nie powstał. Ten sam reporter po kilku dniach zadał kolejne pytania, tym razem nieco ostrzejsze. Zarzucał nam oszukiwanie inwestorów i pompowanie kursu. Odpowiedzieliśmy. Znow tekst nie powstał. Następne pytania były już jawnym pomówieniem. Dziennikarz twierdził, że ma dowody na wyprowadzanie pieniędzy ze spółki, wykorzystywanie informacji poufnych przez prezesa, manipulacje kursem i inne przestępstwa. Znow odpowiedzieliśmy. Zaprzeczyliśmy wszystkim zarzutom i poprosiliśmy o przedstawienie nam tych dowodów. Do takiej konfrontacji jednak nie doszło.

– Tekst również nie powstał?

– O, jak dobrze już pan kuma! Publikacji nie było, za to następne pytania – tak. Tym razem prawie sto pytań. W tym takie, jakie również pan ma ochotę zadać.

– O Anikę? – domyślił się Kuba.

Mastalerz potwierdził. Sawicki patrzył trochę w dół, przed siebie. Jak robot ładujący baterie przed podjęciem kolejnego zadania.

– I o przyjaciół Marka, współników, którzy zginęli w wypadku – dodał mecenas.

– Podejrzewam, że dziennikarz pytał, czy pan Marek...

– Mów mi po imieniu, Kuba – przerwał Sawicki, przypominając, że już wcześniej przeszli na „ty”.

– ...pytał, czy Marek maczał palce w tym wypadku – dokończył Zimny.

– Nie – odrzekł Mastalerz. – Pytał, komu zlecił jego zorganizowanie i czy byli to ci lub tamci. Wymieniał znanych w latach dziewięćdziesiątych gangsterów. Twierdził, że jest w posiadaniu zeznań świadków koronnych, które obciążają Marka. Że ci świadkowie utrzymują, jakoby Marek kumplował się z Pershingiem, Masą, Dziadem, Samarem, Wańką... całą brygadą gangsterów i mafiosów.

– Oczywiście to nie była prawda?

– Oczywiście. Marek nie znał żadnej z wymienionych osób. Nie zlecił zabójstwa przyjaciół. Był gotów oddać za nich życie. Byli dla niego jak bracia.

– Dość nieswojo się czułem, słysząc takie oskarżenia – dopowiedział Sawicki.

– Bydlę – wymknęło się Zimmemu. I żeby nie było wątpliwości, dorzucił szybko: – Ten dziennikarz. Tekst pewnie znow nie powstał?

– Nie. Za to przyszły kolejne pytania. Tym razem dotyczyły przekrętów związanych z mafią paliwową, zleceń zabójstw generała policji, afer księgowych, zleceń karuzelowych, wyłudzeń VAT, przekupywania urzędników, zmów przetargowych, zakładania podsłuchów kontrahentom, ucinania końskich łbów...

– Poważnie?

– Tak. Dziennikarz utrzymuje, że jego informator zeznał o rzekomym podrzuceniu końskiej głowy do domu naszego konkurenta. Ten konkurent co prawda nie potwierdzał, ale zdaniem dziennikarza tylko ze strachu przed kolejnym łbem...

– Same kłamstwa. Co to za dziennikarz?

– Znaany. Nawet bardzo. Na razie jego nazwisko musimy zachować w tajemnicy. Zaczęliśmy się zastanawiać, o co chodzi, i zasięgać języka na rynku. I wtedy pojawił się pewien lobbysta. Powiedział, że zna dziennikarza i może się podjąć pośrednictwa w rozmowach. To dla nas nie wchodziło w grę, ale udawaliśmy, że jesteśmy zainteresowani propozycją i możemy się spotkać. Lobbysta wrócił, powiedział, że dziennikarz boi się spotkać. Rzekomo obawia się prowokacji, a nawet utraty życia, i zamierza wszystkie swoje zarzuty opublikować w książce, którą przygotowuje.

– Wygodne wyjaśnienie, dlaczego nie powstał na razie żaden artykuł – ocenił Zimny.

– Właśnie.

– I pewnie lobbysta zasugerował, że tę książkę można od niego kupić?

– Jaki pan domyślny! Z tą różnicą, że nie kupić, tylko nabyć wyłączną licencję do jej rozpowszechniania. Sprzedałby nam prawa, a my moglibyśmy ją wydać na przykład w jednym egzemplarzu.

– Dużo sobie zażyczył?

– Milion.

– W sumie nie tak wiele.

– Bo nie chodziło o pieniądze, tylko o kolejny kwit.

– Zapłaciliście?

– Nie. Lobbysta podejmował dalsze próby, a my cały czas się zastanawialiśmy, o co może chodzić. Szukaliśmy śladów i informacji i wtedy się okazało, że ten dziennikarz, lobbysta i parę innych osób próbowało już podobnych działań wobec innych przedsiębiorców.

– Gang hakowy – mruknął Zimny.

– Coś pan wie na jego temat?

– Tylko plotki. Mam nawet jednego szalonego informatora, który ciągle donosi na ten gang. Rzekomo należą do niego agenci służb, prawnicy, biznesmeni, a nawet posłowie. Na zlecenie agentów i dziennikarzy piszą interpelacje.

– O nas parę napisano – mruknął Sawicki.

– Tak więc posłowie, agenci, prawnicy, biznesmeni...

– I dziennikarze, niech pan nie zapomina o dziennikarzach. Trochę pochodziliśmy wokół tematu, tym bardziej że zaczęliśmy dostawać kolejne pytania z różnych redakcji. Wyraźnie było widać, że za wszystkimi stoi ten sam dziennikarz, choć podpisywał się też innymi nazwiskami lub prosił swoich

kolegów o przesłanie jego pytań. Przekazaliśmy sprawę prawnikom, ochronie, wynajęliśmy detektywów...

Mastalerz zerknął znacząco na jednego z ochroniarzy. Ten skinął głową i w krótkich, żołnierskich słowach dokończył:

– Ustaliliśmy, że ten gang szantażuje ludzi, przeprowadza prowokacje i manipulacje, ale też wrabia w prawdziwe przestępstwa. Z najcięższymi włącznie.

– I to... zaczęło się dziać u nas – dodał Sawicki.

– O cholera – wymknęło się Kubie. – W co was chcą zrobić?

– Pewnie łatwiej byłoby odpowiedzieć, gdyby pytanie brzmiało: w co nie chcą...

Ochroniarz wyjął z torby kilka kartek papieru. Podał je Kubie.

– To wyciągi z elektronicznego modułu procesowego.

– Co to takiego? – zapytał Zimny, by zyskać na czasie i dokładniej przeczytać wydruki. Dobrze wiedział, czym jest ten program komputerowy.

– System policyjny do rejestracji przestępstw. Część tak zwanego e-posterunku. Policjanci, zamiast ręcznie opisywać przestępstwa i miejsca zdarzenia, wprowadzają dane do komputerów. Dzięki temu łatwiej je analizować, wyszukiwać powiązania...

– I robić przecieki – dodał Kuba.

– To też. Od naszych przyjaciół z policji otrzymaliśmy te kopie.

Kuba obejrzał kartki. Zawierały zdjęcia i opisy czterech mężczyzn. Czterech trupów. Jakiegoś starszego pana w lekkim sportowym garniturze, olbrzymiego mięśniaka w średnim wieku oraz dwóch brutalnie zgładzonych stosunkowo młodych mężczyzn, którzy wyglądali na bankierów, maklerów lub handlowców.

– Wszyscy zostali zamordowani w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

– Domyślam się, że dostaliście od dziennikarza pytania, czy macie z tym coś wspólnego.

– Nie – sprostował Mastalerz. – Dziennikarz pyta, dlaczego pozbyliśmy się tych ludzi, komu Marek zlecił ich zamordowanie czy też może dokonał zbrodni sam, czy ma alibi na czas zdarzenia, czy życie ludzkie jest dla niego tak mało warte.

Marek Sawicki zwiesił głowę. Widać było, że te pytania nie spływają po nim jak woda po gęsi, mimo oczywistej, nacechowanej sarkazmem przesady.

– Zaraz – pomyślał na głos Zimny. – Znał pan tych ludzi?

– Tak, niektórych bardzo dobrze – przyznał Sawicki.

– Wszyscy w jakiś sposób weszli w konflikt z naszym koncernem – dopowiedział Mastalerz. – Dlatego sądzimy, że to nie przypadek. Że ktoś nie dość, że chce nas zrobić medialnie w te zabójstwa, to jeszcze, żeby dopiąć swego, specjalnie zabija.

Zimny patrzył na prawnika oniemiały. O ile do tej pory wszystko grało,

o tyle teoria, wedle której gang hakowy miałby zabijać, żeby zrobić w te zabójstwa przedsiębiorcę, chyba szła za daleko.

– Trudno uwierzyć, prawda? – Sawicki przerwał kłopotliwą ciszę.

– Trudno – przyznał Zimny. Znał trochę metody działania takich szantażystów. Stosowali różne manipulacje i prowokacje, ale nie zabijali.

Popatrzył w twarze ochroniarzy. Wydawały się napięte, jakby nie wiedzieli, czy za chwilę Zimny nie zareaguje tak, że będą musieli interweniować. Cóż, bezpieczniej na razie tego nie roztrząsać.

– Coś jeszcze się wydarzyło, prawda? – zapytał. – Dlatego to nagłe spotkanie.

Sawicki skinął głową, pozwalając Mastalerzowi mówić dalej:

– Dziś dowiedzieliśmy się o zabójstwie, które odbiega od opisanego klucza, czyli zabijania wrogów koncernu czy też osób z nami skonfliktowanych. Wczorajszej nocy zamordowano profesora Jana Kilińskiego, który...

– Byliśmy przyjaciółmi – dodał Sawicki. – Bardzo ceniłem Janka i chyba wzajemnie.

– Informacja jest pewna?

– Potwierdziliśmy to w źródłach policyjnych – dodał ochroniarz.

– Ale dowiedzieliśmy się z tego. – Mastalerz podał Zimnemu wydruk z zapisanymi drobną czcionką pytaniami. – To z maila od tego wspomnianego na początku dziennikarza. Znow się uaktywnił, napisał nam o zabójstwie profesora i zapytał, dlaczego się go pozbyliśmy, czy Marek ma alibi i... cały ten zestaw, o którym mówiłem...

Zimny czytał pytania. Niektóre były wyjątkowo bezczelne i nietaktowne. Ich nadawca właściwie dawał do zrozumienia, że wszystko wie i niczego nowego nie chce się dowiedzieć. Oczekuje jedynie komentarza do tego, co sobie ubzdurał. Bardzo dziwne jak na dziennikarza. Choć może dziś wcale nie dziwne. Dziennikarz pytał o zarzuty stawiane przez profesora spółce, korespondencję Sawickiego z Kilińskim i ich spotkanie tuż przed zabójstwem.

– Spotkał się pan wtedy z profesorem?

– Oczywiście, że nie. Wszystkie te pytania insynuują coś, co w ogóle nie miało miejsca. Nie było żadnego sporu, żadnego konfliktu, niestety również żadnego spotkania. Mówię niestety, bo gdybym wiedział o jakichkolwiek wątpliwościach Janka, o jakiejś naszej korespondencji, o której wspomina ta... gnida, tobym może zareagował, wynajął Jankowi ochronę, mógłbym przeczuć, że coś mu grozi.

– Wie pan – dodał Mastalerz – że po tych pytaniach i sugestiach, jakobyśmy stali za zabójstwami, wynajęliśmy ochronę dla ludzi, którzy byli z nami w konflikcie? Na szczęście zostało już takich niewielu. Chodzą za nimi nasi detektywi.

– Możemy wytypować potencjalne ofiary, ale niestety nie jesteśmy w stanie przewidzieć, z kogo zabójcy będą chcieli zrobić naszych wrogów – dodał ochroniarz.

– Ryzykujemy kolejne zarzuty – powiedział Sawicki. – Można przecież będzie nas teraz oskarżyć o nielegalną inwigilację przeciwników biznesowych.

– Ten dziennikarz to naprawdę bydlak.

Sawicki nagle przestał się złościć. Jakby po wyrzuceniu z siebie całej tej historii i oddaniu emocji Kubie przeszedł na funkcję „rozgrywka biznesowa”. Bo w sumie, jeśli mieli rację, to była taka rozgrywka.

Tyle że zabójstwa nie do końca pasowały do takiej nomenklatury.

– Wykonuje polecenia mocodawców – podsumował biznesmen. – Jest chytry, przebiegły, konsekwentny. Przecież tylko zadaje pytania.

– Jeśli nie pisze artykułów, to chyba nic go nie wybroni – szepnął Kuba.

– Już mówiliśmy, tłumaczy się, że pisze książkę.

No tak.

Dziennikarz pomyślał o czymś jeszcze.

– Tak szybki dostęp do informacji o zabójstwach może go stawiać w kręgu podejrzanych...

– Też tak sądzimy.

Kuba poprawił się na siedzeniu. Poczul, że cały jest spocony. Nie czuł zapachu, ale był pewien, że śmierdzi kwaśno przetrawionym alkoholem.

– No dobra, koniec tego zwodzenia. Musicie mi powiedzieć, jak się nazywa ten dziennikarz!

Jeden z ochroniarzy wstał i stanął za nim. Drugi zaczął unosić się z miejsca. W tym samym momencie Magda nagle poderwała się z krzesła, bąknęła: przepraszam, i wyszła z pokoju.

– Nie ma sprawy – odezwał się Sawicki. – Powiemy...

Drugi ochroniarz już stał przed Kubą.

Jakby obaj zaraz mieli się na niego rzucić.

Kuba nic nie rozumiał. Co jest grane?

– Więc?

– Podał nam nazwisko... – zaczął Mastalerz.

– ...Kuba Zimny – dokończył Sawicki.

Musiała wyjść z pokoju. Tyle myśli nagle wróciło. Przez dłuższy czas udawało jej się grać przed Zimnym, ale potem już nie była w stanie. Poszła do łazienki. Odświeży się i wróci. Wszyscy pomyślą, że po prostu musiała skorzystać z toalety.

Zimny nie da się nabrać. Będzie ją potem badać.

O to jej chodzi.

Muszę wzbudzić twoje wątpliwości, żeby później cię przekonać. Taka gra.

Nie zdajesz sobie sprawy, biedaku, że bierzesz udział w grze.

Takie życie.

Wszystko to gra.

Ale to nie znaczy, że musisz przegrać, poczuć się wykorzystany. To wcale nie musi być takie podłe.

Patrzyła na siebie w lustrze i zastanawiała się, jak potoczą się losy jej i tego pismaka.

Poczuła miły dreszcz.

Zimny był męski, odrobinę chropowaty, jak to lubiła określać. I dobrze. Bo właśnie tacy jej pasowali. Nie do końca dorobieni, ze skazami i bliznami, które można gładzić, pielęgnować, pieścić.

Może powinna dać mu szansę.

Ciekawe, jak wygląda nago. Jak pachnie zaraz po prysznicu i po seksie. Jaki jest w łóżku.

Podnieciła się.

Szansa.

Dostaniesz szansę.

Taką normalną, bez blefu.

Zobaczemy.

Wtedy będę mogła powiedzieć więcej.

Wtedy się otworzę. Chyba.

Obmyła twarz, wytarła ją papierowym ręcznikiem i sięgnęła po torebkę.

Teraz musiała odmalować to, co się zmyło.

Wydział S dysponował tylko jedną salą konferencyjną. Warunki lokalowe w ogóle były kiepskie. Nie mieli nowoczesnych pomieszczeń do przesłuchań, weneckich luster, zabezpieczeń ani innych nowinek technicznych. Jedyne monitoring, zainstalowany tu całkiem niedawno, spełniał najwyższe standardy.

Lenz patrzył z zadumą w ciekawskie, ozdobione białymi diodami oko kamery przemysłowej i zastanawiał się, czy jeśli dogrzebią się kiedyś do jakiegoś syfu, to nagle zaczną znikać te wszystkie nagrania, potem dowody i na końcu niewygodni świadkowie, jak to się dzieje w normalnych komisariatach.

Siedzieli w konferencyjnej od rana. On, Wanda i Banda – dwoje członków jego ekipy, prokurator Siejka prowadzący i nadzorujący bezpośrednio sprawę „Kort”, prokurator Głowacka z Generalnej, dyrektor z wydziału techniki dochodzeniowej Konrad Mroczek, jakiś małolat z ABW i wreszcie dandys od premierowej, niby członek jakiegoś gabinetu politycznego.

Brakuje tylko cwaniaka w typie Mittera – pomyślał o słynnym dziennikarzu prowokatorze, który miał wybitny talent do robienia z ludzi idiotów i gdyby żył w Ameryce, to dziś byłby bohaterem. Ale że żyje w Polsce, to po skompromitowaniu różnych ośrodków władzy stał się wielokrotnie oskarżonym.

Tak czy inaczej z tej oto naszej licznej gromadki zrobiłby pewnie niezły cyrk.

– No dobrze, możemy powtórzyć, co mamy. – Głowacka z głośnym mlaśnięciem przemieliła jakieś wygrzebane nagle z zębów resztki śniadania. Lenzowi przypominała trochę posłankę Pawłowicz, która też bez kompleksów wcinała pszenne bułeczki z kawałkami swojskiej krakowskiej w niestosownym miejscu. Tyle że Głowacka była znacznie bardziej złośliwa i fizycznie atrakcyjniejsza. Mimo pięćdziesiątki miała szczupłe, wysportowane ciało, długie nogi i wyprężone piersi. Lubiała opowiadać o swoim niezwykle udanym życiu seksualnym. Wszystko, nawet zwykły uścisk dłoni, kojarzyła z seksem („Masz dłonie jak pedał, Lenz”, „Mam nadzieję, że potrafisz mocniej, Lenz”) i była superwrednym, mściwym babszylem, z którym nie chciałby się nigdy skonfliktować. Wróg na całe życie.

Lenz stłumił więc jęk protestu, bo przecież już raz powiedział, co miał do powiedzenia, a że szanowna pani Głowacka nie słuchała...

– Mamy pięć ofiar...

Podał nazwiska, wiek, zawód, wykształcenie, w skrócie szczegóły zbrodni, dowody znalezione na miejscach, wyniki już dokonanych ekspertyz i sekcji zwłok, wnioski z przesłuchań świadków oraz inne ustalenia.

Wskazał, że pełny zestaw informacji mają w teczkach przed sobą. Wanda

i Banda się postarali. Wydruki były zbindowane, podzielone kolorowymi koszulkami i umieszczone w okładkach. Mają się świecić jak psu jajca, to będą – mawiała Wanda.

Lenz uśmiechnął się do siebie i zakończył:

– Nie mamy mordercy.

– Bardzo śmieszne – mruknęła Głowacka. – Co z tym Sawickim?

– Wszystkie ofiary są w jakiś sposób związane z tym... przedsiębiorcą. –

Lenz zastanawiał się, czy powinien użyć tego właśnie określenia, czy może nazwać twórcę farmaceutycznej potęgi biznesmenem albo po prostu prezesem. Uznał, że „przedsiębiorca” jest najbardziej na miejscu. Na tyle dokładnie prześledził jego karierę, żeby nabrać szacunku. Gdyby polski biznes miał więcej takich Sawickich, to i politycy musieliby być lepsi. Może prokuratorzy też, choć to rzecz sporna, jak się patrzy na taką Głowacką.

– To jakiś hochsztapler? Złodziej czy cwaniak? Macie coś na niego?

Uff, mogłabyś chociaż zerknąć do „Forbesa” czy jakiegoś portalu biznesowego. Ale dla ciebie przejrzanie czegoś ponad „Plotka” czy „Superaka” to zbyt wiele zachodu, co, królowo kryminału?

Już zamierzał jej dowalić, ale wyprzedził go Siejka.

– Ten cwaniak zbudował jedną z największych firm w Europie.

– Na państwowych kontraktach? – Głowacka nie ustępowała.

– W tym sęk, że zupełnie bez ich pomocy i przewyciężając wszystkie biurokratyczne bariery, których mu nie szczędzono. Zatrudnia dziesięć tysięcy osób, płaci rzetelnie podatki, tu, w Polsce, nie na Cyprze, i bierze udział w dziesiątkach akcji charytatywnych. Właśnie dlatego sprawa trafiła do Wydziału S, że jego nazwisko się tu... przyplątało.

– Podejrzany to podejrzany. Trzeba zamknąć i... poczekać, aż się przyzna.

– Głowacka zarechotała.

Nikt nie odpowiedział śmiechem. Może w gronie przedstawicieli organów ścigania żarty na temat powszechnej przewlekłości postępowań, przetrzymywania w aresztach wydobywczych i wielu innych bezprawnych działań były nie na miejscu.

– No... przecież żartowałam.

– Sawicki jest bardzo szanowanym PRZEDSIĘBIORCĄ – podkreślił Siejka.

– Jego związek ze sprawą jest zapewne przypadkowy i pewnie nasze śledztwo to wykaże. Musimy jednak być delikatni, żeby nie powtórzyła się sytuacja jak z Filipiakiem czy Kluską.

– Też tak uważamy – dodał dandys od premierowej. Wysoki, przystojny młodzieniec. Blondynek, pachnący, upudrowany. Różowe policzki. Piękny.

Głowacka spojrzała krytycznie. Wykrzywiła się, jakby jej pokazał małego, i to takiego rzeczywiście małego. Tylko na tyle cię stać?

– Należy działać, to znaczy postępować, z dużą ostrożnością – dodał dandys. Policzki poczerwieniały mu bardziej.

– Z ostrożnego rąbania to tylko niedoróbki wychodzą – mruknęła Głowacka.
– No, niech pan mówi dalej, Lenz, co tam ustaliliście...

Lenz zdusił kolejną złośliwość. Głowacka powinna przyjechać tu z wiedzą na temat Sawickiego i stopnia zaawansowania sprawy, a jeśli nie miała czasu przejrzeć akt wcześniej, to chociaż powinna słuchać i nie przeszkadzać. A ona przez cały czas ostentacyjnie pokazywała, jaka to jest wkurwiona, że Generalny ją tu wysłał, do jakiejś supertajnej sprawy, bez mediów, gdzie nie będzie mogła wyjść przed szereg i czegoś palnąć, jak to ona lubi. Media to był jej żywioł. Kochały ją. Jej zasuszoną, pełną zmarszczek gębę, podstarzały seksapil, te wszystkie perskie oczka i nieprzystojne żarty. Dzięki kamerom Głowacka robiła błyskotliwą karierę. Przy sprawach dzieciobójczyń i narkobiznesu, o których można było paplać, a nie przy takich jak te z tego cholernego Wydziału S.

Na szczęście w kolejnej części dyskusji już nie brała udziału. Nawet nie udawała, że specjalnie słucha. Położyła na kolanach pod stołem swój smartfon i z błędzącym na ustach uśmiezkiem odpisywała jakiemuś kochasiowi. W pewnej chwili westchnęła, jakby doznała miniorgazmu i spojrzała znacząco na dandysa. Ty chyba potrafisz lepiej?

Lenz nie mógł sobie odmówić obserwacji jej uwodzicielskich sygnałów wysyłanych w kierunku dandysa, choć go to rozpraszało.

A już był przy omawianiu dalszych ruchów, więc powinien się skupić, by nie powiedzieć czegoś za dużo.

– Obserwujemy dyskretnie Sawickiego, mamy na nasłuchu zarząd, kilku ważniejszych współpracowników, jak również... potencjalne kolejne ofiary. Można powiedzieć, że od jakiegoś czasu prowadzimy pewną grę operacyjną ze służbami odpowiedzialnymi za ochronę przedsiębiorcy, bo one też starają się... nas inwigilować.

– To byli policjanci – uzupełnił Siejka.

Głowacka puściła uwagę mimo uszu, założyła lewą nogę na prawą, bujała bucikiem w kierunku dandysa. Oddychała nieco szybciej. W jej myślach zapewne rozpoczęła się gra wstępną.

– Tak, byli policjanci i agenci ABW – podjął Lenz, kłaniając się Młodemu.
– Jeśli to nie pozory, to też starają się znaleźć zabójcę, szukają, obserwują różne środowiska. Wygląda to dość profesjonalnie.

– Dlaczego nie wytypowaliście do obserwacji tego profesora? – zapytał nagle dandys.

Lenz spojrzał z uznaniem. Bardzo dobre pytanie. Głowacką też wyraźnie poruszyło. O, więc masz nie tylko fajną pałkę, ale i coś pod sufitem...

– Zabójca, jeśli to jedna osoba, zmienił nieco modus operandi – wyjaśnił

Lenz. – Do tej pory zabijał osoby będące w ewidentnym konflikcie z Sawickim, choć to też jest dwuznaczne, o czym za chwilę. W każdym razie po czwartym zabójstwie, kiedy powtórzyła się kwestia konfliktu ofiara – koncern Sawickiego, wytypowaliśmy listę potencjalnych zagrożonych i podjęliśmy obserwację. Profesor nie trafił na listę, gdyż nie było pomiędzy nim a koncernem czy samym biznesmenem żadnego konfliktu. Wręcz byli uznawani za przyjaciół.

– Zaraz, tu jest napisane, że wasi technicy odczytali na komputerze profesora korespondencję świadczącą o czymś przeciwnym. – Punkt dla dandysa. W przeciwieństwie do Głowackiej przeczytał dostarczony mu zbiór informacji i słuchał wcześniejszej relacji inspektora.

Lenz miał wątpliwości, ile powinien zdradzać w tym gronie. Jednak prokurator wyraźnie naciskał na dość szeroką informację. Wszyscy w tym pokoju są rzekomo godni zaufania, mają certyfikaty dostępu do informacji niejawnych, wiedzą, co to tajemnica śledztwa, i tak dalej. Nawet ta cholerna Głowacka. Lenz nic nie mógł poradzić. Siejka i tak dałby im wszystkie informacje, więc wolał sam je opracować i przekazać tak, by zasugerować jedną z hipotez, która nie musiała być właściwa i jedyna. W zasadzie była najmniej istotna. Dlatego o tym wszystkim mówił.

– Już wyjaśniam – powiedział. – Profesor od jakiegoś czasu prowadził z kimś, nie wiemy z kim, korespondencję mailową, w której krytykował Sawickiego, a nawet groził wycofaniem swoich inwestycji ze spółki. Korespondencja ta nie trafiała jednak do spółki, tylko do kogoś innego, kto włamał się na komputer profesora i go kontrolował.

– Haker – uściślił Młody z ABW. – Nasz wydział do spraw cyberprzestępczości próbował go na prośbę S namierzyć.

– Bezskutecznie – przyznał Lenz. – Włamywacz używał profesjonalnych urządzeń kryptograficznych i szpiegowskich. Ślad różnych fałszywych adresów IP urwał się gdzieś chyba w Kamerunie.

– W Egipcie – poprawił Młody.

– Tak czy inaczej haker był od dawna w komputerze profesora i prowadził z nim korespondencję, udając Sawickiego. Tak naprawdę korespondencja nie wychodziła poza Mazury, wszystko odbywało się w komputerze profesora, który nie był tego świadomy. Również zaproszenie od Sawickiego do Zamku zostało przekazane w ten sposób.

– Więc ten haker to morderca – wyciągnął słuszny wniosek dandys.

– Lub osoba powiązana z mordercą. Tak zakładamy. – Wanda chciała chyba trochę odciążyć Lenza. Była najmłodszą śledczą w zespole, co nie znaczy najmniej doświadczoną, a już na pewno nie o najmniejszych umiejętnościach. Szczególnie jeśli chodzi o komputery. Zaginała w tym wszystkich. No, może poza Bandą. W duecie byli niepokonani.

– To dało nam do myślenia – podjął Lenz. – Dokładnie przeanalizowaliśmy dowody wskazujące na konflikt pozostałych ofiar z Sawickim. Kto zgadnie, co wyszło?

Tego w przygotowanym streszczeniu nie było. Ale Lenz chciał to powiedzieć. Siejka chyba był innego zdania, bo poruszył się niespokojnie. Lenz spojrzał na niego znacząco. Sam tego chciałeś.

– Quizy są dobre, jeśli mamy karty do rozbieranego pokera, najlepiej z pozycjami – oznajmiła kretynka Głowacka. Spojrzenie na dandysa. Dandys poczerwieniał, odwrócił wzrok. Biedaczysko. – Niech pan nas oświeci, inspektorze.

Lenz spojrzał na Wandę, ta na Bandę. O ile Wanda potrafiła wszystko skonfigurować, naprawić, ustawić, dostroić, to Banda był od psucia. Podobnie jak Wanda miał poniżej dwudziestu pięciu lat, był nieco otyły, niezwykle sprawny intelektualnie i bardzo leniwy. Ale jak już się brał do roboty, to potrafił obudzić Lenza o czwartej nad ranem i zakrzyknąć: „Szefie, znalazłem! Tyle się namordowałem, a to było takie proste”. I tak właśnie zakrzyknął wczorajszej nocy. Lenz odpowiedział mu wtedy w jedyny możliwy sposób: zreferujesz to wszystko na jutrzejszej konferencji, o ósmej. Taka mała zemsta.

Teraz Banda wyraźnie przysypiał. Ale wywołany do tablicy wpadł w słowotok.

– Przeskanowałem te wszystkie kwiatki, ehm. Dobrze, naprawdę dobrze zrobione. Tak, że prawie nie pozostawiły śladów. W zasadzie, gdyby nam pasowały, można byłoby ich użyć jako dowodów, bo drugiej stronie ciężko byłoby udowodnić, że jest inaczej. Nie przy tym stopniu skomplikowania struktury plików, algoli zawieszonych w chmurze i tej wielkości macierzy...

– Banda – upomniał Lenz.

– Za skomplikowanie?

– Powiedz krótko. – Do komputerowców należy mówić komendami.

– Krótko, nom. – Banda nagle zarejestrował krytyczne spojrzenie Głowackiej i pojął. Krótko, tak, w towarzystwie tego babsztyla zdecydowanie lepiej się uwinąć jak najszybciej. – No więc wykryliśmy atak hakerski na serwery Sawickiego i w zasadzie jesteśmy pewni, że cała korespondencja, która świadczyła o konflikcie ofiar z Sawickim, została spreparowana i wstawiona tam po to, by nas zmylić.

– Krótko mówiąc – dodał Młody z ABW, który już znał te ustalenia od Bandy, w końcu byli kumplami – ktoś cały ten konflikt szyje.

– Chce nas wyprowadzić w pole – zakończył Lenz.

Głowacka prychnęła. Akurat dużo trzeba, żeby was wyprowadzić... Siejka był trochę zły. Właściwie potężnie wkurwiony. Powinien się dowiedzieć przed, a nie po. Mąż dowiaduje się na końcu, brachu – Lenz miał ochotę poklepać go po

plecach.

Same pytania i zagadki, praktycznie żadnych odpowiedzi – Lenz długo jeszcze siedział w biurze po naradzie z przedstawicielami prokuratury, ABW i kancelarii premiera. Najgorsza rzecz w tej robocie. Cała papierologia, biurokracja, tworzenie różnych dupokrytek i narady, narady, narady. W nich królestwo różnych głupkowatych tekstów, strategii, pułapek, perfidii i gier. Zawsze zwyciężali idioci. Tacy jak on, od robienia i mówienia, byli na straconej pozycji.

Tracili coś najważniejszego: czas.

Jednak często referując różne sprawy i opracowując strategię takich konferencji, Lenz układał sobie coś w myślach, znajdował rozwiązania, trafiał na rzeczy, których by inaczej nie dostrzegł.

Wczoraj wieczorem był całkowicie skołowany, nie miał żadnych efektów, żadnych ustaleń, nie miał pojęcia, co nowego mógłby powiedzieć. Nocny telefon Bandy przyniósł mu nagłe olśnienie.

Przełom w śledztwie, dość istotny przełom.

Lenz nie łudził się co do roli Wydziału S. Niby mieli być specjalną jednostką do wykrywania nadużyć na najwyższych szczeblach, niby mieli kontrolować superważne śledztwa, po tylu wypadkach prokuratury i policji doprowadzać do rzeczywistego rozwiązania głównych postępowań, ale Lenz wiedział jedno: politykom najbardziej zależało na pozorach i kontroli.

A jednak zgadzał się brać udział w tej grze, bo stworzenie Wydziału i praca w nim była największym wyzwaniem jego życia, a mimo kłód rzucanych pod nogi Lenz z większości podjętych dotąd spraw wyszedł obronną ręką.

Wyjaśnił je, doprowadził do skutecznych rozstrzygnięć, do ukarania winnych. Czasem... nie, o tym nie mógł nawet myśleć.

Tak czy inaczej wiedział, na czym stoi. Udowodnienie, że ktoś szyje sprawę na Sawickiego, już byłoby kolejnym sukcesem Wydziału S. Przecież przekazano im ją po to, żeby uniknąć skandalu, kolejnej afery, wypadki, ewentualnych powiązań Sawickiego z rządem, politykami, menedżerami państwowych spółek. To dlatego chcieli go chronić, bali się tego, czego nie wiedzieli. Bo nie wiedzieli, że Sawicki nie ma żadnych pleców, nie ma kontraktów, nie ma układów. Jest spoza tej bandy.

Tak jak ta Głowacka. Ona też nie wiedziała. Przyjechała tu pilnować, czy nie padnie jakiś news w stylu: minister zdrowia ćpa amfę od Sawickiego. Albo: wicepremier od gospodarki lata z nim samolotem do Stanów. Z przesiadką na herbatkę na Sri Lance. Albo: sędzia Sądu Najwyższego zamawia z Sawickim nastolatki do chatki myśliwskiej. Albo: szef NBP wpierdala trufle w willi biznesmena w Malibu. W towarzystwie dwóch znanych gejów.

Cokolwiek.

Dlatego jesteście tacy zainteresowani.

Już nawet wolelibyście usłyszeć te newsy, bo jak ich nie ma, jak Sawicki

okazuje się czysty, to się niepokoić. Co ten Lenz ukrywa? Może znalazł jakąś taśmę i ją chowa, a przed wyborami nagle jeb i nam przywali?

Albo po wyborach.

Nie miał postępów, ale bardziej bał się tego, że nie może im dać żadnej teorii spiskowej, żadnego uzasadnienia. Miał podejrzanego biznesmena, dużo niejasności i zero newsów politycznych. A w nocy znalazł coś, znalazł spisek.

Możecie się nakarmić obietnicami.

Może trafi mi się coś na opozycję. To was ucieszy.

Pięciu mężczyzn, pięć morderstw, pięć trupów. I Sawicki wmontowany w spisek. To pociąga za sobą dwie dobre wiadomości. Pierwsza: nie ma seryjnego psychologa, tylko seryjny wyrachowany, dobrze zorganizowany, planujący zabójca. Dlaczego to dobra wiadomość? Bo seryjny psychol zabijający przypadkowo jest nieprzewidywalny i niezwykle trudny do złapania. Zabójca czy grupa zabójców na zlecenie też może być trudno uchwytna, ale na pewno nie aż tak jak typ z pierwszej grupy. No i ta teoria daje wam nieskończone możliwości wykorzystania w polityce, manipulowania mediami. Autokreacji.

Możecie w to zamieszać Ruskich, Niemców, Francuzów, może Izraelczyków. A nawet Amerykanów. Ostatnio modny jest kierunek amerykański.

Dla Lenza to też wspaniale, bo da wam pożywkę, a wy zostawicie go w spokoju, żeby mógł dalej mieszać, szukać, szperać. Robić to, co lubi najbardziej.

Druga dobra wiadomość: że to nie Sawicki, że ktoś działa w sposób zorganizowany przeciwko niemu, że to spisek wymierzony w najlepszą obecnie polską markę. Znowu pytanie: dlaczego to dobrze?

Odpowiedź jest prosta. Przez te dwa miesiące inspektor zwyczajnie polubił Sawickiego. Nie znał go, nie doszło pomiędzy nimi do żadnej rozmowy. Wspólnie z prokuratorem ustalili, że będą go śledzić i podsłuchiwać, co było niezwykle utrudnione ze względu na częste podróże zagraniczne, zmiany tras przejazdów, działania ochroniarzy.

Ale i tak Lenz sporo usłyszał. Sporo się dowiedział. Przyjrzał się tej historii, zżył z wizją i marzeniem tego człowieka. Bardzo chciał, żeby był niewinny. Bardzo chciał działać po jego stronie.

Bezstronność, profesjonalizm? Jak się patrzyło na taką Głowacką czy nawet tego bubka od premierowej, to inaczej pojmowało się takie kwestie.

Jak zawsze rzeczywistość nie wytrzymywała konfrontacji z marzeniami.

Lenzowi bardzo zależało na poczuciu misji.

W przypadku Sawickiego ją miał, ukrywał to, chował głęboko, a teraz mógł wywlec na wierzch i się wszystkim pochwalić.

Mam dowód, że Sawicki jest niewinny, że go wrabiają, że to spisek.

Wyjaśniłem to i nie pozwolę, żeby im się udało, kimkolwiek są.

Teraz obok Rzeczypospolitej Polskiej, w której imieniu zawsze będę działał,

na której straży zawsze będę stał, pojawił się inny klient zasługujący na to, bym go bronił, obywatel tejże najjaśniejszej.

I to jaki obywatel.

Przypomniał sobie wredny żart o pewnym przedsiębiorcy, o którym – gdy umarł – gazety się rozpisywały, że potrzeba nam więcej takich biznesmenów. Tylko po co, skoro nie mamy już co sprzedawać obcemu kapitałowi?

Lenz nie podzielał krytyki handlarzy, ale też wołał takich jak Sawicki. Wołał ludzi, którzy tworzą i chcą eksportować, a nie pozbywać się tego, co mamy. Pewnie przy tym zbyt upraszczał obraz świata, bo bez jednych nie mogło być drugich, ale tak już miał.

Tak, mam misję – pomyślał po raz ostatni tego dnia, bo do jego gabinetu weszła Wanda i wszystko zepsuła.

– Szefie, jedna rzecz.

– Tak.

– Jak tak pięknie mówiłeś na konfie o tym spisku przeciw Sawickiemu, no to sobie pomyślałam, że przyjdę i...

– Tylko nie mów, że chcesz mnie sprowadzić na ziemię.

– No... trochę tak.

– O co chodzi?

– No bo to niby wszystko prawda, co ustalił Banda i co zrelacjonowałeś, ale pomiñałeś jeden drobny szczegół.

– Jaki?

– Wiemy, że ktoś zhakował system Sawickiego, ale nie wiemy kto.

– Jasne.

– Przy tych zabezpieczeniach, które oni tam mają, cóż... najłatwiej byłoby go zhakować komuś z wewnątrz.

– No tak.

– Ty raczej sugerowałeś tym gekom, że to... jakiś ruski wywiad czy amerykański, czy inny, czy coś.

– Najlepiej czy coś.

– Tak, tak. Rozumiem, że ty tylko tak, żeby podkreślić. Niemniej jednak uważam, że muszę ci to jasno powiedzieć. Dziewięćdziesiąt do dziesięciu, że to ze środka.

– Jasne.

– A to oznacza, że to może być ktoś z otoczenia Sawickiego. Tak jak patrzemy, co zrobił i w jaki sposób, to najbardziej prawdopodobne.

– Dobra, przyjąłem.

– Albo sam Sawicki – dodała.

– Hm, po co Sawicki miałby sam montować spisek przeciw sobie?

– Po to, żeby jełopy takie jak my tak właśnie sobie wydumały: że to jest

spisek, przecież sam nie działałby przeciw sobie. Najlepsze alibi, nie sądzisz?

Lenz się wkurzył. Nie na Wandę. Ona zrobiła, co do niej należało. Nawet nie na siebie. On też nie powinien iść tą drogą. Nie na Sawickiego. Wciąż jednak wierzył, że to nie on z nimi pogrywa i że jest niewinny. Chociaż...

Wkurzył się.

A jak się wkurza, to musi odreagować.

Pomyślał, że zaprosi Anię na kolację. Długą, romantyczną. Kupi kwiaty, włoży garnitur. Będą siedzieć w ogródku Kameralnej albo Złotego Smoka czy może Przy Baszcie lub w Narożnej. Ona będzie dużo mówić, a on będzie patrzył na jej usta, aż ona powie, żeby przestał. Ale on nie przestanie. I ona już będzie mokra. Potem, gdy już w niej będzie, szeptem mu to wyzna. Tam, w knajpie, gdy piłam chardonnay i jadłam łyżeczka po łyżeczce semifreddo z malinami, wiedziałam, że teraz będziesz we mnie, i poczułam to, i od razu... odleciałam. Potem obejmie go ramionami i nogami i będzie tak go ścisnąć, najsilniej jak umie, aż skończy.

Zrobią to w lesie, daleko od domu, w połowie drogi z Gdańska do Małej Zemsty. W strachu, że ktoś zobaczy albo że przyjdzie potwór.

Potem ona będzie się wycierać i śmiać, a on będzie myślał o... mordercy.

Brrr.

Spojrzał na zegarek. Była dziewiętnasta. Do Małej Zemsty miał ponad godzinę drogi. Już za późno na kolację. Za późno na wino i tiramisu. Za wcześnie na seks w lesie. Zresztą co to za seks przed kolacją...

Wtedy zadzwonił telefon.

Banda.

- Cześć, mogę się odmeldować?
- A co? Odstawiłeś już naszych gości do pociągu?
- Do pociągu?
- No tak, mieli wracać do Warszawy.
- Młody się zmył do Wawy, Siejka pojechał do Sopotu, ma tam załatwić jakieś kwity na prezydenta.
- A co ze Starym Raszplem i Dandysem?
- He, he, lepiej bym ich nie ubrał. No więc oni wcale się nie zapakowali do pendowalka, tylko wrócili na miasto i wpakowali się do hotelu. Razem.
- Jak to razem?
- No razem, rozumisz? Jak te... zwierzątka, motylki, pszczołki. Razem.
- W jednym pokoju?
- Nie, w dwóch – zakwilił sarkastycznie. – Toż przecież przez drzwi dymać się nie będą.
- Aha. A masz może...
- Pińset pientnaście.
- Na pewno?

– No ba. Pojechałem windom sprawdzić. Windomsem zalukałem. Pewniak. To jak, mogę lecieć? Oni się tam pukają, a ja też bym chciał. Po co miałbym ich przez całą noc pilnować. Rano wrócę. – Banda zawsze mówił w ten sposób, gdy był podekscytowany, i szef zdążył się do tego przyzwyczaić. Przestał go poprawiać i prosić o poprawność językową.

– Dobra, leć.

Lenz uśmiechnął się, widząc oczami wyobraźni Bandę przy drzwiach pokoju pięćset piętnaście, przytykającego ucho do ściany, żeby usłyszeć jęki Raszpli i wzdychania Dandysa.

Zastanawiał się przez chwilę, a potem znalazł w telefonie numer człowieka, wobec którego miał dług wdzięczności. Przynajmniej ów tak twierdził. Poza tym, że śmiesznie się nazywał, miał też śmieszny zawód.

W ogóle Fajdek był dość zabawny.

Zimny był skołowany, nie tylko tym, że w odpowiedzi na pytanie padło jego nazwisko, a Magda nagle wstała i wyszła. Bez słowa. Czyżby myślała, że on jest rzeczywiście czemuś winny? Że gra przeciwko Sawickiemu? Że jest tym dziennikarzem, który zadawał pytania? Że jest członkiem jakiegoś gangu hakowego?

Przecież to absurd. Ochroniarze usiedli po obu stronach, przez co poczuł się, jakby chciano na niego wywrzeć nacisk psychiczny.

– Oczywiście wiemy, że to nie pan – rzekł w końcu Mastalerz.

– Ustaliliśmy to na samym początku. Dziennikarz pisał z adresu założonego na jakimś portalu na pana dane, jednak ten adres mógł obsługiwać każdy. Pozwoliliśmy sobie zresztą zbadać pańską osobę i upewniliśmy się w swoim... przekonaniu.

– Jak to zbadać?

Spojrzeli po sobie.

– Szpiegowaliście mnie.

– Proszę zrozumieć...

– Okej, nie ma sprawy.

– Jak tylko się upewniliśmy, że to nie pan, wycofaliśmy zlecenie obserwacji.

Poza tym odinstalowano panu oprogramowanie szpiegujące.

Akurat – pomyślał Zimny.

– Na telefonie też już pan nie ma trojana – dodał ochroniarz.

– Ale ma pan trzy inne. – Sawicki się uśmiechnął.

– Na komputerze dziewięć. Siedzi tam u pana cała gama służb i ktoś obcy, z Anglii.

Rose. Więc jest tam cały czas.

– Tych nie usunęliśmy, boby się zorientowali, ale jak pan chce, możemy też... objąć pana ochroną.

Tak, już wam uwierzę.

– Nie ma potrzeby.

– Doradzamy jednak, żeby uważał pan na to, co pisze i robi. Wróćmy do sprawy.

– Właśnie.

Sawicki zaczerpnął głęboko powietrza i przejął prowadzenie rozmowy.

– Kuba, co o mnie myślisz? Tak szczerze...

– Hm...

– Szczerze.

– Lubię pana.

– Marek – przypomniał.

– Lubię cię, chyba też podziwiam. Do pewnego momentu byłem pod ogromnym wrażeniem tego, co zrobiłeś. Uważam... uważam, że to naprawdę ważne. Że to jest osiągnięcie, a nie jakieś tam picowanie. Że odniosłeś wielki sukces, nie tylko lokalny. Międzynarodowy. Jestem, nie boję się użyć tego słowa, dumny. I jest mi niezwykle miło, że cię poznałem.

Boże, ale to sztucznie zabrzmiało – pomyślał. Jednak mówił prawdę. Prawie całą prawdę.

– Ale?

– Nie ma ale. Nie wierzę w żadną aferę. Widziałem, co widziałem. Jesteś ponad te wszystkie prymitywne intrygi. Ktokolwiek za nimi stoi, nie może się z tobą równać.

– A jednak może mnie zniszczyć.

– Nie sądzę.

– Słyszałeś to powiedzenie, że polityka można zabić gazetą...

– Bo polityk nic nie znaczy. Jest jak ta mucha. Bzyka, bzyka, znika. Nie ma go. Ty stworzyłeś imperium. Zbudowałeś potęgę. Ty nie jesteś muchą. Nie da się ciebie tak po prostu posprzątać, zmieść, zniewolić, ujarzmić.

– A jednak w wojnie biznesowej gazety również mogą odegrać decydującą rolę. Mogą mnie zabić. Czy też dobić, jeśli wolisz...

– To znaczy?

– Jeśli naszym wrogom, tym ludziom, którzy stoją za całą tą prowokacją, uda się przekonać media, że jestem seryjnym zabójcą, mogą wygrać. Pojawi się tekst oskarżający mnie o zbrodnie, kurs na giełdzie runie, może mnie aresztują, wtedy ktoś wyskoczy z ofertą, zaproponuje odkupienie po nieco wyższej kwocie niż ta po spadkach. Zakosi to wszystko... co widziałeś. Bo to początek... potęgi. To wciąż nic, zaledwie zarodek, który zapłodniliśmy i rozwijamy. Za rok, pięć, dziesięć lat to będzie coś nieporównywalnego. Coś... niesamowitego.

– Wierzę. – Kuba wiedział, że to tylko takie gadanie, a jednak coś w tym było. Rzeczywiście wierzył.

– Nieprawda, nie wierzysz, ale jednocześnie nie śmiejesz się ironicznie, nie kpisz ze mnie, bo widziałeś, że to nie muszą być mrzonki. Widziałeś, że już coś zrobiłem. Że to nie jest żadne disco polo. Oni też to wiedzą, też widzieli. I teraz atakują. A żeby móc się obronić, muszę mieć obok siebie naprawdę twardych, zaufanych zawodników. Drużynę gotową stanąć murem i reagować na każdy faul. Ta drużyna zaś potrzebuje kogoś, kto umie walczyć z mediami, bo w tym jesteśmy dość ciency. Ten ktoś musi mi ufać, wierzyć, bo wtedy walczyć będzie też sercem, a nie dlatego, że mu zapłacono. Potrzebuję kogoś takiego jak ty.

– Przecież już jestem po waszej stronie.

– Jesteś.

– Nie zamierzam się wycofać.
– To wszystko... nie przestraszyło cię?
– Nie, skąd. Miałem już z tymi chłopakami do czynienia.
– A morderstwa?
– Sam nie wiem. Moim zdaniem to nie oni. Media aż tak by się nie podłożyły. Wykorzystują informacje, ale same ich nie organizują. Udają, że korzystają z informacji, udają, że nie wiedzą, kto za nimi stoi.

– Więc twoim zdaniem media nie grają po stronie zabójcy czy zabójców?
– On może je wykorzystywać, one mogą dawać się wykorzystywać, udając, że nie są tego świadome. Jednak nie należy ich ze sobą utożsamiać.

Sawicki spojrział znacząco na Mastalerza. Kuba chyba zrobił na nich dobre wrażenie. Wyraźnie odzyskali humor.

– Dobra – zakończył Zimny – powiedzcie mi lepiej, co mam robić.

– To ty nam powiedz, co my mamy robić.

Atak mógł nastąpić z dwóch stron. Przynajmniej tak wynikało z tego, co mu przekazano. Po oddzieleniu maili z fałszywego konta kuba.zimny@nowagazeta.pl pozostało kilka tytułów prasowych i jedna telewizja. Nie wyglądało na to, żeby chcieli rzeczywiście robić jakiś materiał. Ale ostatnie pytanie o zabójstwo profesora nadeszło z tygodnika i tu było inaczej.

„Tylko Prawda”.

Kuba pracował w tej gazecie przez kilka ładnych miesięcy. Znał naczelnego. Nie rozstali się w zgodzie, ale też nie jakoś specjalnie zagniewani. Znał gazetę, jej metody, podejście. Miał wiedzę na temat paru smrodów.

Powinno się udać.

Zadzwoił z samego rana.

– Kuba, to naprawdę ty?

– Nie udawaj, że się cieszysz. Nie dzwonię z niczym miłym.

– Tak? O, to szkoda. Więc o co chodzi?

– Pracuję dla spółki Sawicki – rzucił Zimny.

– O, duża firma. Gratuluję.

– Nie ma czego. Dostaliśmy od was pytania o dość dziwnej treści...

– Muszę sprawdzić w redakcji. Kto zadał pytania?

– Nie udawaj. Dobrze wiesz kto.

– Niech będzie, o co ci chodzi? Odpowiedzcie na pytania?

– Dotyczą poważnej sprawy. Zabójstwa.

– Wiem.

– I manipulacji. Wielu innych przestępstw. Może nawet działań na szkodę kraju zainspirowanych przez obcy wywiad, rozumiesz?

– Co ty pierd...?

– Obcinanie włosów, wyrywanie paznokci, publiczne dymanie. To kara za

kolaborację z wrogiem. Może w przyszłości tak będą rozliczani zdrajcy. Zastanów się, czy chcesz być po ich stronie.

– Kuba!

– Twój dziennikarz atakuje polski koncern o międzynarodowej pozycji, z szansami na zawojowanie świata, firmę, którą wszyscy powinniśmy... wspierać. Ale nie wy. Wy uważacie, że trzeba jej dowalić. Dokopać i przypieprzyć argumentami z sufitu. Na zlecenie Ruskich czy innych Amerykańców?! Macie w dupie sprawiedliwość i dochodzenie prawdy, to dla was tylko hasła na sztandarach. A za nimi stoją siepacze z kosami i będą wycinać wszystko co dobre, żeby tylko było równo...

– Kuba, przestań pierdolić, proszę...

– Nie. Bo to nie jest fair. Chcecie im dojechać, a nie wyjaśnić cokolwiek.

– Nieprawda.

– To wyślij tego dziennikarza do mnie, niech przyjedzie, ja mu pokażę firmę, opowiem o wszystkim, wyjaśnię wątpliwości. Jeśli tylko będzie chciał słuchać.

Milczenie. Zbyt długie, by świadczyło o czymś dobrym. Naczelny zastanawiał się tylko, jak uciąć tę rozmowę, wyciszyć Kubę.

– Nie ma czasu. Chcieliśmy opublikować ten materiał...

– Znow żartujesz? Skoro napisaliście pytania wczoraj, to dajcie szansę na reakcję.

– Nie mogę.

– No i teraz mówisz szczerze.

– Kuba, posłuchaj...

Dobra, koniec żartów.

– To ty posłuchaj! Jeśli napiszecie o Sawickim bez umożliwienia nam odpowiedzi na pytania, to wypowiecie wojnę. Nie będę przebierał w środkach, żeby odeprzeć tak agresywny atak. Ujawnię wszystko, słyszysz, wszystko! O kopertach, twoich samochodach. Napiszę do Szwecji. Do Svena.

– Sven już cię nie lubi, nie pomoże... – przypomniał były szef Kuby.

Skąd on to wiedział? Ale mówił prawdę, Kuba jakiś czas temu popadł w konflikt ze szwedzkim dziennikarzem i zerwał z nim wszelkie kontakty. A wydawało się, że będą przyjaciółmi na wieki. Cóż, życie...

– Nie jesteś na bieżąco – skłamał. – Już się pogodziliśmy. Zresztą jeśli nie Sven, to są inne gazety, które rozliczą takich nieuczciwych dziennikarzy jak wy. Będziesz miał z czego się tłumaczyć przed swoim szwedzkim udziałowcem.

– To nie fair, Kuba.

– A ty jesteś fair?

Milczenie. Długie. Naprawdę długie.

– Co proponujesz?

– Odpalcie zleceniodawcę. Uwierz mi, tak będzie lepiej. Dla was, dla mnie,

dla niego. Ta wojna będzie wszystkich drogo kosztować. Zrezygnujcie z tego zlecenia. I z tej kasy.

Znowu milczenie. W końcu:

– Dasz coś w zamian?

– Nie.

– Aha.

Mastalerz, który siedząc naprzeciwko Kuby, przysłuchiwał się w milczeniu rozmowie, zaczął gorączkowo machać ręką, jakby chciał dać znać, że jak trzeba, to kasa się znajdzie.

– Nie dam pieniędzy – powiedział Kuba – przynajmniej nie na tym etapie. Po wszystkim może będziecie mogli coś wynegocjować. Ale po wszystkim. Sawicki jest potencjalnie dobrym klientem, tak to ujmę.

No, jakaś obietnica – pewnie pomyślał naczelnny. Do rozważenia.

– W porządku. A co na dziś?

– Możemy zrobić uczciwy materiał. I tyle.

– Uczciwy?

– No. O tym, jak Sawicki podbija kolejne rynki, jak notuje nieustające wzrosty, jak dobrą opinię ma nawet wśród konkurencji. Mogę ci nieodpłatnie przekazać szereg rozmów z pracownikami koncernu. Wyobraź sobie, że wszyscy są zachwyceni pracą, zarobkami i atmosferą. Żadnych umów śmieciowych, uwierzysz? A może podać ci raporty do fiskusa. Wiesz, że płacimy więcej podatków niż jakikolwiek koncern państwowy. Tu, w Polsce, nie na Cyprze. A o stypendiach naukowych czy programie badawczym? O tym nie chcesz napisać?

Mastalerz poczerwieniał z zachwytu. Pokazał Kubie wystawiony do góry kciuk. Dziennikarz rzeczywiście mówił jak przekonany entuzjasta, a nie wynajęty wyrobnik.

– To może już lepiej nic nie pisać...

– Sukces nikogo nie zainteresuje?

– Sądzisz, że ktoś to kupi?

– Wielu. Jest naprawdę wielu, którzy chcą przeczytać prawdę, a nie wymyślić pełne prymitywnych socjotechnicznych gier.

Miał sen. W jego łóżku leżała nago Magda. Zachęcająco rozwierała ramiona. Zapraszała go do siebie, przyciągała. A on stał i się nie ruszał. Czuł podniecenie, a jednak nie mógł zmusić nóg do zrobienia tych dwóch kroków. Nawet nie mógł wyciągnąć ręki, by jej dotknąć.

Wysilał się, przeklinał, zmuszał... i wreszcie mu się udało.

Wtedy ona nagle otworzyła usta. Dwa długie, ostre kły błysnęły w ciemności.

Przebudził się spocony.

No nie, sny o wampirach miał dwadzieścia parę lat temu, najstraszniejsze po obejrzeniu ukradkiem, w tajemnicy przed rodzicami, spektaklu z Izą Trojanowską.

Zapałił papierosa i przypomniał sobie ranek po burzliwej naradzie w NeoTechu. Była piąta nad ranem. Magda odwiozła go do domu wyraźnie stremowana. Nie odzywała się, drżała, stojąc na światłach; chwilami mu się wydawało, że zacznie płakać.

– Przestań.

– Dałam ciała, przepraszam.

– Co się stało?

– Nie powinnam cię tam zostawiać samego. Miałam się tobą opiekować.

– Spokojnie, przecież mnie nie zjedli. Dopiero teraz zacząłem ufać Markowi.

Niesamowity facet.

– Wiem.

– Podtrzymujesz, że nie jesteście razem? To nie będzie miało dla mnie żadnego znaczenia...

– Żadnego?

– W sensie pracy dla Marka. Docenię jego... gust.

– Nie jesteśmy razem, już ci mówiłam. Nie kłamałam.

Mimo wszystko nie zaprosił jej tego ranka do domu. Pewnie i tak by nie weszła, ale chyba czekała na ów symboliczny gest. Może wejdiesz na pożegnalnego drinka, posłuchać tych płyt, wiesz, poleżeć na plecach i poszukać gwiazd. Jest za widno, ale co tam. Taki zwykły gest.

Nie zrobił go. Wszedł do domu i nawet się nie obejrzał. Zastanawiał się, jak ona to odczytała, i już po paru godzinach snu było mu głupio. Powinien zadzwonić. Powinien dać jej znać, że wciąż jest zainteresowany.

Sny o wampirach też przeżyje.

Nie zadzwonił.

A sen się powtórzył.

Tym razem nie napotkał bariery, a Magda nie miała w ustach dwóch wielkich kłów.

Dziennikarz miał na imię Sebastian, ale wszyscy nazywali go Max. Sam się tak przedstawiał, bo wszystko robił na maksa. Kochał, pił, pracował, bił. Nie był mięczakiem jak te gryzpiórki, co to we wszystko chcą wpakować etykę, misję, szlachetność, prawo do obrony. Gówno. Na wojnie liczyło się dorzynywanie misia, a nie prawo do obrony.

Był zawodnikiem wagi ciężkiej. Jak kogoś brał na tapetę, to ofiara nie miała szans się wymigać. Dostawała za swoje. Nie pastwił się nad słabeuszami, wybierał przeciwników z górnej półki. Wyzywał ich na pojedynki i walczył do końca. I zawsze wygrywał. Nawet jak kiedyś za sprawą jednego z tych dużych misiów został zwolniony z pracy, to i tak zwyciężył.

– Nie boisz się, że któryś w końcu wynajmie jakiegoś Ukraińca? – zapytał go kiedyś przyjaciel przy wódce.

– Po co?

– Rachunek ekonomiczny.

– Że niby taniej mnie odstrzelić?

– Wiesz, ty chcesz miliona za spokój, a oni mogą zapłacić stówę Ukraińcowi. Ba, stówę! Wystarczy osiemdziesiąt. Może i czterdzieści byłoby dobre, no ale taki lepszy Ukrainiec weźmie stówkę. I włoży całe serce w to, żebyś prosił o litościwe wymierzenie ostatecznej kary.

Dziwnie to wtedy zabrzmiało, więc Max się wystraszył, że przyjaciel go nagrywa. Dlatego pociągnął wątek w innym kierunku.

– Ja nie chcę miliona.

– No jak to nie chcesz? Przecież mówiłeś...

Ja chcę dziesięciu baniek – pomyślał Max. Milion to... na waciki. Głośno jednak odparł spokojnie i wyraźnie, żeby się dobrze nagrało:

– To ty chcesz miliona. Ja żadnej kasy nie wezmę.

– Ale...

– Słuchaj, braciszku. Przychodzisz do mnie i proponujesz biznes z dorzynaniem misiów. A ja ci mówię: nie interesuje mnie to, rozumiesz.

Po czym wziął kartkę i napisał:

Nie dam się nagrać. Milion to za mało. Cześć.

– No to na razie – wstał i wyszedł.

A potem sprawdził, czy wszystko się dobrze nagrało.

Przez te kilka lat stał się niezłym ekspertem od taśm. Miał prawdziwe studio nagrań. Choć to nie jego nazywano Studiem Nagrań. Byli lepsi. On jednak się od nich nauczył i powinien wkrótce prześcignąć mistrzów.

To było już prawie rok temu. Niestety, przyjaciel poszedł z nim na wojnę i odpalił taśmę. Wtedy on pokazał swoją. Potyczka trwała krótko. Była zbyt groźna dla mediów. Nie chciały jej ciągnąć. Wołały zająć się zamachem na prezydenta przy użyciu papieskiej kremówki.

Obaj więc wyszli poranieni, ale bez większych strat wizerunkowych.

Ciemny lud szybko zapomina. Nie wnika, bo i po co? Wystarczy, jak leje się krew. Można przez chwilę się bać, rechotać, potem czas na wyciszenie. Zapomnienie. I za miesiąc powtórka. Że to ten sam prowokator? I co z tego? Może tym razem pisze prawdę. Może tym razem ma rację. A jak nie ma, to ważne, że się dzieje. Że jest krew.

Dziś już był spokój. Wszyscy zapomnieli. Nie rozliczali. Max znów był znanym i poważanym dziennikarzem. Zapraszano go do telewizji. Jednej stacji, drugiej, trzeciej. Przyjaciele byli zadowoleni. Mógł wrócić do biznesu.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta druga, a rozmówca nie

nadchodził. A mieli ważną kwestię do omówienia, musieli się dogadać.

Sprawa Sawickiego zmierzała w złym kierunku.

Max przestał ufać swoim informatorom i przyjaciółom.

Coś było nie tak.

Ktoś ostrzegł go dziś rano, że to może mieć drugie dno. Ruskie dno. A z ruskim dnem lepiej było uważać.

A potem „Tylko Prawda” wycofała zamówienie i naczelny powiedział, że nie opublikuje jego tekstu. Okej. Już nieraz tak było. On się nie poddawał i wygrywał. Tekst szedł w innej gazecie lub na blogu. Wystarczająco ochlapywał głównym, żeby zrealizować swoje cele. Ale tym razem było trochę inaczej.

No i te zabójstwa. Ten ostrzegający powiedział wyraźnie:

– Max, oni nie cofną się przed niczym. Jeśli zaczniesz im pasować do schematu, że dziennikarz mógł dokonać tych zabójstw, by sobie stworzyć supertemat, to wtedy wyprodukują co trzeba i cię zrobią. Zamkną na rok i weź się broń. Oni odtrąbią sukces. Mamy zboka. Pozbędą się problemu. Słyszałeś, że były rzecznik CBA onanizował się w parku? Pięciokrotnie...

– Wybronicie mnie. Przecież... jesteśmy razem.

– Nie będę ci kłamał, nie wybronimy. To wiesz z amerykańskich filmów.

– Że niby jak jest wpadka, to muszę liczyć na siebie?

– Właśnie.

– Tyle że to nie wpadka, ale prowokacja.

– Bez znaczenia.

– Ale przecież ja nikogo nie zabijałem.

– My też nie.

– A jednak mówisz poważnie...

– Poważnie. Uważaj.

Nie pisał się na grę w zabijanie. Tego było za wiele. Wojna wojną, nie odpuszczał, nie czuł się przegrany, ale w tej sytuacji trzeba było się ubezpieczyć. Dlatego wołał zrezygnować.

Tak jak obiecał zleceniodawcy, opublikował jeszcze na jednym z blogów krótki paszkwil na Sawickiego, zarzucający mu wyprowadzanie pieniędzy do dziwnej firmy krzak Medica, który to proceder miał rzekomo trwać dwadzieścia lat i chyba było to prawdą, bo tak wynikało z dołączonych kopii protokołów odbioru i przelewów.

Potem odetchnął i powiedział sobie: koniec.

To ostatni raz z tym misiem.

Przynajmniej na razie.

Dlatego musiał dziś się spotkać z drugim zleceniodawcą i powiedzieć mu, że odpuszcza. Na jakiś czas, aż się wyjaśni. I doradzić, żeby ten też uważał, żeby nie dał się zrobić, żeby – tak jak on sam – wszystko rejestrował, dbał o dowody, alibi,

jak najmniej przebywał sam.

Zerknął nie wiadomo który raz na zegarek.

Zleceniodawca nie przychodził.

Może coś mu się stało.

Może zbok go dopadł. Albo Ruscy. Albo inne służby.

Poczuł, że drży. Jak na filmie. Uwielbiał filmy.

Nie bał się. Przynajmniej w takim przekonaniu starał się utwierdzać.

Wysiadł z samochodu, żeby zapalić. Rozejrzał się. Stał za daleko od linii drzew, żeby ktoś się do niego podkraść. Skończył papierosa i zachciało mu się łać. Wytrzyma do domu albo odleje się na jakiejś stacji benzynowej. No, ale ten pęcherz był naprawdę słaby. Kiedyś zlał się w akademiku na kumpla. Z piętrowego łóżka. Innym razem popuścił zaraz po seksie z laską. Fajnym seksie z fajną laską. Okropność. To go nauczyło, żeby łać zawsze, kiedy mu się chce. Nie przejmować się tym, że ktoś sobie coś tam pomyśli.

Tu zresztą był sam. No i bez przesady. Przecież nikt mu nic nie robi.

Podszedł do drzew, wyjął fiuta i zagwizdał. Mocny strumień moczu wylądował na drzewie, spłynął na trawę, spryskał liście dzikich jagód.

Za parę miesięcy ktoś je będzie wpierdalał z moimi szczochami – pomyślał ze śmiechem.

Był już rozluźniony.

Odwrócił się i omal nie krzyknął, bo jakaś postać stała tuż za jego plecami, raptem na wyciągnięcie ręki...

Dziennikarz, którego zdjęcie oglądał inspektor, miał ksywkę Max, nawet tak się podpisywał pod tekstami. Tak go kojarzono. Lenz spojrział w wodniste, sadystycznie drapieżne, pozbawione jakiegokolwiek empatii oczy i już go nie lubił. Gnida. Tacy pismacy działali przeciwko niemu w sprawie seryjnego, który grasował w Trójmieście. Tacy wysługiwali się służbom w zamian za newsy. Nie obchodziła ich prawda, tylko sława, dopierdolenie ofiarom, potem zebranie pochwał.

To ten twardziel, co odpalił bankiera, ministra, premiera. Superdziennikarz. Supergnida.

– Ile jeszcze? – zapytał pilota.

– Dwadzieścia minut.

Lecieli śmigłowcem, bo tak było najszybciej. Mogli wsiąść do samolotu rejsowego, ale zanim przeszliby te wszystkie procedury, byłby pewnie wieczór. Lenz nie miał wyrzutów sumienia, że korzysta ze śmigłowca jak z taksówki, podczas gdy ten mógł ratować gdzieś życie. Transportując rannych w wypadku, uczestnicząc w interwencji, chroniąc policjantów. Ale przecież nie lecieli na wódkę.

Mieli poważną sprawę. Badali pięć zabójstw. A może więcej. Może mieli ochronić inne potencjalne ofiary. Może nawet mają do czynienia z zabójstwami na zlecenie obcego wywiadu czy jakiegoś koncernu. Wszystko było możliwe.

Powinni więc spożytkować wszelkie dostępne środki.

Lecieli w szóstkę plus dwaj piloci. Lenz zabrał ze sobą jak zwykle Wandę i Bandę, bo mogli ogarnąć sprawy technologiczne. Dodatkowo Smoka, który bardzo dużo palił, ale był najlepszym psychologiem w zespole. Wreszcie dwóch Karateków. Tak ich nazywali, choć oni się upierali, że nigdy nie ćwiczyli karate. Krav maga, capoeira, inne nowoczesne sztuki walki. Żadne karate. Ale w Wydziale tak się przyjęło: Gang Karateków. Gdy chodzili wokół takiej sprawy jak ta, zawsze ich brali.

W razie czego.

Lenz wiedział, że zostaną w Warszawie parę dni. To go martwiło. Nie chciał tak długo być poza domem. Nie chciał tak długo być bez Ani. Nie chciał znów zobaczyć jakichś zdjęć od życliwego.

Mógł się oszukiwać, że nic sobie z tego nie robi, ale to byłoby zwykłe kłamstwo.

Robił sobie. Jak cholera.

Poczuł napływające do oczu łzy i zgodnie z radą psychologa, by w takich sytuacjach jak najszybciej przerzucać się na myślenie o czymś odległym,

pozytywnym, przywołał w pamięci dzisiejszą jedynekę „Superaka”:
Przyszła minister sprawiedliwości dyma dandysa pani premier

Zdziwił się trochę, że dziennikarz nadał informacji tak odważny tytuł, ale rzeczywiście oddawał on istotę rzeczy. Poza tym nikogo nie powinno to dziwić, skoro dziennikarz nazywał się Fajdek i znany był z tego, że po opublikowaniu kolejnego tekstu sam się chwalił: „Znów nafajdałem”.

Z artykułu Lenz się dowiedział, że reporterzy dziennika przyjęli anonimowe zgłoszenie, jakoby znana i bardzo medialna prokurator Głowacka zaszyła się w hotelu w Gdańsku z młodszym o dwadzieścia lat członkiem gangu (czytaj: gabinetu politycznego) pani premier. Jako że wzmiankowana prawniczka jest niemal oficjalnie namaszczona na przyszłą minister sprawiedliwości, postanowili zainteresować się sprawą.

Jakież było nasze zdziwienie, gdy donos okazał się prawdziwy, a przedstawicielka Prokuratury Generalnej oddawała się młodemu dandysowi przez parę godzin dosłownie na naszych oczach (*patrz zdjęcia*). Wzorując się na amerykańskich kochankach, wynajęli pokój z wielką oszkloną szybą, przez którą można ich było podglądać (oczywiście jeśli dysponowało się dobrym fotoobiektywem z odpowiednim zoomem). Pracownicy hotelu byli zniesmaczeni całą sytuacją. Na tym samym piętrze gościła delegacja japońskich teologów, którzy skarżyli się, że w jednym z pokoi dochodzi do jakichś rytuałów religijnych z udziałem zwierząt. Okazało się na szczęście, że to tylko pani prokurator ma dość gardłowy głos...

Lenz pomyślał, że przyszła minister pewnie nigdy więcej nie zdecyduje się przyjechać na naradę do Wydziału S. Ponownie zerknął na zdjęcie Maxa. Banda namierzył go jakiś czas temu i obserwował dyskretnie, choć sporo ryzykował. Pismak miał wiele kontaktów prawie we wszystkich służbach specjalnych i policji. Nielegalna inwigilacja mogła się więc zakończyć małym skandalem i konfliktem. Lenz jednak uznał, że warto spróbować. Obserwacji Maxa nie wpisał do specjalnego protokołu wymiany informacji szczególnych pomiędzy służbami specjalnymi. Miał zamiar wszystko zachować w tajemnicy i przesłuchać dziennikarza dopiero później. Ale zmienił zdanie wczoraj, gdy Max opublikował na jednym z blogów notkę o wyprowadzaniu pieniędzy z Sawickiego do jakiejś małej spółki Medica z Gęsior na Warmii, z siedzibą w... stodole. Przełożył zdjęcie na sąsiedni fotel i przeczytał notkę, do której Banda dołączył skany kopii przelewów.

– Wyglądają autentycznie. Sprawdziłem konto Mediki. Wpływy były.

- Poprosiłeś urząd skarbowy o informację podatkową?
- Tak. Powinna być pod koniec dnia.
- Więc to prawda?
- Chyba tak. Nawet z tą stodołą.
- Jak to?
- Firma rzeczywiście mieści się w stodole gospodarstwa rolnego.

Według Maxa proceder wyciągania pieniędzy trwał co najmniej dwadzieścia lat. Nie mogli dokładnie sprawdzić, bo banki nie przetrzymują dokumentacji dłużej niż pięć lat. W skarbowce będzie więcej informacji. Kwoty nie były duże. Kilka do kilkunastu tysięcy miesięcznie. Mogły umknąć audytom i kontrolerom. Mogły umknąć zarządowi.

Ale przez dwadzieścia lat?

Tak czy inaczej była to informacja ciekawa i zastanawiająca. Za co taki koncern jak Sawicki płacił firmie krzak z siedzibą w stodole na warmińskiej wsi? Lenz spodziewał się jakiegoś związku z profesorem, dlatego chciał to sprawdzić jak najszybciej.

Na pierwszy ogień Max. Ostro przyciśnięty.

Potem Sawicki.

Potem może ten nowy... jak mu tam, Zimny.

Mastalerz, ochroniarze, wszyscy po kolei.

Jednocześnie ktoś musi pojechać na tę wiochę i podleczyć się w Medice. Może Wanda i Banda. A może lepiej wysłać Karateków...

Niemal w tej samej chwili o Medice myślał również Zimny. Dopiero co ugasił jeden pożar, a pojawił się następny. Max – nigdy nie spotkał tego dziennikarza, ale słyszał o nim aż nadto. Przy okazji badania sprawy maklerów KDI ich ścieżki się skrzyżowały. Wówczas Max rzekomo miał zostać wynajęty, by pacyfikować Kubę. Pisać o nim negatywne artykuły, rozpowiadać w środowisku, że jest skorumpowany, niewiarygodny i lekko szurnięty.

Żółte papiery – rozumiecie.

Kuba niespecjalnie w to wierzył. Ot, plotki. Kiedy jednak doszło do niego, że jeden z posłów napisał na podstawie jego tekstów interpelację, która miała zostać wykorzystana do odwołania wiceministra finansów, a z owym posłem blisko zaczął współpracować właśnie Max, uznał, że pewnie to prawda. Tyle że... nic z tego nie wynikało. Nie miał ochoty wchodzić w konflikt z jakimś nieznanym mu dziennikarzem.

Teraz parę klocków trafiło na swoje miejsce. Wcześniej doniesienia, że Max należy do jakiejś grupy hakowej, że jest częścią gangu dziennikarzy, agentów, posłów, biznesmenów i prawników, uważał za nadmuchane. Teraz... było inaczej. Tak, Max mógł wpaść na ten genialny pomysł, by zadając pytania, dla jaj podszyć się pod Kubę. To była jego metoda, już wcześniej ją stosował. Przecież to nie kto

inny, tylko Max preparował fałszywe doniesienia do prokuratury, po czym opisywał wszczęte na ich podstawie postępowania przeciwko firmom. Lubował się w krzykliwych tytułach zaczynających się od słów: „Prokuratura wszczęła śledztwo...” lub „Prokuratura podejrzewa...”.

– I co?

Magda zajrzała do jego pokoju. Nie był zbyt duży, mieściło się tu zaledwie biurko i krzeselko. Żadnej kanapy, łóżka – uśmiechnął się w duchu. Ciekawe, co by Magda powiedziała na seks na biurku... A potem się skrytykował: myśli tylko o jednym. Ale długo pościł, no i w obecności takiej kobiety jak Magda grzechem było nie mieć grzesznych myśli.

– Wygląda dość poważnie. Naprawdę nic nie wiecie o tych zleceniach?

– Mastalerz zarzeka się, że to kolejne fałszywki.

– Ale nieoficjalnie?

– Oficjalnie jeszcze sprawdza w księgowości.

– A Sawicki?

– Marek mógłby to zwyczajnie przeoczyć, ale nie sądzę, żeby coś wiedział.

Zimny się zamyślił. Odkąd przyjęto go do „drużyny”, miał otrzymywać do zatwierdzenia każdy komunikat giełdowy czy informację prasową. Dział relacji inwestorskich, tu nazywany w skrócie IR, chciał zareagować na wpis na blogu podpisany pseudonimem znanego dziennikarza i dlatego szybko podchwycony przez portale.

– Więc? Co mam powiedzieć chłopakom z IR?

– Niech na razie nie komentują.

– To będzie jak przyznanie się do winy.

– A jesteś pewna, że żadnej nie ponosimy? – Powiedział „my” mechanicznie, ale chyba coraz bardziej zaczynał się identyfikować z tą pracą i firmą.

– Nie.

– Więc jeśli zaprzeczymy, a potem będziemy musieli to prostować, to bekniemy sto razy gorzej. Lepiej poczekać na ostateczną odpowiedź z księgowości.

– Dobrze. Ty... w to wierzysz?

– W co?

– Że ta Medica jest prawdziwa?

Zimny się zawahał.

– Niestety, wygląda dość prawdopodobnie. Dokumenty się zgadzają. Choć strasznie podejrzane jest to, że prezesem spółki, z którym podpisaliśmy wszystkie umowy, jest jakiś Głazewski z Kielc, a później wszystkie faktury podpisuje ktoś, kto w ogóle nie widnieje w KRS.

– Rawicz. Tomasz Rawicz.

– Właśnie. Kto to?

Magda wzruszyła ramionami.

– No i ta siedziba... Nie można było spółki zarejestrować w Warszawie czy choćby w jakimś miasteczku? Trzeba było na wsi? Założę się, że to jedyna firma z siedzibą w Gęsiorach.

– Pewnie masz rację.

– Wątpliwości nie znaczą, że wierzymy w złe intencje...

– Pieniądze można wyprowadzać w dobrych intencjach?

– Zawsze należy wysłuchać winnych. Może to robota hakera, a może jest... inne uzasadnienie. Nie wierzę jednak w to, że Marek kradł albo pozwolił kraść.

– To chciałam usłyszeć.

Zimny o tym wiedział. Sam teraz siebie pytał, czy skłamał, czy też wierzył w to, co przed chwilą powiedział. Wierzył, zdecydowanie wierzył.

Prawie na pewno wierzył...

Max drżał. Naprawdę drżał. Po nocnej rozmowie ze zleceniodawcą przestraszył się nie na żarty. Nie dość, że tamten podszedł go tak cicho i o mało nie przyprawił o zawał, to jeszcze opowiedział takie rzeczy, od których włos jeżył się na głowie. Max zaczął się bać, że zostaje sam na tonącym okręcie. Przyjaciele go zdradzili. Na dodatek zadzwonił ten śledczy z Gdańska i poprosił o spotkanie. Dziś. Jak najszybciej. Przyleci do niego helikopterem. Max udawał, że nie wie, o co chodzi. Grał przyjaciela policji. Pewnie, wszystko powie. Otworzy się. Ale prawdę mówiąc, zastanawiał się, czy nie wziąć adwokata. Tylko co miałby powiedzieć temu adwokatowi?

Słuchaj, jestem szantażystą. Należę do grupy hakowej. A teraz boję się, że chcą mnie zrobić w morderstwo.

W pięć morderstw.

A kto wie, czy nie więcej.

Miał dwóch zaprzyjaźnionych adwokatów. Dawniej. Im by nie musiał tłumaczyć. Obaj wiedzieli o większości jego numerów. Ale obu nagrał i teraz już nie byli przyjaciółmi.

Został sam.

Całkowicie sam na okręcie.

Gra pozorów trwała. Gliniarz nazywał się Lenz i chciał się z nim spotkać w komisariacie. Żeby go aresztować? No, ale to bez znaczenia, bo jak będzie chciał, i tak go dopadną.

Max siedział więc w komisariacie, gdzie użyczono im sali do przesłuchań, i czekał.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszło kolejno sześć osób.

Lenz na końcu.

Poznał go ze zdjęcia. Młody, przystojny. Jak nie glina. Intelktualista. Podobno ma fajną żonę. Szczupłą, wysoką, piękną czarnulę o kręconych włosach, sterczących cyckach i pupie jak z żurnala. Tyle że kurwę. Tak mówił kumpel

z gdańskiej policji. Menda, ale dobry informator. Trochę podjudzający i czasem koloryzujący. Z tą kurwą jednak nie kłamał. Max sprawdził. Temat za dużo chodził po sieci i na forach wśród glin, by był wyssany z brudnego palucha. Trzy źródła? On miał już dziesięć. Wszystkie pewne, żadne nie dmucha nadmiernie. Tyle że co mu z tej wiedzy? Mógł jakoś rozsierdzić gliniarza uśmieszkami i dygresjami, tylko po co, skoro to on był przesłuchiwany?

Innych osób nie znał. Baba – całkiem fajna, młoda. Niezłe cycki. Dupa też w porządku. Za krótkie nogi. A przez to trochę jednak za szeroka w biodrach. Równie młody koleś. Grubasek. Zniewieściały. Pewnie mały kutas.

Nie masz szans posuwać jakiegoś fajnego towaru, co?

Takie życie, chłopie.

Jak się nie ma dobrego drağa, trzeba mieć jaguara.

Albo inne sposoby.

Wiem coś o tym.

Ja mam parę, mógłbym cię nieco nauczyć.

Trzech trochę starszych gliniarzy. Twardzieli. Mogli być równie dobrze glinami jak bandziorami. Rozróżnić nie sposób. Sześciu na jednego, to dwie bandy łysego – pomyślał Max.

Lenz przedstawił się, powiedział, że to oficjalne przesłuchanie w sprawie zabójstwa, a właściwie serii zabójstw, i że będzie nagrywane. Tam jest kamera i tam, mikrofon w stole. Max dobrze o tym wiedział. Zaczął się pocić, ale wciąż udawał przyjaciela. Pewnie, przecież nie ma nic do ukrycia, chce pomóc.

– To jak to jest z tym szantażowaniem? – wypalił jednak Lenz już w pierwszym pytaniu.

Mógłby kutafon chociaż trochę pościemniać. Powiedzieć, jak podziwia dziennikarskie sukcesy Maxa, jak docenia jego teksty, pochwalić go za zajebiste źródła i w ogóle za to, jak świetnie opisuje rzeczywistość. Chociaż trochę.

– Nie rozumiem – odparł Max.

– Jesteś dziennikarzem niezależnym, czy tak? – zaczął Lenz z innej beczki.

– No tak, ale pracowałem dla dużych mediów, gazet i telewizji. Nie jestem blogerem, tylko dziennikarzem. Zdobyłem nagrodę...

– Tak, wiem, do sądu dołączymy te wszystkie laurki...

Do sądu? Czyli coś mi jednak grozi? On chce powiedzieć, że zamierza mi przypierdolić trzy miechy aresztu? To gdzie prorok? Gdzie podstawa? Gdzie pytania o papugę? Odczytanie praw? Inne gówna? No gdzie, piękniśiu? Co ty, kurwa, straszysz? W co chcesz mnie wpuścić? Ten czarnuch wydymał i ciebie?

– O co wam chodzi? – bąknął strasznie słabo, choć zamierzał się unieść i grać twardziela. Nic na mnie nie macie, nie możecie mieć. Jestem dziennikarzem. Nie złamałem żadnych przepisów. Miałem prawo robić wszystko, co robiłem. Słyszeliście o prowokacji dziennikarskiej? O ochronie źródeł? O całym tym

gównianym prawie prasowym? Możecie mi naskoczyć.

– Sytuacja wygląda następująco – powiedział Lenz. – Z naszych BEZSPORNYCH ustaleń wynika, że od dwóch miesięcy atakujesz spółkę Sawicki różnymi dziwacznymi pytaniami, czasem opartymi na faktach, a czasem na wyssanych z palca bzdurach. Insynuujesz w tych pytaniach związek Sawickiego z różnymi przestępstwami, w tym najcięższymi. Jednocześnie nie piszesz na ten temat żadnych tekstów. To jak to nazwać? Dziennikarstwem chyba nie?

– Przygotowuję książkę – znów bąknęcie zamiast ataku z pełnym wzwozem.

– Gówno, nie książkę – natarł Lenz. – Na twoich kompach nie ma żadnego maszynopisu. Nawet konspektu książki. Więc nie pieprz, że coś przygotowujesz.

– Jak to na moich kompach? Włamaliście się do mojego komputera?

– Jakiś haker ci się włamał – powiedział nagle ten grubasek i rzucił na stół kilka wydruków. – Tu masz wszystkie drzewka plików i różne takie. Nie ma tam nigdzie książki czy śladów książki o Sawickim.

– Dopiero zbieram materiały.

– Daruj sobie i odpowiedz na pytanie.

– Jakie to pytanie?

– Dlaczego szantażujesz Sawickiego? Kto ci to zlecił? Kto za tym stoi? Bo nie ty, prawda? Nie ty sobie to wymyśliłeś i realizujesz. Nie jesteś sam. Sam byś się bał, że jednak cię odstrzelą. Masz poważnych mocodawców. Takich, którzy nie boją się żadnych Sawickich, jego ochroniarzy, bandziorów, których mógłby wynająć. Takich, co nie boją się nikogo.

Max uśmiechnął się znacząco, z dumą. Właśnie takich, kurwa, mam – miał ochotę wykrzyknąć. Takich, którzy mnie ochronią przed takimi cipami jak wy. Możecie mi naskoczyć.

– Jestem dziennikarzem i nie wiem, o czym mówicie.

– Wiesz.

– Nikogo nie szantażuję. Zadaję pytania, realizując w interesie publicznym misję dziennikarską. Przygotowuję książkę. Mam prawo do ochrony źródeł. I możecie mi naskoczyć. Poniałi?

– Nie. Tak łatwo ci nie pójdzie. Jesteś szantażystą.

– Sawicki złożył doniesienie? O ile się nie mylę, to szantaż jest ścigany z doniesienia, a nie z urzędu?

– Nie martw się, znajdziemy paragraf.

– Chcę adwokata.

– Dostaniesz. W swoim czasie.

– Nie pierdol. Chcę teraz.

– To się popłacz.

– Posłuchaj...

– To ty posłuchaj. Utrudniasz śledztwo w sprawie morderstwa. Pomóż nam, a my pomożemy tobie.

– Wiesz co, panie Lenz czy jak ci tam, idź może wydymaj swoją żonkę, co? Lenza zmroziło, innych też. Zaskoczył ich, a co?

– No jak? – kontynuował. – Trafiłem w czuły punkt, co? Ten czarnuch cały czas ją dyma?

Karatecy byli najszybsi. Pierwszy dopadł do Lenza. Niepotrzebnie. Inspektor nie zamierzał zareagować gwałtownie. Nie był porywczy. I właśnie wtedy był najgroźniejszy. Karateka zwyczajnie się bał, że Lenz wyciągnie spluwę i zastrzeli gnidę. Drugi Karateka nacisnął odpowiedni guzik na karku Maxa.

– Jeszcze słowo, a zwymiotujesz. Z bólu. I nie przestanę boleć.

– Puść, kurwa...

– Jeszcze słowo...

Max zrozumiał, że ten nie żartuje, i zaskomlał:

– Dobra, już dobra. Na żartach się nie znacie?

Lenz skinął głową.

– W porządku – powiedział.

Max poprawił marynarkę. Drogą, dobrą marynarkę. Kiedyś, jak był zwykłym pismakiem, nie było go na takie stać. Teraz jest inaczej. Na jaguara też go stać. Tego pieprzonego Lenza nigdy nie będzie. Nigdy, szczyłu, nie widziałeś tyle kasy, ile ja mam na koncie w Niemczech. I chuja możesz mi zrobić.

– Dobra, przepraszam – powiedział spokojnie.

Najlepsza metoda na takich jak Lenz. Najpierw wkurwić, potem przeprosić. Teraz będzie się już bał ostro pograć. Po prostu jak najszybciej doprowadzi rozmowę do końca.

Lenz skinął, jakby przyjął przeprosiny, po czym powiedział bardzo powoli i spokojnie:

– Szanowny panie Max czy jak ci tam. Chcę, żebyś wiedział, że jeśli nie odpowiesz szczerze na moje pytania, to zaraz po wyjściu stąd udzielę pierwszej z brzegu telewizji informacyjnej wywiadu, który raz na zawsze zakończy twoją wspinałą medialną karierę.

– Gównu możesz. Wiążą cię przepisy, chłopcze.

Karateka znów był przy nim, ale Lenz powstrzymał podwładnego.

– Zaryzykuję.

– To będzie twój ostatni wywiad.

– I ostatni poświęcony tobie. Stracisz jakąkolwiek wiarygodność. Staniesz się nieprzydatny dla swoich mocodawców. Zostaniesz całkowicie sam. I wcześniej czy później dobiore ci się do dupy. I wtedy z dziennikarza staniesz się oskarżonym. Bo wszystko, co robisz i co nazywasz misją, to są przestępstwa. I obiecuję ci, znajdę tych, którzy nie będą się bali zeznawać na twój temat. Którzy powiedzą

prawdę o twoim... dziennikarstwie.

Coś w słowach Lenza musiało wywrzeć odpowiedni efekt, bo Max wyraźnie się wystraszył. I odpowiedział dość szybko, choć zaskakująco.

- Panie inspektorze, musimy porozmawiać na osobności.
- Akurat – powiedział Karateka.
- Naprawdę musimy. Mam panu coś bardzo ważnego do powiedzenia.

Lenz popatrzył mu w oczy i zdecydował.

- Dobrze. Wyjdźcie, wszyscy.

No i kto jest mistrzem?

Zimny miał dobry humor, choć unikał zbyt otwartego okazywania radości, bo nastrój był dość ponury. Magda z samego rana pojechała do Wicka, żeby dokładniej przejrzeć dokumentację w księgowości. Mastalerz został, ale był wyraźnie nie w sosie. Sawicki gdzieś błędził, ale według jednego z asystentów, którzy przyszli na spotkanie z Zimnym, był wściekły.

- Więc jednak to prawda?
- Medica dostawała przelewy.
- Przez dwadzieścia lat?
- Tak.
- Za co?
- Nie wiemy.
- Chodzi o vialix?
- Nie, Medica nie ma nic wspólnego z vialixem.
- Więc o co?
- Już mówiłem. Nie wiemy.
- Magda sprawdzi?

– Tak, ma ustalić wszystkie szczegóły. Zebrać protokoły odbioru prac, same prace, inną dokumentację, ale prawdę mówiąc... – Mastalerz nie dokończył.

– Podejrzewa pan, mecenasie, że tam nic nie będzie, prawda? Że nie będzie wykonanych prac, tylko puste protokoły bez pokrycia.

- Tak podejrzewam.
- A kto zlecał przelewy?

Mastalerz chrząknął. Chyba wiedział, ale nie chciał powiedzieć.

- Nie wiemy.
- Lepiej, żebym znał prawdę, mogę wtedy przygotować się na atak.

Dłuższa cisza. W końcu:

- Marek.
- Marek podpisywał zlecenia?
- Na to wygląda. Ale... upiera się, że tego nie robił.
- Więc ktoś to sfalszował? Podrobił podpis?
- Nie wiem. Może. Marek twierdzi, że nic nie wie.

– Słabo. Dwadzieścia lat płacenia firmie krzak za nic trudno uzasadnić pomyłką.

– Wiem o tym.

– Trzeba obmyślić jakiś plan działania, żeby to się nie wymknęło spod kontroli.

– O to prosimy.

– Tylko nic więcej nie komentujcie. Tematu nie ma.

– Nie komentujemy.

– Właśnie.

Przemilczane, zapomniane.

Kuba poszedł do łazienki, spojrział w lustro i pomyślał, że to kurewsko niesprawiedliwe być poza mediami i pracować na rzecz ukrywania prawdy. Chciałby robić coś dokładnie odwrotnego.

Tak zwyczajnie, po ludzku, było mu przykro.

– Jesteśmy sami – powiedział Lenz. – Co masz mi do powiedzenia?

– Na pewno wyłączyłeś kamery i nagrywanie?

– Na pewno. Mam tylko to. – Pokazał prywatny dyktafon, który Max pozwolił mu włączyć.

– Jak usłyszysz, co mam do powiedzenia, to skasujesz, dobrze?

– Jeśli rzeczywiście nie będzie istotne dla sprawy morderstw.

– Nie będzie.

– Zgoda.

Max odetchnął głęboko.

– Jestem kretem – wyznał cichym głosem.

– Co?

– Przykrywkowcem, agentem specjalnym. Nie rozumiesz, jełopie?

– Daruj sobie – warknął Lenz.

Już miał ochotę powiedzieć, że gównu go to obchodzi, ale wiedział, że jest inaczej. Jeśli Max mówił prawdę, to on właśnie stracił świadka, którego mógł przycisnąć. Może będzie mógł się czegoś jeszcze dowiedzieć, ale to wątpliwe. Maxa wyciągnie agencja, która go finansuje i prowadzi. A on nie zdoła nic zrobić. Nawet interwencja u premier nie pomoże.

– Numer?

Max podał numer, kryptonim i nazwisko oficera prowadzącego. Spojrział na zegarek.

– Jak zadzwonisz w ciągu godziny, to go zastaniesz.

Lenz z trudem panował nad emocjami.

– Kurwa, jesteś dziennikarzem!

– No i?

– Dziennikarz nie może być agentem.

- Chuja wiesz. Jak się premier zgodzi, to może.
- I w twoim wypadku premier wie?
- Sprawdź se...

Lenz opuścił pokój i poszedł do dyżurnego. Wybrał numer agencji, przedstawił się i powiedział, z jaką sprawą dzwoni. Chwilę później przełączono go do oficera prowadzącego Maxa. Dwie chwile później musiał wypuścić skurwiela niby-dziennikarza. Kret powiedział mu jeszcze, że wszystko, co wie, jest tajemnicą. Prowadzą operację specjalną i może mu naskoczyć.

Z zabójstwami nie ma nic wspólnego. Zleceniodawców, informatorów, współpracowników nie wolno mu ujawnić. Jak Lenz chce, może sobie pisać do generałów, ministrów i innych, żeby zdjęli z Maxa tajemnicę, ale to i tak nic nie pomoże.

- Moja... misja nie ma nic wspólnego z twoim śledztwem.

Gnida była wolna. Przynajmniej do chwili, gdy nie znajdzie na nią czegoś naprawdę mocnego. A pewno nie znajdzie.

Takie życie.

Gnidy czasem wychodzą bez szwanku nawet z ostrego bombardowania.

Zemsta. Słodka zemsta – pomyślała.

Noc była zimna i czarna, a ona ubrała się nieco za lekko i nie wzięła latarki. Jednak poradzi sobie. Tyle razy sobie radziła w trudnych sytuacjach.

Ochroniarze nigdy w nocy nie obchodzili terenu, ale ostatnio czuło się napięcie, więc nie była pewna, czy tym razem się na kogoś nie natknie. No i jeszcze ta niby wyjątkowa, oczekiwana przez wszystkich impreza, która za kilka dni ma zmienić świat.

Trzeba było uważać.

Dlatego przez prawie pół godziny leżała w krzakach, upewniając się, że nie ma żadnych patroli ochroniarzy krążących po okolicy. Nie było. Wszyscy (cała nocna zmiana) siedzieli w dyżurce, oglądali telewizję i czasem tylko zerkali na obraz z kamer monitoringu. A ten był dziurawy. I ona dobrze wiedziała, jakie ma dziury.

Podczołgała się do ogrodzenia, a potem w kucki przeszła przez „martwe pole” do bramy. Wyjęła spray i na murze obok wejścia napisała, co miała do napisania. Zadowolona spojrzała na swoje dzieło.

Jutro z samego rana wszyscy pracownicy to sobie przeczytają. Pierwsza zmiana, dwa tysiące osób. Wszyscy przejdą i przeczytają, że Sawicki jest mordercą i gwałcicielem. Pewnie po jakimś czasie ktoś to zasłoni, może zamaluje, ale ludzie się dowiedzą. A ona nie pozwoli, żeby napis został zapomniany. Odeszła na dwa kroki, wyjęła aparat fotograficzny, specjalnie ustawiony przez fachowca tak, by robić dobre zdjęcia po ciemku, i pstryknęła fotkę bramy z napisem. Jutro inny jej znajomy podrzuci ten napis przez internet do gazet. Na pewno któraś napisze o tym drobnym, ale jakże satysfakcjonującym incydencie.

Możesz sobie być, Sawicki, milionerem, ale ja nie pozwolę ci zapomnieć o zbrodniach sprzed lat! Nie uda ci się wyłgać. Sprawiedliwość nie śpi. O nie!

Prawie całą noc pracował nad procedurami, o które poprosił Sawicki. Procedury, procedury, procedury – one są najważniejsze. Biznesmen upierał się przy tej opinii, a Zimny nie bardzo potrafił mu się przeciwstawić. W sumie to może i racja. Parę osób na górze wie, jak postępować z mediami, ale zwykli, szarzy pracownicy są skołowani i mogą popełnić błąd, dać się zmanipulować, podpuścić. Uczciwy dziennikarz nie będzie się uciekał do prowokacji, nie wrobi żadnego prostego pracownika w intrygę. Ale jeśli mają zostać na nich nasłani dziennikarze nieuczciwi, to takie procedury mogą się przydać. Trzeba po prostu wszystkim wytłumaczyć co i jak. Prosto, w punktach, bez możliwości interpretacji. Punkt pierwszy: nie ma rozmów z dziennikarzami. Punkt drugi: wszystkich odsyłać do rzecznika. Punkt trzeci: informować rzecznika o każdej próbie prowokacji

dziennikarskiej. Punkt czwarty: żadnego filmowania i nagrywania. Punkt piąty: do każdego wtargnięcia na teren, napastowania, dziwnej sytuacji wezwać ochronę. Punkt szósty: łać w ryj, jak nie słuchają.

Wykreślił punkt szósty i właśnie wtedy do jego gabinetu wparował Mastalerz.

– Proszę wyjść i zapukać – zażartował Zimny.

– Co proszę?

– Na drzwiach jest napisana procedura: pukać, czekać na odzew, wejść po trzech sekundach milczenia lub zaraz po pozwoleniu. Pan po prostu otworzył drzwi, złamał procedury.

– A, tak.

Mastalerz wyszedł, zapukał i czekał. Naprawdę czekał. Zimny nie odpowiedział ani na pierwsze, ani na drugie, wyraźnie zniecierpliwione pukanie.

Prawnik w końcu wszedł z głupią miną.

– Dlaczego pan nie odpowiada? – zapytał.

– Przecież żartowałem. Taki pan poważny? Procedury są do dupy.

– Niech pan tak nie mówi. Wszystkie korporacje stoją na procedurach. Skoro im są potrzebne, to nam też nie zaszkodzą.

– Niech będzie. Co pana sprowadza?

Mastalerz spojrział na zegarek.

– Właśnie. Proszę się spieszyć, za godzinę wylatujemy do Wicka. Przeleci się pan naszym samolotem.

– Do Wicka? Po co?

– Dwa powody. Mniej ważny: dziś doszło tam do incydentu.

– Jakiego?

– Ktoś napisał sprayem na murze przy bramie wejściowej: „Sawicki to morderca i gwałciciel”.

– Aha. I mam to prostować?

– Nie.

– No więc po co ten wyjazd?

– Mówię, że ten powód jest mniej ważny. Dużo istotniejsze jest to, co znalazła Magda w aktach i co musimy omówić, oraz to, że Marek chce panu trochę opowiedzieć o spółce. Wrócić do tych nurtujących pana pytań.

– Fajnie.

– Poza tym za trzy dni w Wicku odbędzie się prezentacja na temat vialixu, a to też pana interesuje, prawda?

– Tak, jak najbardziej.

– No więc pańska ciekawość zostanie zaspokojona. Dowie się pan, czym jest vialix, czy słusznie wiążemy z tym preparatem tak duże oczekiwania i jaka jest jego przyszłość.

– Świetnie – zakończył Zimny.

Choć chętnie by jeszcze spytał, czy na miejscu w Wicku będzie na nich czekała Magda. Była tam, ale przecież mogą się minąć w drodze. Chyba jednak nie. Przecież Sawicki i Mastalerz będą chcieli, żeby zaprezentowała im ustalenia na temat Mediki. Tak więc wkrótce znów się spotkają. I to ze wszystkich porannych informacji cieszyło go najbardziej.

Zamknął system w komputerze i zaczął zbierać rzeczy do wyjazdu. Nie miał ich zbyt wiele. Będzie musiał na miejscu kupić trochę bielizny i szczoteczkę do zębów.

Lenz planował, że w Warszawie oprócz Maxa przesłuchają co najmniej Sawickiego, Mastalerza i tego nowego współpracownika firmy – Zimnego. Jakież było jego zdziwienie, gdy się okazało, że będzie musiał wrócić na Pomorze, bo wszyscy udali się do Wicka.

– Jakieś ważne wydarzenie? – zapytał asystentkę na recepcji.

Spojrzała w procedury i odpowiedziała zgodnie z punktem dwa.

– Przykro mi, nie mogę udzielać informacji. Proszę dzwonić do rzecznika.

– Jestem policjantem.

– W takim razie proszę dzwonić do działu prawnego. Chce pan numer?

– Nie trzeba.

Recepcjonistka była bardzo ładna i Lenz pomyślał, że postęp mu jednak nie sprzyja. Kiedyś z taką ładną recepcjonistką można było poflirtować, a już na glinę to można było niezłe namieszać. A teraz? Wszędzie te sztywne procedury.

– Co robimy? – zapytała Wanda.

– Może my też powinniśmy się oproceduować?

– O co ci chodzi? Mało ci paragrafów?

– Przed wyjazdem trzeba było poumawiać spotkania, a nie jechać na żywca.

– Jaki byłby efekt zaskoczenia?

– Żaden.

– No właśnie.

– Za to teraz my jesteśmy zaskoczeni.

Zarządził powrót do Gdańska, ale z międzylądowaniem w połowie drogi. Po przejrzeniu dokumentów nadesłanych z urzędu skarbowego doszedł do wniosku, że mogą mieć coś naprawdę ciekawego do załatwienia w pewnej zabitej dechami dziurze.

Gęsiory. Co za nazwa...

Samolot był mały, ale w środku robił wrażenie. Przypominał salonik w nowoczesnym hotelu. Sawicki czuł się tu bardzo wyluzowany, Mastalerz niekoniecznie, a Zimny przyjmował wszystko obojętnie.

Bogacz, to i ma samolot. Co z tego?

– Pewnie myślisz, Kuba, że to zbytek luksusu?

– Co?

– Samolot. To zbyteczny luksus?

– Czy ja wiem...

– Podobno biznesmeni kupują je sobie, bo tak wypada. Jeśli masz grubą kasę, musisz mieć samolot i rolls-royce'a. Ale tak naprawdę bez prywatnego samolotu nie da się działać w biznesie. Zbyt wiele czasu traciłoby się na przelot normalnymi liniami. O dziwo, prywatny samolot jest znacznie bardziej praktyczny i wcale nie tak dużo droższy, jeśli uwzględnić jego wykorzystanie do naszych celów.

– Nie mam nic przeciwko prywatnym samolotom.

– Luksus i bogactwo bywają narzędziami pracy. Jak nie masz pieniędzy, nie chcą z tobą robić interesów. Usiądź naprzeciwko. Mamy prawie dwie godziny do pogadania.

– Dziękuję.

– Od czego zaczynamy?

– Może od początku.

– Niech będzie. Zatem od początku.

Głośny warkot silnika i wirników przeszkadzał w zebraniu myśli. Lenz nie potrafił się skupić. Cała ta sprawa wydawała się jakaś... dziwna. Może jednak zrobił błąd, nie analizując dokładnie przeszłości. Teraz to nadrabiał. Cofał się dwadzieścia, a nawet więcej lat wstecz tylko po to, żeby ewentualnie zrozumieć te cholerne przelewy na Medicę. Bo przecież historie sprzed trzydziestu czy dwudziestu lat nie mogą mieć wpływu na zabójstwa dokonane tu i teraz. To się nie zdarza. Tylko na filmach i w książkach. Nie ma zabójców, którzy chcieliby się mścić za wydarzenia sprzed lat. Nie ma takich szaleńców. Wymyślają ich nie mniej szaleni wyznawcy teorii spiskowych, pismacy, twórcy i inni agitatorzy. On, Lenz, był przedstawicielem prawa, systemu. Coś skłóconego z systemem nie może być jego częścią.

A jednak przeczucie mówiło: prześledź, cholera, tę historię, żebyś nie żałował.

– Dobra, niech będzie.

– Co niech będzie?

– Daj te akta.

Wanda uśmiechnęła się do Bandy, jakby chciała powiedzieć: mówiłam, że mu się przydadzą te papierki. Nie drukowałaś na próżno.

– Wszyscy mieliśmy jedno marzenie: nie być biednymi – zaczął Sawicki. – Chcieliśmy toczyć inne życie niż nasi ojcowie i dziadowie. Nie martwić się o każdy kolejny dzień, nie stać w kolejkach po banany, nie bać się, że nie będzie na chleb. Komuna przemijała, wszędzie była bieda, ale my czuliśmy, że świat się zmienia, że dostajemy od losu szansę. Siergiej był z nas najmądrzejszy i to on

wpadł na pomysł z higieną. Kręciła go farmacja, którą studiował, ale wiedział, że leki to skomplikowany biznes – prywatyzacja, badania, dużo kasy potrzebnej na start. A higiena jest prosta. Papier toaletowy, chusteczki, pieluszki. Pierwszy towar sprowadzić z Azji. Podrobić jakąś technologię, wyprodukować swoje, dostarczyć. Chusteczki-sreczki – tak to sobie nazwaliśmy. Wszyscy ich potrzebujemy. Z czasem pomyślimy o rozwoju, a na razie róbmy to, co samo nam wchodzi do portfela. Mówiąc szczerze, nie bardzo mi się to podobało, ale mnie przegłosowali. Poza tym uważałem, że mój pomysł był zbyt ryzykowny jak na tamte czasy. Przybiliśmy więc piątki i tak powstała...

– Anika? – przerwał Zimny.

– Anika.

– Skąd ta nazwa? – zapytał Kuba, udając, że nie wie.

Tylko na jedną maleńką chwilę twarz Sawickiego przybrała jakąś całkiem nową maskę. Zimny nie potrafił jej rozgryźć. Może to było tylko rozrzewnienie, wspomnienie warte jednego mrugnięcia powieką.

– Od kobiety. Wyjątkowej kobiety. Mieszkała w kamienicy naprzeciwko akademika. Co wieczór podglądaliśmy ją, jak się rozbierała do snu. Zawsze gasiła światło w najciekawszym momencie. – Sawicki się uśmiechnął. – Zakochał się w niej Artur, to on nas zmuszał do tych seansów. My w gruncie rzeczy woleliśmy brydza, ale z grzeczności patrzyliśmy razem z nim. I pewnego dnia Artur przyprowadził ją do naszego pokoju. Potem opowiadał, że planował to już od tygodni. Czekał na Anikę przed domem, aż w końcu sama go zauważyła, on się uklonił, przedstawił i wyznał, że ją podglądamy. No i dała się namówić na wizytę. Nawiasem mówiąc, straszne z nas były zgredy, no... może z wyjątkiem Artura, który był na to za przystojny. Dziewczyny za nim szalały, a my... zajmowaliśmy się pracą i nauką. To jej podglądanie było taką odskocznią. Wystarczyło nam. Artur wszystko zepsuł tym planem. Jednak Anika okazała się wyjątkowa.

Przerwał na dłuższą chwilę.

– Anita Kadad. Tak się przedstawiła. Córka Polki i Syryjczyka. Anika – tak my ją nazwaliśmy. Też była studentką, w kamienicy wynajmowała stancję. Brak kontroli rodziców robił swoje. Nieraz udało nam się ją namówić, by została na noc. Artur pilnował jej jak klejnotu, żeby żaden z nas nie miał możliwości przyprowadzić mu rogów.

Znów ta maska. Coś działo się w duszy biznesmena. Wspomnienia poruszyły wyjątkowo czułą strunę.

– Coś się wydarzyło, prawda? – podpytał Zimny.

Sawicki skinął głową.

– Nie wiem, czy powinienem o tym mówić...

– Zostanie to tylko między nami, jeśli...

– Nie o to chodzi. Oni... wszyscy nie żyją. Nikogo ta opowieść już nie urazi.

Zimny czekał. Sawicki westchnął i w końcu powiedział:

– Ona nie chciała być jego własnością. Intrygowała, prowokowała nas. Pewnego dnia Artur musiał wyjechać po przekaz pocztowy od ojca i wtedy Anika... skorzystała z okazji, żeby nas trochę porozgrywać, poróżnić.

– Co zrobiła?

Sawicki zagryzł wargę.

No, dalej – pomyślał Zimny. Skoro już tyle powiedziałeś...

– Nie zrozumiesz tego...

– Zrozumiem. – A co, myślisz, że tylko ty mieszkałeś w akademiku?

– Ona... zaczęła nas rozgrywać przeciwko sobie. Z wdziękiem. Uwodzicielsko. I prawie jej się udało. Gdybyśmy nie byli tak życzliwi... Gdybyśmy nie byli prawdziwymi przyjaciółmi, pewnie by się udało... W każdym razie kiedy wrócił Artur, wzięliśmy go na piwo i wyjaśniliśmy, żeby sobie darował, bo ta dziewczyna go wykorzystała i zniszczyła. Nie chciał oczywiście słuchać. Jak to zakochany. Myślał, że chcemy mu ją odbić albo że mu zazdrościmy takiej kobiety, albo że spiskujemy. Tak to jest, że dobre rady mają zerową wartość i doceniamy je dopiero, jak się sami na czymś sparzymy.

– I Artur się sparzył?

– O tak, bardzo dotkliwie.

– Co się wydarzyło?

Sawicki zacisnął mocno usta. Kuba myślał, że przygotowuje wypowiedź, żeby była stonowana i jednocześnie wszystko wyjaśniała, ale on nagle uciął:

– To bez znaczenia. Zrobiła mu... świństwo, on zrozumiał, że mieliśmy rację, i Anika zniknęła z naszego życia. Mimo to Artur długo nie mógł o niej zapomnieć...

– Nic dziwnego – mruknął Zimny.

– I tak, i nie.

– To znaczy?

– Artur odgrywał przed nami casanovę. Był najbardziej do przodu, jeśli chodzi o kobiety. Ciągłe się za jakąś uganiał. Flirtował, zdobywał, czasem przyprowadzał na noc i... robili to na górnym łóżku, mimo że my byliśmy tuż obok. Pogrywał sobie z nami i trochę z nas drwił, bo my byliśmy... inni.

– Nie mieliście własnych dziewczyn?

– Nie w Trójmieście. Jakoś inaczej do tego podchodziliśmy. Ja miałem dziewczynę w Wicku. Kochałem ją, nie potrzebowałem... urozmaicenia. Benedykt był trochę jak ksiądz. Zanim poznał Anikę, nigdy nie widziałem, żeby się za jakąś obejrzał. Anika... cóż, troszkę go odmieniła. Pozytywnie. Z kolei Siergiej był romantykiem, poetą. On uwodził dziewczynę, śpiewając ballady Stachury i Wysockiego. Nie umiał podrywać co chwila innej. Jak sobie jakąś wybrał, to... na długo. Artur chełpił się swoimi zdobyczami i prowokował nas. Udawał zawsze, że

mu na tych dziewczynach nie zależy. I tak było z Aniką.

– Dopiero potem się okazało?

– Właśnie. Mnie było go szczególnie szkoda, bo o ile wszyscy byliśmy zżyci, to właśnie ja z Arturem przyjaźniliśmy się najbardziej.

– Wasza przyjaźń była zagrożona przez Anikę?

– Nie, skąd ten pomysł?

– Sam mówiłeś, że...

– Anika sobie poszła. Artur zerwał z nią wszelkie kontakty. Wyprowadziła się ze stacji, zniknęła. Nie było jej.

– Hm. – Zimny się zamyślił. – Skoro to było w gruncie rzeczy traumatyczne przeżycie, to... dlaczego nazwaliście spółkę jej imieniem?

– Oj, źle mnie zrozumiałeś. Anika zmieniła nas wszystkich. Sprawiała, że dojrzeliliśmy. Każdy z nas na swój sposób. Była jak diabeł kuszący Chrystusa na pustyni. Artur zapomniał. Potem przyprowadził jeszcze z dziesięć jej podobnych, choć żadnej tak... wyjątkowej. Historie o Anice wracały przy każdej wódce, przy każdym brydzu. Były... zabawne. Może to okrutne, ale tak było. Dlatego gdy wymyślaliśmy nazwę firmy, nie mieliśmy wątpliwości – Anika i koniec.

– Przewrotna gra z uczuciami...

– Tak, teraz, jak patrzysz na mnie, to widzisz statecznego człowieka, ale kiedy byłem studentem, kiedy wszyscy byliśmy młodzi, to lubiliśmy bawić się i żartować. Po prostu to była... adekwatna nazwa. Spółka, nasza wspólna spółka...

Sawicki przez chwilę się uśmiechał, ale zaraz wyraźnie posmutniał, więc Kuba postanowił zmienić wątek.

– Pierwsze pieniądze były z fałszywek?

– O, słyszałeś o tym. – Sawicki uśmiechnął się. – Nie do końca. Jeden z nas robił interesy z dealerami, ale pozostali byli przeciwni. Powiem tak: on zarobił tak na swój wkład w firmie. Pozostali zarobili na to ciężką, uczciwą pracą. Nie handlowaliśmy tymi banknotami.

– Który z was?

– A jakie to ma znaczenie?

– Artur, prawda? – Zimny uśmiechnął się znacząco, jakby wiedział, że zgadł. Już zaczął układać ich sobie charakterami.

– Nieważne. – Sawicki także się uśmiechnął.

– Co było dalej?

– Sukces. Firma dobrze prosperowała, zaczęliśmy mieć wizję wielkiego biznesu, coraz dalej idące plany, choć nigdy bym nie pomyślał, że... uda się aż tak. A potem... zdarzył się wypadek. Chłopaki, moi wspólnicy, wsiedli do samochodu i zderzyli się czołowo z ciężarówką. Cała trójka zginęła na miejscu.

– Dlaczego nie jechałeś z nimi?

– Od kilku dni załatwiałem w Warszawie papiery. Oni mieli dojechać

i złożyć swoje podpisy.

– Co to były za papiery?

– Giełdowe. Planowaliśmy wejść na giełdę, trzeba było wynająć doradcę do przeprowadzenia oferty, przygotować prospekt. Wtedy takie rzeczy można było załatwić praktycznie tylko w Warszawie. W Gdańsku nie było nikogo, kto by się na tym znał. Przynajmniej nikogo, komu moglibyśmy wówczas zaufać. Więc ja praktycznie zamieszkałem w Warszawie, pracowałem z maklerami i doradcami inwestycyjnymi nad ofertą i zajmowałem się całą tą biurokracją.

– Rozumiem.

– Po wypadku byłem na siebie zły, że to ja tam byłem, a nie Benedykt, który odpowiadał za finanse. Mogłem sobie tłumaczyć, że to Bóg tak chciał, że dał mi kolejną szansę, dowód swojej łaski. Jednak... – Sawicki przerwał, jakby czegoś nie chciał dopowiedzieć.

– Tak?

– Benedykt musiał rozwiązać w Gdańsku problem z pewnym kontrahentem, który nie chciał zapłacić za dostarczony towar. To była duża, ważna transakcja. Mogliśmy się przez nią przewrócić.

– Jaki to kontrahent?

Ucieczka wzrokiem w bok i w górę. W lewo. Zaraz skłamię – pomyślał Kuba.

– Nie pamiętam.

– A co mu dostarczyliście? Duża transakcja, więc chyba... pamiętasz?

– Tyle tego było... A, przypomniałem sobie, jakieś leki, do Rosji...

– Nie było podejrzeń, że ci Rosjanie maczali palce w wypadku?

– Nie wiem.

Zaskoczenie. Kuba był pewny, że Sawicki będzie się zarzekał co do wypadku. Nigdy go przecież nie negował. Jeśli zaś coś podejrzewał, to dlaczego nie wykorzystał posiadanych środków, żeby to zbadać, wyjaśnić?

– Nie wiem – powtórzył. – To było dziwne. Czołowe zderzenie z ciężarówką. Prowadził Artur. Przynajmniej tak ustaliła policja i to by się zgadzało, bo najczęściej jeździł właśnie on. Był bardzo dobrym kierowcą. Nigdy nie zdarzyła mu się nawet stłuczka. I nagle takie coś. Wyprzedzanie na podwójnej, ryzykowny manewr. Mógł jechać brawurowo, ale nie w taką pogodę. Artur był odważny, silny, przebiegły, ale nie głupi. To zupełnie mi nie pasowało.

– Więc jednak podejrzewasz, że wersja oficjalna jest sztyta?

– Podejrzewam, że coś, czego nie jesteśmy w stanie ustalić, skłoniło Artura do bardziej ryzykownego zachowania i to było przyczyną śmierci moich przyjaciół. Ale nie sądzę, żeby to był spisek. Gdyby tak było, to przecież potem ktoś by czegoś ode mnie chciał, szantażował, działał. A tak się nie stało. Wypadek i koniec. Żadnych więcej kłopotów.

– Chyba że... – tym razem Zimny nie dopowiedział.

– Tak?

– Chyba że to ty stałeś za tym spiskiem – powiedział Kuba bardziej dla rozładowania napięcia, ale odniósł odwrotny efekt.

Sawicki posmutniał jeszcze bardziej. Twarz mu poszarzała i jakby odrobinę się skurczył. Dziwne.

– No tak – westchnął.

Jeszcze tylko jedno, ostatnie pytanie – pomyślał Zimny, bo i on chciał przetrwać pozyskane dziś informacje.

– Dlaczego po wypadku zmieniłeś nazwę firmy?

Sawicki przełknął ślinę. Zbierał się, żeby to, co powie, nie zabrzmiało zbyt rozczulająco. Walczył ze wzruszeniem, a może wspomnieniami. A może ze strachem, że powie coś nieodpowiedniego, odrobinę za dużo...

– Chciałem... sam nie wiem... uznałem, że to nie fair. Oni wszyscy umarli, zostałem tylko ja. Nie czułem się uprawniony do... zawłaszczenia... tej nazwy.

Różne kwestie nasuwały Kubie sporo wątpliwości, ale ta ostatnia odpowiedź zabrzmiała najbardziej fałszywie.

Sawicki kłamał.

I właściwie obaj o tym wiedzieli.

W Gęsiarach opowiadano, że i tu lądowali niegdyś talibowie. Gdy Lepper krzyczał z mównicy sejmowej o Klewkach, oni zbierali się w karczmie u Żyda i spiskowym szeptem gadali, co się dzieje za wioską, w lasach, koło bagien, gdzie wojsko miało jakieś sto hektarów poligonu, jednostkę specjalną i różne dziwadła. Więc miejscowi też widzieli talibów, widzieli takich w turbanach i takich na golasa. Kto zapytał, temu mówili.

Piętnaście lat później helikopter podobny do tych, co woziły talibów, wylądował przed chatą tego chujka z miasta, co to był się wprowadził do chałupy po starym Heńku Komorowskim. Komorowskiemu się zmarło już dawno temu, będzie ze trzydzieści lat. Jego chata niszczała. Chrapkę na nią ktoś niby miał, choć nie bardzo, bo chata była stara i na odludziu. A w takich wsiach jak Gęsiory nikt nie chciał mieszkać na odludziu, gdzie diabły i sataniści grasują, a czasem i talibowie.

Chujek, jak go tu powszechnie nazywano, był człowiekiem chamskim i drażliwym. Do kościoła nie chodził, w karczmie nie bywał, sklepu nawet nie odwiedzał. Zakupy musiał gdzieś w mieście robić, raz w tygodniu. Jechał wtedy swoim jeepem i wracał godzinę później z torbami. Dzieci podejrzwały, opowiedziały.

Odważne, bo bały się jak cholera.

Nikommu nie mówił dzień dobry, a jak ktoś wszedł na jego teren, potrafił widłami czy siekierą pogonić. Miał też fuzję, chodził na polowania, strzelał celnie. Przynosił do domu trofea. Spotykali go niektórzy z sarną zarzuconą na plecy. Ludzie się go naprawdę bali. Nie wiedzieli, skąd przyszedł, co tu robi, czy ma prawa do tej chałupy Komorowskiego, czy nie ma, czy on jaki talib albo szpieg, albo śledczy może z jakiegoś Interpolu, czy mafioso, czy inny.

O takim lepiej nic nie wiedzieć.

A po tym helikopterze to już w ogóle przestaną się interesować.

Wylądowali na łące koło zabudowań. Wieś była jakieś dwa, trzy kilometry w bok, na zachód. Gdy już śmigłowiec siadł na ziemi, wokół widzieli tylko pola i ścianę lasu. No i gospodarstwo, jak zamek kasztelana. Jedyne dom na horyzoncie.

Lenz wyszedł pierwszy, przygotował odznakę i trzymał ją uniesioną do góry, bo Banda znalazł info, że właściciel jest zarejestrowany w związku łowieckim i ma strzelbę. Jeszcze ich powystrzela, a potem będzie się tłumaczył, że myślał, że to nalot Ruskich.

Nie strzelał. Wyszedł z domu, stanął i patrzył bez specjalnego zdziwienia czy zaciekawienia. Jakby wiedział, że przylecą. Jakby ktoś go uprzedził i pouczył. Zaniebdany jak całe obejście, nieogolony, w za dużym, rozciągniętym swetrze

i dziurawych spodniach.

Słup.

Pierwsze, co pomyślał Lenz. Druga myśl: zwyczajna pomyłka. Jednak nie mogło być o niej mowy. W księgach rachunkowych nie ma pomyłek powielanych przez dwadzieścia lat. O co tu chodziło?

– Dzień dobry. Inspektor Lenz z policji! – zawołał, cały czas trzymając w górze blachę. – Możemy wejść?

Tamten się nie odezwał. Wzruszył ramionami. W oczach miał... jakies takie rozbawienie. Lenz pomyślał, że ta sprawa zaczyna mu się coraz mniej podobać. Szereg zabójstw, szantażyści, ten cały Max, który okazał się agentem służb, a teraz jakiś czubek z Gęsiór. W trakcie lotu Wandzie udało się porozmawiać z komendantem posterunku w sąsiedniej miejscowości, który powiedział mu, że cała wioska boi się tego mężczyzny i uważa go za jakiegoś dziwaka. Ale nigdy nie było żadnej interwencji, żadnej kontroli.

Żył sobie tu z dala od cywilizacji, bezpiecznie, w tajemnicy utrzymując interesy z największą polską firmą prywatną.

Do diabła, takie historie się zdarzały, ale zawsze znajdowały wyjaśnienie. Przypomniał sobie sprawę, gdzie wykorzystano podobną firmę krzak do wyprowadzenia pieniędzy z kontraktów w policji. Tamta też miała oficjalną siedzibę w stodole. Więc dlaczego prywaciarz nie mógł powielić tego schematu?

– Szukam firmy Medica – powiedział Lenz. – I jej prezesa. To pan?

Facet milczał. Ekipa cały czas czujnie mu się przyglądała.

– Dlaczego nie ma żadnej tabliczki? – zapytał Lenz. – Zgodnie z przepisami powinna być informacja o firmie.

– Czego chcecie? – Krótko i na temat.

– Prowadzimy śledztwo. – Lenz postanowił na razie nie unosić się i nie straszyć. Może więcej zyska. – W sprawie serii zabójstw.

Milczenie. W końcu krótkie:

– No i?

– Mamy parę pytań.

Milczenie. Minuta, Lenz przetrzymał go, myślał, że w końcu zareaguje. Nie zareagował.

– Chcemy zadać panu kilka pytań – powtórzył z małą modyfikacją.

Milczenie. W końcu:

– No, słucham?

– Możemy wejść do środka?

– Nie.

Aha, tak chcesz to rozegrać.

– Wrócimy z nakazem.

– To wtedy wejdziecie. Teraz możecie pytać. Tutaj.

Do diabła – pomyślał Lenz – to jakieś pudło, niepotrzebny wątek, który tylko odciąga od głównego tematu. Jeśli gość byłby czemuś winny, zachowywałby się inaczej, nie byłby taki wyzywający, starałby się ich zwieść, może pozyskać sympatię. Nie byłby taki chamski. Gość nie może też być słupem, wykorzystywanym przez mafię pijaczkiem czy kimś takim, bo tacy bywają bardziej ulegli i zwykle na tyle głupi, że nie są w stanie utrzymać stworzonej dla nich legendy.

Dziwne.

– Jak pan chce. Pana dowód, proszę.

Liczył na to, że mężczyzna wejdzie do domu po dokumenty, dając im pretekst, by podążyli za nim, ale on otworzył starą pufę stojącą przed drzwiami, pogmerał i wyciągnął z niej koszulkę z papierami i dokumentami.

– Proszę.

Lenz dał dokument do sfotografowania Wandzie, a potem przeczytał na głos:

– Tomasz Rawicz. – Data urodzenia, meldunek. – O, jest pan zameldowany w Gdańsku?

Milczenie. No tak, utrzymuje strategię na konfrontację.

– Mogę odzyskać dokument? – zapytał po chwili.

Lenz oddał mu dowód.

– A pana Głazewskiego zastaliśmy? – zapytał, spojrzał do notesu, upewniając się, że nie przekreślił nazwiska. – Nie mylę się? Właścicielem i prezesem spółki jest pan Głazewski, prawda?

– Nie ma go – burknął tamten.

Lenz zacisnął pięść.

– A gdzie możemy go zastać? – Uważnie patrzył w oczy mężczyzny.

– Przecież ma pan adres. Tam.

Lenz znów spojrzał do notesu.

– Kielce, ulica...

Znów brak odpowiedzi. Delikatne skiniecie głową.

– A pan? Kim pan jest?

– Pełnomocnikiem zarządu.

– Gdzie pan był... – Lenz zaczął wymieniać daty dokonania sześciu zabójstw.

– Tutaj.

– Ktoś może to potwierdzić?

– Nie wiem.

Uff! Człowieku, lepiej coś mów, bo cię przymkniemy.

– Czym się zajmuje ta firma? Medica...

– Wszystkie informacje znajdzie pan w KRS.

– Pytam pana. Skoro jest pan pełnomocnikiem, powinien pan to wiedzieć.

- Świadczymy usługi.
- Dla firmy Sawicki?
- Tak.
- Jakiego rodzaju są to usługi?

Facet prychnął znacząco.

- Konsulting. Badania naukowe, analizy rynkowe.

– Widział pan to? – Lenz wyciągnął kartkę z wydrukiem tekstu Maxa umieszczonego na blogu.

- Nie. – Tamten ledwie zerknął.

- Dziennikarz zarzuca wam wyprowadzanie pieniędzy z firmy Sawicki.

Znów zerknął.

- No i?

- Co pan na to?

- Nic.

- Jak to nic?

Zerknięcie. Dłuższe.

- On zarzuca wyprowadzanie pieniędzy Sawickiemu, a nie Medice.

- Do firmy, którą pan reprezentuje.

- To nieprawda.

- I tyle?

- A co mam powiedzieć więcej?

– Nie wiem. Na przykład że poprosi pan o sprostowanie albo wytoczy mu proces...

– Nie mam czasu na głupoty. Niech Sawicki się z nimi procesuje, jeśli ma ochotę. Choć też wątpię, żeby chciał się zajmować... głupotami.

W końcu parę zdań złożonych. Może jednak się rozkręci.

– Proszę posłuchać. – Lenz uznał, że najlepszą strategią będzie jednak polubowne załatwienie sprawy. – Nie chcemy robić panu kłopotów, ale prowadzimy naprawdę poważne śledztwo i jeśli pan dalej będzie odpowiadał w ten sposób, będę zmuszony wciągnąć pana na listę podejrzanych. Nie chcę tego, nie wierzę, że ma pan z tym związek, ale muszę to uzasadnić w papierach. Jeśli nie uda nam się to tutaj, będziemy pana ciągać po komendach. Jak prokurator się wkurzy, może wydać nakaz zatrzymania, a potem nawet aresztowania. Są prokuratorzy, którzy wyznają zasadę: wystarczy delikwenta przymknąć, a po jakimś czasie powie wszystko, co tylko będziemy chcieli usłyszeć. Po co to panu?

Wanda westchnęła ze złością. Chyba była przeciwna takiej strategii. Wolą, żeby Lenz rozwiązał problem siłowo. Przecież nie musieli się tłumaczyć. Mogli zakuć gostka i wywieźć na dwadzieścia cztery godziny. Jakby opowiedzieli Siejce o tej wizycie, ten by z marszu dał wniosek o trzy miechy aresztu. Sąd by mu klepnął też z marszu, bo kogo obchodzi jakiś niechlujny obwieś z zadupia, co się

stawia dla zasady i pokazuje, jaki to jest niepokorny. Gdyby chcieli, mogli z niego zrobić winnego. Nawet jeśli nim nie jest.

Mężczyzna chyba wyczuł, że przekroczył granicę i może stać się coś, czego nie przewidział. Albo zrozumiał, że nie jest w Ameryce.

– Przepraszam, nie lubię ludzi.

– My nie ludzie – wyrwało się Wandzie. – My policja.

– Policji też nie lubię.

SAWICKI TO MORDERCA I GWAŁCICIEL

Ochrona dość nieudolnie, ale skutecznie zasłoniła specyficzne graffiti plakatami reklamowymi ostatniej odsłony hipoalergicznym leków przeciwbólowych wytwarzanych w zakładach Sawickiego. Początkowo chciano zamalować napis, ale Mastalerz nie pozwolił tego zrobić, dopóki sami go nie obejrzą. Nakazał również nie wzywać policji. To sprawa wewnętrzna, pomiędzy nami – mówiły teraz jego oczy.

– Mamy jakiegoś sabotażystę.

Stali przed bramą z Magdą, dyrektorem ochrony, jakimś wysokim, bardzo szczupłym okularnikiem, który – jeśli Kuba dobrze zrozumiał – był szefem produkcji w zakładach, czyli faktycznie nadzorcą całego tego bajzlu, oraz jakimś krępy męszczyzną, który wyglądał na byłego wojskowego.

Zimny starał się dostrzec reakcję Sawickiego, ale nie była jakaś szczególna. Nie zabolął go zbytnio ten napis ani chyba nie wystraszył. Może to prawda.

– To kobieta – powiedział Zimny.

Wszyscy spojrzeli na niego.

– Skąd taki wniosek? – zapytał Mastalerz.

– Strzelam – przyznał Zimny.

– No tak, ma pan pięćdziesiąt procent szans, że trafił. – Mastalerz wyraźnie się obruszył. Jakby chciał powiedzieć: jak coś mówisz, to uzasadnij.

Postali tak chwilę, a potem Zimny zapytał, czy będzie jeszcze potrzebny, i odszedł do hotelu.

– Odprowadzę cię.

Magda była jakaś wesoła i dziwnie przyjazna. Zimnemu wydało się to podejrzane. Jeszcze mocniej się spiął, gdy nagle powiedziała, że zajmie w hotelu sąsiedni pokój.

– Marek śpi u rodziny w Wicku, Mastalerz ma tam willę, więc kazali mi cię pilnować.

– Mrugnęłaś okiem? – Kuba już naprawdę niczego nie rozumiał.

– Nie, skąd.

– Znów mrugnęłaś.

– Nie pasuje ci moje towarzystwo?

– Wręcz przeciwnie. Tyle że...

- No?
- Nic, tak po prostu.
- Szli chwilę w milczeniu.
- Naprawdę kazali mi cię pilnować.
- Boją się, że to ja jestem... sabotażystą?
- Boją się, żeby ktoś ci czegoś nie zrobił.
- Aha. I ty jesteś moją ochroną.
- Mam czarny pas w taekwondo.
- Znów mrugnęłaś.
- Ale pas mam.

Gdy znaleźli się w pokoju, Magda powiedziała bardzo cicho:

- Boją się, że coś się wydarzy tuż przed lub w trakcie prezentacji vialixu.

A to ważna konferencja, być może najważniejsza w historii firmy.

- Tacy ważni goście?
- Konferencja ma przekonać dużych akcjonariuszy, by zaufali szefostwu firmy, i zarządzających funduszami, żeby nie sprzedali akcji za łapówki.
- I jak zobaczą vialix w akcji, to dadzą się przekonać?
- Wątpisz w to?
- Bardziej ich przekonują walizki z pieniędzmi.
- Marek ma dar. Nie martw się, poradzi sobie.

Po chwili powiedziała nieoczekiwanie:

- Zgadzam się z tobą.
- W czym?
- Że to kobieta. Kobieta zrobiła ten napis.
- Dlaczego?
- Najpierw ty.
- Mówiłem już, że strzelałem.
- Nie wierzę.
- Dobrze. Przede wszystkim kolor. Facet wybrałby czarny, ewentualnie czerwony, ale nie zielony.
- Właściwie seledynowy – poprawiła.
- Jeszcze gorzej.
- Może nie miała możliwości kupienia innego?
- Bo działała impulsywnie, chaotycznie, bała się, że ktoś zauważy. Albo że kupi coś nie tak i nie uda jej się wykonać planu. Facet byłby w tej kwestii bardziej pewny i zorganizowany.
- Brawo – powiedziała, jakby chciała rzec: tak właśnie było.
- Poza tym widać, że początkowe litery napisane są na próbę, czyli nigdy wcześniej tego nie robiła, ale potem bardzo się starała, żeby napis był estetyczny, wyrównany. Facet by się tak nie starał.

– Też tak sądzę.

– Twoja kolej.

– Jakiś taki łagodny jest ten napis. Facet raczej zrezygnowałby z „gwałciciela”, bo dla niego to mało krytyczne, za to wzmocniłby przekaz jakimś wulgaryzmem. Napisałby: „Pieprzony zbok i morderca”, „Kurwiarz i morderca”.

– Racja – przyznał Zimny, choć wcale nie był pewien. Poszukał w głowie jakiegoś wroga, znalazł bez trudu i z myślą o nim próbował ułożyć negatywny slogan.

– Jakies plany na wieczór?

Zimny spojrzał na zegarek.

– Chyba pobiegam.

– Mogę się przyłączyć?

Stara, chyląca się ku ruinie chata wyglądała w środku zupełnie inaczej. Kolorowe ściany, kominek, dywany, obrazy. Jak to możliwe, że taki gbur ma tak dobry gust? Lenz zdziwił się, że nie ma tam żadnych trofeów myśliwskich. Może więc to też była ściema. Może wcale nie był myśliwym, tylko robił to na pokaz, żeby się go bali, trzymali od niego z daleka.

– Dziękuję.

– Za co?

– Że się pan zgodził. Wolę normalnie porozmawiać. Jeśli powie nam pan coś istotnego, być może będzie potrzebna wizyta w komisariacie, ale postaram się, żeby była mało uciążliwa.

Tamten skinął głową.

– Przejdźmy do rzeczy – zaczął Lenz, ale, o dziwo, facet wyciągnął na stół nalewkę.

– Własnej roboty, chcecie?

Lenz pomyślał, że może chce ich otruć, ale on wyjął kilka szklanek, jedną napełnił, napił się i postawił przed sobą.

– Częstujcie się – zachęcił.

Lenz nalał odrobinę alkoholu.

– Dobrze – pochwalił. Rzeczywiście nalewka była dobra. – Niech nam pan opowie, o co chodzi z tą Medicą. I dlaczego pan prowadzi firmę w... takiej okolicy?

– A co? Nie podoba się wam? Nie znalazłem niczego lepszego i tańszego. Firmę prowadzę od dwudziestu lat i dotąd nie miałem kłopotów. Żadnych nieproszonych wizyt, kontroli, nic. Spokój.

– Aż do dziś.

– Właśnie – chrząknął. – No dobra, ale jeśli rzeczywiście mogę pomóc z jakimiś morderstwami, to niech wam będzie. Alibi nie mam, jak mówiłem. Mieszkam tu sam od dwudziestu lat. Ale mam komórkę. Możecie sprawdzić, że

w tych dniach była tutaj albo w okolicy, bo pewnie była.

– Można komórki nie zabrać.

– Pewnie. Ale wtedy by leżała w miejscu. A ja zawsze noszę ją na tyłku, więc raczej będzie w ruchu, co już chyba jest w miarę dobrym... alibi.

– Nie do końca. Przedmiot nie jest świadkiem.

– Tylko dowodem.

– Ale weźmiemy to pod uwagę. Sprawdzimy pana komórkę.

– Piękne dzięki, tylko nie instalujcie mi za dużo podsłuchów, bo mam stary model. Przestanie działać. Inny pomysł: możecie sprawdzić samochód. Nie zrobiłem przez ten czas tylu kilometrów...

– To już lepiej, ale może dostał się pan na miejsce zbrodni w inny sposób.

– Autostopem?

– Może mieć pan ukryty samochód lub współnika z samochodem. Albo... jest wiele możliwości.

– Tylko po co miałbym to robić? Musiałbym mieć chyba jakiś motyw?

– A nie ma pan? Nie jest pan wrogiem Sawickiego?

– Przed chwilą mówił pan, że biorę od niego kasę.

– Że wspólnie z Głazewskim wyprowadza pan kasę z jego spółki – sprostował Lenz. – A tu już możemy poszukać motywu.

– Głazewskiego niech pan w to nie miesza – mruknął Rawicz.

– A to dlaczego? On jest bardziej winny niż pan, w końcu jest prezesem.

Rawicz się skrzywił.

– To słup.

– Jak to?

– Wynająłem go kiedyś do założenia firmy, bo inaczej nie mogłem. W tych Kielcach nie znajdzie pan Głazewskiego. Ja od lat nie mogę go dorwać.

– I tak spokojnie pan to przyznaje?

Rawicz westchnął.

– A co mam zrobić? Wcześniej czy później i tak byście do tego doszli, dowiedzieli się, że Głazewski to żul, który zniknął, wrócili tu i jeszcze może oskarżyli mnie o jego... porwanie czy coś gorszego.

– A nie porwał go pan?

– Niech pan nie żartuje. Chętnie bym go znalazł i rozliczył, a tak prawie nic nie mogę formalnie zrobić ze spółką. Całe szczęście, że mam te wszystkie pełnomocnictwa, bo bym został zupełnie z ręką w nocniku.

– To może pan jest przyjacielem Sawickiego? To byłoby z korzyścią, takie małe alibi.

Obwieś pokiwał głową, ale to nie było potwierdzenie. Po prostu gest rezygnacji z pewnej gierki.

– Nie znam go – wyznał.

Policjant spojrział na niego zaskoczony.

– To on odpowiada za przelewy dla pana.

– Ale nie on płaci.

– A kto?

Rawicz się zawahał.

– Powiem wam, ale pod warunkiem, że nie umieścicie tego w żadnym protokole.

– Dlaczego?

– Bo ten człowiek miałby kłopoty, a nie działa z niecznych pobudek.

– Jeśli nie będzie to istotne dla sprawy, nie wykorzystamy tego. Zgoda?

– Zgoda.

– Z tym, że będziemy chcieli z nim porozmawiać.

– Zgoda.

– Więc?

Rawicz powiedział. Ściszył głos, jakby bał się, że to nagrają, ale usłyszeli wyraźnie. I byli zaskoczeni.

– Dlaczego panu płaci?

– Bo chce mi pomóc. Chce wspomóc... jak by to powiedzieć... mój talent.

Wanda wstała i przeszła się po salonie, jeśli tak można było nazwać wyłożone drewnem wnętrze chaty. Podeszła do pierwszego z zawieszonych na ścianach obrazów, drugiego. Niby przypadkiem pchnęła drzwi prowadzące do kolejnej izby. Lenzowi i innym ukazała się część pracowni malarskiej. Poczuli zapach farby. Całkiem przyjemny zapach.

– Te obrazy? Pan sam je maluje?

– Tak jakby. Same wychodzą.

– I tak się podobają... tej osobie od Sawickiego?

– Po prostu chce mi pomóc.

– Czyli w sumie przyznaje pan, że wyciąga kasę od Sawickiego.

– Nie do końca. Mamy taką nieformalną umowę, zgodnie z którą po mojej śmierci wszystkie obrazy przejdą na własność spółki lub wskazanej przez nią fundacji. Nie mam spadkobierców. Poza tym co roku oddaję im jeden z namalowanych obrazów. Wysyłam. Oni go sprzedają lub zostawiają u siebie w biurze, ale dokonując wyceny, ujmują w bilansie. Wszystko jest legalne i nie ma mowy o zarzutach działania na niekorzyść spółki czy jakiegś malwersacji.

– Tyle że Sawicki nic o tym nie wie? – Lenz badawczo wpatrywał się w twarz malarza, ale nie wyczuł, czy tamten kłamie.

– Może będzie miał niespodziankę. – Rawicz skrzywił się z niechęcią. Chyba nie lubił Sawickiego, choć go nie znał. Nienawiść ze słyszenia? – Podobno za ostatni, który sprzedali, wzięli tyle, że cała inwestycja już się zwróciła.

– To po co ta cała Medica?

Malarz poruszył się niespokojnie, a potem przyznał:
– Bo na początku to było wyprowadzanie kasy.

Zimny uważał, że jest w niezłej formie. Planował w połowie dystansu dać Magdzie wycisk, a potem odpuścić. Po piątym kilometrze odpadł.

- Co jest, staruszkę?
- Nie moje tempo, królowo.

Magda zwolniła, pozwoliła mu dobiec. Przy jeziorze zawrócili. Teraz już wyraźnie dawała mu fory, przy czym Kuba naprawdę wymiękł. Zaniedbał treningi i oto efekt.

- Wiesz, że mamy tu salę treningową. Może tam... się porozciągamy? Zabrzmiało jak oferta.
- Czemu nie?

Sala była częścią jednego z magazynów. Magda załatwiła klucze i po chwili weszli do wysokiego, przestronnego pomieszczenia z matami, siłownią, kilkoma elektronicznymi bieżniami i ringiem na środku.

- Marek pomyślał, że takie miejsce się tu przyda.
- Namawia pracowników do rozwiązywania problemów na ringu?
- Myślisz, że to zły sposób?
- Nie.
- Spróbujesz?
- Ja i ty?
- Czemu nie?

Milczał.

- Bo jestem kobietą? Mówiłam ci, że mam czarny pas w taekwondo.
- Nie jesteś z mojej wagi.
- Zimny!
- Tak?
- Przestań pierdolić.
- Co?
- Wskakuj między liny, i to już!

Kuba założył w końcu rękawice. Walka bardziej przypominała szarpaninę. Kuba bał się przez chwilę, że skończy się jak na filmach. Dostanie łomot od baby. Ale Magda wcale nie umiała się bić. Kondycję miała niezłą, co pokazała przy bieganiu, ale z zadawaniem ciosów był już wyraźny problem.

- Zrobisz sobie krzywdę.
- No. Może lepiej przerwijmy.
- Mówiłaś, że masz czarny pas.
- Kłamałam. Dziś dziewczyny tłuką się jak faceci, ja nie umiem.
- I dobrze.

- Idziemy pod prysznic?
 - Razem? – Zimnemu nie po raz pierwszy tego dnia opadła kopara.
- Magda się roześmiała.
- Łatwo cię nabrać.

Dla Kuby pozostawała pełna sprzeczności i nieodgadniona. Z jednej strony wysyłała mu jawnie seksualne sygnały, z drugiej miał wrażenie, że coś ją hamuje, jakiś strach, a może nawet obrzydzenie. Gdy pozorowali tę walkę, myślał, że ona robi to właśnie po to, by przełamać ostatnią barierę, doprowadzić do jakiegoś małego próbnego zbliżenia, a dopiero potem pójść na całość lub uciec. Ring dawał jej pełne pole do popisu. Tyle możliwości uzasadnienia swojej decyzji: gdyby poszła na całość, zawsze można byłoby to zrzucić na karb przypadku, chwilowej słabości, a gdyby wszystko było dobrze, gdyby jej się spodobało... niczego nie musiałaby tłumaczyć. Ale właściwie zrezygnowała, zanim zaczęła.

Zimny nie naciskał, sam nie wiedział, czy to dobry pomysł.

Miał już grubo ponad trzydziestkę, zbliżał się do wieku, w którym rwanie dwudziestolatek staje się, delikatnie mówiąc, przykre i pretensjonalne. Był podstarzałym amantem, powinien szukać w nocnych klubach zalatanych pracoholiczek na jeden numer, znudzonych mężatek na kilka ukradkowych spotkań lub jakiejś poszukiwaczki prawdziwej miłości, właśnie porzuconej lub porzucającej, a pragnącej znowu się zakochać.

Wciąż wierzył w miłość. Mimo że nie przychodziła, ciągle coś z nią było nie tak, ciągle dawała mu klapsa lub wymierzała porządny policzek, to w nią wierzył.

Kiedy więc w nocy usłyszał pukanie do drzwi, ciche, ledwie słyszalne, długo wahał się, czy udać, że śpi. Leżał, wpatrując się w ciemność, i rozważał wszystkie za i przeciw.

Dziwny typ – myślał Lenz o tym cholernym malarzu. Wyglądało jednak, że mówi prawdę. Po trudnym wstępie rozgadał się aż za bardzo. Opowiedział im o swoich początkach, gdy był jeszcze zwykłym, nic nieznaczącym prolem, a nie ekscentrycznym artystą, o pomyśle ucieczki na wieś, wreszcie o spotkaniu z ludźmi od Sawickiego i rozpoczęciu współpracy z firmą. Twierdził, że niechętnie się zgodził na założenie tej Mediki. Nie chciał wchodzić w żadne układy biznesowe. Nie znał się na tym. Ale, niestety, czasy się zmieniały i już wtedy nikt nie akceptował kopert. Łapówki, dowody uznania, rozliczenia musiały być wliczane w rachunki, fakturowane. Każdy papierek miał wartość. Więc zgodził się na rolę słupa, założył tę cholerną Medicę i realizował fikcyjne usługi, żeby w pewnej chwili zamienić je na coś rzeczywiście istotnego.

– Niezłe – szepnęła Wanda, wrywając go z zamyślenia. – Te obrazy były rzeczywiście niezłe. Jak chcesz znać moje zdanie, to Sawicki robi na nich superbiznes. Koszty nie są wygórowane. Facet żyje skromnie. Większość wydaje na farby. Jeśli rzeczywiście Sawicki dostaje co roku obraz, a po śmierci tego...

magika przejmie wszystkie jego dzieła, to w sumie może to być świetny biznes.

– Tyle że bez wiedzy szefa i inwestorów. To przestępstwo.

– Obiecałeś o nim zapomnieć.

– Wiem. Ale ty nie zapominaj o swojej obietnicy.

– Ustawię wszystko tak, żeby Rawicz był monitorowany przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wstawimy tam posterunek. Na komórce już ma trojana. Zobacz sam. – Pokazała mu na tablecie migający punkcik na mapie Google. – To on. Rusza się, z nim jego komórka, a z nią nasz trojan. Jak chcesz, możemy wykorzystać jego aparat jako kamerę do obserwacji, a jego mikrofon jako podsłuch. Ale mówił prawdę. Ma chujową komórkę i to... nie zadziała.

– Ma być pod obserwacją.

– Będzie. Banda podepnie się pod wszystkie możliwe monitoringi w okolicy.

– Nawet satelitę zaprzęgnę – potwierdził Banda.

Lenz się skrzywił. Nie lubił takich ullańskich szarzy i pewności siebie. Zwykle potem kończyło się to wpadką.

– Co dalej? – zapytała Wanda.

– Dzień odpoczynku. Nawet dwa. Przeskanujemy dokładnie sieć i ułożymy to wszystko. Może kogoś olśni. A potem... ruszamy do Wicka. Na prezentację.

– To prawda, co mówią nasze wiewiórki?

Lenz uniósł brwi.

– Że Sawicki wymyślił jakiś superlek?

– Nie wiem.

– Vialix. Tak ma się nazywać. Polska viagra.

– Po co komu polska viagra?

– Taka przenośnia. Chodzi o to, że ten lek ma być bardzo nowatorski i... oddziałujący na wyobraźnię.

– Może wymyślili nieśmiertelność?

– To by się sprzedało.

– Lek na wszystko.

– Zobaczymy, czy to jakaś bajka.

– Coś jest na rzeczy?

– No właśnie.

Lenz przymknął oczy, dając znać, że chce chwilę odpocząć. Nie mógł jednak zasnąć. Ciągle myślał o Sawickim, trupach i tej ostatniej rozmowie z lekko szurniętym malarzem. Mimo że w zasadzie wykluczył go z kręgu podejrzanych, uważał, że taki ekscentryk pasowałby do psychologicznego portretu ich zabójcy.

Potem chyba drzemał. Zawładnęła nim noc i tylko miarowy, głośny warkot silnika nie pozwalał mu całkowicie się pogrążyć w objęciach Morfeusza.

Jej usta były takie młode i pachnące, skóra niebywale jędrna, ciało wciąż chyba niezdobyte w pełni przez żadnego odkrywcę. Oddawało każdą pieszczotę,

reagowało na najmniejszy impuls. Zimny miał wrażenie, jakby cofnął się o dwadzieścia lat, do swoich pierwszych nieśmiałych doświadczeń seksualnych na obozach i koloniach. Pokracznych, dziecięcych, a jednak napakowanych takim ładunkiem emocji i silnych wrażeń, że nieporównywalnych do niczego, co było potem.

Krzyknęła, gdy w nią wszedł, poraził ją jakiś potężny wstrząs, przez chwilę drżała pod nim i wierzgała, jakby próbowała się uwolnić, by potem objąć go mocno ramionami i nogami i już nie wypuścić, aż do końca.

Kuba przez chwilę miał wrażenie, jakby kochał się z dziewicą. Nie była nią. Ale albo doskonale udawała, albo po prostu taka była. Namiętna, wręcz nabuzowana, wypełniona do granic energią domagającą się ujścia od razu, niezdolna do żadnej perwersyjnej gry ani powstrzymywania.

Dawno nie czerpał takiej rozkoszy z... miłości. Tak, zdecydowanie to nie był seks. Kochali się. Tak to trzeba nazwać.

Mimo że chyba wszystko poszło jak należy i była to miłość udana, miał wrażenie, że Magda musiała walczyć z jakimiś własnymi demonami, by nie stało się inaczej. Może doświadczyła wcześniej jakichś przykrości, a może po prostu długo nikogo nie miała.

Potem wpatrywała się w sufit i zobaczył, że po policzkach spływają jej łzy.

Sięgnął palcem i delikatnie zgarmał jedną. Oblizał palec. Był słony, jakby zanurzył go w morskiej wodzie.

– Gwiazdy – uśmiechnęła się.

– Co?

– Oglądam sobie gwiazdy. Pamiętasz, jak mówiłeś o tej swojej przyjaciółce?

– Kłamałem.

– Nieważne. I tak widzę gwiazdy.

Przymknął oczy i też je zobaczył. Całe morze gwiazd nad maleńką kaszubską miejsciną. Myślał, że pójda spać, ale ona mu nie pozwoliła.

– Mam już swoje lata – zaprotestował.

– Cicho!

Czwarta nad ranem. Widniało. Lenz ostrożnie wchodził po skrzypiących schodach posterunku w Małej Zemście, którą chyba z zemsty miejscowi nazywali Strzépsczé Pùstcezi. Budynek był zwykłą kamienicą z pruskiego muru, z zaniedbanym dachem i staroświeckimi podwójnymi oknami. Na dole mieścił się komisariat: trzy pokoje zajęte przez pięciu posterunkowych, z których żaden nie przypominał prowincjonalnego gliniarza. Lenz już wiedział dlaczego.

W piwnicach kiedyś był areszt, ale dziś warunki nie pozwalały przetrzymywać tam nikogo. Pijacków i drobnych awanturników straszono umieszczoną na podwórku wielką klatką na niedźwiedzie. Podobno właśnie do tego służyła w zoo, zanim oddano ją komendzie wojewódzkiej, a ta umieściła dar

w Małej Zemście. Dziś w klatce mieszkał Bruno, siedmioletni leonberger, pies-lew, pilnujący w nocy podwórka lepiej niż wszystkie czujniki i kamery, które człowiek mógłby wymyślić. Początkowo Lenz miał z Brunem na pieńku, ale potem zaczął dogadywać się z nim lepiej niż z którymkolwiek z pozostałych gliniarzy. Jedyne Mafie miało na Bruna większy wpływ.

– To rasa, która wybiera sobie pana – wytłumaczył Mafie. – Ale jednocześnie pilnuje całego stada i jest w stanie zaakceptować dwóch czy nawet trzech przodowników. Bruno jest mądrzejszy od większości ludzi. Uważaj, bardzo wyczulony na zdradę.

Lenz nie zamierzał go zdradzać.

W ogóle był bardzo negatywnie nastawiony do zdrady.

Drzwi uchyliły się z lekkim skrzypieniem, zanim zdążył nacisnąć klamkę. Ania przycisnęła palec do ust i wpuściła go do środka. Poczł zapach czystości, świeżości i delikatnych perfum. Malina w wrzosem. Coś w tym stylu. Ruchliwe, pewne siebie palce wkradły się pod jego koszulę.

– Poczekaj, muszę wziąć prysznic.

– Później.

Wciągnęła go do przedsionka i zamknęła w niewielkiej komórce. Nic w niej nie widział. Było tak ciemno, że nawet nie mógł dojrzeć białek oczu. Czł tylko, jak palce błędą po jego brzuchu, wdzierają się pod pasek, rozpinają go, potem rozporek, uwalniają z bielizny, aż wreszcie poczul gorąco i gwałtowne, nieznoszące sprzeciwu ruchy.

– Ciii – musiał zasłonić jej usta, gdy kończyła.

Potem długo jeszcze nie wychodzili, starając się uspokoić oddech. Lenz podciągnął spodnie, zapiął pasek, przytulił ją, czując, jak przez jej ciało wciąż przechodzą fale dreszczy. Zawsze po jego dłuższej nieobecności tak było. Nie powinien jej zostawiać.

– Kocham cię – szepnął.

Milczała. Wiedział, że ona też go kocha, ale taka już była. Nie lubiła wielkich słów, nie gadała o miłości, powinnościach, planach. Robiła swoje i kochała go tak zaborczo, że nie miał prawa narzekać.

Narzekali za niego inni.

A on nie reagował. Na jej prośbę.

Przemknęło mu przez myśl, czy jej to nie imponuje, czy nie podobają jej się te wszystkie otaczające ich plotki i sytuacja, w której on musi się z tym mierzyć. Czy zatem nie powinien mieć do niej pretensji, skoro przez to tracił przyjaciół?

– To nie są przyjaciele – tłumaczył mu Mafie. – Prawdziwy przyjaciel nigdy by ci tak nie powiedział. Nigdy by nie intrygował.

Mafie nawiązał w ten sposób do sytuacji sprzed kilku miesięcy. Lenz jadał wtedy w Gdańsku obiad z przyjacielem ze szkoły oficerskiej, z którym kiedyś

zawarł niemal braterstwo krwi. Nieraz mógł liczyć na jego pomoc, także wtedy, gdy toczył swoją najważniejszą walkę z gangiem. Podejrzał, że to właśnie ów przyjaciel skontaktował go z generałem, co umożliwiło pozytywne zakończenie tego prywatnego w zasadzie śledztwa.

Podczas obiadu jednak nie przypominał przyjaciela. Po krótkim wstępie, wymianie zdań na temat mistrzostw świata w siatkówce i porażek w eliminacjach piłkarskich, przyjaciel zaczął mu wyrzucać, że nie powinien pozwalać na rozsiewanie plotek o swojej żonie, że powinien zareagować.

– Niby jak? – zapytał go Lenz.

Tamten długo się zbierał, by zakończyć temat, a w końcu nie zdzierzył i powiedział wprost, że babę powinno się trzymać krótko, a jak ta nie potrafi zapanować nad własną dupą, to trzeba jej tę dupę porządnie złoić, a wszystkie zbyt chętne kutasy poobcinać. Lenz tylko patrzył i nie wierzył własnym uszom. Niegdyś najlepszy przyjaciel mówi mu coś takiego. Jeszcze proponuje pomoc. On i kilku kumpli mogą popilnować mu żonki, przetrącić parę karków, poustawić samców tak, by wiedzieli, że towar nie do ruszenia, że mogą stracić zęby i coś więcej. Gdy Lenz dalej na niego patrzył, przyjaciel w końcu machnął ręką: a co mi tam!

– W sumie to lepiej dzielić się tortem niż samemu wpierdalać gówno.

Lenz nie pamiętał chwili, w której wreszcie zareagował. Dopiero potem mu opowiadano, że ledwie udało się go odciągnąć od przyjaciela i że gdyby nie inni goście w restauracji, prawdopodobnie by go zabił. Tamten nie wniósł oskarżenia. Sprawę zatuszowano.

– Jak dzieci?

– Wszystko w porządku.

Przeszli powoli do sypialni syna, potem do pokoju córki. Staś spał jak niemowlę. Basia poruszyła się niespokojnie, jakby geny zareagowały na bliskość ojca. W zachowaniach była tak do niego podobna, że nigdy nie miał wątpliwości, iż to on jest ojcem. Szczęśliwie urodę odziedziczyła po mamie. Staś zdecydowanie bardziej przypominał ojca. Biologicznego ojca.

Podszedł do Stasia i ucałował go w główkę. Z przybranym synem miał naprawdę świetne relacje. Chłopak nigdy mu nie powiedział: zamknij się, przecież nie masz do mnie żadnych praw, jesteś dla mnie nikim. Lenz żywił nadzieję, że nigdy tak nie powie.

Ania położyła mu dłoń na ramieniu, jakby chciała powiedzieć: właśnie dlatego tak cię kocham. Nie dlatego, że potrafisz mnie doprowadzić do szczytowania, że jesteś zawsze gotów, na każde moje skinienie, że robisz to tak dobrze, wręcz perfekcyjnie, ale dlatego, że masz takie wnętrze, taką moc, której nikt nie zrozumie. Nikt nie jest w stanie pojąć, dlaczego to ty jesteś dla mnie wyjątkowy. Nikt cię nie prześcignie.

Pociągnęła go do łazienki, rozebrała i umyła. Dwadzieścia minut później

znów musieli wziąć prysznic.

O dwunastej obudziły go wrzaski z podwórka. Zrobiło się naprawdę gorąco, słońce świeciło na czystym niebie i wszystkie dzieciaki Mafii, wrzeszcząc, biegały za piłką. Staś jak zwykle stał obok. Lekko wycofany i wystraszony. Nie lubił agresywnych sportów. Tam, gdzie trzeba było się bić i walczyć – rejterował. Nic dziwnego, po tym, co przeszedł – myślał Lenz. Całe szczęście, że dzieciaki Mafii wzięły go pod opiekę. Nawet cieszyły się z tego, że mają takiego „innego” przyjaciela. Gdy ktoś na Stasia wołał w szkole „asfalt”, natychmiast dostawał w zęby. Strzepszcze Pùstczy miały swoje westernowe zasady już wcześniej, ale dzieciaki Mafii wyniosły je na naprawdę wysoki poziom. Dziś już nikt go nie obrażał. Tutaj. Bo w Gdańsku – czy jak to mówili na Kaszubach, w Gdunsku – było, jak było. Wystarczyło napatoczyć się na głupich łysoli czy innych szczawi.

– No w końcu. – Mafia wstał od stołu, gdy Lenz, przeciągając się, wszedł do salonu.

Ania szykowała kanapki. Pachniało kawą z fusami, którą Mafia właśnie skończył. Lenz podszedł do niego z wyciągniętą dłonią, ale przyjaciel, zamiast ją ująć, wstał i objął go, ściskając jak niedźwiedź. Był niepozornym, mierzącym zaledwie metr siedemdziesiąt grubaskiem, a jednak uścisk miał stalowy. Kiedyś sprowokował Lenza do pojedynku na rękę i o mało nie złamał mu ramienia.

– Masz sen, chłopie. – Mrugnął znacząco. – No, ale jak ja bym miał taką żonkę jak ty, to też bym tak spał.

– Kaśce nic nie brakuje – rzuciła Ania.

– Pewnie. Ale facet musi chociaż udawać, że jest macho. Co nie?

Lenz uśmiechnął się pod nosem, gdyż pamięć podsunęła mu znany w całej okolicy obrazek: gromadka dzieci podąża na lody, za nimi idzie Kaśka z Anią, a na końcu Mafia, który ogląda się za co ładniejszymi turystkami, komentując ich krągłości cmoknięciami i zacieraniami rąk, a czasami dość głośnymi „cielęcinkami”. Ania kiedyś zapytała Kasię, czy jej to nie przeszkadza, na co ta odparła: „Tyle, co sobie pogada”.

Zastanawiał się nad jednym. Jeśli Mafia był rzeczywiście świadkiem koronnym wywiezionym na to zadupie i chronionym tu przez agentów generała, to dlaczego mu pozwalają tak się rzucać w oczy? Dlaczego nie rozdzielili jakoś rodziny? Przecież faceta z trzynaściorgiem dzieci, tak charakterystycznego jak Mafia, nie sposób nie zauważyć. Wystarczy jakiś drobiazg, by informacja poszła w świat i zepsuła całą legendę, zdekonspirowała chronioną osobę. Więc może wcale się nie ukrywał. Może wcale nie był tym świadkiem...

Lenza korciło, żeby zapytać o to wprost, ale wiedział, że nie może. Jeśli kiedyś Mafia będzie chciał mu o tym opowiedzieć, to opowie.

– No, co tam u ciebie? – Mafia posłuchał kilku bajeczek stworzonych na potrzeby Ani, a potem, gdy już spacerowali po pomoście, rzucił: – Dobra, a teraz

bez ściemy. Jak sprawy?

Jeszcze tylko dwa dni. Przygotowywała z tej okazji coś specjalnego. Nie pozwoli, by się drań wywinął. Nie pozwoli się tak lekceważyć. Gdy dojdzie już do prezentacji, ona odkryje wszystkie karty. Tak jak się umówiła. Tak jak jej doradzono. Cichy przyjaciel będzie tam, pomoże. Wstawi się za nią. Nie pozwoli jej ponownie upokorzyć. Nagra wszystko komórką i puści w sieci. Cały świat się dowie, kim jest Sawicki. Dowie się, że nie można mu ufać. Że jest mordercą i gwałcicielem. Chroni zbrodniców, wstawia się za nimi, zamiast stanąć po stronie swoich pracowników i przyjaciół. Zwykły zdrajca i padalec. Wielki mi patriota.

Morderca i gwałciciel.

Tylko dwa dni.

Od rana wzięli się ostro do pracy. Magda segregowała materiały przeznaczone dla inwestorów. Kuba przeglądał je pod kątem ewentualnych zagrożeń. Materiały miały niby zawierać jakieś szczegóły na temat vialixu, a jednocześnie nie powinny tak naprawdę nic zdradzać. Inwestorzy usłyszą, co mają usłyszeć, ale nie będą mogli tej wiedzy wykorzystać, a już na pewno nie otrzymają jej na piśmie. Sprawa była bardzo delikatna, bo ryzykowali oskarżenie ze strony Komisji Nadzoru Finansowego o preferowanie części inwestorów kosztem innych. Dlatego wszystko należało upozorować na zwykłą konferencję marketingową, a nie inwestorską.

– Byłoby mi łatwiej, gdybym wiedział więcej.

– Pojutrze wszystko usłyszysz.

– Dlaczego nie dziś?

– Bo Marek tak chce. Chce cię potem zapytać o zdanie, jak wypadł i jakie odniosłeś wrażenie. Jeśli opowiedziałby ci wszystko przed konferencją, nie miałby nikogo, komu mógłby zaufać, kto byłby w stanie zrelacjonować mu konferencję z perspektywy słuchaczy. Ja uważam, że to dobrze.

– Ja nie.

– Ciekawość jest dobra. – Uśmiechnęła się znacząco. – Powoduje... napięcie. Potem spełnienie jest znacznie bardziej satysfakcjonujące.

Kuba miał na końcu języka ciętą ripostę, lecz ostatecznie zrezygnował.

Ukradkiem patrzył na Magdę. Ona udawała, że nic pomiędzy nimi nie zaszło. On to akceptował. Wiedział, że nie może jej szturczać, obejmować, podszczypywać. Nikt nie może wiedzieć, że są razem. Przynajmniej na razie.

Akceptował tę grę.

Nie miał innego wyjścia.

– Popływamy?

Mafia nie czekał na odpowiedź, podszedł do łodzi i odepchnął ją od brzegu

tak, by burtą przybiła do drewnianego pomostu. Podprowadził nieco dalej, by ich ciała nie obciążły jej za bardzo, wskoczył, zasiadł za wiosłami i skinął na Lenza.

– No, wskakuj.

– Dlaczego nie wybierasz motorówki?

– Wolę wiosłować. Tak jest bardziej... po męsku.

– Naprawdę?

– Nie.

– To dlaczego?

– Nie chcę, żeby ktoś mnie wziął za glinę. Motorówka ma policyjne barwy.

– A w czym ci to przeszkadza?

– Nikt nie lubi glin. Ja nie chcę, żeby mnie nie lubili.

– Przebywasz ciągle z glinami. Mieszkasz u nich w komisariacie. Jak, u licha, mieliby cię z nami nie kojarzyć?

– To nie to samo. Wszyscy myślą, że jestem aresztowany albo pod lupą. Albo że robię was w chuja.

– Niby jak?

– Gliniarze nie mają mieszkań, wynajmują jakieś klitki, a ja mam prawie całe poddasze w komisariacie.

– Aha.

– Coś w tym jest, nie sądzisz?

– Może. Ale wciąż nie rozumiem, jak prowadzenie motorówki miałyby zaszkodzić twojej pozycji.

– Ja też nie, ale wolę nie ryzykować.

Lenz lubił jego poczucie humoru, więc nie wnikał dalej. Prawdę mówiąc, też wolał łódź wiosłową. Dawała poczucie więzi z naturą.

Mafia przestał wiosłować dopiero na środku jeziora. Rozejrzał się, czy nie widać jakichś pup pozostawionych przez kłusowników. Dawniej w tym jeziorze aż roiło się od węgorzy. Dziś było ich mniej, ale na pupy wciąż się łapały. Mafia i inni gliniarze sami kłusowali, przymykali też oko na miejscowych kłusowników, ale gdy za nielegalne połowy brał się jakiś turysta... lepiej, żeby szybko uciekał.

Sięgnął do wody i ochlapał sobie twarz.

– Jeszcze zimna.

– Nie widziałem, żebyś się kąpał nawet w bardzo upalne dni.

– Bo wtedy jest jeszcze zimniejsza. Różnica temperatur, rozumiesz. Jak masz wodę dwadzieścia stopni i dwadzieścia w powietrzu, to nie ma różnicy. Kąpiel jest mało bolesna. A jak masz trzydzieści pięć upału i wodę nawet dwadzieścia pięć, to wydaje się cholernie zimna. Ja, wiesz, jestem wygodniś. Muszę mieć naprawdę ciepło. Taki Egipt. Tam mogę się kąpać od rana. Albo Grecja. Też lepiej leżeć w wodzie.

– Jakoś nie jeździsz do Grecji. Do Egiptu też nie.

– Niebezpiecznie. Lubię bezpieczeństwo bardziej niż ciepłą wodę.

Ponownie się ochlapał.

– Wiesz, wcale nie jest taka zimna. I nawet czysta. I ma ten zapach... niepowtarzalny. W ogóle tu jest pięknie. Tam tylko susza, skały, piasek i wieczne gorąco. Nie ma tej różnorodności krajobrazów, tej soczystej zieleni, zapachów. Tu jest pięknie, tam tylko... inaczej.

Lenz roześmiał się szczerze. Szybko jednak spoważniał, widząc minę Mafii.

– Wpierdoliłeś się, przyjacielu – szepnął grubasek. – Znów się wpierdoliłeś.

– O czym mówisz?

– Ten Sawicki. Naprawdę się wpierdoliłeś.

Lenz nie był zaskoczony, choć w rozmowach z Mafią nie wymienił nazwy firmy. Żeby poznać jego zdanie, mówił mu o zabójstwach, mówił, że są powiązane ze znanym przedsiębiorcą. Opowiadał ze szczegółami, jednak bez nazw.

– Nie dziw się – wyjaśnił Mafia. – To zaczyna być już głośna sprawa. Wkrótce będzie na czołówkach. Dziennikarze węszą wokół, rzecznicy puszczają im małe przecieki, niektórzy gliniarze też. Tak to bywa. Zaraz to będzie sprawa medialna. Nie da się zamieść pod dywan aż sześciu trupów.

– Pięciu.

Mafia się zamyślił.

– Sześciu – poprawił. – A może i siedmiu. Może nawet więcej.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Te pięć ofiar to tylko najnowsza odsłona wojny o Sawickiego. Wcześniej było kilka innych, a zaczęło się od...

– ...czołówki z ciężarówką? – dokończył Lenz. – Myślałem o tym, jednak nie sądzę, żeby był tu związek.

– A zbadalesz to?

– Zbadam, jak już się uporam z pilniejszymi rzeczami.

– Może ta jest najpilniejsza.

Lenz w ostatniej chwili powstrzymał się od wybuchu.

– No dobra, Mafia, mów, co wiesz.

– Niewiele. – Grubasek nabrał głębiej powietrza. – Nic specjalnie istotnego.

– To po chuj się wtrącasz?

– Chcę tylko pomóc.

Lenz nieco dłużej zwlekał z podjęciem wątku.

– Dobra, założmy, że masz rację, że ta sprawa sprzed lat ma jakiś związek z tym, co się dzieje teraz. Na co byś postawił?

– Mam tylko hipotezy wynikłe... z doświadczenia.

– Niech będzie. Obstawiaj. Słucham uważnie.

– To zderzenie z ciężarówką wydaje się dość dziwne. Przyjaciel mi mówił, że w aktach podano fałszywe nazwiska świadków.

Lenz zakonotował sobie w myślach, żeby to sprawdzić.

– Jak to?

– Kierowca ciężarówki ponoć nie istnieje, ma fałszywy PESEL, adres, historyjkę. Roboty budowlane na tym odcinku rzekomo prowadzono bez żadnych papierów i tylko przez jeden dzień. Podpięli się pod prawdziwy remont, który zaczynał się dopiero dziesięć kilometrów dalej. Nikt nie wie, kto wykonywał prace i dlaczego. Różne takie kwiatki...

– Skąd to wiesz?

– Mam przyjaciół bawiących się w detektywów amatorów.

– Mafia – upomniał Lenz – nie mam czasu na gierki. To poważna sprawa, musisz powiedzieć, co wiesz.

– No przecież wszystko ci mówię, ale źródeł podać nie mogę. Więc albo bierzesz w ciemno, albo się goń.

Patrzyli sobie w oczy.

– Biorę – zdecydował Lenz. – Co jeszcze wiesz?

– No, jeszcze trochę. Generalnie można by przyjąć, że ktoś już dwadzieścia lat temu szantażował Sawickiego, zamordował mu przyjaciół, żeby przestał się stawiać, i... osiągnął efekt, zastraszył chłopaka, przyssał się do niego, pijąc krew płynącą obfitym strumieniem.

– Dlaczego znów zaczął mordować?

– Może Sawicki odciął pępowinę, może powiedział dość i posłał pijawki do diabła. To one stwierdziły: o nie, misiu, nie tak łatwo. Jak nie chcesz płacić, to my ci wywrócimy ten cały biznesik.

– I zabijałyby jego wrogów?

– Rzucając podejrzenia na niego.

– Słabe te oszczerstwa. Sawicki nie jest podejrzanym, daleko mu do tego.

– Na razie.

– Że niby z czasem może się stać?

– Jeśli nie zapłaci...

– Założmy, że masz rację. Stawiasz na jednego cyngla czy wielu?

– Na początku, gdy opisywałem tę teorię, poczyniłem zastrzeżenie.

– Tak? Jakie?

– Że można byłoby założyć... ale w sumie to ja bym tak nie zakładał.

– A jak byś zakładał?

– Moje wiewiórki twierdzą, że tamten wypadek wcale nie był pierwszą śmiercią w historii Sawickiego. Mówią, że kilka miesięcy wcześniej zniknął jakiś urzędnik ministerialny, który za łapówki pomagał firmie w procedurach biurokratycznych. A jeszcze wcześniej... kobieta. Bardzo piękna kobieta.

– Co to za urzędnik i kobieta?

– Nazwisk nie znam. Ale poszukaj. Powinieneś znaleźć. O urzędniku ktoś mi

tylko napomknął, może jest kompletnie bez znaczenia. Może jego zniknięcie nie ma żadnego związku ze sprawą. Ale kobieta... to co innego. Znajdziesz ją bez trudu, bo to jej imię zainspirowało współników do nadania firmie pierwotnej nazwy. Sawicki kiedyś nazywał się Anika. Powinieneś poszukać tej Aniki. A jak ją znajdziesz, może znajdziesz też odpowiedź. Albo kolejną hipotezę.

Mężczyzna jest czarny jak węgiel. Wysoki, szczupły. Czarna skóra sprawia, że każdy mięsień pręży się w słońcu. Nago wygląda jak bóstwo. Wspaniale wyrzeźbiony, doskonały, niepowtarzalny. Biała kobieta oczekuje wyjątkowych doznań. Rozkoszy, o jakiej mogła dotąd pomarzyć. Nakręca się tym ciałem, choć wie, że to tylko chwila, że jutro będzie musiała o nim zapomnieć, udawać, że nigdy nie istniało. On całuje jej piersi, sutki twardnieją. Potem brzuch, fałdki skóry, uda, wnika językiem do środka, aż ona każe mu przerwać, bo jest już na granicy, bo za chwilę nie będzie w stanie się opanować. Wtedy on wstaje, jakby zupełnie niewzruszony, mechaniczny, wyrachowany. Patrzy na nią z tym chłodnym wyważeniem, mocno ujmuje pośladki, patrzy w oczy. Długo patrzy. Jeszcze sekunda, dwie. Jest w niej. Głaszcze po spoczonej szyi, po skrzywionej z bólu i rozkoszy twarzy. A potem bierze wszystko. Nieodwracalnie.

Lenz obudził się niemal z krzykiem. Ania trzymała go za ramię, gładziła.

– Znów?

– Nie.

– To co tym razem?

Zawahał się. Nie wiedział, co może jej powiedzieć, co chce i co powinien.

– To tylko sen.

Zaintrygowana, nie pozwoliła mu tak uciec.

– Zaraz, to nie fair.

– Aniu...

– Co ci się śniło?

– Nie pamiętam.

– Kłamiesz.

– Kłamię – przyznał.

Milczeli przez dłuższą chwilę. W końcu zdecydował, że jej powie.

– Ty i Murzyn.

– Jak to ja i Murzyn?

– Kochałaś się z czarnym mężczyzną.

– Naprawdę?

– Tak.

Uspokojona, trochę rozbawiona.

– I to było dla ciebie takie straszne?

– Nie.

– Więc co?

Powiedzieć? Nie powiedzieć?

– Przyjemność.

– Moja?

– Nie, moja. Miałem przyjemność z tego, że na to patrzę.

Drużyna w nocy. Banda nie spał. Już pewnie przeklinał, że nacisnął zieloną słuchawkę na ekranie internetowego komunikatora.

– Mieliliśmy mieć dwa dni wolnego, szefie – zakwilił.

– Ale nie macie.

– No, skoro tak stawiasz sprawę...

– Cała historia Sawickiego, od początku, co tylko da się znaleźć.

Nie dodał, że w zasadzie już dawno powinno to być przeanalizowane. Ale tylko do siebie mógł mieć pretensję. Przejrzał przecież informacje o firmie i mógł zwrócić uwagę na te zmiany właścicielskie sprzed lat i na wypadek samochodowy, w którym zginęli wszyscy współnicy oprócz jednego. Był zły na siebie, że to zlekceważył. Co z tego, że minęło dwadzieścia lat? Ludzie potrafią długo pamiętać. Szczególnie o rozliczeniach. I o zemście...

– Chyba nie wierzysz, że to może sięgać tak daleko? – Banda ziewnął.

Lenz postanowił nie przeciągać rozmowy i niczego nie tłumaczyć. On był od analiz, Banda od wykonywania poleceń. Obaj świetnie sobie radzili. Dotąd. Bo w tym przypadku chyba dali ciała.

– Musimy sprawdzić. Bierz się do roboty. Potrzebuję tego...

– ...na wczoraj?

– Właśnie. Na razie.

– Zaraz, szefie...

– Tak?

Chrząknięcie. Jak by to powiedzieć, żeby wyszło, że to mało istotne, i żeby Lenz nie dał mu kolejnej roboty.

– Mamy info ze skarbówki...

– O Medice?

– To też. Przejrzałem i włączyłem do akt. W zasadzie żadnych rewelacji, spółka rozlicza się normalnie, na czas, dokumenty w porządku, żadnych kontroli. O wiele ciekawsze jest coś innego, co nam dosłali.

– Tak?

– Jest masa donosów na Sawickiego od jakiejś laski...

– Od kiedy o tym wiesz?

Trudne pytanie.

– Jak to od kiedy? Od dziś.

– Banda!

– To znaczy dziś się zorientowałem, że w tych papierach jest taki... monit.

– Od kiedy leży na twoim biurku?

– No, przed wyjazdem do Warszawy jakoś tak przylazł.

– Banda!

– Przecież nie mogłem się nim zajmować, bo kazałeś mi robić coś innego.

Nie jestem robotem. Nie mam dziesięciu procesorów. Dostaję polecenia, to je wykonuję. Monity leżały, teraz przejrzałem, choć mam wolne. Obiecanki, kurwa, cacanki.

– Banda!

– Poza tym sam wiesz, że donosów na takie firmy to zawsze jak mrówek. I prawie zawsze fałszywych. Pełno różnych zawiedzionych, życzliwych, skrzywdzonych. Tu nam wysłali ze czysta stron. Czeba by z tydzień sprawdzać.

– Zaczął się rozluźniać, skoro mówił z błędami. Już wiedział, że Lenz nic mu nie zrobi. Banda najlepiej pracował chwalony, a nie besztany. Choć czasem trzeba było dokręcić śrubę.

– Kupa roboty, co? – podpuścił Lenz.

– W chuj, szefie.

– A dlaczego wspomniałeś o tej jednej donosicielce, a nie o pliku donosów?

Tu cię mam, robaczku.

Banda rozważał, co dla niego najlepsze.

– No bo większość tych donosów jest od niej. Właściwie prawie wszystkie...

– I uznałeś, że to nieistotne?

Milczenie. No tak, lepiej milczeć niż się pograżać. Milczenie Bandy mówiło: dobra, szefie, bij!

– Anonimy?

– Zakwalifikowane jako anonimy. Kobieta przedstawia się nazwiskiem... poczekaj, przeczytam...

Przeczytał. Lenz ściągnął brwi. Coś mu to nazwisko mówiło. Już się z nim spotkał. Niejeden raz. W zasadzie było mu dobrze znane.

– Żartujesz?

– Nie. Podejrzewam, że właśnie dlatego skarbowka odłożyła to do anonimów. Uznała, że ktoś sobie „pożyczył” nazwisko, żeby donosy wyglądały bardziej wiarygodnie. Co nie znaczy, że je ignoruje. Jak to oni mówią: każde doniesienie, nawet anonimowe, jest przez nas skrupulatnie badane. Alleluja.

– Banda!

– W praktyce sprowadza się to do tworzenia różnych dupokrytek, bo kto by miał czas na takich wariatów. Zakładajom sprawę, proszom o wyjaśnienia, zwykle umarzajom.

– Tu też tak było?

– Chyba tak. Większość spraw zamknięta, doniesienia uznane za niepotwierdzone. Aż dziwne...

– Dlaczego?

– Bo w sumie, jak je sobie teraz przeglądam, to wcale nie są takie od czapy. To znaczy może nieprawdziwe, ale nie w tym stylu, który wszyscy znamy i który od razu wskazuje na wariata. Wiesz, jak piszą do prezydenta, premiera, wszystkich służb i zaczynają od zdania: „Ten i ten jest winny takich to a takich nadużyć”. Ta babka nie adresuje do wszystkich świętych i pisze nawet z sensem. No, ale skoro skarbówka uznała, że to bzdury...

– Dobra, sprawdź, skąd nadawano te listy, spróbuj ustalić, kim jest donosiciel. Pewnie się nie uda, ale... jak ty to mówisz?

– Jak nie sprawdzim, sie nie dowim.

– Właśnie. Potem usiądziemy nad tym wszyscy, podzielimy się i posprawdzamy... ile prawdy w tych donosach.

Lenz oczekiwał, że Banda się ucieszy, zamknie temat i wesoło pożegna. Zadowolony, że nie zebrał porządnego ochrzanu. Ale Banda milczał. A jak Banda milczy, to ma jeszcze coś do dodania.

– Banda?

– Uhm.

– No, mów! Co jeszcze masz?

– No, wiesz... szefie...

– Wal prosto z mostu, bo się naprawdę wkurzę!

– Ja już sprawdziłem tę... donosicielkę – wypalił.

– Jak to? – Lenzowi opadły ręce. Tyle wyciągania, żeby przejść do sedna.

Banda uznał, że to najwyższy moment, żeby wpaść w słowotok i zakończyć konfrontację po swojemu.

– Jutro miałem ci o wszystkim powiedzieć, w nocy nie chciałem przeszkadzać. I tak robiłem to w wolnym czasie.

– Do rzeczy.

– Laska wysyłała donosy pocztom i internetem. Oczywiście z prywatnego adresu, ale założonego na podane nazwisko. Tak samo podpisywała donosy. Te ostatnie. Bo wcześniej pisała rzeczywiście anonimy. Ale od pewnego czasu nie kryła się...

– Dlaczego?

– Nie wiem, może uznała, że skoro anonimy nie działają, trzeba się podpisać. Może przestała się bać... konsekwencji. Może były mniej istotne niż to, co miała do zakomunikowania, o co walczyła.

– Banda, czy ty chcesz mi powiedzieć, że ta kobieta podała prawdziwe dane?

– Właśnie to mówię, szefie, nie? Widnieje na liście płac u Sawickiego, i to... całkiem wysoko. Przynajmniej jak na anonimowego donosiciela.

– Kurwa, Banda! – Lenz był wściekły.

– Wiesz, szefie, jak już tak szczerze rozmawiamy, to sam wiem, że dałem ciała i jak się zorientowałem, to teraz ekspresowo, migusiem naprawiam. Winy

zamazane, winy zapomniane?

- Dostaniesz po premii.
- Oj tam, od razu po premii! Szef to zawsze musi z grubej rury wypalić...
- Mów, co jeszcze masz!
- Sprawdziłem tę laskę w naszym KSIP-ie. Do nas też pisała.
- Donosy?
- Nawet zawiadomienia o przestępstwie.
- Finansówka?
- Nie. Twierdzi, że... została zgwałcona.

Obudziło go przeczucie. Leżał sam w łóżku. Magdy nigdzie nie było.

Tej nocy trochę bardziej się otworzyła. Może dlatego, że we własnym domu czuła się bezpiecznie. Zimny starał się być delikatny, ale i tak widział, że każda jego pieszczota wywołuje reakcję pełną niepewności i strachu. Dopiero z lekkim opóźnieniem jest akceptowana i przyjmowana. Gdy odwracał dziewczynę na brzuch, czuł, jak w jednej sekundzie staje się spięta, jak wszystko w niej twardnieje. Mimo to nie zaprotestowała, a potem... chyba zaczęło jej się podobać. Bardzo podobać. Nie pytał o te reakcje. Nie prowokował rozmowy. Po chwili usłyszał spokojny, miarowy świst wydychanego powietrza. Spała.

Objął ją, wtulił się w jej plecy i zastanawiał, co z tego wyniknie.

Cały poprzedni dzień spędzili ze sobą, potem ona zapytała, czy znów pobeigają razem. Poprosiła, żeby wziął szczoteczkę do zębów, i w pewnej chwili skręciła w dróżkę, którą Zimny dotąd omijał. Biegli może dwa kilometry przez las, wzdłuż jeziora. Potem była polana, w końcu niewielkie wzniesienie z kilkoma blokami i barakami.

– Tu był kiedyś PGR – powiedziała.

Kuba widział podobne enklawy na Mazurach. Wszystkie zaniedbane, zniszczone, brudne i wyczekujące na ratunek, który miał nie nadejść.

Ta różniła się od nich znacząco. Bloki były świeżo wyremontowane, ocieplone, pomalowane na jasne kolory, dach świecił nowością, z nowoczesnych okien wyglądały uśmiechnięte twarze. Dzieci bawiące się na podwórku nosiły kolorowe adidasy i bluzki z logo znanych marek, były czyste, ostrzyżone, radosne. To nie był obraz nędzy i rozpacz.

– Marek dba o pracowników. Każdy może wziąć w firmie kredyt na remont, a starsi pracownicy na zakup działki i budowę domu. Wicko od strony zachodniej rośnie jak na drożdżach. Marek wykupił cały teren od gminy, uzbroił, a działki sprzedaje pracownikom za grosze. Nowi dostają mieszkania tutaj.

Z bloku wyszła jakaś starsza kobieta i zawołała dziecko, pewnie wnuczka. Różniła się od innych wyglądem. Jakby nie pasowała do tego osłodzonego obrazu. Była naturalna, jak na każdej polskiej wsi.

Kuba zatrzymał na niej wzrok, co nie uszło uwagi Magdy.

– Nie wszyscy pracownicy chcą tej pomocy, nowych domów i tak dalej – wyjaśniła. – Są przywiązani do starych miejsc, nie zamierzają się zmieniać, a Marek ich do tego nie zmusza. Stąd ten kontrast.

– To nie powoduje konfliktów?

– Czasem tak – ucięła. – Widziałeś kiedyś miasto bez konfliktów? Chodź, lecimy dalej.

Obiegli bloki i znów zagłębili się w ciemny las. Powietrze było przyjemnie ciepłe. Zapowiadało zbliżające się lato, kiedy Wicko na dwa miesiące staje się kurortem turystycznym pełnym młodzieży na biwakach i w okolicznych ośrodkach. Jednak ludzie żyjący z zakładów Sawickiego nie musieli zarabiać na turystyce. Przedsiębiorca dał im wolność wyboru. Mogli też odpocząć. Wybrać wyższy standard usług, a nie walczyć o klientów zaniżanymi cenami. Dlatego większość kurortów była dość droga.

Wybiegli z lasu dziesięć minut później wprost na kilka domów zbudowanych w zakolu drzew, na wzgórzu z bezpośrednim zejściem do jeziora. Domy postawiono na dużych działkach zapewniających intymność i odcięcie od sąsiadów. Kilka miało podobny standard. Jeden, wyraźnie mniejszy, stał na uboczu. Wreszcie ostatni: piękna, ogromna willa z wypielegnowanym ogrodem, wyłożonymi kostką drózkami, basenem i kortem tenisowym.

– To dom Marka. Obok są posiadłości innych członków zarządu, rodziny Marka i Majchrzaka. Mój jest tam. – Wskazała najmniejszy domek.

Domek był bardzo sterylny i bezosobowy. Proste meble: szafki, krzesła, pusty stół, kanapa, fotel, zawieszony na ścianie telewizor. W sypialni tylko łóżko. Obok na podłodze tania wieża stereo. Otwarta butelka czerwonego wina. Żadnych kwiatów, ozdób, pierdół. Jakby nie mieszkała w nim kobieta.

– Przejęłam dom po jednym z mecenasów – powiedziała Magda, jakby chciała to wytłumaczyć. – I tak w sumie rzadko tu bywam. Więcej pracy mam w Warszawie.

– Prawnik przeniósł się do konkurencji?

Posmutniała.

– Popęłnił samobójstwo.

– Cholera.

– Tylko nie myśl, że to jakiś seryjny samobójca. Bezspornie zabił się sam.

Kuba nie skomentował. Dużo tych wypadków, śmierci, szantaży. Dziwne, że tak się upierała. Nikt przecież nie może być pewien, co naprawdę się stało, chyba że jest tego świadkiem. Ale nie chciał o tym rozmawiać. Nie w chwili, w której zaczął odczuwać pragnienie na coś zupełnie innego.

Ale Magda nie chciała się od razu kochać. Pysznic wzięli oddzielnie, potem nago leżeli na łóżku. Było ciepło. Widziała, w jakim Kuba jest stanie, czuła, że ma na nią coraz większą ochotę, ale nic sobie z tego nie robiła. Nie reagowała na pieszczoty, odsuwała delikatnie jego dłoń.

Wyjęła korek i podała mu butelkę.

– Tak o? Z gwinta?

– Wódka ma gwint, wino nie. – Uśmiechnęła się. – Nie bądź taki wytworny.

Sama pociągnęła łyk, oddała mu butelkę. Potem rozmawiali. Długo. Pytała o jego życie, rodzinę, sprawy, marzenia i plany. Potem opowiedziała mu o sobie.

Nie była to łatwa opowieść, więc myślał, że nici z miłości. Ale gdy skończyła, a on nie pytał, przytuliła się do niego i sama zaczęła. Potem zasnęła, a on rozmyślał, by w końcu też zapaść w sen.

A teraz obudziło go to niejasne przeczucie. Przeczucie, że dzieje się coś niedobrego. Magdy nie było w łóżku. Nigdzie jej nie było.

Pieprzony morderca i gwałcieciel – powtarzała w myślach, idąc na spotkanie. Nie bała się. Znała w tych lasach każdy kąt. Tu się wychowała. Pierwszy raz kochała się z chłopakiem ze sto metrów dalej, na polanie. Powiedziała mu, żeby na nic nie liczył. Że ona mu może zrobić tylko ręką. A potem poszło inaczej. Ale wtedy chciała, nie była zła.

Chłopak był z Gdańska. Przyjechał tu na wakacje. Miał metr dziewięćdziesiąt, grał w koszykówkę. Metr dziewięćdziesiąt wyrzeźbionych mięśni, giętkiego, wspaniałego ciała. I cudne zęby. Białe, duże, jak z żurnala. Przypominał modela lub aktora.

Ona też była niczego sobie. Wszyscy się za nią oglądali. Ale ona musiała mieć najlepszych.

Poszła z nim na polanę w lesie, a potem to się stało. Początkowo trochę nie chciała, ale w końcu nie mogła się opanować. Ostatecznie i ona nie chciała przerywać, dopóki nie skończył. Trochę za wcześnie, jak to zwykle bywa w tym wieku. Było jej przyjemnie. Potem wiele razy przyprowadzała tu różnych chłopców.

Lepszych i gorszych, łagodnych i nieco brutalniejszych. Takich, którzy mówili jej o miłości, i takich, którzy nazywali ją dziwką.

I to właśnie z jednym z tych ostatnich przeżyła swoje pierwsze prawdziwe trzęsienie ziemi. Było tak oszałamiające, że długo nie mogła się podnieść. A on się ubrał i po prostu sobie poszedł. Gdy krzyknęła za nim, że go kocha, odwrócił się i syknął:

– Stul dziób, bo ktoś usłyszy.

Z tymi trzema też poszła bez strachu. Też niedaleko stąd, na polanę. Pili wino, a potem grali w butelkę. Z początku to była zabawa.

Dobra zabawa.

Aż przestało być miło.

Otrząsnęła się.

Nie ze strachu, który umiała uśmierzyć, ani ze wspomnień. Z nimi też sobie poradziła. W zasadzie to wydarzenie ją zbudowało, stworzyło na nowo. Przestała być słabą kobietą.

Stała się czystą zemstą.

Zaplanowaną, zimną, wyrachowaną.

Rozmówca, z którym się umówiła, nie wzbudzał w niej strachu ani żadnych innych uczuć. Wykorzystywała go tylko, jak każdego od lat. Już nieraz udowodnił,

że jest po jej stronie. Doradził, jak przeprowadzić wszystkie prowokacje, jak postępować, jak zaplanować i zrealizować zemstę.

Jej zemstę.

Dziś mieli ustalić ostatnie szczegóły.

Miała się dowiedzieć, co zrobić, by ostatecznie pogrążyć drania Sawickiego.

To był jej plan.

Plan realizowany od lat. Tkwiący w niej głęboko. Miała wrażenie, że tylko dla niego żyje. Że w zasadzie jest jej jedynym celem od dnia narodzin.

Pogrążyć Sawickiego. Ostatecznie i nieodwołalnie.

Wszystko, co ją spotkało, co było złe, stało się przez niego.

Stała w ustalonym miejscu i schowała się w cieniu drzewa. Miała dobry słuch, więc usłyszała go na długo, zanim podszedł bliżej. Zobaczyła nieco później. Niewysokiego, ubranego jak ostatnim razem na czarno, w mocno nasuniętej na czoło czapce z daszkiem.

Nie widziała jego twarzy. Ani po ubiorze, ani po ruchach nie potrafiła rozpoznać, czy jest mężczyzną, czy kobietą. Z całej korespondencji, ze wszystkich tych rozmów na czacie wnioskuje, że to raczej facet, ale w sumie do dziś tylko jednego była pewna: że za tym człowiekiem stoi ktoś znacznie potężniejszy. Zdecydowanie mężczyzna.

Uśmiechnęła się niepewnie, gdy podchodził coraz bliżej.

Znajomość z internetu właśnie miała stracić swój wirtualny powab.

Był już naprawdę blisko, gdy zobaczyła coś w jego dłoni. Wtedy po raz pierwszy poczuła strach. Pomyślała: a jeśli to jakaś pomyłka? Jeśli ten człowiek nie jest jej przyjacielem z internetu? Jeśli to ktoś obcy?

Pijak, może gwałciciel.

– Po co ci ta butelka?

Postać przytknęła palec do ust i szepnęła:

– Ciii...

A potem zadała pierwszy cios.

Lenz był wściekły. W nocy pobudził wszystkich i zwołał poranną naradę. Wanda musiała porzucić plan wyjazdu na działkę. Karatekom i pozostałym to wisało. I tak od ósmej mieli dyżur. Nie należeli do tego wyróżnionego, ścisłego grona współpracowników. Każdy miał swoje sprawy, każdy wiedział, co ma robić. Ale teraz wszyscy musieli być włączeni w sprawę Sawickiego. Zbyt dużo się wydarzyło, do zbyt wielu zaniedbań dopuścili.

– Mamy seriala – szepnął Lenz. – I to z tych najgorszych.

Referował na zmianę z Bandą. Czasem wtrącała się Wanda. Karatecy notowali. Inni od czasu do czasu zadawali pytania. Obraz nie był zachęcający. Dużo zidentyfikowanych zdarzeń, mało ustaleń.

Czarny, jeden z bardziej doświadczonych śledczych w zespole, próbował to

podsumować:

– Czekajcie. Sprawdźmy, czy dobrze wszystko rozumiemy. Od marca mamy pięć morderstw. Początkowo uznawaliśmy, że to działanie jakiejś mafii szantażującej Sawickiego, który był w kręgu podejrzanych, ale raczej w tym ostatnim kręgu. Szantażyści okazali się przykrywkowcami, współpracownikami naszych służb. Wykorzystywali informacje o zabójstwach, ale mało prawdopodobne, by sami maczali w nich palce, choć tego wciąż nie wykluczamy. Tym bardziej że zakładamy udział hakera, który próbował powiązać zabójstwa z Sawickim i który albo jest samym mordercą, albo z nim współpracuje. Pytanie: świadomie czy nie? Kwerenda akt pozwoliła ustalić, że zabójstwa mogą mieć też związek ze sprawami sprzed lat, szczególnie z przekształceniami własnościowymi w Sawickim i wypadkiem samochodowym, w którym zginęli przyjaciele i wspólnicy obecnego szefa. Na dodatek ten Sawicki zapowiada jakiś rewolucyjny wynalazek czy preparat, który ma zawojować świat.

– I którym ma się pochwalić... już dziś. Za parę godzin na konferencji z inwestorami.

– Tajnej.

– Półjawnej. Sprawdzamy wszystkie zdarzenia z ostatnich dwudziestu lat, które mogłyby mieć związek z naszym wampirem.

– Jednak dotąd żadnej hipotezy nie wykluczaliśmy?

– Nie. Tak naprawdę wszystkie wciąż są prawdopodobne. Zabójcą może być szantażysta. Może chodzić o władzę w spółce. Ale też o działania obcego wywiadu lub wrogie przejęcie firmy przez jednego z konkurentów, o wspomniany przez ciebie wynalazek lub po prostu o pieniądze. Wreszcie może być to czyjaś zemsta lub jakiś koszmar z przeszłości...

– Niełatwa sprawa.

– Dlatego potrzeba, żeby wszyscy się w nią włączyli. W miarę możliwości, oczywiście.

Nikt nie zgłosił sprzeciwu.

– Banda kontynuuje sprawdzanie sieci i powiązań. Wanda, ty przyjrzyj się tym kumplom, spróbujesz znaleźć ich znajomych z akademika i ustalić, co to za kobieta, której imię nadano pierwotnie spółce Sawickiego. Ja jadę do Wicka na prezentację vialixu.

Lenz rozdzielił pozostałe zadania, a potem z niepokojem zaczął wpatrywać się w szybę, za którą powstało jakieś zamieszanie. Recepcjonistki z ożywieniem o czymś dyskutowały, w końcu jedna z nich weszła do konferencyjnej.

– Szefie, dzwonił z prokuratury. Mieliśmy poczekać do końca zebrania, ale Hania uważa, że to może być ważne.

– Tak?

– Siejka nie mógł się dodzwonić do pana na komórkę, więc kazał jak

najszybciej przekazać, że w miejscowości... – zerknęła na kartkę – Wicko doszło do kolejnego zabójstwa.

Joanna Brodzik, specjalista w dziale kontroli produkcji.

Nazwisko jak u znanej aktorki.

Dlatego Banda przyjął początkowo, że jest fałszywe, że anonim je sobie pożyczył.

Zwolniona z pracy prawie trzy lata temu. Za porozumieniem stron, choć Lenzowi przekazano, że dyrektor zakładu obstawał przy zwolnieniu dyscyplinarnym. Sawicki się nie zgodził, dał jej dużą odprawę i pozwolił zostać w mieszkaniu pracowniczym. Kawalerce.

Samotna kobieta. Dość lekkich obyczajów. Na osiedlu przyzakładowym mówiono wprost: puszczalska.

– Panie, kto jej tam nie miał! – powiedział Lenzowi posterunkowy, który pierwszy zabezpieczał miejsce zbrodni.

Po zwolnieniu z pracy nie poszła swoją drogą. Ubzdurała sobie, że Sawicki jest jej winien więcej. Że coś jeszcze jej się należy. Tym razem prezes nie reagował. Po prostu ją lekceważył. Gdy nie odpowiedział na kolejne pisma, wysłała kilkaset donosów na firmę, głównie do urzędu skarbowego.

– To była wariatka, panie – znów posterunkowy.

Wcześniej, jeszcze przed pierwszym donosem do fiskusa, sprawa z gwałtem. Złożone doniesienie. Trzech gwałcicieli. Pracownicy firmy. Poszli do lasu na imprezie integracyjnej. Bawili się. Potem zabawa przestała być zabawą.

Zrobili to z nią, wszyscy po kolei. Potem dwóch naraz. Jeden z przodu, drugi z tyłu.

Oni w zasadzie potwierdzili. Tyle że utrzymywali, że wszystko odbyło się za jej zgodą. Sama tego chciała. Podobało jej się. Prowokowała ich, zachęcała. Zapytała, czy słyszeli, co to jest gang bang.

Potem nagle zaczęła się drzeć, że ją zgwałcili.

Sprawa umorzona; zbyt dużo wątpliwości dla prokuratora, żeby ją wnieść do sądu. Zła opinia o ofierze. Kontrowersyjne okoliczności. Prokurator facet. Może gdyby była kobieta, wszystko potoczyłoby się inaczej. A tak przekonano Joannę, że z ofiary może szybko stać się kimś zupełnie innym.

Nieoficjalnie: polubowna rola Sawickiego, który nie chciał, by pracownicy poszli siedzieć, a rodziny straciły mężów i ojców. Każdy z tych gości miał bowiem rodzinę. Takie rzeczy od lat zamiatało się pod dywan, rozwiązywało przy niedzielnym stole, potem w kościele, zapominano, wybaczano.

Coś naobiecował obu stronom, doprowadził do pojednania.

Ale potem kobiecie odbiło. Zaczęła odstawiać różne siupy. Zwracała na siebie uwagę. Przeszkadzała. Wreszcie dyrektor zażądał zwolnienia i znów Sawicki

podjął się negocjacji.

– Dwa dni temu ktoś w nocy napisał na murze: „Sawicki to gwałciciel i morderca” – wyznał posterunkowy. – Zamalowali już napis, ale podejrzewają, że to ona.

Trup.

Leżał tam, w lesie. Przykryty workiem.

Czekał na Lenza.

Jeszcze zanim dojechali do Wicka, inspektor kazał sprawdzić Bandzie, co im powie telefon komórkowy malarza Rawicza.

– Komórka nie ruszała się z Gęsiar.

– Wyślij tam patrol, żeby sprawdzili i zapytali, gdzie był w nocy.

– Już wysłałem – pochwalił się Banda. – Zastali go w domu. Twierdzi, że spał. Nigdzie nie wyjeżdżał.

– Silnik samochodu?

– Zimny. Raczej by nie wystygł w tak krótkim czasie.

– No, chyba że ma inne auto gdzieś zbunkrowane.

– Na to nic nie poradzimy. Wygląda jednak, że to nie on.

– Wygląda.

Dopiero potem obejrzeni miejsce zbrodni i ciało. Leżała w środku lasu. Ciało ktoś znalazł i anonimowo zadzwonił na posterunek. Może telefon był od mordercy. Lenz kazał zabezpieczyć taśmę z nagraniem. Potem rozmawiał z posterunkowymi, lekarzem i technikami. Zebrali, co się dało, oznaczyli. Szukają dalej w lesie, może znajdą coś więcej.

– Została zgwałcona, brutalnie. To jedno mogę powiedzieć – szepnął mu lekarz. – Przyczyna śmierci oczywista.

Poderżnięte gardło. Jakimś dość tępym narzędziem, bo skóra poharatana. Kilka cięć, głębokich. Wcześniej bicie, sporo ciosów. Zmiażdżona lewa strona głowy. Zabójca raczej praworęczny. Huknął ją czymś w łeb. Potem zgwałcił. Potem znowu bił. W końcu poderżnął gardło. Dużo krwi. Narzędzia zbrodni niet, ale może jeszcze znajdą. Dobra, czas do roboty.

Lenz zwołał wszystkich obecnych i przydzielił nowe zadania. Mieli kupę pracy, wielu ludzi do przesłuchania.

Będzie niezła stypa – pomyślał Zimny. Prezentację vialixu przesunięto o kilka godzin, na wieczór. Oficjalny powód: nie wszyscy zdążyli dojechać. Prawda: wiadomo, konieczność uczestniczenia w działaniach policji. Sawicki zastanawiał się, czy nie odwołać uroczystej kolacji z inwestorami zaplanowanej na później, ale po namowach Mastalerza nawet nie zmienił programu uroczystości.

– Wyglądałoby, jakbyś się do czegoś przyznawał – argumentował mecenas.

– Niby do czego?

– Że mamy z tym jakiś związek.

– Bo mamy – powiedział smutno Sawicki. – To była nasza pracownica. Powinniśmy okazać przynajmniej smutek, a nie... imprezować.

– To tylko kolacja po prezentacji. Przecież nie położysz ich głodnych.

– No nie.

– Więc nic nie zmieniamy? – upewnił się Mastalerz. – Poza godziną?

Pierwsi goście zaczęli zjeżdżać chwilę po tej rozmowie. Policja wciąż kręciła się wokół zakładu. Nadjeżdżające limuzyny i taksówki miały migające koguty radiowozów i wozów technicznych. Zamiast powitalnych banerów, flag, kwiatów i uśmiechniętych hostess widzieli żółte taśmy oznaczające miejsce zbrodni i grzebiących w ziemi zaniedbanych gliniarzy.

Pierwszego przesłuchano Sawickiego. Wstępnie, gdyż Mastalerz poprosił Lenza o wyrozumiałość i przeniesienie ewentualnej dłuższej rozmowy na wieczór.

– Będzie nam miło pana gościć.

Lenz pomyślał, że to dobra okazja, żeby się rozejrzeć i trochę lepiej poznać całe to środowisko.

– Niestety, nie będzie pan mógł uczestniczyć w prezentacji vialixu – zaznaczył prawnik. – To stanowi tajemnicę firmy. Moglibyśmy naruszyć przepisy, dopuszczając pana do udziału w konferencji.

– Nie możemy jakoś tego obejść? – zapytał Sawicki.

Mastalerz pokręcił głową. Ale chyba dał jakiś znak, który oznaczał przyzwolenie. Jeśli Lenz zechce, będzie mógł wejść na salę. Inspektor tego nie skomentował. Zadał podstawowe pytania prezesowi, które nie przyniosły żadnych rewelacji. Sawicki potwierdził, co już wiedział. Na temat ofiary, konfliktu z firmą, gwałtu. Podał z pamięci nazwiska gwałcicieli.

– To dobrzy chłopcy – szepnął.

– Gwałciciele – mruknął Lenz.

– Popełnili grzech i za niego zapłacą. Ale... nic nie jest czarno-białe.

– Nie zwolnił ich pan?

– Nie zasłużyli na dwie kary.

– Przecież nikt ich nie skazał. Nie mieli nawet procesu.

– Zapłacili dziewczynie odszkodowanie.

– I to wszystko? Wystarczyło ją kupić?

– Ona nie była bez winy.

– Wie pan, jest taka reklama: jak mówię nie, to znaczy nie.

– Nie będę się z panem sprzeczał, bo się na tym nie znam. Nie chcę też nikogo bronić ani usprawiedliwiać. Uważam jednak, że sami skazali się na karę. Na pewno nie było im łatwo. Zostali napiętnowani. Lokalna społeczność, współpracownicy, wszyscy ich wytykali palcami. To zostaje, nie jest łatwe.

– Za bardzo pan komplikuje.

– A ja myślałem, że upraszczam.

Tak czy inaczej nic nie wiedział o zbrodni, nie traktował poważnie donosów, urząd skarbowy wszystkie wyjaśniał, nie potwierdziły się i tyle. Nie chciał się mścić. Nie zamierzał jej wyrzucić z mieszkania, stosować innych kar czy nacisków. Zapomniał o niej. Byłby głupcem, gdyby chciał ją skrzywdzić.

Zgoda – pomyślał Lenz. Sawicki jest poza podejrzeniem, chyba że był w tej tragicznej śmierci jakiś inny cel, o którym nic mi nie wiadomo.

– Prawdę mówiąc, czuję się winny, bo gdybym jednak bardziej się nią interesował, może by do tego nie doszło.

No tak, święty.

Na pytanie o alibi, powiedział, że był całą noc w domu.

– Spałem.

– Może ktoś to potwierdzić?

– Żona. Spaliśmy razem. Jak zawsze. Od dwudziestu lat.

Na te same pytania odpowiadali też inni członkowie zarządu, dyrektor zakładu i ta dziwna para: dziennikarz i jego opiekunka Magda Buchner. Lenz patrzył na tę piękną kobietę i widział w niej swoją Anię. Miały w sobie coś podobnego. Coś niesamowitego. Mógłby się w niej zakochać. Gdyby nie miał Ani.

Nie mógł przesłuchać gwałcicieli. Wszyscy od jakiegoś czasu pracowali w Warszawie. Taka kara? A może nagroda. Mieli alibi na tę noc. Dziwnym trafem spotkali się we trzech na wódce. W nocnym klubie. Jakby ktoś ich przestrzegł, że na ten wieczór muszą mieć żelazne alibi. Wysłany do klubu posterunkowy potwierdził, że nie kłamią.

Zimnego zostawił sobie na koniec.

– Miło pana poznać – powiedział. – Dużo czytałem o pana przygodach... dziennikarskich.

– Niech pan nie wierzy gazetom. Jestem zwykłym pismakiem. Żaden ze mnie bohater.

– Skończył pan z dziennikarstwem?

– Definitywnie. Teraz... pomagam.

– Komu?

– Tym, którzy nie są traktowani fair przez media.

– Jak Sawicki?

– Myślę, że pan wie, co się działo. Ktoś próbował medialnie zaatakować koncern i trzeba było... zareagować.

– I pan zareagował?

– Między innymi.

– Co pan zrobił?

Zimny pokrótce opowiedział. Nie prowadził żadnej gry. Starał się być szczerzy i rzeczywiście pomocny. Gdy wszedł na temat Maxa i tekstu o Medice, zobaczył, że Lenz jest poruszony. Liczył na to, że może usłyszy od niego coś

więcej, policjant jednak nie rozwinął wątku.

– Co pan robił w nocy?

Zimny się zawahał.

– Spałem.

– Rozmawiałem już z panią Magdą – powiedział Lenz.

– Rozumiem, że panu powiedziała?

Lenz tylko się uśmiechnął.

– Więc? Co pan robił?

– Już mówiłem, spałem – powtórzył. Potem dodał: – Z Magdą.

– Całą noc byliście razem?

Wahanie. Minimalne.

– Całą – potwierdził. – W jednym łóżku.

– A pani Magda zeznała coś innego – szepnął Lenz.

Zimny pomyślał, że powinien się zdziwić albo, powiedzmy, skłamać, że nic o tym nie wie, bo po prostu spał, ale zanim zdążył zareagować, Lenz dodał:

– Podobno nie tylko w łóżku.

Mrugnął do niego okiem. Nie jak zbok. Przyjacielsko. Zimny pomyślał, że mógłby polubić tego gliniarza.

– Nie tylko – przyznał.

Wanda dostawała na bieżąco relacje z pierwszej linii frontu. Miała stałą łączność na smartfonie z Bandą, który przekazywał jej meldunki ze wszystkich kierunków, w tym od Lenza. Szef zdecydował się zostać w Wicku na noc. Podobno była tam jakaś ważna prezentacja, a potem małe przyjęcie dla jej uczestników. Wanda zastanawiała się, czy zdążyłaby na tę kolację, żeby pomóc szefowi. Pomyślała jednak, że skupi się na swojej robocie.

Szło jej dość dobrze.

Bez trudu znalazła kilku znajomych Sawickiego ze studiów, w tym dość aktywnego politycznie blogera, który chwalił się znajomością z Markiem i innymi lokatorami jego pokoju w akademiku.

Mieszkał w Gdańsku i od razu zgodził się spotkać z Wandą.

– Obiad? W centrum? Pasuje pani greckie żarcie? Ja stawiam.

Wanda żałowała, że poszła sama. Facet był zapuszczony, nieogolony i trochę śmierdzący. Przy czym to wszystko wydawało mu się diabelnie męskie. Gapił się na nią wzrokiem „jeszcze nigdy nie dymałem policjantki”. A gdy marszczył brwi, przekazywał dodatkowo: „jeszcze nigdy nie miałaś takiego ogiera jak ja”.

Oczy zwykle kłamią.

Nie był zbyt sympatyczny. Seksistowski, aluzyjny, lekko przeginał. Wanda pomyślała, że na koniec zaproponuje mu lodzika w kiblu, a kiedy się tam znajdą, włoży mu do ust spluwę i naciśnie spust. Oboje usłyszą suchy trzask. Ona będzie rozbawiona, on niekoniecznie. Kto wie, może ktoś narobi w gacie. „Taki żart, tu są

naboje” – powie po wszystkim.

Ale taki żart mógłby się dla niej skończyć wyrzuceniem z Wydziału. Lenz był nieubłagany przy takich akcjach. Żadnej prywaty. Żadnej zemsty za krzywdy ludzkości. Żadnego odgrywania się na bandziorach i świrach. Nie musicie być święci, ale przegięcia będą traktowane bardzo surowo. Włożenie spluwy w paszczę kretyna to przegięcie?

– ...nigdy bym nie pomyślał, że zajdą tak daleko – zakończył pierwszą część opowieści o czterech chłopakach z pokoju numer dwieście trzystaście.

Wanda go nagrywała, więc słuchała niezbyt uważnie, wyłapując parę być może istotnych rzeczy. Zapamiętała, że chłopcy jeździli do Holandii na zarobek, wozili przesyłki po Polsce, rozklejali plakaty. No tak, trudno było przewidzieć, że wyrosną z nich herosi biznesu.

– Ale cwaniaki zawsze sobie poradzą – dodał bloger.

– Cwaniaki?

– Nie wszystko, czym się zajmowali, było legalne – dodał.

– To znaczy?

Zawahał się.

– Nie chcę wyjść na donosiciela.

– To rozmowa pomiędzy nami. Nie robię nawet protokołu. – Wanda postanowiła nie dodawać, że jeśli powie coś istotnego, to zostanie zaproszony na komisariat, a tam już będzie inaczej.

– Rozprowadzanie fałszywek raczej się przedawniło, co?

– Na pewno – odparła ostrożnie.

Wcale nie była tego pewna. Robienie państwa w konia niekiedy jest traktowane jak zabójstwo. Chyba że chodzi o polityków, bankierów i gangsterów. Ich prawo omija.

– No więc trochę w tym robili. W akademiku mieszkał taki bandzior, co to siedział ciągle u Maxima. Przynosił gotówkę w worku żeglarskim. Sprzedawał za pół ceny fałszywe banknoty. Rozumie pani: nominal, dajmy na to, stułotowy kupowało się za pięćdziesiąt, a potem płaciło w sklepie za zapalki, wprowadzając fałszywkę w obieg, a samemu mając spory zysk. Trochę robił też w paserce i rekrutował żołnierzy do jednego gangu.

– Ich też rekrutował?

Bloger roześmiał się, jakby powiedziała dobry żart.

– Nie, oni byli jajogłowi raczej. Zbirów szukał wśród sportowców.

No tak, wtedy gangi nie rozumiały jeszcze, że najlepszą kasę robi się na przekrętach w biznesie. Teraz jest inaczej.

– Ale święci nie byli. Zresztą na początku biznesu pomagał im kumpel z prawa, który dorabiał w urzędzie celnym.

– W jakim sensie pomagał?

– Łatwił różne okazje. To były złote czasy dla takiego biznesu. Potem ten kolo awansował do ministerstwa do Warszawy i dalej im pomagał. Cynki dawał.

– Jakie?

– Tego nie wiem, ale... byli dobrze poinformowani.

– Jak się nazywał ten kumpel z prawa?

– Nie wiem.

– Dobra, jedźmy dalej.

– Tak, najciekawsze przed nami. – Usta blogera wykrzywił uśmiech zбочeńca. – Słyszała pani, jak nazwali na początku tę swoją firemkę?

– Jak?

– Anika. A wie pani, skąd się to wzięło?

– No?

– Od ksywki jednej takiej... kurewki.

Wandę zaswędziła pięść. Mogłaby się lekko pochylić i jednocześnie wprowadzić prawy sierpowy.

– prostytutki?

– Nie.

– To dlaczego kurewki?

– Bo dawała każdemu.

– Panu też? – zadrwiła.

– Nie. – Nie obraził się. Chyba nawet nie odczytał w jej głosie złości.

– Tylko swoim... chłoptasiom. Pokój dwieście trzynaście miał monopol na wdzięki pięknej Aniki. – Zarechotał nieprzyjemnie.

– Jak to miał monopol?

– Jeden ją przyprowadził, a potem wszyscy mieli radochę. Artur. Od niego się zaczęło. Wypatrzył ją sobie podobno z okna, wyczekał na nią na ulicy i poderwał. Mówił, że się zakochał, ale u Artura to nigdy nie było wiadomo. Każdej i o każdej mówił, że się zakochuje. Taki styl podrywu. Ale tym razem... chyba było inaczej, chyba rzeczywiście go wzięło. Ale chłopakom to nie przeszkadzało.

– W czym?

– Raz Artur wyjechał coś załatwić, jakieś pieniądze od matki czy coś. Nie było go trzy dni, zostawił Anikę pod opieką przyjaciół, a ona w tym czasie dała każdemu. Po kolei. Benkowi, Ruskowi... temu Siergiejowi, wie pani, i Markowi. Jakby chciała ich wszystkich poróżnić, bo kto normalny robi coś takiego. Żadna normalna laska nie dyma się po kolei z czterema chłopakami, szczególnie jeśli niby kocha jednego z nich, a pozostali są jego przyjaciółmi. Taka historia może co najwyżej stać się legendą w akademiku.

– I stała się?

– O tak. Na moim roku wszyscy ją słyszeli. Podobno potem długo żyła. Tyle

że nikt już nie pamięta, że ktoś taki jak Marek był w nią zamieszany. Sądzi pani, że mógłbym dużo zarobić, sprzedając ją tabloidom?

– Pewnie tak. Dlaczego dotąd pan tego nie zrobił?

– A bo to śpieszy mi się do grobu?

Wanda poczuła, jak drętwieje jej dłoń. Nie teraz. Nie dać po sobie poznać, że to zdanie wywarło na niej jakieś wrażenie.

Uśmiechnęła się sztucznie.

– Boi się pan Marka Sawickiego?

– Wolę pilnować swojego nosa.

– Przecież mówił pan, że to... jajogłowy, a nie gangster.

– Ja tam nie wnikam. Ale jak ktoś ma taką firmę, to lepiej uważać. Wokół niego na pewno jest dużo takich, co mogą zrobić kuku.

Zapytała o nazwisko dziewczyny. Nie znał go. Wygląd? Opisał. Szczupła, ładna, można powiedzieć piękna, choć specyficznie, bo tak trochę cygańsko, czy może nawet arabsko.

– Mieszaniec. Taki typ zahukanej paniusi, wiecznie chodzącej ze wzrokiem wbitym w ziemię, unikającej kontaktu, zawstydzonej, niezdającej sobie sprawy z potencjału, jaki w niej drzemie. Wydawała się przeciętna, ale we wprawnych rękach... mogła być pięknoscią. Dobrze trafiła. Nie było nikogo lepszego od Artura, by z niej zrobić tę pięknosć.

– Ale nie wyszło?

– Przypadek. Wszystkim, kurwa, rządzi. Nic nie poradzisz. Artur pojechał, chłopaki skorzystali. Potem rozeszło się po całym akademiku. Artur był zbyt dumny, żeby chodzić z laską, która daje każdemu.

– On dla niej musiał być tym jedynym, ona dla niego niekoniecznie?

– No i widzisz, pani komisarz, tu jest pewien feler, bo ona zmieniła Artura. Chyba rzeczywiście chciał się w niej zakochać, może się zakochał. Ale po tej akcji z kumplami już nie było o czym mówić. Przybiło go to, już nigdy nie był taki sam.

– Ale z kolegami się nie poróżnił?

– Nie. Oni byli ponad. Wielka czwórka. Przyjaciele na zawsze. Anika nie była w stanie ich rozdzielić. Może gdyby pomiędzy nią i Arturem dłużej to trwało, byłby problem. Ale nie trwało. Przygoda była, minęła. Tyle że zostawiła piętno. Pewno na każdym z nich, bo chyba wszyscy się zmienili. Kto wie, może dlatego weszli w biznes i odnieśli ten zajebisty sukces.

– Jak to?

– No bo przed Aniką to były olewusy. Chlali i grali w brydża. Codziennie impreza. Ostra jazda. Nie bardzo myśleli o nauce. Tak jak mówiłem na początku: małe lewe interesy tak, szybka dorywcza robota owszem, ale nie ciężka praca. Gdy pojawiła się ta kurewka, nagle coś w nich pękło, przestawiło ich na inny tor. Może zrozumieli, że nie da się tak zawsze, że trzeba wziąć się za interesy, bo się zostanie

z niczym. Może zrozumieli, że dupy i wóda zawsze ich zdradzą. Założyli tę swoją spółkę i... teraz mają, co mają.

Blogger wyraźnie posmutniał. Chyba nie życzył Sawickiemu sukcesu. Pewnie uważał, że na niego nie zapracował, nie zasłużył. On by się lepiej nadawał?

– A pan? Co pan robi?

– Dzieci. Mam już sześcioro.

– Dobry wynik.

– Ale umiem się też postarać, żeby nie mieć.

– Nie wątpię.

– Nie chce pani sprawdzić? Ech, przecież żartowałem, niech pani nie ucieka.

– Muszę lecieć.

– No tak. Jak zwykle. Wykorzystała i porzuciła.

– Takie życie.

– Takie życie – powtórzył. – Wie pani co, z tą Aniką to też właśnie taka życiowa sprawa. Artur ją sprowadził, bo się zakochał, a wcześniej o miłości nic nie wiedział i tylko krzywdził innych. Laski i chłopaków, bo uwielbiał odbijać innym dziewczyny czy przyprawiać rogi. W mężatkach... e tam, nie będę już opowiadał, bo to jeden wielki syf. Tak czy inaczej zasłużył, że ostatecznie to go najlepsi przyjaciele zdradzili i pokazali mu, jak to boli. On lekcję chyba pojął i nie mógł już wrócić do dawnego życia. Nie mógł znów być podrywaczem. Nie wychodziło mu. Laski się zaczęły z niego nabijać i go unikać. Pewnie dlatego zrobił to, co zrobił.

– Co takiego?

– No, wrócił do tej swojej kurewki.

– Jak to?

– Do Aniki. Podobno się z nią prawie ożenił. Niby po kryjomu, ale był z nią. Tak to bywa. W sumie niezła lekcja życia.

Akademik to było pudło, stracony czas. Żadna woźna nie pamiętała tej historii. A miała być legendą. Może po dwudziestu latach legendy umierają. A może dziś, w czasach różnych dziwnych zabaw w słoneczka, gangi bangi i inne posrane tematy, to już żadne wydarzenie. Wanda cały czas nie mogła pozbyć się dziwnego uczucia, że wszędzie spotyka zasłony, specjalnie dla niej przygotowane wersje wydarzeń, z których żadna nie jest prawdziwa. Obraz Sawickiego z mediów czy jakichś oficjalnych wspomnień, pełen etosu pracy, etyki chrześcijańskiej, moralności, zupełnie kłócił się z obrazem przedstawionym przez tego blogera. Który był prawdziwy? A może oba były mieszkanką prawdy i kłamstwa. Będzie w stanie je oddzielić i przekazać Lenzowi właściwe wnioski? Czy też musi nakłamać?

Obeszła budynek i namierzyła potencjalną kamienicę naprzeciwko. Nikt nic nie wiedział.

– Żartuje pani? Studentka na stacji sprzed dwudziestu lat? Kto miałby ją

pamiętać?

Zadzwoiła do Bandy, żeby się trochę nakręcić. Straciła wenę.

– Może trzeba pogadać ze starymi tych kolesi.

– Pomyślałem o tym. Rodzice Wisłockiego nie żyją. Kraciuka, jeśli nawet, to gdzieś na Ukrainie czy w Rosji. Pozostaje tylko ten trzeci, Czerniewicz.

– W sumie najważniejszy. Kierowca.

– Tia, kierowca bombowca. Ojciec nieznany.

– Samotna matka?

– Na to wygląda. Chcesz jej adres?

– A masz? Dawaj.

– Dwadzieścia lat temu, kiedy synuś studiował w Gdańsku, ona mieszkała w Bydgoszczy. Dziś ma kamienicę w Sopocie. Prowadzi pensjonat.

– Dawaj adres.

– To taki specjalny pensjonat.

Burdel? To ma być spełnienie marzeń? A właśnie do tego chciała ją przekonać Beata Czerniewicz. Kobieta miała około siedemdziesiątki, ale trzymała się znakomicie. Postawna, nawet wyniosła, za dużo tapety na gębie. W sumie nawet sympatyczna, choć z urody trochę czarownica. Włosy czarne jak węgiel, błyszczące. Gęba o rysach jak z komiksu. Usta krwiste, czerwone jak trzewiczki tej blondi, co chciała zostać prezydentem, ale z której płomiennych mów pozostały w pamięci słuchaczy tylko te buty. Goła baba w czerwonych butach.

– Wynajmuję dziewczynom pokoje, nie obchodzi mnie, co robią.

– Ale każda robi to samo, prawda?

– Nie wnikiem.

– Nie o tym chcę rozmawiać.

– A o czym?

Wanda się zawahała. Mogła to rozegrać na trzy sposoby. Który był najlepszy?

– O pani synu.

Milczenie.

– O Arturze – uściśliła.

– Miałam jednego syna.

– Wiem.

– Zginął... Dawno temu.

– Przykro mi.

Skinęła głową, potem popatrzyła badawczo.

– Po co chce pani o nim mówić?

– Żeby wyjaśnić inną zbrodnię.

– Inną? Lepiej wyjaśnijcie, jak zginął Artur. Inną zbrodnię, dobre sobie. Mój Artuś był dla was nieważny, nie obchodził was, nie obchodziły was żadne

wątpliwości, bo ktoś wziął pewnie w łapę, żeby ochronić tego... skurwysyna. A teraz chcecie wyjaśniać... inne zbrodnie?

– Ma pani podejrzenia, że to nie był wypadek?

– Podejrzenia? – Prychnęła ze złością. – Jestem pewna.

– Ktoś ich zabił?

– Ktoś? No przecież wiadomo kto. Tylko jeden pozostał.

Dwie chrzanione godziny. Tyle spędziła ze starą burdelmamą. Stracone? Nie, zdecydowanie nie. Trochę się dowiedziała. A nawet całkiem dużo.

Artur Czerniewicz był oczkiem w głowie mamusi. Z przekleństwa, niemal genealogicznego fatum („Wie pani, u nas tak od lat, w każdym pokoleniu jedna zachodzi i musi sama wychowywać”), stopniowo stawał się najukochańszym maleństwem, wychuchanym młodzieńcem, wreszcie perełką („Same piątki przynosił, nie mogłam tego zmarnować”).

Ojca nie znał, nie obchodził go. Alimentów nie było, bo mama nie potrafiła udowodnić, który to („Trzy razy strzelałam w sądzie i trzy razy pudło. Miałam jeszcze dwa typy, ale żadnego nie można było znaleźć. Dziś już wiem który, bo Artur wyrósł na sobowtóra”).

Mama żyła dla syna, ciężko pracowała na kilku etatach. Rano była kucharką w stołówce, po południu i wieczorami pomagała w opiece nad dziećmi, nocami sprzątała długie korytarze domu spokojnej starości.

Artur weekendy spędzał na weselach, gdzie mama wynajmowała się do pomocy przy przygotowywaniu dań i organizacji imprez. „Pewnie dlatego taki był do dziewczyn. Naoglądał się tych wywalonych z kusych sukieneczek cycków i pośladków, zabaw wulgarnych, tego macanka po kątach, tego łomotania po krzakach za remizami i domami weselnymi, to i mu się bab zachciało. Inna sprawa, że był gładki taki, piękny wręcz, całkiem jak panienka, to co rusz się jakaś pijana damula do niego przypinała”. W szkole też miał opinię casanovy. „Przyciągał dziewczyny, ciągle jakąś przyprowadzał do pokoju”.

Ze słów burdelmamy wynikało, że z jednej strony innym chłopcom imponował, z drugiej prowokował ich i sprowadzał na siebie kłopoty. Nieraz wracał z podbitym okiem czy w porozrywanej koszuli. „Bronić się nauczył, wygrywać ze wszystkimi nie mógł”. Z policją kłopotów nie było. Skarg od rodziców w zasadzie też. „Między sobą młodzi załatwiali”. Niemniej jednak wyczuwała, że to się może źle skończyć, dlatego bardzo się ucieszyła, jak już poszedł na te studia i do akademika. „Akademik, wiadomo, sodoma i gomora, ale życia uczy. No i jaka szansa, moje dziecko na studiach, i to dobrych. Będzie magistrem, doktorem, może inżynierem”. Marzenia dalej się spełniały, ukochany Arturek świetnie radził sobie na studiach, a z pracą i pieniędzmi nie miał problemu. „Zawsze potrafił się zakręcić. Pracowity też był. Do Holandii z kolegami wyjechali. Zarobili, a potem zamiast przepić i przehulać, założyli tę swoją firmę”.

Ona była przeciw. Uważała, że spółki są dobre dla cwaniaków. Nie to, żeby nie wierzyła w cwaniactwo syna, ale wiedziała, że pieniądze to ryzyko. Jak się zbyt cwaniakuje, można oberwać, i to tak porządnie, nie tylko po nosie. Czasy były ciężkie. Wiele się mówiło o mafii, haraczach, wymuszeniach, porwaniach, długach. Nie chciała, żeby to spotkało jej ukochane dziecko. Nie chciała, żeby Artur zbyt dużo zarabiał. „Zawsze to lepiej mieć tyle co trzeba, nie więcej”. Ale on ją uspokajał i radził sobie świetnie. „Na urodziny mi kupił samochód, choć przecież nie miałam prawka. Za kurs potem zapłacił. Kolejnego roku zabrał na wycieczkę niespodziankę. Nie do żadnej Turcji czy Grecji, tylko od razu z grubej rury, do Brazylii. Obiecywał, że tak już co roku będzie. Potem kupił mi tę kamienicę i kazał zrobić, co chcę. Zaraz pani powie z wyrzutem: a ja burdel zrobiłam? Nie, na początku to miał być sklep. Ale nie miałam do tego ręki. Nie umiałam handlować. Nie trzymałam w ryzach dziewczyn, znaczy się ekspedientek. Każdy mnie kantował. Straty były takie, że nawet Artuś się przestraszył. Posprzątał mi to wszystko i mówi: już lepiej charytatywnie działaj. Mniejsze straty. To otworzyłam taki dom dla samotnych matek. Ustaliłam stawki, ale płacili tylko ci, co mogli. Nazywali mnie tu Dobrą Henią, zupełnie nie wiem dlaczego, bo przecież jestem Beata. I do dziś się nie dowiedziałam. Dobra Henia to, Dobra Henia tamto. No i któregoś dnia ktoś mi powiedział: Dobra Heniu, pani taka dobra, a te wszystkie dziwki za kasę się u pani puszczają. Posprawdzałam i wie pani co, rzeczywiście tak było. Dziewczyny przychodziły z dziećmi, nie płaciły, oszukiwały, a zarabiały dupą. Nie wszystkie, ale wszystkie, które tak robiły, nie płaciły. Skończyło się. Kazałam im się wynosić albo płacić i dopiero wtedy robić, co chcą. I tak się narodziło toto”.

Wanda starała się nie przerywać, nie podpytywać, bo gdy Dobrą Henię wybiło się z wątku, nie potrafiła już do niego wrócić. W końcu doszły do ostatniego etapu, w którym Wanda musiała już zadawać pytania.

– Coś pani przeczynała przed śmiercią Artura? Że coś złego się może stać?

– Ja wiedziałam od początku, że się stanie. Nie to, żebym miała coś do tych chłopaków. Poznałam ich, polubiłam. Nawet tego ruskiego roztrzepańca. Benek i Marek to były chłopaki z dobrych domów, katolickich, takich z tradycjami, nie pasowali do mojego Artusia ani do mnie. Ale nie wywyższali się. Mili byli. Udawali, że mnie lubią. Dobrze im to nawet wychodziło. Pomyślałam, że skoro mój Artur awansował, to przecież właśnie takich przyjaciół musi mieć. Przecież nie może się znów szlajać z chłopakami z baraków, z huty czy z zawodówek. No, ale to jednak ja miałam rację. Wiedziałam, że jak przyjdzie co do czego, to go zdradzą, oszukają.

– Co zrobili?

– Dokładnie to nie wiem. Niby tak dobrze im się powodziło, pieniądze mieli, szastali nimi, ale chyba chcieli jeszcze więcej. Wymyślili tę giełdę i... wie pani, ja

się na tym nie znam, ale wyczułam po Artusiu, że coś się dzieje nie tak. Ciągłe na telefonie wisiał, nawet w święta czy wieczorami, czy w nocy, jak raz u mnie spał. Słyszałam, jak się wydziera. Jak czasem komuś coś dosadnie powie. I wiedziałam, że są kłopoty.

– Pytała go pani jakie?

– Teraz to już mało pamiętam i mogę przekręcić. Pytałam, on uspokajał. Twierdził, że ta giełda im da spokój, ale przed nią są różne tarcia, kto ile ma zarobić, wielu chce się podpiąć pod ich sukces, podkładają im różne świnię i on, Artuś, musi to porządkować, bo on jest od tego. Marek i Benek byli od większych spraw. Siergiej od roboty, a Artuś od porządków właśnie. Bałam się jak diabli o to, a jak jeszcze doszli ci Ruscy...

– Jacy Ruscy?

– Ukraińcy czy Białorusini może. Gadali po rusku. Raz z jednym przyjechał, to powiem pani, że takiego gangstera w życiu nie widziałam. Niby przyjaciel. Obejmowali się, całowali. Ale tak mu z oczu patrzyło. Zabójca, mówię pani. A mój Artuś z takim interesy robił. To mnie się nie podobało...

– Więc może to ci Ruscy, a nie Sawicki?

– Pyta pani o ten wypadek?

– Tak.

– Nie. Z Ruskimi wcześniej skończyli. Spłacili się, porozliczali. Artuś mi mówił, żebym się nie bała, że to koniec.

– Może kłamał.

– Może, ale ja i tak uważam, że to przez tę babę.

– Babę?

– Przez kasę i babę – potwierdziła.

– Co to za kobieta?

– Ech, dużo by opowiadać.

– Mamy czas, niech pani mówi.

– Artuś się zakochał. Zamknięty był w sobie, jeśli chodzi o te sprawy. Może się trochę wstydził, że tak je rucha na potęgę. Myślał, że ja bym mu głowę zmyła, z powodu tego... wie pani, tego, że on mi się trafił, że przez to zmarnowałam sobie życie, to i on może komuś zmarnować. Widziałam w jego oczach ten strach, że mógłby też dzieciaka zrobić i tak go zostawić jak mnie jego stary. Ja go uspokajałam. Mówiłam: „Artuś, szalej sobie do woli. Ja ci nie żałuję. A jak się coś trafi, po prostu bądź mężczyzną”. Odpowiadał: „Nic, mama, się nie trafi” – i szedł ruchać je dalej. W Toruniu to chyba wszystkie młode miał. W Trójmieście pewnie też z połowę...

– Aż się zakochał – przypomniała Wanda.

– Tak, w jednej takiej. Piękna była jak z obrazka. Młodsza trochę. Nawet myślałam, że za młoda. Ślicznota. Oczy czarne jak węgle. Włosy też. Jak Arabka.

Nawet takie miała imię.

– Anika?

– Tak na nią Artuś mówił, ale naprawdę miała na imię Anita. Anita Kadad, tak miała w dowodzie, trochę spolszczone, bo ojciec był Syryjczykiem i nazywał się Khadad.

– Muzułmanin?

– Nie, tam jest ponoć dużo chrześcijan.

– Poznała pani jej rodziców? – Wanda starała się jak najwięcej dowiedzieć o dziewczynie.

– Nie, ją też nie za bardzo. Artuś przywiózł tę Anikę do domu dwa razy. Potem przestał. Długi czas nie było tematu. Aż nagle firmę tak nazwali. Artuś powiedział, że to tak dla zabawy, potem wyznał, że koledzy chcieli mu zrobić przyjemność i podkreślić, że to on jest najważniejszy w firmie. Lubił, jak myślałam, że to on jest najważniejszy. Ja głupia nie byłam, przecież ich widziałam, widziałam, że mój Artuś od nich trochę odstawał, że takim biznesmenem to nigdy nie będzie, ale grzecznie grałam swoją rolę, udawałam. Wszystko dla Artusia. No więc gdy powiedział, że coś się z Aniką szykuje, to już też się domyślałam, nie musiał mi mówić, że dzieciaka zrobił.

– Dzieciaka?

– Jak to w mojej rodzinie. Wiedziałam, że zrobi. Tyle że Artuś miał już kasę, nie musiał się martwić, że nie utrzyma rodziny. Zapewnił mnie zresztą, że jej nie zostawi, że się ożeni i dziecko wychowa. Koniec klątwy. Tak właśnie powiedział. Koniec klątwy.

– Dlaczego nie dotrzymał słowa?

Burdelmama wzdrygnęła się, jakby przez jej ciało przetoczyła się jakaś Katrina.

– Bo ją zamordował – szepnęła.

– Kogo zamordował? Kto? Niechże pani mówi.

– Jak to kogo? Przecież o Anice mówimy. Zamordował ją drań, a potem zamordował mojego Artusia. Zamordował, bandyta!

– Nie mam czasu – szepnął Lenz.

Zaraz mieli wchodzić na konferencję. Zimnemu chyba kazano się nim zająć, bo ten nie odstępował go na krok.

– Siedzisz?

– Wanda, wal, co masz. Szybko, bez gierk.

– Sawicki i współpracownicy przed wypadkiem pokłócili się o laskę, ponoć szalenie piękną pół-Syryjkę Anikę.

– Jak nazwa spółki?

– Właśnie. Rzekomo wszyscy z nią sypiali.

– We czterech.

– Tak, ale jeden się w niej zakochał.

– Który?

– Kierowca. Artur Czerniewicz. Mimo że zdradziła go z kumplami, to chciał się z nią ożenić. Zrobił jej dzieciaka. Matka Czerniewicza twierdzi, że to spowodowało eskalację konfliktu z Sawickim. Nie wie dokładnie dlaczego. Może Czerniewicz chciał odejść z firmy, sprzedać komuś udziały, zachwiać równowagę. Tego nie wiem. Ale pewnego dnia powiedział mamusi, że zostanie babcią, że on skończy z jej kłębą.

– Jaką znowu, kurwa, kłębą?

– Nieważne, później ci ze szczegółami opowiem. W każdym razie Czerniewicz przyjechał do mamusi i powiedział, że Sawicki zamordował Anikę i on mu tego nie daruje, zawiadomi policję, nie odpuści. Tuż potem zginął w wypadku.

– Razem z innymi współnikami.

– Został tylko Sawicki.

Lenz chciał spytać o wiele rzeczy – związanych z wypadkiem, postawą matki Czerniewicza i rzekomym zabójstwem Aniki – ale Zimny zaczął go intensywnie wywoływać do sali konferencyjnej.

– Muszę lecieć.

– Uważaj na siebie. Ja sprawdzę tę Anikę...

Sala konferencyjna przypominała niewielki teatr. Miała widownię z siedzeniami jak w starych kinach, składanymi i skrzypiącymi, podwyższoną scenę z pofałdowaną ciężką kurtyną, reflektory zawieszono w różnych dziwnych miejscach, a nawet łoże na balkonach.

Usiedli z Lenzem w sektorze przeznaczonym dla obsługi i patrzyli, jak sala się wypełnia elegancko ubranymi inwestorami. Większość miała na sobie drogie garnitury lub suknie wieczorowe. Wymalowane kobiety, wymuskani mężczyźni.

Kuba nie zagadywał Lenza, spokojnie czekał na rozpoczęcie prezentacji. Myślał o Magdzie, której Sawicki kazał się zawinąć i jechać do Warszawy. Miała dopilnować komunikacji z mediami w razie pytań o zabójstwo tej kobiety. Zimny też chciał pojechać, ale Marek uciął: „Ty jesteś potrzebny tutaj. Magda da sobie radę”.

Kuba wiedział, że Sawicki ma rację. Uroda Magdy działała na dziennikarzy. Prawie wszyscy piszący o Sawickim byli mężczyznami. Działała na nich tak, jak podziałała na niego. Żurnalista w kontakcie z ładną piarówką będzie łagodniejszy, nawet jeśli tylko podświadomie. Chyba że zostanie przekupiony lub z jakiegoś osobistego powodu zapala pragnieniem zemsty. Na takich Sawicki wynajął Zimnego, ale dziś oddelegowanie Magdy do Warszawy było najlepszym wyborem.

Z jednej strony Kuba żałował, że tę noc spędzi sam, z drugiej pomyślał, że to dobrze. I tak by się nie kochali po takiej akcji. I tak mieliby ponury wieczór i noc. W takich chwilach też warto się sprawdzić, ale jeszcze nie dziś. Tym bardziej po takiej rozmowie jak wczoraj w nocy, gdy Zimny znalazł ją płaczącą na tarasie. Szybko się pozbierała, udawała, że to nie ma z nim żadnego związku, a jednak Zimny poczuł się jak intruz. „Po prostu mam mało doświadczenia z facetami” – ucięła.

Kuba przymknął oczy i pomyślał, że nie powinien w to wchodzić. Pomiedzy nimi była zbyt duża różnica. Jej potrzeba sztubackich małolotów, dwudziestoparolatków, z którymi po prostu będzie się mogła cieszyć chwilą. Zimny był wyniszczony, przeżarty doświadczeniami. Co z tego, że ona też wydawała się ponad wiek rozwinięta, miała umysł starszy niż ciało? Nie powinien tego wykorzystywać.

Żeby odsunąć trochę te myśli, popatrzył na siedzącego obok gliniarza.

Przystojny, młodszy od niego, umięśniony, taki herosowaty. On by się nadawał dla Magdy.

Światła przygasły i na scenie pojawił się konferansjer z mikrofonem przymocowanym do ucha. Znany podstarzały aktor, z którym podobno Sawicki się przyjaźnił.

– Witam państwa na tym wyjątkowym wieczorze. Dziś czeka nas prawdziwa artystyczno-naukowa uczta. Prezentacja, która przejdzie do historii...

Wanda lubiła od razu dzielić się sukcesami. Jak każdy była głodna pochwał. Spodziewała się, że Lenz zasypie ją nimi po dobrze wykonanej robocie. A tu nie mogła nawet za bardzo się rozkręcić z opowieścią.

Dowiedziała się znacznie więcej, niż przekazała szefowi.

Matka Artura Czerniewicza nie poprzestała na podejrzeniach. Domagała się głośno śledztwa w sprawie „zamordowania” zarówno syna i jego współników, jak też jego niedosłej żony i nienarodzonego dziecka. Lekceważono ją, aż któregoś dnia pojawił się jakiś dziwny człowiek, powiedział, że jest z WSI, a ona albo się zamknie, albo też skończy pod ziemią.

„Co miałam robić? Nikt nie chciał mnie słuchać”.

Zgodziła się zamknąć jadaczkę, wzięła kasę za akcje po synu i więcej nie dymiła. Myślała tylko, że klątwę może zakończyć jedynie śmierć.

Zaraz po wyjściu od burdelmamy Wanda zadzwoniła do Bandy.

– Nie wyłączaj telefonu – poprosił – ściągam sobie całe nagranie.

– Podśluchiwałeś?

– Pewnie. Jak zawsze. – Banda się roześmiał. – Żeby nie było, przypominam ci o wyłączeniu telefonu, jakbyś chciała uprawiać seks.

– Przecież to nie pomoże.

– No tak. To trzymaj go... gdzieś daleko.

– Co sądzisz?

– O burdelmamie? Nieźle postrzelona. Cyganka?

– Nie. Przynajmniej nie wygląda. Choć... w sumie to czarna i wymalowana jak przekupa na straganie.

– Cyganka. Ten Czerniewicz, jak patrzę na zdjęcia, też taki latynoski. Pewnie Cygan.

– Podeślij mi fotkę. Spojrzę.

– Przystojniak, macho.

– Dobra, mów, co sądzisz o tej historyjce.

– Coś mi śmierdzi.

– Mnie też – przyznała Wanda. – Pojadę do rodziców tej Aniki. Znajdziesz ich?

– Mówisz, masz, już ich wyszukałem w peselu. Adres aktualny, zapowiedziałem cię.

– Ty to jesteś szybki, Banda.

– Tylko w sprawach zawodowych. Przyjemności lubię smakować jak trzeba.

– Wątpię.

– To może się przekonasz? Ta Anika może przecież poczekać.

Wanda puściła to mimo uszu. Już dawno przyzwyczała się do jego

specyficznego poczucia humoru i sposobu mówienia. Spojrzała na adres.

– Nie, jestem blisko, podjadę tam.

– Czekają na ciebie. Matka mówi, że czekali dwadzieścia lat, by ktoś ich o tę córeczkę zapytał.

– Pilnuj Lenza. Jeśli ten Sawicki jest rzeczywiście zabójcą czy bandziorem chronionym przez wieśniaków, trzeba uważać.

– Uważać trzeba zawsze. Ja to ci powiem...

– Na razie, Banda.

Wprowadziła adres do GPS i wjechała na obwodnicę. Rodzice Aniki mieszkali w bloku w Lęborku. Pewnie rzeczywiście lepiej było to przesłuchanie odłożyć do jutra, ale skoro była tak blisko, a o tej godzinie mogła uniknąć korków...

Jutro wezmę wolne.

– Jeśli jutro nadejdzie. – Uśmiechnęła się do lusterka.

Marek Sawicki także miał zamocowany na uchu drucik z mikrofonem. Wyglądał na mocno przybitego, czemu nikt się nie dziwił. Dla wielu z siedzących na sali maklerów, inwestorów, doradców i zarządzających funduszami mogła to być oznaka jakiejś słabości, zwiastun klęski. Dowód na to, że plotki o rychłych kłopotach koncernu Sawicki mają podstawy, nie są przesadzone i może lepiej pozbyć się akcji, odpowiedzieć na ofertę tych, którzy chcą je kupić.

Ciekawe, czy sobie poradzi – pomyślał Zimny.

– Znamy się od... dwudziestu lat – zaczął Marek. – Z wieloma z was. Z innymi, młodszymi, trochę krócej. Nieliczni przyszli już po wszystkich kryzysach, ale pewnie dużo o mnie słyszeli. Chciałbym więc was zapytać: czy kiedykolwiek skłamałem?

Cisza. Nikt się nie odezwał.

Gra z publicznością to skuteczny zabieg – pomyślał Zimny. W tej sytuacji chyba nieźle, że wykorzystał go na początku. Dodatkowo Marek wyglądał na szczerego, sprawiał naprawdę pozytywne wrażenie.

– Nie będę was oszukiwał, jak to się świetnie czuję, jak nie wątpię, że się nam dobrze wiedzie, bo to byłaby nieprawda. Jest źle. Nawet bardzo źle!

Szum, cichy. Wymiana zaniepokojonych spojrzeń.

– Gdy stawałem przed wami dwadzieścia lat temu, było podobnie. Straciłem partnerów, zostałem sam na okręcie. Wielu wieszczyło nam rychły upadek, nie wierzyło, uważało, że zbyt wysoko mierzymy. Jednak równie wielu patrzyło na nas z sympatią, dało nam szansę, na jaką, myślę, zasługiwaliśmy. Czuliśmy tę sympatię, tę wiarę, że polskiej spółce może się udać to, co dotąd nikomu się nie udało, że możemy być wielcy, ścigać się z najlepszymi, a nie tylko podawać długopisy tym, którzy grają o naprawdę wysoką stawkę. Dziś... wchodzimy w kolejny etap. Przeszliśmy półfinał i przystępujemy do decydującej fazy

zawodów. Jeśli nam się uda... będziecie... dumni. Wszyscy będziemy dumni. I dziś proszę o tę szansę. Dajcie nam możliwość bycia dumnymi.

Cisza. Potakiwanie głowami. Tak, dobra przemowa. Z nawiązaniem do przeszłości, z odniesieniem do ludzkich emocji, do zaufania, na które przecież spółka zasłużyła. Nie wydarzyło się nic, co mogłoby to zaufanie podkopać. Przynajmniej nic, o czym słuchacze by wiedzieli.

Wciąż nikt nie napisał o morderstwach – pomyślał Zimny. I Sawicki ma nadzieję, że nie napisze. Po to też mnie zatrudnił. Dobra, prezesie, do rzeczy. Podaj dane główne, bo jeśli vialix jest ściemą, to gra na emocjach nie pomoże. Oni przyjechali tu usłyszeć konkret, a nie sentymentalnego staruszka.

– Ale żeby zasłużyć na kolejny wasz głos, na kolejną szansę, musimy pokazać, że warto, prawda?

Ktoś zaklaskał. Inni skinęli głowami. Z wieloma Marek nawiązywał kontakt wzrokowy. Długo patrzył im w oczy. Przekonywał. Tak, był świetny.

– Dlatego chcę wam powiedzieć o czymś naprawdę wielkim, naprawdę wyjątkowym. O czymś, o czym już słyszeliście w plotkach, ale prawdopodobnie żaden z was tak naprawdę nie wie, z czym się to COŚ wiąże. O czymś, co sprawi, że koncert Sawicki wypłynie na zupełnie nowe, niezmierzone wody. Co stworzy niebywałe możliwości. O marzeniu. O vialiksie.

W tym momencie wszystkie światła zgasły, sala pogrążyła się w całkowitych ciemnościach. Zobaczyli kropeczkę unoszącą się w przestrzeni. Powoli do kropeczki zbliżał się jakiś kształt. Nie potrafili go rozpoznać, dopóki nie znalazł się rzeczywiście blisko kropki. Wówczas stał się podobny do dłoni z wystającym palcem wskazującym. Palec dotknął kropki i... Coś grzmotnęło, a kropka błyskawicznie zaczęła się rozszerzać. Pojawiły się kwarki, fotony, elektrony... Zaczęły się łączyć w protony i neutrony, obraz rozszerzał się, powiększał, kropki kwitły wokół tego pierwszego punktu, aż opanowały cały ekran, wdarły się do każdego miejsca przestrzeni.

Zimny oglądał z podziwem ten trójwymiarowy spektakl światel przedstawiający stworzenie świata, zastanawiając się, czy to robota speców Bruna Giacoma, czy kogoś innego.

W tym momencie obraz stał się bardzo wyraźny. Ujrzeni galaktykę, która po chwili zaczęła się skupiać, kurczyć i stopniowo ograniczać się do widoku Ziemi, w coraz większym zbliżeniu, potem Europy, Polski, wreszcie twarzy człowieka, aż utonąła w ludzkim oku.

Światła na sali delikatnie rozbłysły. Za Markiem stał jakiś mężczyzna w marynarce, której wyraźnie nie znośił.

– Rafał Molak! – zakrzyknął Marek. – Dyrektor projektu „Vialix”.

Molak się skłonił.

– Witam państwa.

– Rafał nie jest zbyt doświadczonym mówcą, więc wybaczcie mu tremę. – Marek objął mężczyznę. – Ale nikt tak dobrze jak on nie opowie wam o... rewolucji, która nas czeka. Nikt lepiej nie zaprezentuje vialixu niż jego główny twórca. Brawo!

Cała sala odpowiedziała oklaskami.

– Nie byłoby vialixu, gdyby nie firma Sawicki – odwzajemnił komplement Rafał i poczekał na drugą falę braw. Marek Sawicki, mimo że nie wywierał już tak silnego wpływu na rozemocjonowaną publiczność jak dziesięć czy piętnaście lat temu, wciąż był w tym gronie osobą wybitnie cenioną. – Marek zaufał mi, mojemu zespołowi, przez dziesięć lat nie szczędził środków na kosztowne badania. Mimo braku efektów.

– No, nie przesadzajmy... Efekty były.

Rafał skłonił się, uśmiechnął szelmowsko i zażartował zgrabnie:

– Tak... Mniejsze zyski dla was.

Przez salę przeszła fala śmiechu, a potem znowu oklasków.

No proszę – pomyślał Zimny – a miał być taki stremowany.

– Badania były kosztowne – powiedział Marek. – Ale niezwykle obiecujące, dawały nadzieję, że jednym skokiem będziemy mogli pokonać parę stopni w drabince rozwoju. Gdyby Rafał poszedł ze swoim pomysłem do którejś z największych firm na świecie, pewnie zamiast szansy dostałby zapewnienie, że jak za dziesięć lat coś mu się uda, to może się zgłosić...

– Byłem u wszystkich. Powiedzieli, że zapraszają za dwadzieścia lat.

Śmiech. Chłopak był naprawdę dobry. Przekonujący.

– Wrywa się, jak to młoda krew, więc już nie truję. Posłuchajcie, co ten młody człowiek ma do powiedzenia...

Szary, bardzo szary blok na ponurym osiedlu. Piaskownica, zniszczona karuzela, trzepak, śmietnik, boisko. Na drzewach i słupach ślady po plakatach wyborczych. Wschodnia ściana ozdobiona billboardem pobliskiego supermarketu. Parówki za trzy dziewięćdziesiąt, mleko chude poniżej dwójki, piwo Waleczne za pół ceny... Trawa wypłowiła, dwie pokrzywione drewniane bramki. Dzieciaki ciekawie patrzące na stosunkowo nową terenówkę. Tu nikt taką nie jeździł. Wszystkie bryki były popowodziowe, sprowadzone z Niemiec, dziesięcioletnie i starsze. Tylko na końcu, pod ostatnią klatką, parkował swoją wypasioną beemkę dealer maryński i różnych mocarzy. Przyjeżdżał do Tereski, pięknej jak z obrazka blondynki, co piersi z dumą nosiła i tyłkiem ochoczo kręciła. Przyjeżdżał do czasu, aż jej dziecko zrobił. A potem go wsadzili.

Wanda odetchnęła głęboko.

Dawno nie była na takim osiedlu. Ale pamiętała je z dzieciństwa. Pamiętała bardzo dobrze. Usłyszała skrzypienie drzwi gdzieś w zakamarku mózgu odpowiadającym za te pokłady pamięci, które chcielibyśmy jak najdalej wyrzucić,

a których wyrzucić nigdy się nie da. Drzwi otworzyły się, grubas w koszulce na ramiączkach, z paskiem w ręku, przeszedł do sypialni mamy. Jeszcze chwila i zacznie się awantura.

Wanda zadrzała.

Precz!

Obraz prysł. Zostały szare budynki, szara trawa, szare zasmarkane bachory.

– Cześć, dzieciaki! – zawołała do półnagich brudasów. – Popilnujecie mi samochodu?

– Za ile?

– Opłaci się.

– Pewnie.

– W której klatce mieszkają Kadadowie?

– Druga. Od tej strony.

– Dobra, dzieciaki. Jak nic nie zginie, to wszystkich zabieram na lody.

– Wolimy piwo! – wrzasnął dziesięciolatek.

– Niech będzie.

– Powaga?

– A kto by śmiał z was żartować.

– Marek prosił, bym nie zanudzał was teoriami medycyny molekularnej, łańcuchami DNA i częścią dotyczącą badań nad zastosowaniem enzymów pozwalających wyzwolić nowe sekwencje w cząstkach RNA. Zresztą techniczna strona zagadnienia, poza tym, że jest dość skomplikowana, stanowi tajemnicę firmy. Nie chcemy, żeby ktoś z was wziął sobie to, na co pracowaliśmy dziesięć lat.

Chyba to miał być żart, bo chłopak zrobił pauzę. Za słabo zaakcentowaną, nikt się nie śmiał. Rafał chrząknął.

– Pewnie jesteście głodni, więc przejdę do rzeczy. – Uruchomił projektor, który za jego plecami zaczął wyświetlać obrazki z prezentacji. Przeleciały zbyt szybko, żeby ktoś coś zdążył przeczytać. – Przepraszam.

Tym razem udało mu się rozbawić salę.

– Technika.

Znów śmiech. Dwa kliknięcia i pojawiła się pierwsza plansza prezentacji. Przedstawiała ząb.

– Co widzicie?

Sala milczała. W końcu ktoś krzyknął:

– Ząb.

– To implant – poprawił Rafał. – Ząb doskonały. Nie psuje się. Przynajmniej przez dwadzieścia lat. Tyle wynosi gwarancja.

Śmiech.

Druga tablica. Tym razem przedstawiała bardziej skomplikowany implant

złożony z elementów metalowych i plastikowych.

– Sztuczne ucho. W uproszczeniu. Działa lepiej niż naturalne. Odpowiednio nastrojone może zrobić z nas nietoperze.

Kolejne przezrocze. Jeszcze bardziej złożone.

– To przyszłość. Sztuczne oko. Jeszcze nieużyte. Podobnie jak to, to i to.

– Kolejne obrazki. – Możemy tak wymieniać i wymieniać.

Następna plansza. Tym razem zwykła tabletką w osłonce. Dwa kolory. Białą i niebieską.

– Ten implant wstrzyknięty pod skórę podaje lek, dozując jego dawki przez dłuższy czas, nawet przez pół roku. Dawkuje go, dzięki czemu uzyskujemy efekt znacznie lepszy niż w przypadku kuracji tradycyjnej. Kolejny – znów karta prezentacji – to nasz implant walczący z komórkami rakowymi. Nazywamy go tu „gąbka”, bo dostaje się do środka komórki o określonych cechach i ją pochłania. Potrafi dwukrotnie zmniejszyć guz. Inna nasza produkcja – którą roboczo nazwaliśmy „szperacz” – ma być takim poszukiwaczem potencjalnie złych komórek i niewłaściwych sekwencji. Ale po co ja wam to wszystko opowiadam? Przecież to nic nowego, prawda? Tyle razy już to słyszeliście. Więc? Po co?

Milczenie.

– Zapłacili ci za godzinę gadania? – rzucił ktoś z sali.

Śmiech.

– Bingo – przyznał Rafał. – Generalnie chcę pokazać, że implanty to nic nowego. Wszyscy nad nimi pracują. Można o nich nawijać godzinami i... niewiele z tego wyniknie. Ale te dodatkowe pięć minut opowieści jest warte tego wstępu, wierzcie mi.

– Dawaj, dawaj – ponaglenia. – Napięcie sięga zenitu od trzech lat.

– Vialix też jest... implantem.

Cisza. Lekki szum zniecierpliwienia. Po takim wstępie wszyscy mogli to podejrzewać.

– Pewnie zapytacie, po co ten chłopak zawraca wam głowę implantami, skoro to nic nowego, nie? Przejechać czy przelecieć setki, a w przypadku części z was pewnie i tysiące kilometrów, tylko po to, żeby usłyszeć o implantach? A gdybym zapytał tak: czy implant, który wygląda w ten sposób, byłby interesujący? – Kolejna tablica i kropka jak z prezentacji o początku wszechświata. – Powiększmy to, może będzie bardziej interesujące.

Kropla wody.

– Wygląda jak woda, nie? Ale to nie jest woda. To...

Cisza. Pełna napięcia. Tym razem rzeczywiście miał całą salę w swoich rękach. Dobrze zastawił pułapkę. Zimny też się złapał. Zerknął na Lenę. Gliniarz wpatrywał się w punkt.

– Żel. Implant żelowy. Może też o takim słyszeliście? Chyba jeszcze nikt go

nie stosuje, ale w literaturze fachowej znajdziemy wiele możliwych zastosowań. A gdybym teraz zapytał, co by się stało, gdyby ktoś wymyślił implant, który wygląda jak woda, wchodzi w naturalne reakcje z komórkami i stymuluje różne czynności organizmu człowieka zgodnie z naszymi oczekiwaniami? I to bez dodatkowego pobudzania promieniowaniem czy specjalnym naświetlaniem.

Szum.

– Uznaliby cię za wariata – odpowiedział Marek. A potem dodał: – Ale szaleniec, który potrafi udowodnić swoje tezy, staje się geniuszem.

Otworzyła jej kobieta. Szczupła, dość drobna. Czarne włosy, miodowe oczy, małe, ale wciąż zgrabne, wyprężone piersi. Kiedyś pewnie była z niej niezła laska. Nawet po sześćdziesiątce robiła wrażenie. Facet siedział w fotelu i oglądał teleturniej *Jeden z dziesięciu*. Lekko śmierzący, trochę prymitywny typ. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Jak złapałeś taką laskę jak twoja żona? Może na mordę. Bo trochę dziś już czerstwa buzia miała jednak cechy, które kiedyś pewnie robiły z niego amanta. Krzaczaste, obfite, złączone brwi. Wydatny nos i szerokie usta. Uśmiechnął się. Wciąż białe, prawdziwe zęby. Zero uszkodzeń. Pewnie duży kutas. To wystarczyło?

„Żona Zeusa?”

– Hera – odpowiedział amant.

„Płynna część krwi?”

– Osocze.

– Gazi, przyszła pani z policji – powiedziała kobieta. – Wyłącz telewizor.

„Co to jest maceba?”

– Żydowski nagrobek. Będzie pani przeszkadzać? – zapytał. Wyraźnie nie miał ochoty ściszać odbiornika.

– Nie, skąd.

– To niech leci. – Spojrzał prosząco na żonę, po czym powoli, z ociąganiem podniósł się i podał Wandzie rękę. – Gazi znaczy zdobywca.

Uff!

– Renata Kadad – Kobieta miała znacznie silniejszy uścisk.

Facet wrócił przed telewizor. Odpowiedział prawidłowo na trzy kolejne pytania. Następne zagłuszyła Wanda.

– Chciałabym porozmawiać o państwa córce Anicie.

– Anisa – powiedział Gazi. – Dla mnie to była Anisa. Oznacza: przyjacielska, dobra. Taka była. Aż do dnia, gdy... przestała być moją córką.

– Możecie mi o niej opowiedzieć? Opowiedzieć, co się stało?

– Dlaczego pani pyta?

– Wołałabym na razie nie mówić.

– A potem pani powie?

– Tak.

Gazi westchnął.

– Dobrze.

– Więc powiedzcie mi, co się stało z waszą córką.

Gazi spojrzał, jakby chciał zadać kolejne pytanie: od początku czy od końca?

Ale Renata go uprzedziła:

– Anita zaszła w ciążę i pokłóciła się z nami. Wyjechała, obraziła się. Gazi może był za bardzo wybuchowy, ale w końcu przecież byśmy jej wybaczyli. Ona jednak nas nie słuchała. Potem się dowiedzieliśmy, że wyskoczyła przez okno.

– Wiecie coś o ojcu dziecka?

– Jakiś biznesmen – szepnął Gazi. – Nie obchodzi mnie to.

– Nazywał się Artur Czerniewicz – powiedziała wolno Renata.

Gazi spojrzał na nią, potem nagle wstał i wyszedł do kuchni. Renata kontynuowała, choć dla zachowania pozorów ściszyła głos. Mąż się usunął, żeby ona mogła powiedzieć, co ma do powiedzenia. Pewnie podsłuchiwał w kuchni.

– Tak naprawdę pokłóciliśmy się wcześniej. Nie chcieliśmy, żeby Anita poszła na stację. Mogła przecież dojeżdżać do Gdańska. Ale ona się uparła. Chciała się wyrwać z domu. No i tak się to skończyło. Znalazła chłopaka, zaszła w ciążę. Gazi się wściekł. Ona się wściekła. Więcej jej nie widzieliśmy. Nigdy. Gazi nie pozwolił mi jechać na pogrzeb. Wyrzekł się jej. Pochował ją ten... biznesmen, a może ktoś z jego rodziny, sama nie wiem. My dowiedzieliśmy się od policjanta. Wezwał nas do komisariatu. Zadał pytania z kartki. Zapisał. Wyprosił. Niemiły był. Szczególnie dla Gaziego. Jak Gazi sobie poszedł, to mi powiedział, że córka pewnie została zamordowana. Że podobno ktoś do niej przyszedł, a ona krzyczała, że ujawni jego machlojki.

– Ten jej chłopak biznesmen?

– Nie wiem. Policjant mówił, że właśnie nie on, tylko ktoś inny. Wspólnik.

– Podał nazwisko?

– Pytał o różne nazwiska, więc może podał. To było już tyle lat temu...

– Sawicki?

– Może.

– Nie chcieliście tego wyjaśnić?

– A co ja mogę...

– No tak.

– Jakby była szansa, ale my mogliśmy tylko czekać. Czekaliśmy.

Dwadzieścia lat czekaliśmy.

Wanda milczała, zastanawiała się, czy powinna o coś jeszcze spytać. W końcu wstała.

– Odprowadzę panią – zaproponowała Renata.

Gazi nie wrócił, żeby się pożegnać.

Schodząc, Wanda próbowała unikać wspomnień. Zamknęła na chwilę oczy.

Mocno zacisnęła powieki. Na próżno. Czekał tam, w rogu. Z paskiem w rękę. Czerwony na gębie. Czerwony na rękach. Uśmiechnięty. „No chodź, nie bój się” – mówił.

Precz!

– Chciałam jeszcze o czymś pani powiedzieć – szepnęła na dole Renata. – Właściwie o dwóch rzeczach.

– Tak?

– Nie wiem, czy to ważne, ale potem, już po tym przesłuchaniu na policji, przyszedł do nas jakiś pan i rozmawiał z Gazim. Nie chciał rozmawiać ze mną, tylko z nim. Gazi nie powiedział mi, o co chodziło. Uciał, że to męskie sprawy i baby mają się nie wtrącać. Ale któregoś dnia, jak chciałam go namówić, żeby choć grobu Anity poszukać, to mu się wymknęło: „Chcesz żyć, to sobie odpuść”. I powiedział, że ten mężczyzna mu groził. Groził, że jeśli będzie czegoś szukał, będzie za głośno, to wróci do Syrii, bo on ma władzę, on jest z wojska. Gaziego o to nie ma pani co pytać, bo on nie potwierdzi. Wie pani, jest...

– Za tchórzliwy?

– Za dumny.

– Strach po syryjsku to duma?

Kobieta się wzdrygnęła.

– A co, pani rasistka?

– Nie, ale jakby mi dziecko zabili, tobym tak tego nie zostawiła.

– Tak, tak. – Renata westchnęła, opuściła wstydliwie głowę.

Wanda była twarda. Mimo że pożałowała kobiety, postanowiła jej nie pocieszać.

– Ten straszący był wojskowym? – zapytała.

– Takim lepszym wojskowym.

– Jak to lepszym?

– No, ze służb specjalnych czy jakiegoś tam wywiadu.

– WSI?

– Chyba tak.

Wanda zacisnęła zęby. Duchy starych czasów. Jak długo jeszcze będą wracać? Uścisnęła ramię kobiety i wtedy sobie przypomniała.

– A ta druga sprawa?

– A tak, bym zapomniała. No więc kiedy Anitka wypadła z okna, była w dziewiątym miesiącu ciąży.

– Wiem.

Jednak Wanda nie wiedziała wszystkiego.

– Jej nie udało się uratować – dodała Renata. – Ale dziecko... Dziecko przeżyło. Mam wnuczkę.

Renata wybuchła nagle tak gwałtownym płaczem, że Wanda musiała ją

przytulić. Cholera, pomyślała. Myślmy, że to, co się nam przydarza, jest najgorsze. A jest tyle kwasów na ziemi. Kurwa, kto to wymyślił? Kto wymyślił te wszystkie cierpienia? Spojrzała w górę i pomyślała: Jeśli istniejesz, to masz u mnie wpierdol. Obiecuję, jak cię spotkam, nie daruję.

– Wnusię, mam wnusię – zachlipała kobieta. – Gazi nie chciał mieć z nią nic wspólnego. Trafiła do domu dziecka, a potem do adopcji. Mogliśmy się nią zaopiekować. Ale... Ale...

– Ten kutafon nie chciał?

– Właśnie. – Wciągnęła nosem wydzielinę. – Pieprzony kutafon.

– Oto vialix. – Marek objął ramieniem Molaka, pokazując niewielkie biało-pomarańczowe pudełko. – Dziecko tego młodzieńca. W obecnym stanie... witamina podnosząca odporność organizmu. Jeśli dobrze pójdzie, wprowadzimy ją do produkcji seryjnej w przyszłym roku. Testy i badania kliniczne przechodzi bez problemów. Skutki uboczne całkowicie akceptowalne. Właściwie nie mamy żadnych specjalnie niepokojących reakcji. Oczywiście w tej postaci nie jest też szczególnie wyjątkowy. Jedynie suplement wzmacniający organizm, podnoszący jego odporność, zmniejszający ryzyko powikłań, łagodzący przebieg najpowszechniejszych chorób. Jednak już to jest dość nowatorskie.

– Może zastąpić skutecznie wszystkie szczepienia na grypę. – Molak przejął pałeczkę. – Po vialiksie grypa jest tylko lekkim dwudniowym osłabieniem z katarą i stanem podgorączkowym. Zero powikłań. Szczepienia nie mają takich osiągnięć. Jeden z testerów przechodził odkleszczowe zapalenie opon mózgowych. Niezauważalnie. Żadnych objawów. Mamy dowody na działanie vialixu także w przypadku anginy, boreliozy, a nawet zapalenia stawów i różnych infekcji wirusowych.

– A viagrę też zastąpi? – padło pytanie z sali, nawiązujące do tego, że w niektórych mediach pojawiło się to porównanie. Vialix miał być czymś na miarę viagry. Tyle że prawdopodobnie źle zinterpretowano porównanie.

– Niestety, na razie będzie pan wciąż skazany na viagrę – odparł Molak, wywołując salwę śmiechu.

Marek poklepał podopiecznego po plecach. Świetnie sobie radzisz.

– Ale – kontynuował młody naukowiec – rzeczywiście coś jest w tych porównaniach i może to odpowiedni moment, żeby od opisu stanu obecnego przejść do naszych oczekiwań. W tej chwili mamy otwartych około stu dwudziestu postępowań patentowych związanych z vialixem. Dlatego opóźnimy wprowadzenie preparatu w prostej postaci. Być może już wkrótce będziemy w stanie zaprezentować linie vialixu walczące niezwykle skutecznie z konkretnymi schorzeniami czy dolegliwościami, w tym z impotencją. Kto wie, może nawet uda nam się dzięki temu powiększyć pańskiego penisa.

Recht przeszedł przez salę.

– Tak, wiem, według pańskiej żony nie potrzebuje powiększenia.

Śmiech był nieco mniejszy.

– Niech pan jej nie wierzy.

Znów salwa.

– One zawsze chcą większych – dodał usprawiedliwiająco.

– Coś o tym wiem – odezwał się ktoś z drugiego końca sali.

– Przepraszam, proszę o wybaczenie. – Molak uklonił się nisko. – Żartuję sobie, ale przechodzimy do rzeczy podstawowej. Technologie zastosowane w vialixie dają nam naprawdę nieograniczone możliwości. Kluczowym atrybutem preparatu jest to, że zamiast aplikować nam chemię, stymuluje naturalne funkcje organizmu. Mówiąc w uproszczeniu, jakby wyławia ukryte moce tkwiące w nas wszystkich. Teoretycznie jego zastosowanie może spowodować, że wszyscy będziemy chodzić po rozpalonych węglach czy rozbijać pięściami cegłówki.

Szum.

– Odpowiednio skonfigurowany vialix może wpływać na odporność organizmu, funkcje seksualne, uspokajać lub dostarczać adrenaliny, może być wykorzystywany do uśmierzania bólu, stymulowania sportowców, wyciszania patologii... Jego możliwości są... nieograniczone.

Młody chyba za bardzo się rozkręcił, bo Marek przerwał prezentację, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– To oczywiście przyszłość, być może dość odległa.

Na sali zapanowała absolutna cisza. Marek Sawicki dobrze wiedział, co ona oznacza. Zrobił wrażenie. Osiągnął dokładnie to, czego oczekiwał.

– Być może jestem zbyt optymistą – zakończył grzecznościowym kłamstwem – ale sądzę, że komercjalizacja tego naukowego projektu będzie stanowić istotną cezurę dla koncernu Sawicki.

Lenz nie odbierał. Banda chyba nasłuchiwał kogoś innego, bo też nie dał się wywołać. Wanda kupiła dzieciom po lizaku i wsiadła do auta.

– Mieliliśmy iść na piwo! – zaprotestował jeden z brudasów.

– Następnym razem.

– Akurat. Następnego pewnie nie będzie.

– Jak urośniesz, będzie.

– Zapamiętam to sobie, paniusiu.

Paniusiu?

Trzy kilometry dalej Wanda zaczęła przeklinać gówniarzy. Silnik początkowo się krztusił, aż w końcu zapaliły się wszystkie czerwone i żółte lampki. Stała, wyłączyła go. Odczekała. Spróbowała ponownie. To samo.

– Do diabła.

Banda nie odbierał.

– No dalej, brandzłowniku – warknęła.

Lenz? Cisza. Także miał wyłączony telefon.

Stała tak w ciemności i zastanawiała się, co jeszcze może zrobić.

– Chuj wam wszystkim w dupę – warknęła. Wybrała numer Assistance i znów nic. – Wszystkich pogięło?

Zadzwoiła na 112.

– Dobry wieczór, jestem policjantką i zepsuł mi się samochód.

– Żartuje pani? To numer alarmowy.

– Inaczej bym nie dzwoniła.

– Naprawdę jest pani policjantką?

– Dla jaj.

– Proszę posłuchać. To numer dla ratowania życia, a nie dla zabawy. Może pani ponieść konsekwencje...

– Spierdalaj – przerwała i się rozłączyła. – Pieprzone gliny, jak was potrzeba, to was nie ma.

Hm, co mogę jeszcze wymyślić...

Stopa?

A może zamknąć się i przespać do rana? Rano Banda w końcu zadzwoni.

Dotąd przejechało koło niej kilka samochodów. Żaden nie przystanął. Ale właśnie jakies światła pojawiły się na horyzoncie i zwolniły.

Może to znak.

Pytanie: żeby skorzystać czy żeby trzymać się z daleka?

Samochód się zatrzymał. Kierowca uchylił szybę. Zobaczyła znajomą twarz. Już ją gdzieś widziała.

– Podwieźć panią? – zapytała znajoma twarz.

Wanda wiedziała, że powinna się trzymać z dala od innych, szczególnie znajomych twarzy. Ale, pomyślała, jestem przecież gliną. Uzbrojonym gliną. Uzbrojonym i niebezpiecznym.

To jej mają się bać, a nie ona ich. Jeśli jest jakaś szansa na samodzielne rozwiązanie sprawy, powinna z niej skorzystać.

– Pewnie – odparła. – Wezmę tylko swoje rzeczy.

Zanurkowała w jeepie, ukradkiem wyjęła broń, sprawdziła, czy jest sprawna, odbezpieczyła, wprowadziła nabój do komory i szepnęła do siebie:

– Jesteś supergliną. Poradzisz sobie.

Bankiet miał zostać zorganizowany ze znacznie większym rozmachem i przytupem, ale z powodu zabójstwa byłej pracownicy przypominał stypę. Zespół jazzmanów dostał chyba instrukcję, żeby wszystkich uspić, bo ciągle grał jakieś ciche, delikatne standardy. Goście podzielili się na kilkusobowe grupki i omawiali prezentację. Zimny stał z Lenzem. Obaj wodzili oczami za Sawickim, który – mimo że wyraźnie zasmucony – starał się zaszczycić każdego z przybyłych choćby paroma słowami. Taka rola.

– Więc wymyślił superlek na wszystko? – zapytał Lenz. – I jeszcze zapewnia, że to nie żaden doping ani narkotyk, tylko... wyciśnięcie z nas samych ukrytych mocy?

– Na to wygląda. – Kuba się uśmiechnął.

– Dlaczego mu nie wierzę?

– Bo jesteś typowym Polakiem. Myślisz, że rewolucję może zrobić tylko Amerykanin.

– Albo Francuz – poprawił Lenz.

– Polak nie jest od wynalazków, tylko od wykonywania poleceń.

– A jednak kilka rzeczy wynaleźliśmy.

– Więc może i to zadziała.

– Może.

Lenz się zamyślił.

– Za coś takiego ludzie zabijają.

Komisarz poczuł wibrowanie komórki. Wiadomość od Wandy. Jednak kiedy kliknął w pogrubiony link, telefon zaprotestował.

„Wiadomość nie może być pobrana”.

Spojrzał na zegarek. Było późno. To na pewno jakaś pomyłka.

Przypomniała sobie. Dziewczyna od Sawickiego. Co ona tu robi? Przypadek na pewno nie wchodzi w grę. Czy może mieć coś wspólnego z tymi zabójstwami? Może to jej poszukują? Może ta awaria samochodu wcale nie była przypadkowa? Może to ona jest...

Wanda cały czas trzymała broń w pogotowiu.

– Dokąd jedziemy?

– Już niedaleko.

Wjechały w gęsty las. Droga była dziurawa i stara. Wanda nie protestowała, bo przecież zgodziła się pojechać do Magdy.

– Mam tu domek letniskowy – wyjaśniła dziewczyna. – Rano odwiozę cię do Gdańska, dobrze, pani inspektor?

– Komisarz. Wanda.

– Wiem. Mam na imię Magda.

Wanda wciąż trzymała dłoń na glocku. Miała przeczucie, że dzieje się coś dziwnego, ale trochę się uspokoiła. Gdyby Magda chciała ją załatwić, już by to zrobiła. Przede wszystkim była ciekawa. Ale przecież morderca zawsze mógł mieć swój plan.

Chatka była niewielka, drewniana, typowo letniskowa.

– Przepraszam, nie ma luksusów. Rzadko z niej korzystam. Kupiłam okazjnie i w sumie zaraz potem żałowałam. Mimo to czasem tu przyjeżdżam, żeby... szukać duchów przeszłości.

– To tak jak ja.

Magda, zdziwiona, uniosła brwi.

– Też szukam duchów przeszłości.

Gdy weszły do środka i Wanda zobaczyła porozkładane na stole papiery, nagle wszystko zrozumiała.

Nie ma chemii – pomyślał Zimny. Nie zaproszę cię na drinka. Może gliniarz i dziennikarz jednak nie mogą się dogadać? Zimny słyszał o takich parach. Pismacy kumali się z agentami, policjantami, wojskowymi. Pili wódkę. Pisali teksty, które miały udowodniać podsuwane przez mundurowych tezy. Często mocno naciągane. Przyjaźń zawiązana przy kieliszku usypiała wyrzuty sumienia. Liczyły się profity. Dostęp do informacji, świeże newsy. A że przy okazji obrywali niewinni, którzy narazili się informatorom... Jak to mawiał jeden z jego znajomych: nie ma niewinnych, są tacy, na których jeszcze niczego nie znaleźliśmy.

Lenz wydawał się zamyślony, zagubiony, może czymś zdenerwowany. Ciągłe spoglądał na komórkę. Pewnie wszystkich tu nagrywał. Gdyby skończyli pijani w pokoju Zimnego, może taśma z libacji trafiłaby potem do jakiegoś brukowca. Może to jest droga do sławy. Dać się nagrać z jakimiś kompromitującymi tekstami.

– Idę spać – powiedział. – Na razie.

– Cześć.

Lenz patrzył za nim, jak znika na schodach prowadzących do części hotelowej budynku. Potem odszukał wzrokiem Sawickiego. Biznesmen rozmawiał po francusku z jakimś Murzynem. Lenz pomyślał, że Bóg specjalnie mu robi takie numery. Począł, aż przedsiębiorca skończy dyskusję, i szybko do niego podszedł.

– Co pan sądzi, panie komisarzu?
– Inspektorze.
– To wyższy stopień?
– Wyższy.
– Gratuluję awansu.
– Awansowałem dość dawno.
– Przepraszam, głupiec ze mnie.
– Nie, wcale nie. Konferencja była imponująca.
– Dziękuję. Myśli pan, że... to, co się dzieje, ma związek z vialixem, z naszą firmą?

– Nie wiem. Ale to rzeczywiście prawdopodobny scenariusz.
– Śledztwo w sprawie zabójstw może obniżyć cenę akcji, ale firma nie jest na sprzedaż.

– Mimo to tworzy pan różnego rodzaju sojusze, zabezpieczenia. Po to ta konferencja, prawda? Dlatego nie mógł pan sobie pozwolić na jej odwołanie nawet w obliczu śmierci. Ktoś mógłby pomyśleć, że celowo szuka pan pretekstu.

– Ma pan rację – przyznał Sawicki. – I nie ma jednocześnie. Ja sam nie tylko bym zrezygnował z pokazu. Gdyby to ode mnie zależało, nie zostałyby zaplanowane. Jednak ja, moje przekonania, religia, moralność nie mają znaczenia przy zobowiązaniach wobec ludzi, pracowników i inwestorów. Zawsze powtarzałem, że w korporacji nie może rządzić jeden człowiek. Nie może decydować jego osobiste podejście do poszczególnych spraw. Sam ustaliłem takie zasady i ich nie złamię. Zarząd w imieniu właścicieli, inwestorów i pracowników podjął decyzje. Ja jestem od ich realizacji. Sawicki, mimo nazwy, nie jest moją rodzinną firmą.

Lenz miał ochotę jakoś złośliwie to skomentować, ale dał sobie spokój.

– Nie chciał pan jeszcze ujawniać vialixu, prawda? – zapytał.

– Jest za wcześnie – przyznał biznesmen.

– Jednak pan to zrobił.

– Tak jak powiedziałem: zarząd podjął taką decyzję. Nie miałem wyjścia.

– Myśli pan, że teraz nikt już nie sprzeda akcji?

– Nie wiem.

– A jeśli to nie ma związku? Jeśli zabójca jest kimś... z przeszłości?

Sawicki nie odpowiedział od razu. Długo patrzył na komisarza, potem dziwnie pokiwał głową, jakby przyznał mu rację, jakby Lenz odkrył jakąś tajemnicę. A przecież żadnej nie odkrył. Jeszcze nie.

– Tym lepiej – szepnął biznesmen.

– Jemu chodzi o pana przeszłość. O to, co się stało dwadzieścia lat temu, prawda? O ten wypadek?

– Jesteś jej córką!

To nie było pytanie.

Podobieństwo wydawało się uderzające. Nie widziała wcześniej żadnego zdjęcia Anity, Anisy czy Aniki Kadad. Nie było go w domu Kadadów. Nie miał go człowiek z akademika.

Kiedy teraz patrzyła na zdjęcie i na Magdę, nie miała wątpliwości.

Te same rysy, ta sama powalająca uroda, oczy patrzące z tym samym tajemniczym powabem.

Matka i córka.

Każdy, kto znał Anikę, rozpoznał w Magdzie jej córkę. Sawicki także, a może przede wszystkim on. Niemożliwe, by uznał to podobieństwo za przypadkowe.

Umysł Wandy już tworzył scenariusze.

Córka mści się za śmierć ojca i matki. Wkrada się w łaski osoby odpowiedzialnej za te tragedie, próbuje wplątać ją w niejasne zbrodnie, może ostatecznym celem jest doprowadzenie do jej upadku czy śmierci. Pasuje? Być może, ale gdyby Sawicki był rzeczywiście winien śmierci ojca i matki, nigdy nie dopuściłby ich córki tak blisko. Albo od razu zareagowałby na zdarzenia. Magda byłaby pierwszą podejrzaną. Chyba że jest niewinny i nazbyt ufny.

Nie, nie bardzo to pasuje.

Zatem Sawicki zaopiekował się dzieckiem przyjaciela. Lub wroga. Trzymaj wrogów blisko. Jeśli tak, trzyma ją bardzo blisko, bo przecież Magda jest uznawana za bliskiego doradcę prezesa, lewą rękę, zaraz po Mastalerzu.

Inna opcja: córka byłego współnika upomina się o swoje. Sawicki nie uważa, że jest cokolwiek winien, nie odpowiada na szantaże, każe jej się gonić, więc ona go szantażuje, próbuje wplątać w zabójstwa.

Może by pasowało, gdyby nie fakt, że ją zatrudnił. Po co miałby to robić? Więc to odpada, przynajmniej w tej konfiguracji.

Czy mógł jej nie rozpoznać? Ona tworzy intrygę, dążąc do odzyskania straconego majątku, ale się nie ujawnia.

Mocno naciągane.

Nieprawdopodobne.

Laska zatem raczej nie jest morderczynią. Chce tylko wyjaśnić śmierć ojca i matki, rolę Sawickiego. W takim przypadku są sojusznikami, przy założeniu, że Sawicki też nie jest winny.

Sto innych możliwych konfiguracji.

A może oboje... są winni. Może to Sawicki zabija z jej pomocą? Wychował sobie współnika. Wmówił jej coś. Co takiego? Na przykład że ci zabici są winni śmierci jej rodziców. Diabełek tkwiący w głowie Wandy nagle się uaktywnił i zaczął snuć całkiem prawdopodobny scenariusz.

Jakaś grupa drani zabija najpierw jej mamę, a potem doprowadza do

wypadku samochodu, którym jechał ojciec i jego dwaj przyjaciele. Sawicki się nie mści, bo jest w tamtej chwili za słaby. Akceptuje stratę jak każdy biznesmen, który uznaje, że nie ma co pogłębiać wtopy i trzeba skupić się na sprawach zyskowych. Dyskretnie opiekuje się córką przyjaciela, po latach bierze ją pod skrzydła, w końcu, gdy dorasta, opowiada o zbrodni, namawia do zemsty. Może ją wykorzystuje, może traktuje jako współnika. W każdym razie dzięki niej jest w stanie doprowadzić do wyrównania rachunków.

Słabe punkty tej hipotezy? Pewnie wiele. Główny: po co miałyby rzucać na siebie podejrzenia, naświetlać te powiązania? Ale to właśnie jest jakieś alibi. Jaki sąd uwierzy w tak piętrowe budowanie intrygi?

Lenz będzie miał co weryfikować – pomyślała, zerkając na telefon. Szef cały czas nie odbierał jej prób połączeń i nie odpowiadał na SMS-y. Miała potwierdzenie, że je otrzymał, a jednak nie odpowiadał.

Niepodobne do niego.

Coś było nie tak.

Znów zerknęła na stół, na którym leżała masa papierów, posegregowanych, poukładanych na różnych kupkach. Wycinki z gazet. Zdjęcia. Większość z Sawickim. Zdjęcia z akademika, które ona też widziała. Czterech chłopców z ambicjami. Młodych, pełnych wiary w przyszłość. Skromnych. Stłumionych. Nie wiedzieli, że świat da im taką szansę. Czterech, którym miało się udać. Ale tylko jeden z nich doczekał prawdziwego sukcesu. Pozostałym los odebrał szansę. Po to, żeby tamtemu się udało?

– Robisz własne śledztwo, prawda?

Magda na chwilę przybrała tak demoniczne oblicze, że ciało Wandy przeszył dreszcz niepokoju. Jakby ta wydumana, ostatnio wymyślona hipoteza wcale nie była taka nieprawdopodobna.

Ta piękna, pozornie niewinna dziewczynka potrafiła być nieustępliwą, twardą suką. Mogła być zabójczynią.

Niby wszystko miało zostać w rodzinie, a jednak sami się dowiedzieli. Po weekendzie kurs akcji Sawickiego gwałtownie wzrósł. Zaczęło się spokojnie, największe fundusze starały się nie wywoływać lawiny, jednak składane przez nie duże zlecenia zakupu musiały w końcu wzbudzić zainteresowanie reszty rynku. Większość maklerów i inwestorów nie wiedziała, o co chodzi. Działali jak przekupki z czasów komuny, które widząc kolejkę przed sklepem, stawały w niej na zasadzie „to ja też postoję, kupię, co dadzą”. Analitycy i doradcy oczekiwali rychłego potwierdzenia przejęcia albo jakiejś spektakularnej transakcji czy szybkiej korekty. Przy dwudziestoprocentowym wzroście zawieszono notowania. Giełda i Komisja Nadzoru Finansowego zażądały wyjaśnień.

Sawicki mógł świętować. Nikt nie pisał o morderstwach, choć wszyscy spekulowali na temat powodów tak znacznego wzrostu notowań jednej z większych spółek.

Mastalerz przyszedł do Zimnego przed piętnastą. Położył na stole kopertę i się uśmiechnął.

– Co to? – zapytał Zimny.

– Mała premia.

Zimny zajrzał do koperty. Był w niej karta z logowaniem do konta maklerskiego.

– Założyliśmy panu konto w zaprzyjaźnionym domu inwestycyjnym. Ma pan na nim trochę akcji Sawickiego. Dadzą panu spory zysk. – Mastalerz otworzył notowania na komputerze Zimnego. – W tej chwili mają wartość miliona złotych. Za miesiąc będzie to dwa razy więcej, a za rok może i dziesięć razy. Jeśli będzie pan cierpliwy. Oczywiście w każdej chwili może pan sprzedać akcje na rynku lub dać mi znać, odkupimy je w pakietówce.

Kuba poczuł, że cały się spocił.

– Nie było mowy o akcjach. Poza tym... to insider trading.

– Proszę nie być takim świętym.

– Można za to nieźle beknąć.

– Mamy dobrych prawników. Nic panu nie grozi.

– Nie chcę tych akcji. – Oddał kopertę.

Mastalerz wzruszył ramionami.

– Jak pan woli. Tak czy inaczej na pańskim koncie już znalazła się cała umówiona kwota.

– Czy to znaczy, że mnie zwalnacie?

– To znaczy, że wykonał pan swoją pracę.

– A jeśli ataki powrócą? Co z Brunem?

– Giacomo poradzi sobie z kampanią bez książki. A ataki? Z naszych informacji wynika, że nikt nie sprzeda akcji Otto czy innym chętnym. Wszyscy inwestorzy deklarują chęć uczestniczenia w każdym podwyższeniu kapitału. Prawdę mówiąc, przygotowujemy wkrótce nową emisję akcji, z której wpływy przeznaczymy w całości na realizację projektu „Vialix”. Zyskaliśmy... dużo czasu.

– Zyskaliście?

– Tak, co najmniej rok, może dwa. Dobrze się pan sprawił, Kuba.

– Ale...

– Proszę do końca dnia spokojnie się spakować, kartę wejściową zwróci pan na recepcji. A zresztą może pan ją zachować na pamiątkę. Jutro i tak przestanie działać. Bardzo miło było pana poznać. Duży zaszczyt. A... byłbym zapomniał. Marek serdecznie pana pozdrawia. Nie mógł przyjść osobiście, bo przygotowujemy już plany road show. Ale postaram się zorganizować jakąś kolację, żebyście mogli sobie jeszcze porozmawiać, pożegnać się. Naprawdę bardzo dziękuję, panie Kubo.

Mastalerz wyszedł, zostawiając Kubę całkowicie oniemiałego. A to dranie! Wykorzystali go i porzucają. A Magda? Ona też jest w to umoczona? Czyżby udawała? Dała mu dupy na polecenie szefa? To był tylko seks? Praca? Ani krzty miłości?

Nie, to niemożliwe.

Chwycił za telefon.

Lenz zarządził w poniedziałek duże zebranie wydziału i burzę mózgów. Informacje, które przekazała mu Wanda, już w weekend mogły spowodować prawdziwy przełom w śledztwie. Innego zdania był Banda, który nie zdążył jeszcze zweryfikować danych ze starych dochodzeń.

– Masz cały weekend, Banda.

– Dobrze powiedziałeś, szefie. WEEKEND!

– Zdążysz.

– W weekend odpoczywam, kocham się z dziewczynami, piję.

– W międzyczasie poszperasz w aktach.

– Szefie, u mnie nie ma czegoś takiego jak międzyczas.

– Do zobaczenia w poniedziałek rano.

– Szefie...

– Bądź punktualnie. – Lenz pospiesznie przerwał połączenie, żeby uniknąć steku zupełnie nieregulaminowych wyzwisk, jakimi uraczył go zapewne Banda.

Musiał jednak coś znaleźć, skoro na służbowe zebranie stawiał się spóźniony. Banda uwielbiał takie pokazy niesubordynacji. Pewnie zaraz mnie zaatakujesz, ale jak zobaczysz, jaki jestem świetny, zmienisz zdanie.

Lenz ostentacyjnie spojrzął na zegarek.

– No co? – warknął Banda. – Banda kiblował wczoraj do drugiej w nocy z temi przeklętymi aktami. Jezdem zjebany jak dzownica po tetowaniu

z wengorzem.

- Mówi się dżdżownica – poprawił go ze śmiechem jeden ze śledczych.
- Nie wiem, jak się u ciebie mówi, platfusie, ale ja mówię dżownica.
- Siadaj – powiedział Lenz i pomyślał: będziesz się wyrywał, a ja i tak zapytam cię na końcu. – Zacznijmy od Wandy.
- Ale... – zaprotestował Banda, krzywiąc się.
- Wanda – nieznoszącym sprzeciwu głosem powtórzył Lenz. Też był bardziej ciekaw opowieści Bandy, lecz z doświadczenia wiedział, że chłopak znacznie lepiej referuje, gdy jest trochę podrażniony, a dodatkowo ma czas ułożyć sobie w myślach, co chce powiedzieć.

Wanda wstała, rozłożyła notatki i zaczęła od obiadu z byłym kolegą Sawickiego ze studiów. Opowiedziała o przyjaźni Sawickiego ze współnikami, początkach spółki i skandalu obyczajowym, jaki wywołali, sypiając we czterech po kolei z Aniką.

– To nawet na współczesne standardy jest dość szokujące – zakończyła Wanda.

– Co ty tam wiesz, mała – mruknął Banda. – Gdyby tak zadziałali we czterech naraz w słoneczko, to może i byłoby szokujonco, ale tak poniżej gimnazjum, a jeden po drugim i to nie tej samej nocy...

- Banda! – upomniał go Lenz. – Dostaniesz swoją szansę.
- Jak nie będzie za późno... – mruknął Banda pod nosem i niemal przykleił się do laptopa.
- Kontynuuj.

Zrelacjonowanie rozmów z matką Artura Czerniewicza i z rodzicami Aniki zajęło jej mniej niż pięć minut. Na wzmiankę o WSI i odwiedzinach dziwnych smutnych panów, którzy przestrzegli świadków przed zbyt nagłaśnianiem sprawy i rozgrzebywaniem ran, przez salę przeszedł szmer. Lenz nie pozwolił na dyskusję, dając zebranim znać, by pozwolili Wandzie skończyć.

– W chwili samobójstwa lub zabójstwa Anika była w ciąży. Uratowanie dziecka to prawdziwy cud. Na dodatek dziewczynka była zdrowa i wybitnie inteligentna. Dziadkowie szczęśliwie nie dostali jej w swoje łapy. Po śmierci ojca, Artura Czerniewicza, tylko na chwilę znalazła się w domu dziecka. Szybko przeprowadzono procedury adopcyjne i mała trafiła do rodziny zastępczej. Dobrej rodziny zastępczej – podkreśliła Wanda. – Prawdopodobnie przez dłuższy czas Sawicki w tajemnicy pomagał im finansowo. Potem dziewczynka została objęta programem stypendialnym specjalnego funduszu, który także sponsorował Sawicki. Nie dopatrywałabym się w tym jednak kumoterstwa, gdyż była naprawdę utalentowana i bardzo zdolna. Zasługiwała na stypendium i specjalne programy nauki. Studia skończyła przed dwudziestką. Same piątki. Wysokie miejsca na olimpiadach, udział w różnych kołach naukowych. Zrezygnowała z doktoratu, gdyż

Sawicki namówił ją na pracę w firmie. Nic wówczas nie wiedziała o swojej przeszłości. Myślała, że rodzice zginęli w wypadku. Marek Sawicki też jej nie uświadomił. Jako Magdalena Buchner przeszła w firmie wszystkie szczeble kariery, by zostać doradczynią zarządu odpowiedzialną za nadzór nad badaniami i rozwojem oraz relacjami inwestorskimi. W dniu, w którym Sawicki zaproponował jej miejsce w biurze zarządu, myślała, że chce z niej zrobić kochankę. Była nieufna i skryta. Wiedziała, że w jej życiu jest wiele tajemnic, których nie poznała. Instynktownie czuła też, że jej przeszłość jest związana z Markiem Sawickim. Pewnie dlatego biznesmen zdecydował się w końcu powiedzieć jej prawdę. Swoją prawdę. Znacząco różniącą się od tej, którą usłyszeliście...

Kuba czuł na sobie ich wzrok. Chodzili za nim. Dwaj ochroniarze, niemal bliźniacy tych, których widywał przy Sawickim. Krótkie szyje, szerokie plecy, wystrzyżeni jak żołnierze. Dzięki wyrobionym mięśniom ciężkie ciała poruszały się zaskakująco sprawnie, sprężysto i szybko. Tylko patrzyli mu na ręce. Dyskretnie, bez gróźb. A jednak czuł, że gdyby tylko spróbował coś zamieszać, zostałyby z firmy wyniesiony. Jeden założyłby mu prostego nelsona, drugi chwycił ciasno za łokieć i przegub.

Nie potrzebował kłopotów. Chciał przede wszystkim zobaczyć się z Magdą.

Ale Magdy nigdzie nie było. Według asystentki nie dojechała z Wicka, więc może została w centrali zakładu.

– Przecież miała przyjechać – bąknął do siebie, a w duchu przeklął, że postanowił przez weekend do niej nie dzwonić. Tak żeby samemu sprawdzić, czy da radę. Żeby się nie uzależnić. Przecież ich związek nie miał sensu. On był za stary dla Magdy. Ona chyba też to rozumiała. I nie dzwoniła.

Teraz jednak się zaniepokoił.

A jeśli dopadł ją drań zabójca?

No dobra, jeśli nie odbierze, dzwonię do tego gliny.

Odebrała. Za trzecim razem.

Nie miała jednak czasu z nim rozmawiać.

– Nie teraz, Kuba. Zadzwoń.

Cisza. Bip. Jeden, drugi, trzeci.

Kuba spojrzął na telefon, a potem zebrał swoje rzeczy i poszedł do diabła.

– Przypomnę: w akademiku poszła fama, że Anika jest puszczalską, która przepała się z każdym chłopakiem z pokoju dwieście trzysta. Pierwszy był Artur, potem po kolei Benek, Siemka i Marek. Nieczęsto zdarzają się takie przypadki, więc Anika miała superreklamę, podobnie jak rzekomo zakochany w niej Artur. Musiał się odkochać w trybie błyskawicznym. Rzucił dziewczynę, Anika zniknęła z życia chłopaków i z akademika. Mimo to Artur kontynuował znajomość, tyle że po kryjomu. Ona zaszła w ciążę. A potem ktoś ją zabił. Matka

Artura twierdzi, że zabójcą jest Sawicki. W zasadzie ten sam wniosek można wysnuć z zeznań rodziców Aniki. Artur ginie w wypadku, co oczywiście też można przypisać pozostałemu przy życiu przyjacielowi. Jednak obie rodziny ostatecznie odpuszczają sprawę z powodu gróźb jakichś tajemniczych osobników.

– WSI – przypomniał Lenz, co zabrzmiało jak: „Jeśli chcesz wprowadzić kogoś w błąd, zamieszać i poplątać, wpuść do sprawy WSI”. – Pamiętajmy, że to może być bzdura, jednak należy ją odnotować.

– Nie żądają ścigania sprawcy, nie chodzą po ministerstwach i komendantach. Odpuszczają. Mija dwadzieścia lat... Jak było naprawdę, co się wydarzyło, nikt nie wie.

– Przejdź do nowej wersji – ponaglił Lenz.

Wanda wiedziała dlaczego. Jakoś zawsze tak reagował na historie, w których pojawiały się różne plotki, pomówienia i czarni. Gdy spotykał na ulicy Murzyna, przechodził na drugą stronę. Jak to się mówi? Rasowy rasista? Tyle że ukryty, bo Lenz nigdy, nawet po wódce i w prywatnych rozmowach, nie pozwolił sobie na jakiegokolwiek komentarze na ten temat. Nawet żartem, może więc Wanda myliła się w swojej ocenie. Westchnęła.

– Magda Buchner, dla przypomnienia powtórzę: córka Artura Czerniewicza i Aniki Kadad, twierdzi, że Sawicki opowiedział jej zupełnie inną wersję. Anika, owszem, przysłała do akademika przyprowadzona przez Artura, ale nie spała ani z nim, ani z nikim innym. Byli zwykłymi przyjaciółmi. Aż do czasu, gdy zakochała się... w Marku Sawickim i to jego sobie wybrała. Magdzie nie udało się wyciągnąć z niego szczegółów. Unikał odpowiedzi na pytania, czy uprawiał seks z jej matką. Jest bardzo religijny i krępują go takie rozmowy. W tamtym czasie był zaręczony z obecną żoną. To w zasadzie uniemożliwiło jakikolwiek związki z Aniką.

– Znam kilku takich, co pierwsi biegną do kościoła, za to z burdelu wychodzą ostatni – rzucił ktoś z sali, wywołując powszechny śmiech.

– Racja – przyznała Wanda. – Zakładam, że pomiędzy Aniką i Markiem co najmniej iskrzyło. Być może dlatego, według relacji Magdy, Artur postanowił go „uratować” i namówił kolegów na małą prowokację. Po wyjeździe Marka na weekend do Wicka zaczął rozpowiadać w akademiku, że wszyscy z pokoju mieli Anikę dzień po dniu. Cała ta historia, później powielana i zniekształcana, była jedną wielką bzdurą, jednak Marek uwierzył. Dał się przekonać, że nie warto rujnować uporządkowanej przyszłości na rzecz niepewnego romansu z jakąś brudną Syryjką. Artur zaś po cichu romansował z Aniką.

– Więc mamy klasyczny trójkąt? – rzucił Banda, nie odrywając wzroku od komputera.

Lenz kątem oka zobaczył, że gra w Pac-Mana. A więc miał już wszystko gotowe.

– Pytanie tylko, który zabił. Artur czy Marek? – dopowiedział ktoś z sali.

– Czy też sama rzuciła się z tego okna – poddał Lenz. – Mimo teorii o zabójstwie musimy pamiętać, że śmierć Aniki została zakwalifikowana jako samobójstwo. Właśnie – przypomniał sobie – wspominałaś mi przez telefon, że rodzice Aniki zeznawali w komisariacie i gliniarz mówił o jakichś teoriach.

– Nie ma ich w aktach – wtrącił Banda, odrywając się od Pac-Mana. – W protokole przesłuchania Gaziego i Renaty Kadadów żadnych podejrzeń. Nie ma tych informacji, o których mówimy. Szybko uznano, że to samobójstwo lub wypadek. Wpisano w protokołach wypadek, pewnie żeby było mniej kłopotów. Raport z sekcji to cienizna. Żadnych dodatkowych badań poza prostą toksykologią. Baba wypadła z okna. Trzecie piętro. Trochę złamań, wstrząs mózgu, pęknięcie czaszki, krwiak, śpiączka, śmierć. Śmierć i nowe życie, bo córeczkę uratowano.

– Kto spisywał zeznanie?

Banda się uśmiechnął.

– Nie ma nazwiska.

– Jak to?

– Zamazało się. Kawa wylana czy coś...

– Minęło dwadzieścia lat. Możemy założyć, że to było zabójstwo, ale znalezienie dowodów byłoby cudem.

– Może by ekshumować ciało – nieśmiało zasugerował Karateka.

Na sali zaszumiało. No tak, mamy za mało roboty i ciał, więc jeszcze zajmijmy się zwłokami sprzed dwudziestu lat.

– Za słabe podstawy. Jeśli będą nowe dowody, może wznowimy śledztwo, na razie jednak chyba nie ma to sensu. Prawda, Banda?

– Kurwa, szefie. – Banda wrócił już do Pac-Mana i pewnie przez to nagłe wywołanie stracił jedno życie. Zapauzował, mrużąc pod nosem coś o rekordzie stu osiemdziesięciu punktów. Głośno zaś powiedział: – Ekshumacja nic by nam nie dała.

– Sawicki oczywiście utrzymuje, że nie ma nic wspólnego ze śmiercią Aniki – podjęła Wanda.

– Dla porządku: tak twierdzi Magda – przypomniał wszystkim Lenz. – Sawickiego jeszcze nie przesłuchaliśmy.

Wanda powróciła myślami do maleńkiego domku Magdy pod Lęborkiem. Dziewczyna nie przyznała się, że doprowadziła do awarii samochodu, aby się z nią spotkać, ale potwierdziła, że za pośrednictwem wynajętego detektywa dyskretnie obserwowała dziadków. Płacił za to Sawicki, bo rzekomo było ryzyko, że Kadadowie mogą stać się ofiarami zabójcy. Niewielkie, ale jednak.

– Według Magdy jej szef w ogóle był zaskoczony, kiedy się dowiedział, że Artur utrzymywał kontakty z Aniką. Nazwę firmy wymyślili dla jaj. Laska, którą wszyscy mieli. Sawicki miał protestować. Dla niego był to niesmaczny żart. Ale ostatecznie go przegłosowali. Wymógł tylko na przyjaciółach, żeby nie poruszali

tej kwestii w obecności jego żony.

– Żona się nie domyśla? Nic nie wie? – dopytywał się Lenz, jakby chciał poddać pod rozagę nową hipotezę.

– Należałoby to, rzecz jasna, zweryfikować, ale... podobno jest taką typową żoną, która woli nie słyszeć o ewentualnych wyczynach męża poza domem. Ona jest panią na włościach. Tam rządzi. Sadzi kwiaty, robi weki, dba o obiady i zawsze pachnąca siada w pierwszej ławce w kościele. Dopóki mąż nie przynosi do domu swoich zdrad, kochanek, pracy, nie ma problemu. Byle tylko o niczym nie wiedziała.

– Inna sprawa, że może rzeczywiście nie ma się o czym dowiadywać. Marek Sawicki uchodzi za świętego.

– Oczywiście.

– Tak by się to wszystko skończyło, gdyby nie śmierć Aniki, pojawienie się Magdy, a potem wypadek współników. – Lenz podrapał się po brodzie.

– Sawicki zatem uznaje – Wanda wróciła do przerwanej wątku – że nie może prowadzić firmy pod tą nazwą, i postanawia ją zmienić. Jednocześnie dba o Magdę, zachowując pozory, że po prostu wspiera genialne dziecko, korzystając z pomocy wyspecjalizowanej fundacji. Sprawdziłam, tu nie ma ściemy. Fundacja rzeczywiście wyszukuje różne talenty w całej Polsce, zapewnia im stypendia i dba o rozwój tych wyjątkowych umysłów.

– A nie ma wątpliwości, że Magda Buchner rzeczywiście jest utalentowana – podkreślił Lenz.

– Nie zawsze miała świadectwa z paskiem, ale w pewnych dziedzinach przewyższała inne dzieciaki o lata świetlne. – Wanda miała taki wyraz twarzy, jakby trochę jej zazdrościła.

Ktoś z sali:

– Nie dość, że ładna, to jeszcze mądra.

Inny:

– Ja tam wolę tylko ładne.

– Kup se gumową lalkę – trzeci głos i wybuch śmiechu.

– Starczy! – rzucił Lenz.

Wanda chrząknęła. Pieprzeni seksiści.

– Sawicki zatem uważa, że ma dług wobec Artura i musi chronić Magdę. Opiekuje się nią, potem zatrudnia ją w firmie, dopuszcza do największych tajemnic. Traktuje niemal jak córkę.

– Ma własne dzieci? – Lenz zapisał coś w notesie.

Kolejna hipoteza: Magda teoretycznie może dochodzić swoich praw do akcji spółki. Jej roszczenia mogą być warte setki milionów. Za setki milionów można zabić.

– Córkę i chłopaka – odparła Wanda. – Dzieci Sawickiego nie interesują się

biznesem. Oboje są już dorośli. Ona mieszka w Nowym Jorku, jest znaną fotograficzką. Chłopak projektuje gry wideo w studiu w Los Angeles. Nie ma tu żadnych jazd i sporów.

– Okej. – Lenz coś skreślił w notatniku.

– Sawicki zresztą – dodała Wanda – chciał założyć Magdzie fundusz powierniczy i dać jej pakiet akcji. Nie zgodziła się.

– Dlaczego?

– Uważa, że nic nie jest jej winien. Uczciwie odkupił od spadkobierców akcje, zapłacił normalną cenę, nawet przewyższającą ich ówczesną wartość. Alternatywnie proponował rodzinom ofiar wypadku udział w podwyższeniu kapitału.

– Nikt nie chciał – mruknął Lenz i zapisał: „do weryfikacji”.

Wahał się jeszcze nad skorzystaniem z pomocy prawnej i przesłuchaniem dzieci Sawickiego w Stanach. Później podejmie decyzję.

– Jedno mi mocno nie gra – zauważył.

– Co takiego? – Wanda uniosła brwi. Jej wszystko w zasadzie grało. Co nie znaczy, że znalazła odpowiedź na najważniejsze pytanie.

– Dlaczego matka Czerniewicza wzięła kasę od mordercy jej syna?

– Twierdzi, że się bała – wyjaśniła Wanda. – Wystraszył ją ten...

– Chłopak z WSI – pomógł Lenz. – Opisała ci go?

– Minęło dwadzieścia lat, szefie – westchnęła Wanda. – Jak chcesz, możesz sobie zapisać: szczupły, wyprężony jak struna, szary garnitur, ciemne okulary.

– Czarna teczka – rzucił ktoś.

Wybuch śmiechu.

– W niej giwera.

– Żadnych znaków szczególnych – zakończyła Wanda. – Pamiętała tylko, że był straszny i wzbudzał odrazę. Jak z opowieści o Krainie Deszczowców.

– Dobra. – Lenz przerzucił kartkę w notesie. – To wszystko?

– W zasadzie tak. Może tylko... Sądzę, że ona nie kłamie.

– Kto?

– Magda. Ona chce znaleźć winnych śmierci rodziców i gdyby nie ufała Sawickiemu, nie byłaby tak blisko niego.

– Albo właśnie by była. Trzymaj wrogów blisko...

Wanda usiadła. Skończyła.

– Mamy więc taką historię – podsumował Lenz. – Czy ma jakiś sens i jest kluczem do rozwiązania naszych zagadek i złapania seriala? Nie wiem, ale trzeba to wszystko wziąć pod uwagę. Jakieś wnioski?

Smok chrząknął.

– Zamykamy Sawickiego?

– Nie. – Lenz pokręcił głową. – Na razie nie.

– Zrobił się nam mały chaos – zauważył Smok. – Jednak też uważam, że trzeba działać ostrożnie. Nawet zakładając, że Sawicki miał jakiś udział w śmierci tej dziewczyny, a potem Czerniewicza i pozostałych przyjaciół, po co miałyby po dwudziestu latach znów zabijać? To zwyczajnie... głupia teoria.

– Zakładamy, że jest mało prawdopodobna – przyznał Lenz. – Jednak pominąć jej nie możemy. Ktoś jeszcze?

– Te cholerne WSI?

Lenz tylko się skrzywił.

– Na razie są tylko wątki sprzed lat. Jeśli teraz pojawi się jakiś były pułkownik, weźmiemy go w obroty.

– Albo on nas – mruknął Smok.

– Co z wątkami ekonomicznymi? Może to jednak atak spekulacyjny na spółkę? WSI czy inni lobbyści mogą działać na zlecenie jakiejś korporacji.

– Mogą – przyznał Lenz.

– W takim razie trzeba by wziąć pod uwagę rolę mediów, szczególnie tego Maxa. Czemu jego nie przyciśniemy?

Lenz westchnął. Nie mógł w tym gronie powiedzieć tego, co wie.

– Nie możemy.

– Dlaczego?

– Max jest poza podejrzeniem – skłamał Lenz. – Koniec tematu.

– A Ruscy? To do nich podobne – rzucił Karateka.

– Co ty wiesz o Ruskich? – odburknęła za Lenza Wanda. – Myślisz, że Amerykanie są inni?

Banda głośno przeklął, zwracając na siebie uwagę. Chyba stracił trzecie życie. Wanda zerknęła mu przez ramię i widząc wynik, pokręciła z podziwem głową. Trzysta punktów w Pac-Manie to był wyczyn.

– Co tam, Banda? Masz coś dla nas? Możesz się pochwalić...

– Szef jakoś był mało zainteresowany, a tu już pora obiadowa, wszyscy głodni. Może więc najpierw zjemy?

– Zjemy później.

– Później to już nie zjemy.

– A to dlaczego?

– Bo będziemy zapierdalać.

Lenza zmroziło. Banda chyba rzeczywiście miał coś poważnego.

Kretyn ze mnie.

Zimny usiadł w ogrodzie na Czeskiej i patrzył na zniszczone drzewa. Przypominały mu obrazek jak z jakiejś baśni. Tajemniczy ogród, cholera jasna. Wciąż na nowo słyszał to wyszeptane przez Magdę zdanie: „Kuba, nie mam teraz czasu. Zadzwoń”. Zadzwoń albo i nie zadzwonię, tak jak i ty. Przecież mogłeś wcześniej się zgłosić. Dlaczego cały weekend się nie odzywałeś? Rozbierał teraz to

zdanie na czynniki pierwsze i ciągle nie rozumiał, co tak naprawdę się stało. Może ktoś podłożył mu świnie? Może naopowiadał głupot o nim Magdzie i Sawickiemu? Ile już razy próbowano tak z nim pogrywać? Ale przecież Marek i Magda znali takie numery, nie daliby się nabrać. Chyba że dowody byłyby bezsporne. Nagrania, jeszcze lepiej filmy. Mogliby mieć coś takiego?

– A chuj z tym, Zimny – szepnął. – Zarobiłeś worek hajsu.

Możesz się bujnąć na nurkowanie do Meksyku. Albo na Zanzi. Egipt, Norwegia, Lazurowe. Co tylko chcesz. Wraki i pokraki.

Życie.

Korzystaj.

Możesz bimbać sobie z pięć lat, a przy oszczędnym życiu dziesięć.

Kup skrzynkę jacka daniels'a, trzy wiadra lodu i nie ruszaj się z wyra przez miesiąc. A jak ta suka Magda się odezwie, powiedz jej, żeby się gonila.

Ona jest z nimi.

Zmówiła się, zrobiła cię na szaro. Teraz pewnie się chichra, jaki jesteś głupi. No bo skoro uwierzyłeś, że młoda ślicznotka może się zakochać w pokręconym, stęskającym świrze w wieku pochrystusowym...

Po chuj się znów ładować w kłopoty?

Westchnął i zadzwonił do Grubego.

– Co tam, Zdzichu?

– Już...

– Tak, wiem, mam do ciebie tak nie mówić.

– Właśnie.

– No to co tam... Zdzichu?

– Możesz mi pomóc coś ustalić, łajzo?

– Jak nie ściągnę przez to na siebie całej ABW...

– Tego nie wiem,

– Dawaj. Spróbujemy.

– Gadaj, Banda, co masz! – warknął Lenz.

– No więc tak, kochaneczki. Sprawdziłem ten wypadek, przekopałem się przez całe akta i wyszło mi, że tam jest sporo dziur.

– Podobnie jak w przypadku samobójstwa Aniki – przypomniała Wanda.

– Tak jest – potwierdził. – Świadkowie mają pomyłone dane. Lekarze sądowi zostają milionerami. Generalnie nic się nie zgadza. Ale weź szukaj po dwudziestu latach. Jednak wiecie, jak jest. Skoro to taki kwas, to możemy założyć, że jakieś służby chciały tu zamieszać. Niech będzie. Nawet założmy, że to służby zamordowały tych trzech w aucie... jak im tam? Czerniewicza, Kraciuka i Wisłockiego. Zajebali ich i teraz, po dwudziestu latach, możemy im naskoczyć. Może to i lepiej, bo jeszcze byśmy się wdali w jakąś cholerną wojnę z kolegami z sąsiedztwa, a jak wszyscy znacie Lenza, toby nie odpuścił.

Śmiech.

– Sprawa więc do zamknięcia, jednak geniusz Banda postanowił przeczytać wszystko od deski do deski. Dużo roboty, satysfakcji niewiele, bo ktoś to dobrze poczyścił. No, ale trud jednak się opłacił.

– Do rzeczy, Banda.

– Tak, tak. Już przechodzę. No więc pod koniec akt wspomniany geniusz trafił na jeden pozornie nieznaczący szczegół. Świadkiem wypadku był urzędnik Ministerstwa Finansów. Gościu od jakichś akcyzowych spraw. Zeznał, że nasi klienci zjechali na lewo i przypierdolili czołowo. Dobre, wiarygodne zeznanie, nie?

– Co z nim nie tak?

– Nic. Może tylko to, że gościu bardzo szczegółowo opisuje, jakby mu podyktowano. I może to, że ten sam gościu, wyszukany w bazie, pojawia się jako świadek w jeszcze jednej sprawie. Nie zgadniecie jakiej!

– Jest słupem, nie istnieje?

– Przeciwnie, rzeczywiście jest urzędasem. To podnosi jego wiarygodność.

– No mów w końcu, jaka to sprawa.

– Akcyzowa. Zeznaje w sprawie transakcji paliwowej. I wiecie co: transakcji dokonywała spółka Sawicki. Niezły przypadek, nie? Spółka Sawicki, choć zajmuje się farmacją, kupuje jakieś paliwa w Rosji, współwłaściciele giną w wypadku, a świadkiem w obu sprawach jest ten sam urzędnik Ministerstwa Finansów. Niezła zbieżność, przyznacie.

– Uff! – Lenz z uznaniem pokiwał głową. Banda naprawdę jest dobrym researcherem. Zaraz potem pomyślał, że coś mu nie gra. Ale nie potrafił powiedzieć co. Coś innego zaczęło mu świtać.

– Więc mamy nową hipotezę.

– To jeszcze nie wszystko.

– Tak?

– Ten sam urzędas został kilka lat później wymieniony w aktach śledztwa dotyczącego mafii pruszkowskiej. Rzekomo w latach dziewięćdziesiątych miał załatwiać w ministerstwie różne rzeczy dla mafiosów: terminy, ustawki przetargów, różne takie. To z zeznań koronnego, może pomówienie, ale odnotowane. No i w końcu rzecz najważniejsza.

Banda zamilkł, patrzył i chyba czekał na brawa.

Złe budowanie napięcia – pomyślał Lenz. Nie doprowadziłeś do kumulacji i teraz nie mamy szans zareagować zgodnie z twoimi oczekiwaniami.

– Banda, przestań pierdolić i mów, o co chodzi.

– Tylko o jeden szczegół. Nie zgadniecie... jak nazywał się ten urzędas.

– Nawet nie próbujemy. Dawaj, Banda.

Banda popatrzył po całej sali i w końcu wydukał dwa słowa. Imię i nazwisko. Niepewnie, jakby samo ich wypowiedzianie stanowiło ujmę.

– To on, to nasz człowiek! – zakończył.

Lenz patrzył na Bandę jak oniemiały. Chyba chciał mu przekazać jedno: dlaczego, bucu jebany, nie powiedziałaś mi tego wcześniej? Jak ktoś zginie przez ciebie, oskarżę o współudział.

Głośno jednak szepnął:

– Dzięki, Banda.

Banda skinął głową.

Lenz szybko wydał polecenia, a następnie poszedł zadzwonić do Ani. Prawdopodobnie znów czekała ich dłuższa rozłąka.

Miał sen. Znów. Ten sam od dwudziestu lat.

Leżała na łóżku całkiem nago i wyciągała do niego dłoń. Chodź do mnie. Potem przewracała się na brzuch. Wyglądała jak nimfa. Jak syrena opalająca się na skalnej półce odległej bezludnej wyspy. Wspaniałe łuki bioder, cudowne zagłębienie tuż za linią pleców. Mocne, długie włosy zakrywały łopatki i pełne piersi. Taka zepsuta i niewinna zarazem. Jak każda prawdziwa kobieta. Pełna sprzeczności.

Budził się i miał ochotę zapłakać.

Patrzył na swoją porządną, wspaniałą pod każdym względem żonę i zastanawiał się, jak to się mogło stać.

Jak mógł na to pozwolić?

Ona chyba to wyczuwała, bo przestała pytać o te sny, o to, dlaczego nie może spać. Odsuwała się daleko. Nie przytulała go jak dawniej, gdy jeszcze miała złudzenia.

Dziś wystarczyła jej to zbudowane w ciągu dwudziestu lat królestwo.

Dla niego nadal za mało.

Wciąż jeszcze jesteś w drodze do gwiazd, staruszk. Te wszystkie miliardy były tylko jakimś kolejnym kroczkiem do głównego celu.

Nieśmiertelności.

Ale gdy dotrzesz na samą górę – nawet jeśli już nie będzie żadnej kolejnej drabinki do pokonania – kiedy dotkniesz tych swoich gwiazd, nie odzyskasz spokoju. Bo wcześniej, na własne życzenie, straciłeś coś, czego nie da się nadrobić, nie można odzyskać.

Tyle frazesów o miłości słuchasz w tych swoich kościołach, a niczego nie rozumiałeś. Nie pojąłeś najważniejszej z nauk.

I teraz ponosisz karę.

Codziennie. Każdej nocy.

Chciał zasnąć, ale znów poczuł podniecenie. Spojrzał na żonę. Nie spała. Patrzyła tym swoim zbyt mądrym wzrokiem, który nie pozostawiał złudzeń.

Wiedziała.

Mimo to nie robiła mu wyrzutów.

Podciągnęła nad biodra koszulę nocną i rozłożyła nogi.

Czekała, aż nad nią zawiśnie, a potem w nią wejdzie.

Mimo że już przekroczył pięćdziesiątkę, wciąż kochał się z żoną. Tak samo namiętnie i z oddaniem jak przed laty. Starał się ją oszukać, mimo że to było niemożliwe. I tak jak przed laty myślał w tych chwilach o kimś innym.

O kimś, o kim nie powinien myśleć.

Grubemu nie udało się niczego ustalić. Zimny nie zadzwonił do Magdy. Musiał się z tym pogodzić. Zastanawiał się cały ranek, czy nie wyjechać na dłużej, ale potem włączył telewizor. Program informacyjny zdominowały informacje z giełdy. Rekordowe wzrosty kursu Sawickiego ciągnęły do góry wszystkie indeksy mimo kolejnych fatalnych wieści dla banków i niepokojących doniesień zza oceanu. Rynek kapitałowy od lat czekał na tę chwilę, na coś, co będzie stanowić prawdziwe odbicie, przełamanie próg ślamazarnie ciągnącej się bessy. Koło południa w programie na żywo wystąpił prezes spółki. Marek wyglądał świetnie. Był wypoczęty, świeży, czysty. Zupełnie nie jak człowiek po takich przejściach i wysiłku, jakie przypadły mu w udziale w ostatnich dniach.

– Czyżbyś brał swój vialix?

Prowadzący pytał o powody wzrostów, na co uzyskał ogólne odpowiedzi. Marek nie mógł powiedzieć mu niczego nowego, nie łamiąc przepisów, choć prawdopodobnie cała giełda już wiedziała, co miała wiedzieć.

Wiewiórki niosły dobre wieści...

– Plotki o wyjątkowym wynalazku są nieprawdziwe?

– Nie mogę tego komentować.

– Rynek spekuluje, że Sawicki już niedługo zaprezentuje preparat, który może wywołać prawdziwą rewolucję na rynku leków – drażył prowadzący.

– Marketingowcy lubią używać wielkich słów. Rewolucje zdarzają się raz na dwieście lat.

– My na taką czekamy od kilku wieków.

– To prawda.

– Więc? Czy tym razem rzeczywiście mamy z nią do czynienia?

– Nie potwierdzam, nie zaprzeczam.

– To prawda, że chce was przejąć Otto?

– Sawicki nie szuka inwestora. Nie jesteśmy zainteresowani współpracą z Otto.

– Potężne korporacje potrafią przejmować innych we wrogi sposób.

– Z nami to się nie uda.

– Dlaczego?

– Mamy odpowiednie zabezpieczenia statutowe i oddanie naszych inwestorów. Polskie fundusze wiedzą, że mamy też doskonałe perspektywy. To nie jest jeszcze czas realizacji zysków.

– A kiedy nadejdzie?

Sawicki odpowiedział słonecznym uśmiechem.

– Jeszcze trochę cierpliwości...

– Niektórzy mówią, że pańska spółka znajdzie się na liście dziesięciu największych firm biotechnologicznych na świecie.

– Farmaceutycznych – poprawił tylko Sawicki. – To zasadnicza różnica.

Prowadzący zerknął na ranking.

– Tak, jakieś kilkadziesiąt miliardów.

– Właśnie.

– Dolarów.

Marek znów uśmiechnął się promiennie. Tak kazali mu marketingowcy. Taką twarz mieli zapamiętać inwestorzy. Twarz człowieka sukcesu. Do niego macie równać, jemu powierzać swoje dutki.

Zimny patrzył w twarz niedawnemu pracodawcy i zastanawiał się, w jakim stopniu to wszystko było zaplanowane i wyrachowane.

W jakim stopniu Marek Sawicki jest wizjonerem, a w jakim zwykłym kłamcą.

Potem ubrał się, umył i ruszył do miasta.

Dawid Karwacki był legendą giełdy. Pracował na niej od początku, od szesnastego kwietnia 1991 roku, kiedy to odbyła się inauguracyjna sesja na warszawskim parkiecie. Pamiętał więc czasy, gdy domów maklerskich składających zlecenia kupna i sprzedaży było więcej niż notowanych spółek. Siedem do pięciu. Nieźle proporcje.

Pracując w zasłużonym dla rynku domu inwestycyjnym, obsługiwał niemal wszystkie przełomowe dla giełdy oferty, z niesmakiem obserwował nielegalne działania władz i oligarchów, bezczelne ustawki cwanych banków, różnych „grubasów” i rekinów robiących w konia tak zwanych leszczy, z nadzieją i ekscytacją śledził rozdania w chwilach, gdy Polska pokonywała kolejne bariery rozwoju.

Dziś był legendą.

– Cześć, Kuba, myślałem, że nie żyjesz.

Zimny pomyślał, że kolega wygląda czasami jak prezydent Stanów Zjednoczonych, a gdy się uśmiechnie – jak aktor filmów komediowych. Miał taki dziwny wyraz twarzy: patos i powaga z odcieniem drwiny. Białowłosa, wysoki, szczupły, w dobrym garniturze, białej koszuli i czerwonym krawacie. Od dawna nie nosił szelek. Za to wciąż palił jak smok.

– Ja też. W zasadzie to prawie codziennie tak myślę, po czym ktoś dzwoni i mówi, że jestem mu coś winien.

– À propos...

– Przestań, nigdy się nie założyliśmy.

– Przeciwnie. Twierdziłeś, że nasikasz na barmana, jeśli frank przebije się przez cztery złote. Zaraz, w którym to było roku?

– W dwa tysiące ósmym. To był żart, Dawidzie. Nawiązywał do twojego ulubionego filmu.

– W moich ulubionych filmach sprawy honoru są traktowane śmiertelnie poważnie. Nie oponowałeś, gdy przyjąłem zakład. Ja bym nasikał, gdybym

przegrał.

– Już to widzę.

– To kwestia honoru – nie ustępował Dawid.

– Zwycięzcy na ogół używają zbyt wielkich słów.

– Nieważne. Niehonorowy z ciebie człowiek. W kwestii hazardu to są rzeczy istotne, rzekłbym: podstawowe. Człowiek niedotrzymujący słowa nie jest godzien, by usiąść przy zielonym stoliku. Znałem kiedyś pewną damę, która twierdziła z uporem, że może się rozebrać na Dworcu Centralnym, jeśli ktoś zapłaci jej tysiąc złotych. Zapłaciłem, a ona odmówiła. Oddała mi pieniądze i powiedziała: wie pan co, jestem głupią dziwką i tak może mnie pan nazywać. Jednak wolę oddać panu pieniądze niż zrobić to, co obiecałam.

– Sugerujesz, że mam tyle honoru co to babsko?

– Nie. Masz mniej honoru od niej. Ona była na tyle mądra, żeby postawić zakład, z którego można się wycofać na zasadzie spłaty zaległego roszczenia. Ty postawiłeś zakład nieodwołalny. Nie da się czegoś odsikać. Pamiętaj o tym następnym razem, gdy będziesz łaskaw obstawiać. I radzę ci nie używać wielkich słów typu „oddam za kogoś rękę lub głowę”. Bo w końcu ktoś ci je zabierze.

– Zapamiętam – obiecał Kuba.

Wypił trochę wina. Nie był do końca pewien, czy Karwacki mówi poważnie, czy żartuje.

– Co chcesz wiedzieć? – zapytał Dawid.

– Nic. Zadzwońłem towarzysko.

– Towarzysko spotykam się...

– ...z ludźmi honoru?

– Właśnie.

– Ale mnie tolerujesz, bo możemy wymienić informacje?

– To podstawowe narzędzie pracy. Informacja. I jej wymiana. Mów zatem, z czym dzwoniłeś, a ja podam ci swoje warunki, na jakich może się dokonać... wymiana.

– Sawicki – rzucił krótko Zimny.

Dawid uniósł głowę. Wpatrywał się w gwiazdy, potem w Zimnego, aż w końcu się odezwał.

– Co chcesz wiedzieć?

– Początki, a jeśli są, to wszystkie kwasy.

– Co oferujesz w zamian?

– Szczegóły tego, co dzieje się dziś.

– Dlaczego rośnie?

– Tak.

– Wszyscy już wiedzą dlaczego. Wątpię, żebyś miał coś nowego do powiedzenia.

- A co mówią?
- Była tajemnicza konferencja na temat vialixu. Krótko mówiąc, napawała optymizmem. Potwierdzisz to?
- Tak.
- Daleko idącym optymizmem, prawda? Vialix to nie ściema?
- Wygląda na to, że znaleźli preparat na miarę viagry.
- To już coś. Jednak karta przetargowa słaba, skoro wszyscy ją znają. To tak, jakbyś położył dzokera na stole, żeby wszyscy widzieli, że go masz.
- Ale mogę też powiedzieć, dlaczego akurat teraz temat wypłynął i dlaczego wkrótce może się okazać mało istotny.
- O, to już coś! Dobra, pohandlujmy.

Zimny chciał głównie poznać szczegóły wprowadzenia Sawickiego na giełdę. Pytał o transakcje pre-IPO, roszady w zarządzie, plotki i spekulacje. Dawid odpowiadał rzeczowo. Jeśli czegoś nie wiedział, nie konfabulował.

A wiedział bardzo dużo.

No i miał fotograficzną pamięć. Zimny dałby głowę, że gdyby zapytał, Dawid wyrecytowałby mu kursy najważniejszych spółek na konkretny dzień sprzed dwudziestu lat. No, może nie głowę, ale rękę na pewno. Dobra, niech będzie tysiąc złotych...

Dawid jakby wyczuł, o czym myśli w tej chwili Kuba, bo uśmiechnął się znacząco. A potem mówił. Długo, konkretnie, ze szczegółami.

Spółkę Sawickiego z Wuëcka odkrył jeden z młodych maklerów. Niedawno przeszedł z dużego domu na swoje i szukał spektakularnych transakcji, które mogłyby go wypromować. Pierwsze dwie wtopił, o mało nie splajtował. Trzeci był Sawicki. Jak to się mówi: do trzech razy sztuka.

Makler uwierzył w Sawickiego. Potencjał spółki już wówczas był ogromny. Sawicki miał biznes przewidywalny, dobrze zorganizowany, dochodowy i rokujący. Mimo to postanowił jeszcze podreperować bilans.

– Pewnie żeby wyrzucić jeszcze lepsze wrażenie. Ja to rozumiem, nawet nie krytykuję. Każdy z tych młodych wilczków chce odnieść sukces, i to taki od razu z przytupem. Sawicki, a właściwie Anika, bo wtedy tak to się nazywało, obiecywał o wiele więcej, niż w danym momencie mógł spełnić. Ale w porządku. To mógłbym im wybaczyć. Tego, co zrobili, czy raczej zamierzali zrobić, już nie.

– A co zrobili czy też zamierzali?

– Wtedy każdy trochę koloryzował. Jednak oni... chcieli się dopuścić perfidnego oszustwa.

– To znaczy?

– Kupili parędziesiąt wagonów paliwa z Rosji. Tylko po to, żeby podkręcić wyniki. Wiesz, mieli na tych swoich pieluszkach i papierach toaletowych przyzwoitą, ale, szczerze mówiąc, taką sobie marżę. Jakieś dziesięć procent od

przychodów. Dobre, stabilne zyski co roku. Na farmacji też już zarabiali, choć znaczną część zysków pochłaniały badania i postępowania patentowe. Być może dlatego doradca albo oni sami stwierdzili, że mogą zrobić jednego one-offa i od razu będzie przyjemniej. Kupili te paliwa. Mieli gwarancję odsprzedania towaru dwa razy drożej. Dzięki tej jednej transakcji zysk z dziesięciu baniek wzrósłby nawet do trzydziestu. Audytowany, legalny, niepodważalny. To by dawało podstawę do korekty w górę na akcjach, i to znaczącej. Wiesz, mogliby mówić inwestorom: zobaczcie, jaki mamy progres, jakie wzrosty. Skoro zysk tak poszybował do góry w tym roku, to dlaczego miałyby się to nie powtórzyć?

– A potem by się wyłgali zmianą warunków rynkowych i naiwni inwestorzy musieliby to łyknąć?

– Chyba że jakiś dziennikarz zacząłby szperać i odkrył te nieszczęsne paliwa.

– Rzeczywiście, zwykłe oszustwo. Ale podkreśliłeś, że oni „zamierzali” się go dopuścić...

– Prawdę mówiąc, strasznie dziwna sprawa. Transakcja została przeprowadzona, paliwa trafiły do Polski, Sawicki, jak mówiłem, miał kupca, ale nagle wycofał się z operacji.

– Ciekawe...

– Tak, bardzo. To, co stało się później, było jeszcze dziwniejsze. Sawicki nie dość, że nie użył tej transakcji do kreowania nieuczciwych zysków, to jeszcze przyznał się do wszystkiego. Mógł spokojnie to wykorzystać, ukryć, jak większość tych napakowanych sterydami spółeczek, które w tamtych czasach ostro kantowały inwestorów. A on jakby cofnął operację, sfinansował straty, pozyskując jeden z funduszy venture capital, a następnie zorganizował spotkanie z inwestorami i szczerze, jak na spowiedzi, wyznał, że zamierzał ich kantać, ale tego nie zrobi.

– Rzeczywiście dziwne – mruknął Zimny i pomyślał o czymś, o czym nie chciał, przynajmniej na razie, rozmawiać z Dawidem.

Może to nie on chciał kantować inwestorów, tylko któryś z jego wspólników. Może o to się starli. Może dlatego wspólnicy musieli zginąć. Ale dlaczego Sawicki wziął to na siebie, zamiast zepchnąć na kogoś z nieżyjących partnerów? Może bał się właśnie takiego oskarżenia, lepiej to było uciąć w ten sposób, nie dać innym szukać. A może po prostu była to, cytując Dawida, sprawa honoru. Był zbyt honorowy, żeby oskarżać nieobecnych.

– Podał korektę wyników – ciągnął Dawid. – Zrobił odpisy na ewentualne kary za te paliwa, co obniżyło wynik i w zasadzie powinno doprowadzić do klęski oferty. Tego zresztą się spodziewał. Powiedział, że zwróci pieniądze każdemu, kto będzie chciał wycofać zapisy. Tymczasem...

– Tak?

– Oni to kupili.

– Jak to?

– Kupili tę szczerą, uwierzyli w nią. Żaden inwestor się nie wycofał, niektórzy zwiększyli zaangażowanie. Znam takiego, który miał początkowo nie uczestniczyć w ofercie, bo Sawicki wydawał mu się podejrzany. A po tym spotkaniu zmienił decyzję i złożył duży zapis. Uwierzyli, że Sawicki jest wyjątkowy, że można mu zaufać. I nawet jeśli na początku dostaną po kieszeni, to potem odrobnią straty.

– Nie pomylili się.

– O tak, każdy z tych inwestorów dobrze zarobił. Dla funduszy i dla siebie.

– Sugerujesz, że dostali w łapę, by nie wycofywać zapisów?

– Nie wiem. Różnie się mówiło. Ale jeśli chcesz znać moje zdanie, to rzeczywiście mu zaufali. Może ktoś dostał coś górką, ale ogólnie to była uczciwa oferta.

– To co miałeś na myśli, mówiąc, że zarobili dla siebie?

– Wielu z zarządzających włożyło w tę ofertę swoje prywatne środki. Wiem, co pomyślisz. Że to wbrew etyce i niektórym regulaminom wewnętrznym, ale co z tego, skoro prawo tego nie zabraniało? Wówczas było inaczej niż teraz. Poza tym sądzę, że oni rzeczywiście robili to nie dla manipulacji, tylko wierząc w Sawickiego. Kiedyś zapytałem jednego z nich... nie, nie tego, o którym wspominałem wcześniej... dlaczego to zrobił, a on odpowiedział: Sawicki to był taki piękny sen, marzenie. Że można mieć polską Nokię, takiego prawdziwego blue chipa, technologicznego giganta, który pozamiata nie tylko u nas, ale i na świecie. Który będzie z dumą przeżył się na salonach, a nie chował w cieniu, żeby tylko ktoś go nie zauważył i nie zdeptał. Uwierzył mu i trzymał kciuki. I jak to powiedziałaś, nie pomylił się.

Zimny przez chwilę trawił informacje. Zapytał jeszcze o wypadek samochodowy, ale Dawid nic na ten temat nie wiedział. Znał historię spółki tuż przed wejściem na giełdę i po debiucie. Do wypadku doszło kilkanaście miesięcy wcześniej. Do przekształcenia własnościowego też. Nic nie wiedział o żadnej syryjskiej piękności, Benedyckie Wisłockim, Siergieju Kraciuku, Arturze Czerniewiczu ani innych przegranych. Pozostał tylko Sawicki i tylko on się liczył.

– Dobra, twoja kolej – przypomniał Dawid. – Co masz mi do powiedzenia o Sawickim?

Dwa helikoptery. Pierwszy zapakowany po brzegi grupą uderzeniową – wytrenowanymi specami, których wszyscy tutaj nazywali antykami – i sprzętem. Był nawet dron i robot do neutralizacji ładunków wybuchowych. Karabiny snajperskie, zaawansowane systemy monitoringu, termowizja, parawany dźwiękochłonne, specjalne lustrzane maty do tworzenia różnych iluzji, georadar do kontroli ruchu pojazdów w okolicy. Lenz postarał się, żeby grupa szturmowa Wydziału S miała wyposażenie na poziomie Gromu. Generał wszystko klepał. Mimo ogromnych jednostkowo kosztów, była to zaledwie garstka w całym budżecie. A każdy sukces można było potem przypisać Generałowi.

Opląciło się.

Lenz i reszta lecieli drugim helikopterem. Inspektor po konsultacji z Siejką chciał od razu zatrzymać podejrzanego, ale potem doszli z Bandą do wniosku, że nie muszą się spieszyć. Podejrzany, zapewne nieświadomie, dał im niezwykley prezent: komfort przy planowaniu zatrzymania.

– W zasadzie mamy pewność, że nikomu nic się nie stanie. Szturm można przeprowadzić w każdej chwili. A obserwacja być może pozwoli namierzyć coś bezpośrednio. Złapać go na gorącym uczynku. – Banda aż zacierał ręce, że wreszcie będzie mógł wykorzystać te wszystkie cuda techniki. Zapakuje go elektroniką po brzegi, a potem usiądzie i spokojnie będzie czekał, aż tamten zaprowadzi ich do kolejnych dowodów winy. – Pamiętaj, że wciąż mamy tylko poszlaki, motyw i generalnie logiczną całość. Potrzebne są narzędzia zbrodni, weryfikacja wszystkich śladów. To potrwa miesiącami. A jak damy mu szansę się wysapać, to może to zrobi. Może zaplanuje kolejną zbrodnię.

Więc to takie proste – myślał Lenz, układając sobie ponownie w myślach stworzoną naprędce teorię.

Urzędnik ministerialny pomaga w biznesie czterem kolegom, których być może poznał w akademiku. Daje im różne cynki, przygotowuje dokumenty, chroni przed kontrolami skarbowymi, być może robi znacznie więcej.

Dostaje za to drugą pensję, ale pewnie uważa, że należy mu się więcej. Dochodzi do jakiejś poważniejszej różnicy zdań. Powód: nieznanym. Być może kłócą się po prostu o pieniądze. Może o akcje. Może oni chcą się od niego odciąć, a on uważa, że tak się nie postępuje z partnerami.

Jest rozżalony, czuje się oszukany. Zwierza się z tego znajomym z WSI, jeśli oczywiście już wcześniej nie kumał się z oficerami albo nie był jednym z nich. Postanawia lub postanawiają działać. Wymusić realizację rzekomych zobowiązań.

Ofiary są twarde, nie zamierzają się poddać. Dochodzi do pierwszych spięć i potyczek. Bez skutku.

Urzędas (lub jego wspólnicy) postanawia więc wykorzystać konflikt dwóch (lub więcej) udziałowców o kobietę.

Planuje intrygę, która ma na celu skłócić czwórkę przyjaciół. Coś idzie nie tak (albo idzie zgodnie z planem) i urzędas (lub jego przydupasy z WSI) wypycha Anikę przez okno, jednocześnie rzucając podejrzenie na jednego (lub obu) przyjaciół – Artura i Marka.

Poprawka: podejrzanym o zabójstwo Aniki ma być Marek, Artur ma odegrać rolę mściciela. Być może urzędas skutecznie przekonuje go o winie Marka. Dlatego Artur zapowiada matce, że się zemści. Wsiada do samochodu z pozostałymi wspólnikami, ale zapomina, żeby uważać na ciężarówkę ze żwirem.

– Jak popadniesz w konflikt z WSI, uważaj na ciężarówkę ze żwirem.

Musiał powiedzieć to zdanie głośno, bo Banda spojrział na niego wymownie:

– Co mówisz, szefie? – dopytał.

– E, nic. Pamiętasz to powiedzenie z dawnych lat, że trzeba uważać na ciężarówkę ze żwirem?

– No, ba. Trzeba. Szczególnie na naszych drogach.

Lenz skinął głową i przymknął oczy, dając znać Bandzie, żeby już mu nie przeszkadzał.

Wrócił do łączenia nitek pajęczyny.

Chłopcy giną w wypadku, a Marek dostaje dwie możliwości do wyboru: albo podzieli się kasą z urzędasem i chłopakami z WSI, albo oni go pogrążą i wsadzą do pudła za zaplanowanie i dokonanie dwóch morderstw.

To dlatego urzędas staje się świadkiem.

Może są pewni, że Sawicki nie będzie głupi i ulegnie. Idą więc na całość. Może dają mu w ten sposób znać, że mają koronnego świadka. Urzędnika, który w razie konieczności poświęci się i zezna, że na zlecenie Sawickiego pośredniczył w wynajęciu ruskich siepaczy, najpierw na jego byłą dziewczynę, a potem na przyjaciół.

Skruszony pośrednik pogrąży zleceniodawcę, pozostałe dowody pasują, Sawicki idzie siedzieć, urzędas też, ale dostaje nadzwyczajne złagodzenie kary. W najgorszym razie, bo przecież Sawicki nie będzie głupi.

Po czymś takim nie ma czego szukać w biznesie. Nawet gdyby jakimś cudem się wybronił w sądzie, byłby przegrany. Zniszczyliby go doszczętnie, odebrali całe życie osobiste, skłócili z rodziną, przyjaciółmi, nawet z Kościołem. Zmieszali z błotem, pewnie doprowadzili do samobójstwa.

Przeształby wierzyć w tego swojego Boga.

Taką mieli moc.

Jeszcze bardziej prawdopodobne, że za morderstwo kobiety w zaawansowanej ciąży dostałby maksymalny wyrok. Za komuny to byłaby czapa. Teraz dożywocie. W praktyce trzydzieści lat w pudle. Może więcej. Cała

wieczność upodlenia, upokorzeń, niesławy. Nie byłoby żadnej wielkiej firmy. Wicko by się go wstydziło i wyrzuciło z nazwy.

Nie byłoby wielkiego Sawickiego.

Wobec takiej perspektywy lepiej zapłacić.

Cóż to jest parę milionów, gdy na drugim biegunie ma się taką alternatywę?

Sawicki zatem jest pod ścianą i płaci.

Ile?

Pewnie liczone w milionach. Może w dziesiątkach. Może w innych zobowiązaniach. Może szantaż ma charakter cyrografu z diabłem.

Jesteś nasz.

Na wieczność.

A może tylko kupuje sobie spokój.

Dwadzieścia lat spokoju.

Po tych dwudziestu latach dzieje się coś, co sprawia, że koszmar powraca. Coś, co doprowadza do ponownego wytoczenia ciężkich dział, wykopania topora wojennego. Sawicki dostaje po kolei kilka ciosów, coraz mocniejszych. Nie reaguje, więc obrywa coraz mocniej. Urzędas zaciska pętlę.

Dlaczego Sawicki nie reaguje? Jest przecież potężny, ma ochronę, pieniądze, za które można by wynająć całą armię. Urzędas, nawet jeśli ma za sobą połowę byłych agentów WSI, jest przy nim małym żuczkiem. WSI też już pozostają tylko cieniem dawnej potęgi. Dlaczego po prostu nie płaci? Przecież tak byłoby najłatwiej.

Czyżby przeciwnik był aż tak potężny, że nawet z całym kapitałem i ochroną Sawicki nie miałby szans? Wówczas urzędas byłby tylko mało znaczącym trybikiem w maszynie zła. Lepiej nie myśleć, co to oznaczałoby dla Lenza. Dla niego, Wandy, Bandy, innych. Dla Ani, Stasia i Gabrysi.

Przeciwnik, z którym lepiej nie zadzierać.

Nawet jeśli jest się Wydziałem Operacji Specjalnych. Tym wyjątkowym, tajnym, cholernie sprawnym superwydziałem. Wydziałem S.

– Myślisz o tym, o czym myślę ja? – Usłyszawszy głos Wandy, otworzył oczy.

Pomyślał, że bardzo dobrze poznali się przez ten czas. On, Wanda i Banda. Jak łyse konie. Miał zespół kilkunastu śledczych, w Wydziale było ich łącznie prawie dwadzieścioro. A jednak on i ta dwójka stanowili tercet podstawowy. Inni mogli się zmieniać. Awansować, przechodzić na różne stanowiska, porzucać mundur dla posad w ministerstwach i kancelariach. Wanda, Banda i on już zawsze muszą być razem. Coś ich połączyło. Nie do końca wiedział co, ale istnienia tego czegoś był pewien.

– Nie mogę pojąć.

– Musisz poczekać na zeznania podejrzanego.

- Dwadzieścia lat milczenia i nagle taki zmasowany atak. I brak reakcji.
- Tego nie wiemy.
- Racja, może pod dywanem kotłuje się w najlepsze.
- Może.
- Dlaczego jednak Sawicki nas na niego nie naprowadził?
- Może myśli, że to nie on. Albo chce to załatwić sam.
- A może się mylimy?
- Za dużo poszlak.

Wanda spojrzała na Bandę. W miniony weekend, wykonując polecenie Lenza, nie tylko przejrzał akta. Zrobił znacznie więcej. Znalazł kolejne poszlaki. Wiele poszlak. Zbyt wiele, by się mylili.

- A Magda? Czemu ona nic o nim nie powiedziała?
- Mogła nie wiedzieć. Może tu tkwi sedno.
- Sawicki chce ją w jakiś sposób ochronić, a jednocześnie nie chce pójść na układ z mordercami jej matki? Może wciąż planuje zemstę...
- A może nie jest gangsterem i nie umie odpowiednio zareagować.
- Ma wokół wystarczająco dużo gangsterów, by go nauczyli.

Lenz sięgnął do leżącej na kolanach teczki i wyciągnął duże, powiększone zdjęcie. Przedstawiało mężczyznę, którego musieli zatrzymać i przycisnąć. Prawdopodobnie wielokrotnego mordercę lub osobę współpracującą z mordercami. Gościa, który już raz wyprowadził ich w pole. Człowieka, który znał odpowiedzi na większość nurtujących ich pytań.

Korciło go, żeby zadzwonić do Mafii, ale zrezygnował. Aż tak mu nie ufał. Chociaż... to właśnie Mafia naprowadził go na te WSI, więc dlaczego miałyby go teraz zdradzić? Bo działa na dwa fronty? Bo może? Bo chce? Cokolwiek. Lenz miał psi obowiązek trzymać gębę na kłódkę. Jak będzie można skorzystać z... konsultingu, to skorzysta.

Ale jeszcze nie teraz.

Tylko jedna śmierć – pomyślał zabójca. Już ostatnia. Najważniejsza. Dzięki niej zemsta się dopełni, a on wyprowadzi wszystkich w pole. Nie domyślą się, są za głupi.

Owszem, dotarli całkiem blisko. Prawie na wyciągnięcie ręki. Wydaje im się, że już go mają.

Są w błędzie.

Mogą krążyć wokół niego, szpiegować, mogą sobie wyobrazać, że zacieśniają pętlę, a on i tak im się wymknie. Nawet gdyby go przypadkiem dopadli, nieoczekiwanie aresztowali, on by sobie poradził.

Bo jest dla nich za mądry.

Obserwował przez lornetkę, jak się instalują. Jak zamykają okrążenie. Wcześniej jedna z wiewiórek mu doniosła, że przylecieli śmigłowcami na pobliski

poligon, aby nie wzbudzać podejrzeń, nikomu nie rzucać się w oczy. Potem powoli, spokojnie zaczęli tkać sieć. Profesjonalnie, skrupulatnie, ostrożnie. Widać było, że mają wiedzę i doświadczenie. Prawie taką jak zabójca.

Jak to było w tej reklamie?

Prawie czyni różnicę?

– Uważaj, mają drona – przestrzegła wiewiórka.

– Jeszcze długo nie będą go używać.

Tak, najpierw muszą rozlokować ludzi, aby nabrać pewności, że technika ich nie zdradzi, że przez głupiego drona nie poniosą porażki, nie ostrzegą obserwowanego, który jeszcze zdoła uciec, bo nie będą mieli przygotowanych ludzi oraz procedur do blokad i pościgów. Zanim więc pošlą strażnika, rozmieszczą kamery, czujniki, czujki, ludzi w sąsiedztwie. Wejdą do tego narożnego domu we wsi, zainstalują się w namiocie w lesie.

Dużo roboty.

Trzeba zrobić grafik dla patroli. Przeszkolić lokalnych policjantów. Ustalić zasady współpracy z wojskiem. Przedyskutować kompetencje, rozkazy, zdobyć potrzebne pozwolenia i dyspozycje.

Wojsko może przecież częściowo odmówić współpracy i konieczna będzie interwencja ministra lub premiera.

Jakiś pułkownik oświadczy, że nie będzie dla jednego człowieka stawiał na nogi całej kompanii.

Podobnie policja może się wypiąć na rozkazy Wydziału, o którego istnieniu nigdy nie słyszała. Ktoś pomyśli: a jeśli wkręca nas jakiś dziennikarz, telewizja? Może zaraz wyskoczy z krzaków dwóch frajerów i zakrzyknie: „Uwaga! Tak łatwo was wkręcić?”

Nie obejdzie się zatem bez małej reprimendy od wojewódzkiego, a ten może będzie potrzebował szpilki z Komendy Głównej.

Wszystko to załatwią. Wydając najcenniejszą walutę: czas. Będą mieli rozlokowaną sieć, wystawione czujki, cały teren pod pełną obserwacją. Wtedy pewnie pobawią się tym dronem. Będzie im się wydawać, że zdobyli kontrolę. I w sumie będą mieli rację.

Jednocześnie całkowicie się mylą.

Długo się wahał, czy wykorzystać ten kontakt. Nie ufał mu już, bał się konsekwencji, tego, że kiedyś będzie musiał się odwdzięczyć, spłacić zaciągnięty przed laty dług.

Tylko skoro on i tak istnieje, to czy warto się przejmować?

W gruncie rzeczy Piotr pozostawał jego jedyną szansą na dotarcie do dokumentów z szeroko rozumianych organów ścigania. Kiedyś był prokuratorem. Jednym z tych niezłomnych. Ścigał największych oligarchów, karuzele podatkowe, wyłudzenia VAT, lewe transakcje z udziałem struktur kościelnych, mafijne

powiązania władzy i biznesu. Podobnie jak Dawid na rynku kapitałowym, był legendą wymiaru sprawiedliwości. Zawsze nieco wycofanym, krytycznym wobec partii politycznych i w ogóle władzy.

A jednak długo nie wytrzymał na emeryturze i po niespełna rocznej absencji przyjął tękę podsekretarza stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Zwykle dotąd spotykali się w Gdańsku, choć poznali się w Warszawie, w budynku ABW, gdy na polecenie Piotra zatrzymano Kubę, żeby uchronić go przed zawodowym zabójcą. Potem zaliczali lokale w Trójmieście. Za każdym razem z dużym pożytkiem dla Kuby i chyba żadnym dla Piotra.

Dług znów wzrośnie.

– Czego chcesz tym razem?

– Już mówiłem. – Kuba wysłał mu listę pytań mailem.

– Mam odpowiedzieć oficjalnie, jak dziennikarzowi, czy wolisz wersję spod kołderki?

– Nie jestem już dziennikarzem. Nie zamierzam cię cytować.

– To po co ci to wszystko?

– Sawicki zatrudnił mnie kilka tygodni temu.

– I kazał ci przesłać swoje brudy?

– A teraz zwolnił – dokończył Kuba.

– Więc chcesz się zemścić?

– Po prostu nie mam co robić i jestem ciekaw.

– Nie wierzę. Nic nie dzieje się bez przyczyny.

– Jest banalna.

– Spróbuj, może jednak uwierzę.

Kuba w ostatniej chwili zmienił zdanie. Zamierzał powiedzieć coś innego, ale powtórzył tyłko:

– Zwyczajnie jestem ciekaw, o co chodzi. – I wyjaśnił: – Sawicki zapłacił mi mnóstwo kasy za udział w antymedialnym spisku, a potem zupełnie nagle, bez wyraźnej przyczyny, wyrzucił mnie z roboty. Jestem zły.

– Może dałeś dupy? Albo już wykonałeś swoje zadanie?

– Może. Jest jeszcze coś...

– Kobieta?

Kuba przytaknął delikatnym ruchem głowy.

– Po tym, co zrobiłeś Ewelinie, wcale nie chcę ci pomagać...

– To nie moja wina.

– Twoja.

Kuba westchnął.

– Pomożesz mi czy nie?

Piotr sięgnął po szklankę z wodą. Upił odrobinę. Odstawił szklankę. Dłoń powędrowała niżej. Wyciągnęła plik wydruków.

– To tylko najważniejsze rzeczy, bez sygnatur, raporty i streszczenia spraw. Jeśli będziesz potrzebował plików źródłowych, szukaj już bezpośrednio w prokuraturach. Sprawy zamknięte, więc jeśli nie będziesz zbyt roszczeniowy, powinieneś uzyskać dostęp. Pamiętaj, co ci mówiłem...

– Przed wejściem ostro smarować wazeliną.

– Właśnie. Szkoda, że żadna z tych spraw nie trafiła do sądu, bo wtedy na pewno miałbyś wgląd, choć po tej ostatniej twojej książce sędziowie na pewno cię nie kochają. Powodzenia.

Kuba zerknął na papiery, przejrzał je pobieżnie. Nie tego oczekiwał, ale i tak Piotr mu pomógł, jak zwykle.

– Dzięki.

– Zniszcz to potem. Nie powinieneś tego mieć.

– Dobrze.

Zanim wyszedł, postanowił podpytać Piotra o coś jeszcze.

– Poznałeś kiedyś niejakiego komisarza Lenza?

Piotr zdjął okulary.

– Dlaczego pytasz?

– Prowadzi sprawę. Rozmawiałem z nim w Wicku.

– Nie jest komisarzem. Ma stopień inspektora.

– Tak tylko...

– Jest też dyrektorem jednej z nowych struktur.

– Nowa struktura?

– Nazywa się Wydział S. Wydział Operacji Specjalnych. Utworzył go Milecki tuż przed dymisją.

– Generał?

– Generał Milecki – potwierdził Piotr. – Chyba myślał, że zostanie potem doradcą albo jakimś nieoficjalnym szefem, ale Lenz zadziwiająco szybko się usamodzielniał i już dla Generała nie było miejsca.

– O co chodzi z tym wydziałem? Jaką ma rolę?

– Niby podlega KGP jak CBS, ale dyrektora mianuje minister, a nie Pierwszy Pies. Ma funkcję kadencyjną. Odpowiada przed ministrem, kompetencje niemal takie jak u szefa CBA.

– No, ale co ma robić? Walczyć z terroryzmem?

– Nie do końca. Sprawy szczególne, jak wszystkie te afery finansowe, lobbing przy ustawach, wydobywanie łupków, walka o prawo dotyczące chwilówek, samobójstwa czy dziwne wypadki mające związek z funkcjonowaniem państwa. Tym wszystkim mają się zajmować.

– Nie widziałem żadnego artykułu na ten temat.

– To tylko dobrze świadczy o Lenzu. Ma pilnować tajemnic, a nie afiszować się w gazetach. Jest analitykiem, nie piarowcem. I ma już spore osiągnięcia.

– Jakie?
– Tajemnica.
– No jasne.
– To ciekawy facet.
– W jakim sensie?
– Zadarł z glinami, przez co w zasadzie został objęty programem ochrony świadków. Razem z rodziną wywieziono go gdzieś na zadupie. Nikt nie wie dokąd. Ale ochrona ma utrudnione zadanie.

– Dlaczego?
– Lenz ma zajebiście ładną żonę. Bardzo rzuca się w oczy. Ze względu na urodę, ale nie tylko. Drugi powód jest taki, że uchodzi za cholernie wyszczekanego. Mówi wprost i powtarza, jeśli trzeba.

– Jest trzeci powód?
– Mają... czarne dziecko.
– Jak to czarne?
– Czarnoskóre, i to dość mocno czarnoskóre. Dziecko inspektora Lenza jest Murzynem. To zwraca uwagę, powoduje sporo zamieszania i złośliwości. Sam nie wiem, jak on jest w stanie to wytrzymać w takim środowisku jak policyjne. Trudno też ochraniać taką rodzinę. Wchodzący w szkodę gliniarz, jego piękna żona i czarny synalek o zupełnie do niego niepasującym polskim imieniu Staś. Niezły zestaw, nie?

Raporty były szokujące. W zasadzie wnioski można było sprowadzić do jednego: państwo polskie nie istnieje. Chuj, dupa i kamieni kupa. Brakujące karty z protokołów, ginące dowody, pomieszane ekspertyzy, błędne rozpoznania, sprzeczne opinie biegłych, cała fala pomyłek i prawdziwy wodospad dupokrytek robionych tylko po to, żeby nic nie ustalić, żeby nie było kłopotu.

O ile mógł zrozumieć kwestię postępowania w sprawie wypadku samochodowego (na ogół nie szuka się wówczas teorii spiskowych), o tyle braki w śledztwie dotyczącym śmierci Anity Kadad były już trudne do uzasadnienia.

Dziewczyna wylatuje przez okno po kłótni, wcześniej głośno wykrzykuje coś o machlojkach, a policja nie traktuje tego poważnie. W zasadzie robi wszystko, żeby zakwalifikować to jako wypadek. Nawet gdy pojawiają się anonimowe doniesienia o zbrodni, olewa je i manipuluje przesłuchaniami. Po latach się okaże, że świadkowie zeznawali zupełnie inaczej, niż to zaprotokołowano.

Prowadzący dochodzenie zasłaniają się brakiem pamięci.

Na ostatnich kilku kartkach, gdzie ktoś oszczędnie, w pigułce opisywał najnowsze ustalenia dotyczące zabójstw i innych wątków sprawy Sawickiego, Kuba znalazł akapit o Maksie, a także o sobie samym.

„Sawicki zatrudnił byłego dziennikarza Jakuba Zimnego, osobnika podejrzanego, niewiarygodnego, nadużywającego alkoholu i często naruszającego

przepisy”.

Co za buc to napisał?

Ostatnia strona koncentrowała się na styku biznesu Sawickiego z państwem. Najbardziej krytyczne były opinie Ministerstwa Zdrowia i Narodowego Funduszu Zdrowia, jednak przedsiębiorcy nigdy nie udowodniono – ani nawet nie zarzucono – prób korupcji przy przetargach w szpitalach, załatwianiu certyfikatów i zezwoleń, wpisywaniu preparatów produkowanych przez koncern na listy refundacyjne. Sawicki był więc czysty. Od dwudziestu lat...

Kuba dwa razy przeczytał kilka kończących dokument zdań. Opisywały urzędnika Ministerstwa Finansów, który rzekomo zbyt blisko współpracował z Sawickim, ale którego nie można przesłuchać, bo dwadzieścia lat temu nagle przestał przychodzić do pracy, porzucił mieszkanie i zniknął z życia. Nie leczył się w tym czasie w publicznej służbie zdrowia, nie meldował się w hotelach, nie wymieniał dokumentów i nie przekraczał granicy, za to jego nazwisko kilkakrotnie padało w przesłuchaniach, w kontekście różnych afer.

„Z dużą dozą prawdopodobieństwa można założyć, że ten człowiek nie żyje, i należy wziąć pod uwagę, że mógł paść ofiarą morderstwa”.

Nazwisko urzędnika brzmiało znajomo. Kuba nie musiał długo poszukiwać go w pamięci. Znał tego człowieka, choć nigdy nie spotkał go osobiście. Wpatrywał się w imię i nazwisko, powoli pojmując wagę tego odkrycia.

Autor raportu się mylił. Może nie we wszystkich kwestiach, ale w jednej na pewno. Urzędnik zniknął, ale absolutnie nie został zamordowany.

Marek Sawicki mocno ścisnął dłoń Mastalerza. Tyle lat razem, a w sumie się nie znali. Przynajmniej nie do końca. Marek nie myślał, że jego przyjaciel i najwierniejszy współpracownik może być aż tak bezwzględny.

- Powinieneś być zapytać mnie o zdanie.
- Wiem.
- Dlaczego tego nie zrobiłeś?
- Bobyś mi nie pozwolił.
- Masz rację.
- Jestem do... dyspozycji. – Mastalerz skłonił głowę jak do połajanki.
- Co ty wygadujesz?
- Jeśli uznasz, że nadużyłem twojego zaufania...

Marek zamierzał go pocieszyć, może objąć i wytłumaczyć błędy, ale przecież Mastalerz doskonale wiedział, co jest nie tak. Całkowicie złamał wszelkie procedury i standardy obowiązujące w firmie, wszelkie zakazy i ustalenia, zrobił to z premedytacją, wyrachowaniem, w pełni zdając sobie sprawę z możliwych konsekwencji.

A jednocześnie wszystko to zrobił dla szefa i dla firmy.

Czy mógł mieć do niego pretensję?

Rawicz nie miał pojęcia, że jest obserwowany przez policję. Lenz nie wątpił, że dobrze wykonali robotę. Sprawca – bo teraz był już pewien, że nim jest – nie wiedział, że przez dwadzieścia cztery godziny na dobę ma na niego oko prawie dwadzieścia osób w grupach podzielonych na trzy zmiany. Oprócz ludzi śledziły go obiektywy ośmiu kamer, które w nocy zainstalowali na pobliskich drzewach, w ogrodzeniu i ogródkowym skalniaku. Przy okazji maksymalnie blisko domu wbili sondy transmitujące wstrząsy do georadaru. To sprawiło, że nie tylko dostawali od razu informację o przejeżdżających w pobliżu samochodach, ale też mogli rejestrować dosłownie każdy krok samotnika.

Lenz szybko się przekonał, że decyzja o przesunięciu w czasie zatrzymania i aresztowania podejrzanego była właściwa.

W ciągu tych kilku dni znaleźli drugie auto, którym poruszał się Rawicz. Stało w stodole zapuszczonego siedliska po drugiej stronie rzeki. Załedwie trzy kilometry od jego domu. Z przesłuchaniem właścicieli był kłopot, bo byli bardzo nieufni, co wyjaśniło się wkrótce po tym, jak Lenzowi udało się ich przekonać, że jest prawdziwym gliną, a Rawicz użył fortelu i kłamstwa.

Zeznania były proste. Rawicz wynajął od nich stodołę, wyjaśniając, że jest agentem wywiadu i realizuje tu misję specjalną: zapewnia ochronę Amerykanom przewożącym talibów do więzienia na poligonie. Sprytnie wykorzystywał legendy,

które rozsiewali wokół różni ludzie. Ponieważ sam był dziwakiem i od dwudziestu lat mieszkał samotnie na tym zadupiu, uwierzyli mu i obiecali pomoc. Kazał im nawet podpisać cyrografy o milczeniu.

Samochód wsadzono na lawetę i przewieziono do Warszawy, gdzie miał zostać gruntownie przebadany przez techników. W stodole zamiast niego umieszczono dwóch posterunkowych. Gdyby Rawicz jakimś cudem przemknął do stodoły, mieli dokonać zatrzymania, choć Lenz był pewien, że do tego nie dojdzie.

Wstępna analiza potwierdziła, że w samochodzie znajdują się ślady ludzkiej krwi, więc Lenz miał pewność, że do różnych poszlak dojdą wkrótce naprawdę twarde dowody.

Mieli go. Właściwie już mogli dokonać aresztowania.

Dzień później Wanda ustaliła, że Rawicz kilkakrotnie meldował się w hotelu czterdzieści kilometrów od Gęsior. Był to piękny pałac zamieniony w hotel. Recepcjonista poznał Rawicza na zdjęciu i podał im wszystkie szczegóły meldunków pana „Głazewskiego” – tak tamten się przedstawiał i na takie nazwisko miał dokumenty. To ustalenie oraz nieco nielegalne włamanie na słabo chronione hotelowe serwery pozwoliło Bandzie ustalić, że to stąd nastąpiło parę ataków na sieć Sawickiego i prawdopodobnie stąd dokonano różnych manipulacji i prowokacji związanych z ofiarami.

To już były twarde dowody.

Lenz powinien następnego dnia podjąć decyzję o aresztowaniu. Banda był prawie pewien, że w domu znajdą kolejne dowody, a może nawet narzędzia zbrodni, choć świadczyłyby to o wyjątkowej nieostrożności sprawcy. Inspektor jednak się nie spieszył.

Na wsi mógł spokojnie ułożyć myśli, wspomnienia i plany. Dużo zwłaszcza myślał o Ani. Dzwonił do niej codziennie, ale rozmowy telefoniczne nigdy nie szły mu za dobrze. Któregoś dnia postanowił do niej napisać. Dawno nie pisał listów na papierze, a przecież one są takie inne. Tradycyjne listy pisze się zupełnie inaczej niż maile. Tego nie można już wycofać, skreślić, usunąć czy zmienić. Zakończył, prosząc, by ucałowała Stasia.

Uśmiechnął się, widząc oczami wyobraźni jego czarną buzię i białe zęby. Przypomniawszy sobie, jak reagowali ludzie, gdy go przedstawiał: „A to mój syn Staś”. Czarny Staś. Tego nie dodawał. Wszyscy patrzyli jakoś tak głupio, nie chcieli mu robić przykrości, ale nie byli w stanie się opanować. Czarny Staś. Zastanawiali się, czy ma czarną kobietę, a jak widzieli całkiem białą Anię, głupieli. „Jak to pana syn? – zapytał wprost pewien sklepikarz. – Przecież jest czarny”. „Nawet pan nie wie, jakie mam czarne serce” – zapewnił go Lenz.

Było, minęło.

W nocy podjął decyzję. Następnego dnia go aresztują. Po południu, może wieczorem, tak żeby Siejka zdążył się przygotować. Lenz nie chciał dokonywać

zatrzymań nad ranem, bo to mu się kojarzyło z najgorszą patologią władzy.

Zerknął w okno i nagle poczuł dziwny niepokój.

A jeśli czegoś nie przewidział?

Potem zadzwonił do Siejki i poinformował go o swojej decyzji. Prokurator jak zwykle nie oponował, choć teoretycznie to on tu był szefem.

Wiewiórka zadzwoniła przed południem i podała dawno ustalone hasło.

– Z panem Głazewskim proszę.

– Pomyłka – odparł Rawicz i zbladł.

Odłożył słuchawkę i próbował sobie przypomnieć wszystkie procedury, które ustalili. Procedury są ważne. Jeśli się ich trzymasz, nie wpadniesz. Ale musisz ich absolutnie przestrzegać. W innym wypadku nie mają sensu. Mogą tylko narobić ci kłopotu.

Po telefonie miał usiąść za biurkiem i udawać, że coś pisze. Było wielce prawdopodobne, że go obserwują, być może nawet mają kamery w domu. Musiał więc udawać dość dobrze.

Najlepiej rzeczywiście pisać. Niewyraźnie i w jakimś obcym języku.

Potem musiał sobie zrobić coś do jedzenia i picia. Jeść spokojnie. Następnie wyjść z domu, rozejrzeć się.

Nic nie zobaczy. Ale oni tam będą. Powinien ocenić, czy nie ma żadnych kolczatek na drodze (raczej nie będzie). Później wsiaść do jeepa i powoli (bardzo powoli) pojechać drogą do wsi. Jechać, dopóki nie zobaczy jakiegoś patrolu. A potem miał zastosować kolejne procedury.

Zrobił wszystko, jak ustalili.

Nowe ustalenia niewiele różniły się od tych sprzed dwudziestu lat. Z tym, że teraz musiał jeszcze uważać na jakieś cholerne drony i mieć świadomość, że każdy elektroniczny gadżet może posłużyć do jego namierzenia.

Dlatego cały sprzęt elektroniczny zostawił w domu.

Pożegnał się z nim.

Nigdy więcej już się nie zobaczymy. Szkoda. Przez dwadzieścia lat zdążył się przyzwyczać i przestał oczekiwać na wybawienie. Pogodził się sam ze sobą.

Ruszył w drogę.

Kuba parę dobrych godzin zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Lenza i nie przekazać mu swojego odkrycia. Cwaniak ze mnie, co, panie inspektorze Lenz? Pan się głowi, jak spiąć jedno z drugim, kim może być zabójca i w ogóle, a tu byle pismak po prostu wpada na to dzięki jakimś ministerialnym raportom.

Jak mogłeś tego nie sprawdzić?

Jesteś niezbyt rozgarnięty, masz małą wyobraźnię czy może zwyczajnie to przeoczyłeś? A może nie skojarzyłeś tych nazwisk?

A jeśli skojarzył, a to po prostu dwie różne osoby o tym samym nazwisku?

Niemożliwe?

Zimny przypomniał sobie dwa niemal bliźniacze przypadki. W jednej ze spółek wyprowadzających kasę z giełdowego domu maklerskiego znalazł kobietę, która miała takie samo imię i nazwisko jak urzędniczka wyższego szczebla z giełdy. Od razu stworzył teorię, że ta biurwa dostaje łapówki. Nie pomyślał, że to mogą być dwie zupełnie inne osoby. Wyszedłby na niezłego dumnia, gdyby nie sprawdził.

Drugi przypadek: syn prezesa państwowego funduszu dzielącego pieniądze unijne nazywał się dokładnie tak samo jak koleś wykonujący lewe zlecenia dla funduszu. Też okazało się, że to zwykła zbieżność nazwisk. Na szczęście łatwo było to sprawdzić, bo różniły się PESEL-e.

Tomasz Rawicz. Czy to możliwe, że jesteś takim samym zbiegiem okoliczności?

Urzędnik ministerialny dający cynki Sawickiemu i „słup” zarządzający firmą z Gęsior, która przez dwadzieścia lat dostaje lewe zlecenia. Niemożliwe, żeby to był przypadek. Niemożliwe.

Ale zanim zrobię z siebie bohatera, muszę sprawdzić. Dumniem zostaje się znacznie szybciej niż herosem.

Gruby był zajęty.

- Nie mogę, naprawdę, nie teraz.
- Zajmie ci to pięć minut. Sprawdź mi tylko PESEL.
- Dobra, to mogę.
- A jeśli będzie zgodny, daj namiar na tego blogera.
- Nie mogę.
- Dlaczego?

Cisza. Gruby długo się zastanawiał.

- Bo to kobieta – odparł w końcu.
- No i?
- Zarywam ją.
- Wciąż nie widzę przeszkód...
- Jak ci podam, to mi ją wyrwiesz.
- Żartujesz?

– Dla ciebie to wszystko jest takie proste, Zdzichu. A ja jestem człowiek poszukujący... hm, przyjaźni. Nie możesz tego zrozumieć. To są dla mnie ważne sprawy. Ty idziesz do knajpy, wypijasz pół butelki wody, potem tańczysz albo rozrabiasz i na koniec wychodzisz w towarzystwie jakiegoś kociaka. Jeden wieczór i załatwione. Ja tak nie chcę, nie mogę i nie umiem. U mnie proces zdobywania... przyjaźni trwa miesiącami. Nie pozwolę, byś go zniweczył.

- Chcę tylko z nim... z nią pogadać.
- Tak się zaczyna.

Zimny w myślach coś przeliczył.

– Gruby, ty się ze mnie zbijasz.
– Nie, powaga.
– Przecież ta laska z bloga ma co najmniej pięćdziesiąt lat.
– I co z tego?
– Mógłbyś być jej dzieckiem.
– Jesteś podły, Zdzichu. Nie zauważasz tych naprawdę ważnych rzeczy. Skupiasz się na błahostkach.

– Dobra, Gruby, pukaj sobie, co tam chcesz. Ustal mi tylko ten PESEL.
– Nie obrażaj moich przyjaciół.
Gruby zadzwonił pół godziny później. Miał zrezygnowany głos.
– PESEL się zgadza, a moja dama chce się z tobą spotkać. Nawet nalega, cholera, żeby to nastąpiło jak najszybciej.

Lampka ostrzegawcza. Coś było nie tak. Nieraz już nim manipulowano.

– Kiedy?
– Masz czas o szesnastej? Kończy wtedy pracę.
– Nie zdążę dojechać do Gdańska.
– A kto mówi o Gdańsku? Ona pracuje w Wawie. Cały czas w jednym miejscu od dwudziestu lat. W ministerstwie.

Jeep Rawicza nagle skręcił w polną dróżkę i zniknął w lesie.

– Bez paniki – zakomenderował Lenz.

Prawdę mówiąc, wiedział już, że to źle się skończy. Od chwili gdy Banda mu powiedział, że w telefonie padło nazwisko „Głazewski” i odpowiedź „pomyłka”. Nazwisko, którym posługiwał się Rawicz przy wynajmie stodoły w siedlisku.

Nazwisko hasło.

– To ostrzeżenie! – krzyknął. – Trzeba go zatrzymać. Natychmiast.

Wybiegł z remizy, uruchamiając wszystkie posterunki.

Jeep... Numery... Zatrzymać... Natychmiast... Kiedy wskakiwał do nieoznakowanego samochodu, usłyszał z głośnika serię przekleństw kierowcy, który zajmował pozycję najbliższą domu Rawicza.

– Co się stało?

– Skręcił w pole, szefie. W to pole... Na bagna – zrozumiał Lenz. Samochód patrolu nie nadawał się do pościgu. Spojrzał na zegarek. Mieli trzy minuty drogi do domu Rawicza. Może zdążą.

Jak na pięćdziesiątkę wyglądała naprawdę nieźle. Blondynka, szczupła, zgrabna. Ostre rysy twarzy, nos spiczasty, zadarty, odrobinę za szerokie biodra, poza tym wszystko jak trzeba i na miejscu. Wąskie usta nie uśmiechały się szeroko, więc myślał, że ma niezbyt ładne zęby, ale się mylił. Były białe i zadbane. Tylko ten przeklęty nick do niej nie pasował. Shaza. Musiała być albo kretynką, albo niezłą jajcarą. Gruby nie dał się spławić i przez całą rozmowę siedział obok. Kuba

zastanawiał się, czy gdyby go nie było, pomyślałby o seksie z tą dziwną kobietą, która zamiast wychowywać wnuki, piec pączki i robić golonkę po sarmacku, trwoniła czas na internetowe blogi i wyglądała jak podstarzała prostytutka z wyższych sfer albo cichodajka z klubu dla golfiarzy i japiszonów.

– Opiszysz to, o czym ci powiem? – zapytała niemal od razu, co wzbudziło czujność Zimnego. Zwykle takie rozmowy wyglądają inaczej.

– Jeśli będzie ciekawe.

– Podobno już nie jesteś dziennikarzem?

– Zdarza mi się coś jeszcze napisać.

– Kłamiesz, prawda?

– Nie. To znaczy...

– Dziennikarz spotyka się z informatorami, żeby pisać teksty.

– Masz rację, nie jestem dziennikarzem.

– Więc po co ci te informacje?

Kuba nie znalazł żadnej dobrej odpowiedzi, więc tylko westchnął. Mógł rzucić coś o książkach, ale to przecież byłaby nieprawda. Nie po to się z nią spotykał, żeby opisać uzyskane rewelacje. Milczał. Powinien lepiej przygotowywać się do takich rozmów. Shaza załatwiła go bez mydła.

– Dobrze, opowiem ci o wszystkim – powiedziała niespodziewanie. – Ale pod jednym warunkiem.

Jakim cudem on uciekł?

Jeep stał na polanie w lesie, koło niewielkiego szałas. Śmigłowiec krążył nad puszcza, ale w zasadzie mieli już pewność, że Rawicz uciekł i że go nie złapią. Musiał dobrze przygotować plan ucieczki. W szałasie i wokół niego znaleźli dość śladów, żeby ułożyć sobie jakąś teorię.

– Miał schowany motocykl. Jakieś cholerne enduro.

– Pewnie gdzieś dalej jest drugie auto.

– Miał pieniądze. Mógł sobie pozwolić na działanie z rozmachem.

– Daliśmy dupy, zlekceważyliśmy gościa.

– Uśpił nas, drań.

– I co teraz?

– Szukamy go.

Kilka godzin później Tomasza Rawicza szukano już w całej Polsce. Wszystkie lotniska i przejścia graniczne zostały poinformowane o zbiegu. Lenz był jednak dziwnie pewien, że wcale nie spróbuje ucieczki tą drogą.

Nagle się uspokoił.

Czuł, że go złapie.

– Wykorzysta inną ścieżkę. Ostatnią deskę ratunku.

A potem zgarnął Bandę, Wandę i Karateków i wydał im polecenia.

– Tylko morda w kubek. Nie wolno wam nic powiedzieć Siejce ani nikomu

spoza Wydziału.

Nienawiść. Ona nigdy nie przemija. Potrafi na chwilę przycupnąć gdzieś w cieniu, przygasnąć, ale jej rozgrzane, pożądające ognia macki będą się tlić po wieki, by w końcu wybuchnąć, wziąć swoje, zniszczyć każdy pokojowy pakt.

Nienawiść jest kobietą – myślała sobie. I tylko kobiety potrafią tak naprawdę nienawidzić. Mężczyźni kierują się zemstą, bywają równie pamiętliwi, okrutni i źli, przesiąknięci pogardą i chęcią mordu, ale do prawdziwej nienawiści nie są zdolni. Ile razy widziała takich, którzy obrażeni, urażeni, upokorzeni czy zwyczajnie zbyt ambitni zbliżali się do finału, byli o krok od epilogu zemsty, a potem rezygnowali, jakby uznali, że wystarczy im to, co osiągnęli.

Robiło im się szkoda ofiar, współczucie odsuwało nienawiść.

Nie, umówiliśmy się przecież, że to nie była nienawiść, lecz jedynie...

Pragnienie.

Okazywali litość w najmniej oczekiwanym momencie. Odchodzili z niczym. Ponosili porażkę. Niektórzy myśleli, że ugasili ogień nienawiści, ale się mylili. Nie wiedzieli, czym jest nienawiść.

W przeciwieństwie do niej.

Dwadzieścia lat pielęgnowała ją w sobie, czekając na swoją chwilę, tę jedną, w której wreszcie będzie mogła pofolgować najgorszym instynktom. Zemścić się za tamto, co się wydarzyło.

Przez wszystkie te lata pracy i życia myślała, że ów moment spełnienia nie nadejdzie. Że będzie za słaba, by zaspokoić ten głód. Im bardziej Sawicki rósł w siłę, tym bardziej ona przestawała wierzyć. Próbowowała różnych sztuczek. Wysyłała anonimy i donosy, namawiała innych do „odwagi”, podnosiła temperaturę, dolewała oliwy do ognia. Była inspiratorką wszystkich niecznych uczynków wymierzonych w drania. W Wicku znalazła nawet bratnią duszę, która pod własnym nazwiskiem donosiła na Sawickiego.

Nie była głupia. Potrafiła racjonalnie myśleć o tym, co się wydarzyło. Czasem wręcz się zastanawiała, czy jej osobiste porażki nie są efektem tej postawy, bo przecież sam Sawicki nie miał już na nie wpływu. Czy nienawiść może nas zniszczyć od środka? Determinować zło, które się dzieje? Przyciągać czerń jak magnes? Popychać nas w otchłań?

Ale skoro możemy się tylko oszukiwać, że z nią wygraliśmy, czy warto to robić?

Jej życie wydawało się doprawdy żalosne. Dwa krótkie nieudane związki, potem ciąg seksualnych ekscesów.

Ostatni partner namówił ją do swingowania. Poznała podobnych do siebie, którymi tak gardziła. Dla niej ludzie uprawiający zwierzęcy seks w grupach, w plenerze, na specjalnie zorganizowanych party, byli zwyczajnie upośledzeni. Mimo tej pogardy wpadła w wir i udawała nawet przyjemność, choć naprawdę

nigdy jej nie zaznała. W gruncie rzeczy nie lubiła seksu. Nawet z tym jednym jedynym doskonałym partnerem, który niemal za każdym razem doprowadzał ją na szczyt. Jak już byli ze sobą, było gorąco. Ale on musiał ją namawiać. Lub brać siłą.

Wtedy zadawała sobie pytanie: czy to nie jest tak, że oni w ten sposób karmią swoją nienawiść? Oszukują się i nie chcą do niej przyznać? Ci wszyscy niewolnicy nieskrępowanego seksu. Udający brak wstydu, odwagę w obnażaniu ciała i potrzeb, perfidną, ostentacyjną zuchwałość w szarganiu miłości.

Seks to nie miłość – mówili. Miłość to seks – miała ochotę odpowiedzieć.

Dla niej właśnie tak to wyglądało.

Miłość to seks.

Jedno wynika z drugiego.

Bez jednego nie ma, nie powinno być drugiego.

Seks nie może stać się miłością. Może jedynie ją naświetlić. Wyłowić z mroku.

Któregoś dnia podzieliła się swoimi refleksjami z jedną z partnerek. Myślała, że znalazła nową osobę do karmienia potwora nienawiści, ale ona tylko ją przytuliła.

To było takie dziwne. A jednak... przyjemne. Później ta lesba wręczyła jej wizytówkę. Była psychologiem.

– Odwiedź mnie. Porozmawiamy.

Nie zrobiła tego. Na wizytówce był adres e-mailowy. Napisała:

Nie jesteś w stanie mi pomóc. Nikt nie jest.

Tamta odpisała, że oczywiście się myli i wystarczy parę sesji, by to zrozumiała, darmowych sesji – podkreśliła.

Daj mi szansę.

Czy myślisz, że szkoda mi pieniędzy? Jesteś głupia. Nie pisz do mnie więcej.

Pieniądzy miała wystarczająco dużo.

W ministerstwie nauczyła się ustawiać. Nazywali ją Osa. Pięła się powoli po szczeblach. Miała parcie, bo wiedziała, że im wyższe stanowisko, tym większa szansa się zemścić. Ale była też ostrożna. Mimo że inni jej nie lubili, potrafiła tak na nich wpływać, że działali po jej myśli.

Była typem zwycięzcy, a jednak z nim jednym sobie nie poradziła.

Mimo licznych prób i intryg zawsze jakoś udawało mu się wybronić.

Jak ten drań Sawicki sobie poradził, tego nie wiedziała, ale przetrwał.

Wszystkie kontrole, wszystkie jej szpile poszły na marne.

Nienawiść tymczasem rosła.

Porażki podsycaly ją jak mokre liście rzucone na żar.

Najpierw dużo dymu, łzy w oczach, złość wszystkich wokół, a potem te liście błyskawiczne schły i w górę buchał ogień.

Im więcej porażek ponosiła, tym mocniejszy był potwór.

Rósł i tylko czekał, by wyskoczyć.

Aż w końcu ta chwila nadeszła. Siedząc naprzeciw grubasa, któremu się wydawało, że jest nim zainteresowana, i dziennikarza, który nie był już dziennikarzem, pomyślała, że jest żalosna, jeśli w to wierzy, ale uznała, że nie ma nic do stracenia.

Dlatego zdecydowała, że im opowie o swojej nienawiści.

O jej przyczynach.

Prawdziwych i tych wymyślonych, wykarmionych przez lata.

Na pierwszym roku mieszkała piętro wyżej. Nie знаła żadnego z nich. Potem umieszczono ją na końcu korytarza z dwiema laskami, które wiecznie się uczyły. Chodziły ciągle z książkami w ręce, wieczory zamiast w knajpach spędzały w czytelnicy, a za usypiacze służyły im stare, grube romanse. W sumie dziewczyny były w porządku, tylko strasznie spokojne.

Obok akademika był klub. Taki niewielki, nie studencki, zwykły. Nazywał się „Obok”. Adekwatna nazwa. Był obok wszystkiego.

Oni często tam bywali. Ona kupowała tam chleb i fajki. Najważniejsze rzeczy. Tam się poznali. Wypili piwo, zatańczyli, jej zrobiło się słabo, wyszli na powietrze.

Była zima, mróz, a oni w lekkich koszulach spacerowali po śniegu, smagani ostrym wiatrem od zatoki.

On przypominał jej Maxa z filmów Bergmana, ona była jego Liv. Nie musiał jej nawet zapraszać do kina. Koło klubu była kamienica z otwartą suteryną. Weszli tam i to zrobili. W piekielnych ciemnościach było to podniecające i szalone.

Doszła wtedy pierwszy raz. Głośno i brutalnie. Zaskoczona, nie rozumiejąc, jak to się mogło stać. Przecież to zawsze było nie dla niej.

Bała się, że on zniknie, zapomni o niej, bo tak się robi z dziewczynami na jedną noc, szczególnie tymi, które pozwalają się brać w suterynach i innych norach. Wtedy pewnie nie miałyby do niego pretensji. Ale on wrócił. Z biletami na seans w DKF-ie. Oglądali *Lśnienie*, lecz ona nie zapamiętała wiele oprócz jego dłoni na swoim brzuchu. I koszmarniej, wykrzywionej w szaleństwie twarzy Nicholsona.

Tym razem poszli do mieszkania jakiegoś jego znajomego, a jej się wydawało, że są parą. Rozebrali się, wykąpali razem, osuszyli ciała, potem leżeli na prześcieradle, nago, i pieścili się powoli, aż w końcu to znów musiało się stać. Doszli razem w jednej chwili, a on zalał jej brzuch ogromną ilością wydzielin. Pomyślała, że albo jest chory, albo zakochany.

Ale się myliła. On chciał się dalej spotykać, lecz tylko w tym celu. Gdy próbowała go zmusić do jakiejś deklaracji, powiedział wprost: nie ma nas. Jest tylko seks. Przyjemny seks.

I więcej nie przyszedł.

Była wściekła, nie chciała go znać. Po miesiącu jednak znów go zapragnęła.

Pomyślała, że może wystarczą jej te schadzki w wiadomym celu, przynajmniej dopóki nie znajdzie kogoś innego, bardziej na stałe.

Ale on już miał tę swoją Anisę, Anikę czy jak jej tam.

Sprowadził dziwkę do akademika, a potem posuwali ją we czterech.

Zazdrościła jej.

Nie seksu, nie przyjemności. Zazdrościła umiejętności manipulacji. Zdolności, której ona zawsze pragnęła, bardziej niż najdoskonalszego kochanka.

Anika, ta słodka.

Dziewczyna, którą kochali co noc niemal wszyscy chłopcy z akademika.

Wpatrzeni w okna, a potem niesieni siłą wyobraźni karmionej opowieściami o rozwiązłej panience z kamienicy naprzeciwko.

Anika. Jedyna taka dupa w okolicy.

Robiła z nimi, co chciała i jak chciała. Oj, głośno o tym było, głośno. Prawie wszyscy w akademiku gadali.

Kurwa z dwieście trzymaście.

Shaza sama też rozpowiadała, choć wiedziała, że to nieprawda. Bo w przeciwieństwie do innych była bliżej, obserwowała uważnie, czasem szpiegowała. I wiedziała, że cała ta historia wygląda zupełnie inaczej, że jest w niej miłość niemal jak z dobrych romansów, w których zaczytywały się jej współlokatorki.

Wichrowe wzgórza przeminęły z wiatrem.

Tak bardzo ją to intrygowało, tak bardzo stymulowało jej nienawiść, że musiała się dowiedzieć więcej.

Dlatego zrobiła, co zrobiła.

– Artur miał kumpla Tomka, którego wszyscy nazywali Rawi. Od nazwiska Rawicz. Mieszkał dwa pokoje ode mnie. Początkowo myślałam, że są przyjaciółmi, ale potem zrozumiałam, że łączyły ich po prostu interesy. Zresztą w ogóle źle oceniłam Tomka. Załatwiał Arturowi fałszywki i różne towary do rozprowadzania. Chyba sobie ufali, bo potem właściwie każdy nowy interes Rawi robił z Arturem, a ten wciągał do tego swoich współlokatorów. Tomek był odludkiem i dziwakiem. Strasznie roztrzęsiony, wiecznie niezadowolony i przygnębiony, a przy tym prawie genialny. Był bardzo mądry. Znał odpowiedź na każde pytanie. Jak encyklopedia. Wiedział wszystko: od historii przez geologię po anatomię człowieka. Gdy wchodziliśmy do restauracji, zerkał na kartę dań czy wywieszone menu i już pamiętał cenę każdej potrawy. Taki Rain Man. Ludzie go nie lubili, bo zazdrościli mu albo się go bali. Ja też... się bałam. Może też go nie lubiłam. Chciałam się z nim przespać tylko po to, żeby zemścić się na Arturze. Zrobiłam to, a potem owinęłam sobie Tomka wokół palca. Był jak dziecko w tych sprawach. Kompletnie nie znał się na miłości, seksie. Przypuszczam, że byłam jego pierwszą. Nawet bałam się zapytać, żeby go nie zawstydzić i żeby mi nie uciekł. Artur... a to drań...

też wiedział, jak należy z nim grać, bo w żaden sposób nie zdradził, co nas łączyło. Prowadziliśmy grę dwojga oszustów. Aż pewnego dnia Artur mnie zgwałcił. Ze złości. Kiedyś bym powiedziała, że z nienawiści, ale mężczyźni nie potrafią nienawidzić. On chciał mnie upokorzyć, wystraszyć, sprawić, żebym zostawiła Tomka. Żebym się od niego odczepiła. Zrobił to brutalnie i gwałtownie, a ja się z niego śmiałam. Nie potrafił być przekonującym gwałtcielem. Potem to się powtarzało jeszcze kilkakrotnie. Gdy Tomka nie było w pobliżu, robiliśmy te wszystkie perwersje. Przedziwny układ: ja i kompletna miłosna pizda Rawi, ja i rozchwiany emocjonalnie, nieszczęśliwy Artur, który zachowywał się tak, jakbym mu chciała odebrać zabawkę, i ta pieprzona sytuacja z Aniką. Nie wiem, do czego by to doprowadziło, gdyby nie to, co się stało.

Kuba popatrzył na Grubego. I ty naprawdę chcesz mieć coś wspólnego z tą zmiłą? Gruby poczerwieniał. Chyba nie spodziewał się takiej opowieści. Uciekaj, stary, jak najszybciej, bo to modliszka. Pożre cię, nim zdążysz zamoczyć. Nawet jeśli wcale nie chcesz zamoczyć.

Zimny ciężko przełknął ślinę. Miał prawdziwą suchość w gardle.

– To znaczy? Co się stało?

– Tomek zniknął. Podejrzewam, że go zabili.

Kuba nie zdradził jej, że to nieprawda. Nawet jeśli Rawicz jest draniem, zabójcą czy malwersantem, nie zasługuje, by napuszczać na niego to jadowite stworzenie. Shaza? Powinnaś sobie wziąć pseudo Kali.

– Jak to się stało?

– To już było po ich pierwszych sukcesach. Planowaliśmy z Tomkiem ślub. Nawet myślałam o tym poważnie. Nie było to już takie wyrachowane. Nie, nie będę kłamać, że się w nim zakochałam. Ale po prostu przywiązałam się do niego. Tomek cały czas współpracował z chłopakami z dwieście trzysta. Chciał zrezygnować z pracy w ministerstwie, żeby włączyć się w rozwój firmy, ale Artur go przekonał, że jako szpieg będzie dla nich bardziej przydatny. Z tego, co wiem, Sawicki był przeciw takiemu rozwiązaniu, ale skończyło się, jak się skończyło. Obiecali Tomkowi, że jak już wejdą na giełdę, dostanie swój pakiet akcji, proporcjonalnie od każdego, ale wcześniej miał im po prostu pomagać jako urzędnik. To był chyba tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty trzeci czy czwarty. Na giełdę ostatecznie weszli chyba w dziewięćdziesiątym siódmym, ale dwa lata wcześniej, tuż przed zniknięciem Tomka, coś się wydarzyło. Jak sam mi powiedział, przekazał Arturowi cynk o jakichś zmianach w akcyzie, które można wykorzystać, żeby taniej kupić paliwo, a potem sprzedać je z dużym zyskiem. Sawicki ponoć nie chciał tej transakcji, ale nie miał wyjścia. Musieli się o to pokłócić, bo pewnego dnia Tomek nie wrócił do domu. Zniknął.

Zamilkła.

– Zgłosiła to pani na policję?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Mimo że tyle lat byliśmy razem, nie mieszkaliśmy ze sobą. Nie byłam jego żoną, nie miałam do niego praw. Jak miałam to zgłosić? Przez pierwsze tygodnie myślałam, że wróci, że gdzieś się zawieruszył, zapomniał mi powiedzieć, że ma coś załatwić, wyjechać. Zadzwoiłam w końcu do Artura, a on przyjechał i... znów to zrobił.

– Co?

– Zgwałcił mnie. I powiedział, że jeśli będę wypytywać o Tomka, to zrobi mi krzywdę. Jeszcze większą krzywdę. Wtedy był rzeczywiście jakiś inny. Przestraszyłam się go. Bałam się. Być może bym to zgłosiła, ale niedługo potem doszło do tego wypadku i Artur też zginął razem z kolegami. Został tylko Sawicki. Przez wiele lat nosiłam tę historię w sobie.

– Czemu nie poszła pani na policję? – powtórzył Zimny.

– Dużo się mówiło, że w tym brały udział WSI, że to nie był zwykły wypadek. Oni weszli w nie swoje interesy. Te paliwa ich zabiły. To już nie były głupie rozgrywki o parę stów z fałszywych banknotów, tylko gra o dziesiątki milionów. Potem pewnie i o setki. Teraz to już w rachubę wchodzi miliardy. Wokół mnie kręcili się jacyś dziwni ludzie. Dostałam pewnego dnia wiadomość, anonim. „Milcz cały czas. Jak ci kazał Artur”. Może słowa były trochę inne, ale sens... Tak to zrozumiałam. Milczałam.

– Dlaczego teraz zdecydowała się pani mówić?

Zapaliła papierosa.

– Chciałabym skłamać, powiedzieć coś o sprawiedliwości, o dobroci Tomka, o tym, że jego sprawa zasługuje na wyjaśnienie, a śledztwo dziennikarskie daje taką możliwość, minęło już przecież tyle lat. Mogłabym tak powiedzieć, ale to byłaby nieprawda.

– A jaka jest prawda?

– Sawicki zasługuje na to, by ktoś go za tę sprawę rozliczył. Nawet jeśli nie jest winny. Wszyscy zginęli, a on został tym pieprzonym miliarderem. Należy mu się.

Kuba poklepał Grubego, co miało znaczyć: nie zostawię cię z tym wampirem, Grubasie. Odpowiedziało mu spojrzenie: wiem, Zdzichu.

– Tak, macie rację – zakończyła smutno.

– W czym?

– W tym, co o mnie myślicie.

– Nie, skąd – bąknął Gruby, ale zabrzmiało to słabo.

Uśmiechnęła się nieprzyjemnie i zakończyła:

– Nienawiść to straszna rzecz...

Lenz ciągle coś szeptał pod nosem i bawił się zapalniczką. Zawsze tak się zachowywał, gdy był w ciągu. Banda patrzył na niego i wołał zejść mu z drogi. Tak

było lepiej. Szczególnie że podejrzany uciekł i jeśli rzeczywiście jest tak przebiegły, jak podejrzewali, to ciężko będzie drania złapać. A jednak szef sprawiał wrażenie pewnego, że im się nie wymknie. Podzielił zespół na trzy grupy. Dwie wysłał do obserwacji Wicka i biura w Warszawie. Trzecia, w której był też Banda, ulokowała się w Mariotcie koło lotniska. Lenz załatwił pozwolenie na umieszczenie zestawu urządzeń w samolocie i dostał do dyspozycji F-16.

Mogli już tylko czekać.

Wszyscy z wyjątkiem Bandy.

Bo Banda miał wciąż sprawdzać internety.

– Od tego jesteś, nie? – Wanda klepnęła go w ramię i wyszła do baru.

Tak, od tego jestem – pomyślał Banda.

Otworzył teczkę z kryptonimem „Kort”. Lista dokumentów wypełniła ekran. Większość to były skany, niewielkie jpg wykonane z kart akt i dokumentów. Banda zawsze na początku badał je z zapalem, by po chwili przeglądać wrywkowo. Niby zasady były inne. Powinien działać systematycznie. Karta po karcie, zdjęcie po zdjęciu. Ale to nie było w stylu Bandy.

Albo ma się farta, albo się go nie ma.

Popatrzył na identycznie wyglądające ikonki i w końcu kliknął w którąś pośrodku. Miała numer 1123. Nic ciekawego. Potem strzelił w 1244. Podobnie. Kolejną i następną. Potem klikał, klikał, klikał, w końcu poszedł po piwo.

Już miał zamknąć dokument, gdy to zobaczył.

Pozornie nic ważnego. Nic znaczącego.

Ledwie szczegół.

Coś mu nie grało.

Powiększył zdjęcie, spisał jego właściwości i wszedł do internetu. Zalogował się w systemie ministerstwa, przeklinając i hakując zabezpieczenie, po czym odszukał furtkę do systemu kadrowo-płacowego. Spojrzał w papiery, wprowadził dane do wyszukiwarki i po chwili miał oryginał, z którego zrobiono skan. Kliknięcie prawym klawiszem myszki i opcja Właściwości. Teoretycznie wszystko się zgadzało. Teoretycznie.

– Gówna prawda – mruknął Banda.

Otworzył konsolę z wierszem poleceń i przeszedł na przeszukiwanie dokumentów z poziomu źródłowego. Trzy minuty później wiedział już, co jest nie tak. Pięć minut, i gwizdał z podziwem dla samego siebie.

– I kto tu jest geniuszem!

Spojrzał na zegarek i stwierdził, że trzeba odczekać do rana, a potem powiedzieć Lenzowi, że ustalenie tej przełomowej informacji zajęło mu całą noc, więc ma kolejny dzień wolny do odebrania.

– Tak się przyspiesza emeryturę – szepnęła, włączając płatny kanał dla dorosłych. Wydział S zapłaci albo zaszantażuje hotel i tyle.

Wstał i sięgnął do lodówki. Wiedział, że alkohol w niej cenowo dziesięciokrotnie przekracza granicę przyzwoitości, ale miał pragnienie. Co zrobić? Napisze raport, że mu okradziono lodówkę, i po sprawie. Po tym, co ustalił, Lenz łyknie każdą bajeczkę, wniosek o nagrodę, dodatek czy parę dni urlopu.

W zasadzie powiedziała temu dziennikarzowi prawdę. Nie wspomniała tylko o jednym, o ZNAKU. Znak był jasny. Pochodził od kogoś, kto wiedział o anonimach, które dostawała, a które miały ją wystraszyć. Tym razem Znak napisał: *Już nie musisz się bać. Możesz zacząć pytać. Możesz, a nawet powinnaś.* Założył za nią bloga, na którym wypisywał różne rzeczy. A potem dał jej hasło i zaproponował, by kontynuowała. Bała się. Znak wiedział tak wiele. Ale pozwalał jej mówić wszystko. Zakazał tylko wspominać o sobie.

Bo inaczej...

Teraz, jak już wszystko powiedziała, odetchnęła. Poczowała ulgę. Nienawiść została zaspokojona, strach uspiomy. Była wolna. Mogła skupić się na innych rzeczach.

Do domu wchodziła, czując, że jest zupełnie odmienioną osobą.

I wtedy go zobaczyła.

Ducha.

Nieistnienie.

Kogoś, kogo nie powinna była widzieć.

Przecież zniknął.

Przecież miał nie żyć.

Duch powiedział:

– Witaj.

A potem zasłonił jej usta dłonią. Niemal omdlała. Gdy ją gwałcił, a potem zabijał, szeptał:

– Myślałaś, że jestem inny. Że jestem za słaby, by nienawidzić. Że nie jestem zdolny do przekroczenia granicy. Myliłaś się.

Magda wciąż nie mogła uwierzyć. Ale ekran nie kłamał. Głos również. Pieprzony kutas. A prawie mu zaufała, prawie się zakochała. Dlaczego? Dlaczego była tak naiwna?

Ponownie włączyła odtwarzanie.

Kamera filmowała jakiś pokój. Chodził po nim zaniedbany mężczyzna. Przydługie włosy, chude ciało. Goły, tylko w slipkach. Granatowych, w króliczki. Zrobił sobie kawę, potem drinka, w końcu podszedł do kamery. Mrugnął do niej. Poprawił, żeby na pewno była skierowana na łóżko. Potem pił kawę i czytał.

Przewinęła dwanaście minut do przodu.

Do pokoju weszła kobieta w płaszczu. Zdjęła go. Rzuciła torebkę w ką. Zaczęli się całować. Próbowwała pociągnąć Zimnego na podłogę, ale wtedy byłiby poza kadrem. Nie pozwolił na to. Przeniósł ją na łóżko, całował, następnie przewrócił na brzuch.

Magda zadrżała ze złości.

Mężczyzną był na pewno Zimny. Kobiety nie znała.

Przesunęła myszkę prawie maksymalnie do prawego dolnego rogu. Kliknęła. Kończyli właśnie.

Jeszcze pół minuty kakofonii jęków. Cięcie.

Kolejne ujęcie było bez obrazu. Sam dźwięk.

Żartobliwe rozmowy mężczyzn o kobietach. Jednym z tych mężczyzn bez wątpienia był Zimny. Głos miał nie do podrobienia. Nie chciała słyszeć tego, co mówi do towarzysza, ale nie potrafiła się zmusić, by wyłączyć odtwarzacz.

– To dziwka, kurwa. Zwykła kurwa, rozumiesz?

Zimny mówił o niej. Przynajmniej tak wynikało z kontekstu.

Cięcie.

Kolejne ujęcie. Już ostatnie. Najkrótsze.

Jej domek w Wicku. Łóżko. Kiedy zdążył podłożyć kamerę? Nie mogła uwierzyć, że tego nie zauważyła. Drań musiał to sobie zaplanować.

Z mieszaniną obrzydzenia i niezdrowej fascynacji patrzyła na to, co później z nią robił. A potem płakała.

Gdy pierwszy raz to oglądała, płakała jak norka. Potem chciała do niego pojechać i wygarnąć mu, co myśli. Następnie z dziesięć razy zmieniała plany. W końcu postanowiła być twarda. Jak ostatnia, wyrachowana sucz. Pokazać mu, że trafił na godnego przeciwnika. Że nie można jej złamać takimi metodami.

Zadzwoiła do człowieka, który dostarczył jej nagrania. Który od lat dbał o jej bezpieczeństwo, miał po temu odpowiednie narzędzia i techniki. Który bez problemu włamał się do komputera Zimnego i ściągnął z niego potrzebne dane.

Z trudem panowała nad emocjami.

– Musisz go zwolnić – wydusiła.

– Może ma jakieś wyjaśnienie? Może trzeba go zapytać?

– Nie. Żadnych pytań.

Chwila ciszy. Głośne przełknięcie śliny.

– Co mam powiedzieć Markowi?

– On albo ja. Niech zdecyduje.

Bała się, że Marek – zawsze taki święty, starający się nikogo nie skrzywdzić – dokona innego wyboru. Wydawało się to niemożliwe, ale w takich sytuacjach zawsze jest margines błędu. Nie tym razem jednak. Marek, choć może z trudem, podjął jedyną możliwą decyzję.

Posłał drania Zimnego w diabły.

Nienawiść. Zaległa się w jej duszy i narastała z każdą chwilą.

Pewnie dlatego coś jej kazało ciągle wracać do tej sytuacji i nagrań. Powinna dawno to wyrzucić, zapomnieć o nim, o wcześniejszych decyzjach, o całym tym cholernym śledztwie, które prowadziła.

A jednak nie mogła.

Zimny dzwonił do niej co jakiś czas, a ona nigdy mu nie powiedziała, że wie o jego perfidii. Nigdy nie wygarnęła kutasowi, co o nim myśli.

To było dziwne. Ocierało się o swoistą perwersję.

Była grzeczna.

Potem zrobił się z tego schemat i stwierdziła, że nie ma lepszej kary. Gdyby mu powiedziała, że odkryła jego grę, wygarnęła, wyzwala od ostatnich sukinsynów, on by po prostu to przyjął. Przecież zrobił to, jest kutasem, krytyka tylko go rozbawi.

Postanowiła więc rozgrywać to zupełnie inaczej.

– Tak, kochanie?

– Musimy się spotkać. Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

– Tak, ja też o tym marzę.

– Magda, to naprawdę ważne.

– Tak. Tak. Zadzwoń.

– Magda!!!

Pstryk. Połączenie przerwane. Zatelefonuje za minutę, ale ona już nie odbierze. Tak samo zignoruje kolejne kilkanaście prób. Będzie się bawić.

Dopiero potem się popłacz.

Dzwonek zadzwijał parę sekund za wcześnie. Wpatrywała się w czarny ekran telefonu i zastanawiała, dlaczego nie pokazuje, że ktoś dzwoni.

Po chwili zrozumiała.

– Głupia – mruknęła i podeszła do drzwi.

To nie był dźwięk telefonu, tylko domofon.

Mastalerz bezwzględnie przerwał spotkanie z inwestorami. Kameralne, niezwykle ważne negocjacje z dwoma największymi instytucjami finansowymi w kraju. Obaj prezesi byli wyczuleni na takie sytuacje. Obrażali się o byle co.

– Zwariowałaś? – warknął Sawicki, gdy już znaleźli się w poczekalni.

– Przepraszam, nie było wyjścia.

– Co się dzieje?

– Przed chwilą dostałem to. – Pokazał Markowi ekran wiadomości na smartfonie.

Biznesmen zbladł.

Znów ich przechytrzył.

Lenz był wściekły. Musiał opuścić pułapkę i udać się do centrum.

– Będzie sama pani premier. Radzę ci potraktować to jak walkę o przyszłość Wydziału. Jeśli dasz dupy, ona po prostu go rozwiąże i odeśle cię do wypełniania mandatów za przejechanie podwójnej ciągłej.

– Może za tym tęsknię.

– Rusz dupę i przyjeżdżaj – uciał Siejka.

Nie chciał mu mówić o pułapce, więc po prostu to olał. Może nic się nie wydarzy. Ale przecież zawsze się wydarza, gdy myślimy, że się nie wydarzy.

Pani premier czekała tuż przy zwłokach ważnej urzędniczki ministerstwa. Zanim stała się zniechęconym przez jednych i tolerowanym przez drugich politykiem, była lekarzem. Oglądała masę ciał, cierpienia, nieprawości i niesprawiedliwości.

Mimo to dzieło kata wyraźnie ją poruszyło.

Lenz z trudem patrzył jej w oczy, gdy dopytywała się o postępy i błędy w śledztwie. Nie zbeształa go, nie zmieszała z błotem. Nawet nie zrobiła tej słynnej skrzywionej miny oznaczającej całkowitą dezaprobatę dla jego działań.

Cóż, nie ma ludzi nieomylnych.

– Czego pan potrzebuje, inspektorze, by go dopaść?

Pojedynek na spojrzenia trwał może pięć sekund. Magda, wciąż myśląc o Zimnym, nie rozpoznała stojącego na progu starszego, zaniedbanego mężczyzny, który trochę przypominał kloszarda, trochę pensjonariusza domu dla weteranów wojennych. Dawniej z pewnością był przystojny – gęsty zarost tylko podkreślał rysy filmowego amanta.

Była pewna, że to jakaś pomyłka. Pewnie chciał zapukać do domu obok. A może poprosić o jałmużnę.

– Przepraszam, ale... – zaczęła, gdy kloszard popchnął ją do środka zaskakująco pewnym, silnym ruchem ramienia i drugą ręką zamknął drzwi. – O co...

– Ciii. – Przytknął palec do ust. – Nic nie mów.

– Ale...

Był już przy niej. Jednym krótkim skokiem. Magda próbowała się odwrócić, sięgnąć po jakąś broń, ale nie zdołała. Silne ramię obezwładniło ją i powaliło na ziemię. Czowała twarde jak skała, wytrenowane przez lata mięśnie. Wciąż sprawne.

– Byłem ciekaw, czy coś zagra – szepnął. – Czy coś poczujesz...

Magda patrzyła w oczy mężczyzny z coraz większym przerażeniem i teraz już go rozpoznała. Wiedziała, kim jest.

I wiedziała, że to koniec.

On nie przyszedł z nią negocjować.

Miał zupełnie inny interes do załatwienia.

– Może to jakaś prowokacja?

– Nie sądzę. Magda nie daje się tak wrabiać.

– Dlaczego nie żądają kasy?

– Może właśnie dlatego. Zależy im na uzyskaniu rozgłosu bez zbytniego podrażnienia lwa. Oni wiedzą, że będziemy ich ścigać do końca życia. Chyba że zasłużą na amnestię. Powoli nad nią pracują.

– Jesteś okropny.

– Staram się.

Może gdyby żądali pieniędzy, byłby większy kłopot.

Ale oni chcieli tylko samolotu.

Ich prywatnego samolotu.

Walczyła jak lwica. Prawie. Może nawet z większym animuszem i wiarą, że się uda. Patrzył, jak ten entuzjazm gaśnie, i robiło mu się zwyczajnie żal. Zakneblował ją, związał i przygotował do sesji.

– Uśmiechnij się, jesteś taka fotogeniczna – zadrwił, kierując kamerę telefonu na wijącą się dziewczynę. – Jakie to dziwne! Gdyby wszystko potoczyło się inaczej, mógłbym być nawet twoim ojcem.

Uspokoila się, przestała walczyć.

Siedziała związana, zakneblowana, przegrana.

Czekała na wyrok.

– Nie wierzysz, prawda? Wciąż myślisz o tej swojej mamusi jak o świętej. Wciąż uważasz, że była niewinna, że to inni są winni, prawda? Wciąż nie wierzysz, że dawała każdemu. Na każdym piętrze, przy każdej okazji. Nie wierzysz. Krew nie woda, ma znaczenie. Dzieciom trudno się pogodzić z prawdą o rodzicach. Szkoda, że jej nie poznasz, choć i tak uznałabyś mnie za kłamcę. Tylko... po co miałbym kłamać? Zastanów się. Po co? Ech... Zróbmy lepiej próbę...

Nacisnął przycisk nagrywania, podszedł do niej, usiadł obok. Dwoma palcami uchwycił jej szczękę, ścisnął mocno. Piękne łuki brwi zareagowały, maksymalnie zbliżając się do siebie. Ścisnął mocniej. Cichy jęk. Wiergnięcie. Ze wszystkich sił starała się krzyknąć. Knebel zadziałał. Ledwie mogła złapać oddech nosem. Na chwilę puścił szczękę i zacisnął palce na nosie Magdy. Poczzerwieniała,

była bliska omdlenia. Puścił.

– Tylko mi nie odpływaj.

Wstał. Podszedł do kamery. Wyłączył nagrywanie. Przewinął, sprawdził.

– Idealnie. Pięknie wyglądasz. Jak ta aktorka... Raquel chyba ma na imię. Piękna. Dobra, czas na ostatni klaps...

Ponownie nacisnął nagrywanie. Podchodził wolno, cedząc słowa.

– Miałem ją. Jako ostatni. Z tobą w środku. Miałem ją. Byłem w niej razem z tobą. Tak blisko. Już wtedy czułem, że i ciebie będę miał. Kiedyś. Że to się wydarzy.

Próbowała go kopnąć, wierzgnęła po raz ostatni, ale on był zbyt silny i sprawny. Uniknął ciosu, chwycił ją za łydkę, wcisnął się pomiędzy jej nogi, unieruchomił ciężarem ciała, a potem zaczął powoli błędzić po niej swoimi lepkiemi dłońmi. Nie spieszył się. Miał wiele czasu, by zrobić to, po co przyszedł. By dać ujście wszystkim swoim chorym instynktom.

Czekali na lotnisku przy prywatnym samolocie. Sawicki, Mastalerz, dwóch uzbrojonych ochroniarzy. Oni byli przeciwni takiemu rozwiązaniu sprawy. Upierali się przy zawiadomieniu policji i służb specjalnych lub chociaż umieszczeniu w samolocie jednego z agentów ochrony, który mógłby rozprawić się z szantażystą.

– Nie – krótko zarządził Sawicki. Potem uzupełnił: – Ma współników, mogliby zrobić jej krzywdę.

Byli niepokieszeni, odeszli na bok. Nie lubili, gdy „obiekty” okazywały im nieposłuszeństwo. Uważali to za podważanie ich kompetencji. Oni byli od oceny zagrożenia i podejmowania decyzji.

Mastalerz chyba chciał ich trochę udobruchać, bo podszedł i wyjaśnił:

– To jego córka. Nie może ryzykować.

Szef ochrony patrzył zdziwiony. Jakby chciał zapytać: dlaczego o tym nie wiem? Dlaczego nie zostaliśmy poinformowani? Inaczej byśmy ją chronili. To wy zaryzykowaliście jej życie.

Pytania nie padły.

Mimo to Mastalerz skłonił głowę, przyjmując oskarżycielskie spojrzenie. Tak, mieli rację. Wielu ludzi miało rację, gdy krytykowało jego decyzje. Również Marek. Był przeciwny utrzymywaniu wielu kwestii w tak głębokiej tajemnicy, nie chciał płacić Rawiczowi, nie pozwalał na negocjacje z szantażystami. Wolał otwartą wojnę, intrygi traktował jak podłość. Miał rację.

Ale w sprawie Magdy to była jego ojcowska decyzja. Nikt nie mógł się dowiedzieć, nawet sama zainteresowana. Traktował ją jak córkę, nigdy jednak nie ujawnił swojej prawdziwej roli. Nawet gdy się upewnił, przeprowadziwszy w Szwajcarii badania DNA. Była jego córką. Bez najmniejszych wątpliwości.

Wyznał to Mastalerzowi już dawno w pełnej niedopowiedzeń, pauz i przemilczeń rozmowie na polu za Wickiem. Płakał. Mówił i płakał.

– Co mam zrobić? – zapytał na koniec.

Mastalerz zbyt dobrze poznał Marka, by doradzić mu inną decyzję niż ta, którą sam już dawno podjął.

– Prawda nie ma znaczenia.

– Biedne dziecko. Bóg mnie osądzi.

Mecenas wtedy tylko pokiwał głową. Ale potem wielokrotnie starał się podnieść starego przyjaciela na duchu. Tłumaczył, że inna decyzja spowodowałaby tylko konflikty, może rozwód, różne tarcia, problemy dla Marka i dla spółki. A tak... Nikt nie będzie wiedział. Oprócz nich.

Nawet Magda.

Za to będzie miała wszystko. Możesz jej zapewnić dobrą pracę i dostatnie

życie.

To Mastalerz popierał.

Z niepokojem jednak patrzył, jak Magda Buchner mknie po szczeblach kariery i coraz bardziej zdobywa serce Sawickiego. Była jego oczkiem w głowie. Z żadnym z dzieci nie miał tak dobrego kontaktu jak z nią. Zresztą oficjalni potomkowie szybko go zostawili. Ruszyli w świat, korzystając z życia i pieniędzy ojca. Szczęśliwie nie sprawiali mu problemów, nie brali narkotyków, nie uprawiali publicznie seksu, nie wyrzekli się Kościoła. Jednak z firmą i jego życiem tak naprawdę nie chcieli mieć nic wspólnego.

Pewnie dlatego Marek zaczął niebezpiecznie się zbliżać do złamania wcześniejszych ustaleń. Gdy powiedział Magdzie, że znał jej matkę, był o krok od wyznania całej prawdy.

Jeden mały krok.

A teraz Magda jest o krok od śmierci.

Być może z ich winy.

Spojrzał ukradkiem na wiadomość MMS w telefonie. Przedstawiała zakneblowaną, wykrzywioną z przerażenia i bólu twarz dziewczyny, w której szyję wbija się ostry nóż. Poniżej tekst:

Dacie samolot, odzyskacie dziewczynę.

Krótko i konkretnie.

Jeśli szantażysta ucieknie, nic jej się nie stanie. Miała zostać uwolniona natychmiast, gdy samolot z pasażerem wyląduje w Izraelu. Mastalerz wynegocjował szczegóły w kilku kolejnych wiadomościach, całą listę miał poniżej tego pierwszego MMS-a. Obawiał się jednak, że zostaną zdradzeni. Wspólnik szantażysty mógł przecież nie dotrzymać słowa.

Ale nie mieli innego wyjścia. Teraz już mogli tylko wierzyć i się modlić.

Zimny? Czego chce ten pismak?

Lenz właśnie skończył tłumaczyć pani premier, że to nie jest takie proste. To jak z górnikami, pielęgniarkami czy nauczycielami. Można obiecać im wszystko, a potem i tak kończy się na ochłapach. Zielona wyspa? Chce pani zielonej wyspy? Nie ma sprawy. Mogę w parę sekund wyrównać płace do jakiegoś przyzwoitego, akceptowalnego poziomu, naprawić system podatkowy, zlikwidować kolejki w szpitalach, wszystko mogę. Nawet obiecać pani, że jutro schwytam sprawcę, i poniekąd dotrzymać słowa, tylko że potem może się okazać, że to nie on.

Mamy duże nadzieje, bo wytypowano sprawcę i jesteśmy na jego tropie.

Prawdopodobnie już wkrótce.

Nie umknie nam.

To przełom. Zdecydowany przełom w śledztwie.

Ale nie jego koniec.

Pewności nie ma.

Zawahał się, ale w końcu uznał, że szkoda mu teraz czasu na rozmowę z dziennikarzem. Oddzwoni jutro albo pojutrze. Albo jak złapią Rawicza.

Kuba bardzo chciał się komuś pochwalić, że znalazł potencjalnego zabójcę. Naturalnym rozmówcą w tej kwestii był Lenz. Nie odebrał. A, co tam! Zadzwoił do Magdy. Cisza. Żadnych gierki. Po prostu wyrachowany, mechaniczny dźwięk. Wysłał SMS-a.

Muszę się z tobą spotkać, mam coś naprawdę ważnego do omówienia.

I drugiego:

Zadzwoń, proszę. To nie żarty.

Bez reakcji.

Zastanawiał się, co jeszcze może dziać. Robiło się późno. Nie miał ochoty na knajpę ani wódę. Nie mógł spać. Zostawił samochód i ruszył do klubu. O tej porze nikogo już tam nie będzie.

Przyda mu się poćwiczyć trochę w samotności.

Zabójca odłożył aparat i patrzył na nią. Wydawała się pogodzona z porażką. Po tym, jak skończył, jak zrobił z nią to co z matką. Zmaltretował fizycznie i psychicznie. Dobrze znał się na takich grach. Wiedział, jak kogoś przekonać, żeby myślał i działał dokładnie tak, jak on tego potrzebuje.

W pewnych kwestiach był prawdziwym ekspertem.

Zapalił papierosa.

Twoja matka mnie stworzyła. Stworzyła potwora. Tak bardzo chciałaś wiedzieć, to posłuchaj... dziecko. Posłuchaj tej opowieści.

Wiesz, ile osób przez nią zginęło?

Znacznie więcej, niż myślisz.

Znacznie.

Zabijałem... dwadzieścia lat. Po kilka razy każdego roku, częściej.

Szkołę w tym fachu, zdobyłem w nim najwyższe umiejętności.

Potrafię zabijać cicho i szybko, powoli, z przytupem i brutalnie.

Nie mam serca.

Chciałbym teraz cię dotknąć, taką podobną do mamy, i zapłakać.

Ale nie mogę.

Mam tylko jedno pragnienie.

Zrobić ci krzywdę.

Chcę tylko twojego cierpienia.

Chcę doprowadzić cię do rozpacz.

A wystarczyłoby, gdyby mnie po prostu pokochała. Żeby zwyczajnie mnie pokochała.

Musiała zginąć i musi zginąć każdy, kto ma z tym związek.

Kto kiedykolwiek wszedł mi w drogę.

A na koniec twój... tatuś... prawdziwy tatuś.

On też umrze.

Biznesowo i moralnie. To mi wystarczy, bo będzie przegrany. Nie wytrzyma w więzieniu. Nie będzie chciał takiej pokuty. Jak się dowie ze szczegółami, co z tobą zrobiłem za jego grzechy, pęknie mu serce, a jeśli nie, założy sobie stryczek i zgaśnie.

Najlepsza zemsta.

Nienawiść to straszna rzecz.

Niektórzy mówią, że zdolne są do niej tylko kobiety.

Ale to nieprawda.

Pokażę ci, do jakiej nienawiści jest zdolny prawdziwy mężczyzna. Nie miałaś prawa żyć. Od początku byłaś trupem. Powinnaś być umrzeć razem z nią. A teraz umrzesz po raz drugi.

Już za chwilę.

Nachylił się nad dziewczyną i wtedy rozległ się pierwszy sygnał telefonu. Zignorował go. Kolejną próbę połączenia również. Dwa przychodzące SMS-y przeczytał na głos. Uśmiechnął się.

– On chyba naprawdę cię kocha – powiedział głośno. – A ty uwierzyłaś w nieudolnie zmontowany filmik i go skreśliłaś. Biedna dziewczyna. Łatwo było tobą manipulować.

Teraz łatwo będzie cię ukarać.

Na chwilę przed śmiercią pomyślała, że nie chce umierać i kocha życie. Była gotowa na wszystko, by je uratować. Chciała się go kurczowo trzymać. Mogła błagać, pozwolić się upokorzyć, zrobić, czego tylko zażąda. Świadomość nadchodzącej śmierci zmienia perspektywę.

Potem walczyła.

Krótko.

Więzy nie pozwalały na wiele, ból szybko przekroczył granicę, za którą był już tylko niebyt. Czerń. Pustka. Nic się nie działo. Żadnego światła, żadnej ulgi. Zwykła pustka.

Wtedy na chwilę świadomość znów wróciła, lecz już bez bólu. Niezdolna do ruchu, krzyku i odczuwania, patrzyła, jak ją maltretuje, jak z chorą lubością i godnym pogardy pietyzmem wydobywa z jej ciała ostatnie tchnienia.

Krwawy demon spełniania. Tym był. To odczuwał.

Skończył.

Sprawił mu największą przyjemność. Jak zawsze.

Potem dyszał ciężko i wspominał.

Będzie miał co wspominać jeszcze długo.

Pomyślał o tym dziennikarzu. Zimny. Kuba Zimny. Nie miał nic do niego, ale i tak rozważał, czy go nie zabić. Przy odrobinie szczęścia mógłby włączyć go w swój plan, uwzględnić w napiętym już teraz grafiku.

Nie. Zbyt duże ryzyko.

Poza tym dziennikarzy lepiej nie ruszać. Potem inni piszą bzdurne teksty. Są przydatni i tacy łatwi do sterowania. Jak ten Max.

Nie, Zimmemu też daruje, nie będzie go zabijał.

– Właśnie zachowałeś życie, dziennikarzu. Może...

Otworzył w smartfonie folder z filmami. Uspokoił oddech, sprawdził, czy scena z zabójstwem dobrze się nagrała i nie stanowi dla niego żadnego ryzyka. Popatrzył na zegarek, załączył filmik do MMS-a i ustawił odpowiednią godzinę wysłania.

To będzie dla was niespodzianka.

Zostawił telefon tuż obok nieruchomego ciała Magdy i wyszedł.

Dwudziesta trzecia. Zobaczyli przy hangarze jakiś cień. Potem skulona, wystraszona postać w wojskowej bluzie podeszła do światła. Mężczyzna nie wyglądał na groźnego zabójcę. Sprawiał wrażenie jakiegoś obwiesia, weterana, przegranego. Był wyraźnie przemęczony i brudny.

Sawicki patrzył na niego zdumiony.

Był pewien, że rozpozna szantażystę.

Mylił się.

Nie znał go.

Czyżby dwadzieścia lat było w stanie dokonać takich spustoszeń w ciele człowieka, że nie jesteśmy w stanie go rozpoznać?

– Ty – warknął. – Dlaczego?

Rawicz milczał. Opiekujący się nim agenci zawsze przestrzegali go przed takimi sytuacjami. Lepiej milczeć niż mówić. Legenda jest dobra, dopóki obiekt jej nie spali. Często na własne życzenie.

Bądź sobą, to najważniejsze. Każde odstępstwo jest nienaturalne.

Sawicki zrobił krok i stanął z nim twarzą w twarz.

– Jeśli spadnie jej choć włos z głowy...

Rawicz uśmiechnął się niewyraźnie.

Mastalerz nie był pewien, czy w ten sposób cieszy się z wygranej, czy też podkreśla pogardę i dominację.

Co ty możesz, staruszkule? Jesteś tylko figurantem, tak jak inni biznesmeni. Nic nie znaczący. To my rządzący. Do nas należy władza.

Odwrócił się i ruszył w kierunku samolotu. Pięć kroków dalej usłyszał znajomy głos. Brzmiał jak dźwięk nadchodzącej wiadomości w telefonie komórkowym. Bezwiednie przyspieszył kroku.

Mastalerz uruchomił odtwarzanie, zanim pomyślał. Potem już nie mógł go zatrzymać. Nie potrafił też zareagować na to, co robi Marek.

Zabójca wbijał nóż w ciało Magdy z potworną regularnością i wyrachowaniem. To nie były ciosy furjata, tylko zaplanowane, przemyślane

uderzenia.

Krew tryskała jak na japońskich filmach sprzed pół wieku, tryskała na dłonie oprawcy, ściany i meble. Wreszcie zachlapała oko kamery.

Czerwona kotara.

Rawicz odwrócił się do nich i ponownie uśmiechnął.

Przynajmniej tak to wyglądało.

Może to przeważało szalę.

Sawicki rzucił się najpierw w kierunku jednego z ochroniarzy, wyszarpnął broń z jego ręki i pobiegł w kierunku Rawicza, strzelając na oślep. Dwa, trzy, cztery pociski. Kolejny dudniący w uszach huk. I jeszcze jeden. Biznesmen stanął nad leżącym na ziemi ciałem i strzelał, aż w magazynku nie pozostała ani jedna kula.

Lenz najbardziej przeklinał panią premier. Następny w kolejności był niespodziewany korek wynikły z powodu jakiejś stłuczki. W końcu mógł kląć na coś, co naprawdę ma znaczenie.

Nie chciał zatrzymać Sawickiego, ale nie miał wyjścia. Dobrze wiedział, co to oznacza. Miliarder, najbogatszy Polak – ikona przedsiębiorczego sukcesu aresztowana w sprawie zabójstwa. Bezspornie winna. Skruszona, pogodzona z porażką, przegrana. Zatrzymana na gorącym uczynku. Niestawiająca oporu.

Oczywisty motyw.

Ofiara – od lat wyłudniająca od sprawcy pieniądze, potem go szantażująca i dokonująca serii potwornych zbrodni z istic prowokacyjnym finałem: zabójstwem nieślubnej córki Sawickiego, które zarejestrował kamerą i przesłał mu MMS-em.

Telefon, z którego wysłano wiadomość, został porzucony przy ciele Magdy Buchner, córki Sawickiego.

Ten MMS miał niby przyjść później, ale zdaniem Bandy to nie była żadna pomyłka.

– Skurwiel chciał go sprowokować – mruknął Lenzowi.

– Chciał, żeby Sawicki go wykończył?

– Psychologiem nie jestem.

Niby łatwa sprawa.

Tyle że wszyscy będą przeciwko tobie, bo nikt nie będzie chciał tego skazania. Nagle okaże się, że prawnicy mają lepszą wizję wydarzeń niż kamery na lotnisku, sędziowie będą skłonni ją zaakceptować, a pani premier znów się do niego uśmiechnie.

Co będą mieli zrobić Lenz, Siejka, inni?

Zabójca to zabójca.

Prawo musi wygrać. To jak z twoimi procedurami. Jeśli pozwolimy na odstępstwa, system się zachwieje.

Nieważne, czy masz miliardy i pomysł na ratowanie świata.

Zabiłeś.

Jesteś zabójcą.

Musisz ponieść karę.

Owszem. Zabiłeś innego zabójcę. Prawdziwego drania. Działałeś w stanie silnego wzburzenia. Może nawet będziesz mógł się powołać na chęć obywatelskiego zatrzymania zbrodniarza. To będą okoliczności łagodzące.

A dla ciebie, Lenz?

To wszystko naprawdę nieważne? Naprawdę możesz tak myśleć? I nie masz ochoty napluć sobie w gębę?

Tym bardziej, Lenz, że to wszystko twoja wtopa. To ty jesteś winny. Gdybyś zatrzymał Rawicza, nie byłoby morderstwa dziewczyny, dwóch dziewczyn. Sawicki nie zostałby mścicielem i zarazem zabójcą.

Chciałeś dobrze, a dałeś ciała. To ty jesteś winny.

Patrzył na założone Sawickiemu kajdanki i myślał, że to strasznie niesprawiedliwe i że życzy temu człowiekowi sukcesu, choć dla niego samego oznaczałoby to porażkę.

Każdy z nas mógłby być na twoim miejscu.

I każdy byłby bliski załamania, tak jak ty.

Sawicki ledwie trzymał się na nogach. Prawie nie był w stanie odpowiadać na pytania. Na koniec, tuż zanim został wsadzony do radiowozu, uśmiechnął się smutno i rzucił do Mastalerza:

– Pilnuj firmy, przyjacielu. Firma jest... jak rodzina. Zaraz po niej jest... najważniejsza.

Aresztowanie Sawickiego spowodowało na giełdzie tąpnięcie o dwadzieścia procent. Ci, którzy tydzień temu zarobili krocie, dziś tracili wszystko, a czasem nawet więcej niż wszystko. Spółka wydała uspokajający komunikat, ale inwestorzy już wiedzieli, że straciła prezesa. Przynajmniej na jakiś czas. Może na zawsze.

Nawet vialix nie pomógł.

Zimny zastanawiał się, czy jest w tym jakieś drugie dno. Obroty na akcjach były bardzo duże. Spekuła rządziła. Część inwestorów rzeczywiście się wystraszyła, innym pękły zabezpieczenia, różne stop-lossy zatrzymujące stratę, kolejni działali prewencyjnie.

Prawdę mówiąc, mało go to obchodziło.

Może Sawicki miał dokonać rewolucji, a może to była tylko gra.

To już nie jego sprawa.

Inaczej było z Magdą. Autentycznie beczał, gdy dowiedział się o jej śmierci, a kiedy dostał kurierem od jakiegoś anonimowego informatora zdjęcia zamordowanej dziewczyny, długo nie mógł się z nimi oswoić.

Magda nie żyje. Bezspornie. Zabita przez diabła, chorego skurwysyna, opanowanego przez zło psychola. Nic więcej nie poradzimy.

Położył się na łóżku, zamknął oczy i myślał o niej.

Czuł ulgę.

To było wstrętne.

Próbował rzucić się w jakieś morze smutku i rozpacz, utonąć w nim, tymczasem umysł zdradliwie go uspokajał.

Nic nie mogłeś poradzić. Nie byłbyś w stanie jej ochronić, nawet gdybyście wciąż byli razem. To ona wybrała, ona zdecydowała o końcu ich związku. Bez żadnych wyjaśnień. Nawet jeśli padła ofiarą jakiejś prowokacji, to teraz nie ma znaczenia.

On jest czysty.

Może zamknąć oczy i wsłuchać się w ciszę.

Może pod powiekami zobaczyć gwiazdy.

Cisza. Gwiazdy. Spokój.

Bez tego całego pędu, nakręcającego ludzi zła i pożądania, bez wyścigu szczurów, procedur. Bez nienawiści.

Wielki spokój.

Gruby zapukał o północy. Z flaszką jacka daniels'a i kartonem cameli.

– Przecież nie palisz – zdziwił się Zimny.

– I nie piję.

– No właśnie.

– Dziś zrobię wyjątek. Mam powód. Obaj mamy.

– Obaj.

Pili w milczeniu, aż Gruby nie wytrzymał.

– To się właściwie nie zdarza, wiesz?

– Co takiego?

– Żeby jednego dnia ginęły dziewczyny dwóch przyjaciół.

Zimny zastanowił się nad tymi słowami i nad tym, czy rzeczywiście może nazwać Grubego swoim przyjacielem. Byli blisko, nie miał nikogo bliższego, lubili się, nie czuli się w swoim towarzystwie niezręcznie, nawet gdy nie mieli o czym gadać. Mógł na niego liczyć i vice versa. Nawet to, że kiedyś Zimny przeleciał dziewczynę Grubego, ich nie poróżniło, bo Gruby wiedział, że nie miał prawa nazywać jej swoją dziewczyną, a Zimny nie zrobił tego, żeby upokorzyć przyjaciela. Przeciwnie. Tamta kobieta go wykorzystywała. Jak każda inna. Uwodziła tylko po to, żeby zbliżyć się do Zimnego. Zresztą Grubemu nie chodziło o seks. Znacznie później sam przecież powiedział Kubie:

– Jak chcesz, to ja się mogę z nimi przyjaźnić, a ty możesz je za mnie bzykać.

– Nigdy bym tego nie zrobił, Gruby. Nigdy bym cię nie zdradził.

To mu obiecał i nie kłamał. Gdyby Gruby rzeczywiście znalazł swoją połówkę, Kuba byłby najwierniejszym strażnikiem ich szczęścia.

A teraz obaj opłakiwali „swoje” dziewczyny, które tak naprawdę nigdy nie były ich dziewczynami. Obie prowadziły jakąś grę, obie za tę grę zapłaciły.

Obie zostawiły ich z jackiem i kartonem cameli.

Gruby zakasłał i przygasił dopiero co przypalonego papierosa.

– Już nie mogę.

Zimny chciał mu dolać whisky, ale przyjaciel zasłonił szklankę dłonią.

– Tego też. Na razie wystarczy.

Potem wyjął tabletki i powiedział zagadkowo:

– Skoro już wspominamy, może obejrzymy parę zdjęć.

Kuba westchnął ciężko. Wcale nie miał ochoty na zdjęcia.

– Bo wiesz, coś zwróciło moją uwagę...

Banda nieustannie myślał o tym problemie. Ciężył mu na duszy, nie pozwalał na zasłużony odpoczynek.

Nie zdążył o tym powiedzieć Lenzowi, a potem już nie miał jak. Za dużo roboty z zamykaniem tematu. Jak mógł mu przekazać, że ich końcowe ustalenia nie do końca zgadzają się z dowodami?

Lepiej, żeby się zgadzały.

Lepiej dla wszystkich.

Mamy przecież zamknięte śledztwo, mamy kogo sądzić, mamy komu przypisać wszystkie zbrodnie.

Dla nas to już sprawa skończona. Pozostanie tylko uporządkowanie papierów, uzupełnienie braków, sporządzenie raportu dla szefostwa i odfajkowanie kolejnego sukcesu. Nawet jeśli to nie do końca ich sukces. Nawet jeśli popełnili błędy, to ostatecznie wykazali, że są potrzebni. Wydział S się sprawdził. Nie utracił kontroli. Nie będzie kolejnej nierozwiązanej sprawy. Kolejnych dziesięciu lat wstydu dla organów ścigania.

Nie psuj tego, Banda.

No tak, myślał sobie, pewnie, że mogę zapomnieć o szczegółach i nieścisłościach. Olać cały ten problem z telefonem Rawicza, z różnymi motywami, wreszcie z jego tożsamością.

Ale kto by wtedy docenił poświęcony tej kwestii czas?

Bo wiesz, szefie – szykował się do przemowy – przesiedziałem dwie noce, analizując to, i zobacz, co mi wyszło. Należy mi się chyba jakaś nagroda albo chociaż parę dni urlopu. Nie pogardzę też jakimś małym awansem. W końcu ile można się starać.

Tak więc, mimo wszystko, musisz, szefie, coś wymyślić, żeby schować to, co nam nie będzie pasować.

No, chyba że jednak zapomnę ci powiedzieć...

Lenz poświęcił weekend rodzinie. W końcu mógł zabrać Anię na kolację, potem na spacer nad morze i wreszcie zatrzymać się na dłuższy postój w tym tak dobrze im już znanym odludnym zakątku na trasie.

Na naprawdę długi postój.

Potem siedzieli, ciężko dysząc, wciąż ciasno objęci. Lenz pogładził twarz Ani, pocałował ślad po łzie na policzku. Wciąż płakała w tych chwilach. To dobrze. Tak bardzo lubił smak jej szczęśliwych łez. Bo takie były.

– Cały czas robią sobie z siebie żarty?

Zajrzała za ochraniacz słoneczny, by spojrzeć na przyklejone tam zdjęcie ich rodziny. Ona, zawsze piękna, najpiękniejsza na świecie. On, przystojny, silny, wspinały. Gabrysia jak słoneczko. I Staś. Staś, który tak bardzo chciałby się

uśmiechnąć swoimi nieskazitelnie białymi zębami, rozświetlić jeszcze bardziej to szczęście na zdjęciu, ale nie potrafił. Nie po tym, czego się od nich dowiedział, czego codziennie doświadczał. Wtedy. Teraz uśmiecha się coraz częściej. Dzięki dzieciakom Mafii. W sumie to dobrze wyszło – pomyślała.

– Nie dają mi chwili spokoju – przyznał.

– To dlaczego im nie powiesz prawdy?

– Co by to zmieniło?

– Przestaliby żartować.

– Wątpię.

– Wiesz dobrze, że by przestali. Znów mógłbyś być nieskazitelnym bohaterem.

– Może potrzebuję skazy? Może tego właśnie potrzebuję?

– To jak z bliźniami, są podniecające. – Pocałowała go.

– Znów?

Uniesienie brwi.

– A co? Już nie możesz?

Później przeczesła mu włosy dłonią i szepnęła:

– Utnij to, powiedz im. Pozwalam ci.

– Już dawno mi pozwoliłaś.

– Więc dlaczego nie skorzystałeś?

– Bo poczułem, że to mój obowiązek. Że mam obowiązek im pokazać, że nie wszystko jest czarno-białe.

– Sądzisz, że to nie jest czarno-białe?

– Szokuje ich to i uczy. Zmusza do zastanowienia i wprowadza niepokój.

Nie mogą zrozumieć. A jak nie rozumieją, to myślą. Myślenie nie jest złe. Daje nadzieję, że się zmieniają.

Patrzyła na niego długo.

– Kocham cię. Tak bardzo cię kocham.

Sobotę spędzili na łodzi i na półwyspie. Dzieci się kąpały, oni pieścili. Ile można?

Dopiero późnym wieczorem, gdy wszyscy już spali, wyszedł z Mafią na dłuższy spacer. Mieli do wyboru wiele tras. Wystarczył kwadrans niespiesznego marszu, by znaleźć się na całkowitym odludziu. Nad rzeką, na niewielkiej polanie w pobliżu zagubionego w lasach jeziora lub na wzgórzu, najbezpieczniejszym z miejsc, skąd widzieli całe Strzépssczé Pùstcezi i okolice, leśne ostępy, garbate łąki i zatoczki trzech jezior. Kaszëbskô Szwajcariô. Kaszubski pejzaż. Najpiękniejszy w tym kraju i jeden z najpiękniejszych w Europie. Szczególnie w taką jasną, księżycową noc.

– Ładnie tu – szepnął Mafia. – Nigdy nie będę żałował miasta.

Lenz wzruszył ramionami. On i tak więcej czasu wciąż spędzał w miastach

w całej Polsce. Może kiedyś uda mu się wyrwać, ale teraz... było, jak było.

Mafia przysiadł ciężko na jednym z głązów, które dzieciaki zniosły tu kilka lat temu, by pożartować z turystów, że niby odkryto kolejny celtycki grobowiec, jak kurhany w Węsiarach. Wyciągnął tabakierkę i podał Lenzowi.

– Niuchniesz?

Lenz pokręcił głową. Nie lubił tabaki.

– Bimber też masz?

– A jakże! – Mafia z uśmiechem wyciągnął flaszkę mocnego samogonu i zapakowaną w białą szmatkę zakąskę. – Prawdziwy ze mnie Kaszëba.

Lenz pociągnął prosto z butelki i pokręcił z podziwem głową.

– Ma moc.

Mafia uśmiechnął się od ucha do ucha. Sam przepił i nie mogąc dobyć głosu z gardła, sięgnął po kawałek wędzonego węgorza. Zachęcająco poruszył zawiniątkiem, by jego towarzysz też skosztował. Lenz wybrał przyprawioną na ostro tłustą szpërkę.

– Więc skończyłeś? – zagaił Mafia.

Policjant skinął głową.

– Mamy sprawcę – szepnął.

– Jednego sprawcę...

– Jednego – przyznał Lenz. – Nie miał żadnego współnika.

Mafia pokiwał głową. Niuchnął. Pociągnął. Chrząknął. Przepił. Zakąsił.

– Wszystko dokładnie sobie zaplanował, co nie? W sumie miał sporo czasu na opracowanie strategii, przygotowanie dróg ucieczki, sprzętu, wybiegów... Prawdziwy demiurg zbrodni.

Mafia dobrze wiedział to, co wiedział również Lenz. I obaj wiedzieli, że lepiej w tym gównie nie grzebać. Niech przyschnie, ulegnie zapomnieniu. Tylko tak można z tym walczyć.

– Przestań.

– Z tym filmem też sobie fajnie wymyślił...

– Mafia!

– Szkoda tylko, że się pomylił z godziną jego przesłania do Sawickiego. Bo przecież nikt nie podejrzewa, że sam chciał popełnić samobójstwo, prawda? Nie, uznaliście, że omyłkowo ustawił czas wysłania i Sawicki go zabił. Taka drobna oszybka...

Lenz tym razem nie odpowiedział. Mocno pociągnął z butelki.

– Nawet nie wiem, jak to nazwać w nowej mowie, bo Kaszubi nie mają w swoim języku przekleństw. Wiedziałaś? Kurwa, po swojemu nawet nie przeklinają, a jak przeklinają po polsku, to ponoć nie grzeszą, bo przecież w obcej mowie nie grzech...

– Przestań – powtórzył Lenz.

Milczeli dobre parę minut. Pili, zakąszali, patrzyli w gwiazdy i błękitne odbicia księżycowej poświaty w wodach jeziora.

– Wiesz, że to śmierdzi – mruknął Mafia.

– Nikt nie czuje.

– Albo się nie przyznaje.

– Tak lepiej.

Mafia położył się na plecach i patrzył w gwiazdy. W końcu dojrzał jakąś spadającą i wskazał Lenzowi. Ten miał za słaby wzrok, nie widział.

– Pamiętam, jak kiedyś pierwszy raz zobaczyłem te chińskie lampiony. – Mafia się roześmiał. – Byłem pewien, że widzę coś wyjątkowego, UFO albo coś w tym rodzaju. Pobudziłem dzieciaki, zrobiłem niezłą zadymę, a jeden z młodych, przecierając oczy, powiedział: „Tato, to tylko chińskie lampiony”. I wszyscy poszli spać, zostawiając mnie tam samego, rozczarowanego takim prostym wyjaśnieniem. Rzeczywistość jest rozczarowująca.

– Aha.

– Mógł chociaż nie mówić.

– Kto?

– Młody. Mógł zachować to dla siebie.

– Wtedy nie dałbyś im spać.

– Racja.

– A on chciał spać, a nie oglądać twoje widma.

– No tak.

Tym razem milczeli dobry kwadrans.

– Ty też wolisz spać, prawda? – Mafia nie czekał na odpowiedź, kontynuował: – Wcale nie chcesz słuchać, co myślę. Nie chcesz usłyszeć o tajnym Szóstym Wydziale, który rekrutował różnych dziwaków do zadań specjalnych, do mokrej roboty. W tamtych czasach rekrutował głównie wśród studentów, bo wtedy jeszcze wierzono, że nawet mordercy powinni być inteligentni. Nie ma czego słuchać...

– Nie ma czego – przyznał Lenz.

Gruby w zasadzie wykonał całą robotę. Zaczął od artykułu w gazecie relacjonującego szczegółowo zdarzenia na lotnisku i ich genezę. Dziennikarz ewidentnie korzystał z materiałów ze śledztwa, co strasznie wkurzało Zimnego. Te wszystkie „dotarliśmy”, „zdobyliśmy”, „jak ustaliliśmy”, podczas gdy, jeśli nie chcieli oszukiwać czytelników, powinni byli napisać: „jak nas poinformowano”, „jak kazano nam napisać” i „jak nam wmówiono, żeby przekazać dokładnie to, co chce przekazać informator”. Prawdopodobnie źródłem na tym etapie była sama prokuratura. Potem za przecieki może odpowiadać jeszcze adwokat sprawcy, by sterować artykułami dla własnych celów. Tak to działało.

Grubego jednak cała ta moralna strona nie interesowała.

– Ważne, Zdzichu, że mają dobrej jakości zdjęcie Rawicza. Na tym się skupmy – powiedział i zaraz, utworzywszy folder na Dropboksie, pokazał dlaczego.

– Co to?

– Doradziłem Shazie, żeby skopiowała tutaj ważne foldery ze swojego dysku – wyjaśnił Gruby. – Pomogłem jej w założeniu konta, więc znałem hasło. Oczywiście nie korzystałem z niego przed jej śmiercią.

– Ta, jasne.

– Powaga, jestem w tych kwestiach lojalny.

– Dobra, do rzeczy.

– No, ale jak... umarła, to stwierdziłem, że sobie pooglądam. Shaza miała na dysku sporo fotek z dawnych lat, większość kiepskiej jakości, robione byle małpami. Ale spójrz na to. – Otworzył fotkę jakiegoś mężczyzny. Wykonaną podczas oficjalnych uroczystości przez profesjonalistę. Dobrą fotografię.

– Kto to?

– A jak myślisz? Zerknij też na to. – Obok umieścił zdjęcie Rawicza z ostatniego artykułu w gazecie. – Co widzisz?

Kuba wzruszył ramionami.

– Jakieś podobieństwo? Nie sędzę. Myślisz, że są braćmi?

– Nie, właśnie nie ma żadnego podobieństwa – powiedział Gruby. – To dwie różne osoby. A niby zdjęcia przedstawiają tę samą.

Kuba popatrzył jeszcze raz. Ci ludzie zbyt się różnili. I nie można było tego tłumaczyć upływem czasu. Zupełnie inne rysy twarzy, jeden miał włosy falujące, drugi proste, inny układ brwi, usta, nawet uszy. Wszystko inne. Niemożliwe, żeby to był ten sam człowiek, nawet po operacji plastycznej czy zmianach wynikających z procesu starzenia. Więc albo Shaza coś pokręciła, albo Rawicz zamordowany przez Sawickiego wcale nie był Rawiczem.

– To drugie – wyjaśnił Gruby. – Popatrz, co zrobiłem dalej.

Gruby w kilku zdaniach opisał mu, jak korzystając z programu do zmian twarzy, odmłodził Rawicza, po czym wrzucił jego zdjęcie do specjalnej wyszukiwarki fotek.

– To tak można?

– Witaj w kulturze obrazkowej 2.0, Zdzichu. Słowo odchodzi w przeszłość, kończy się jego panowanie. Za chwilę ludzie będą się komunikować tylko znakami i obrazkami.

– Już kiedyś się komunikowali. Rysowali na ścianach...

– Pewnie, ty jesteś pismak, to będziesz bronił tych literek. Ale ja ci powiem, że Instagram i obrazki wcale nie są głupie... Tak czy inaczej wrzuciłem fotkę tego zabitego „Rawicza” do wyszukiwarki i zobacz, co znalazłem.

Zimny spojrział.

– Agencja modeli?

– Nie krzyw się tak. Agencja Modelek i Modeli „Magic Gender” kiedyś była zwykłą agencją aktorską, dopiero potem poszli w rynkową niszę. Na początku, w latach dziewięćdziesiątych, próbowali podebrać rynek niejakiemu Gudejce, prawdziwemu królowi agentów.

– „Rawicz” był aktorem?

– Jak widzisz, bez żadnej roli. Podejrzewam, że takiego właśnie poszukiwał ten ktoś, kto dał mu rolę „Rawicza”.

– Ktoś – szepnął w zamyśleniu Kuba.

Gruby pokiwał głową.

– Tak, dobrze kombinujesz, Zdzichu...

Dziewczyna, w której aktualnie kochał się Banda, miała dwadzieścia pięć lat i pracowała w butik. Podawała klientom sukienki i bluzki, pilnowała, by nic nie ukradli, czasem szła na kasę, nabijała kwoty z metek i pomniejszała je o rabaty, nie mogąc się nadziwić, że ludzie to łykają. Firmy ustalały cenę zbytu, wpisywały na metce dwa razy wyższą, po czym udzielały rabatu tak, żeby dobrze zarobić. Jak towar nie schodził, rabat się zwiększał. Czasem nawet przekraczał ustaloną wcześniej cenę, ale i tak pozwalał na zarobek wszystkim cwaniakom. Towar jest wart tyle, ile klient chce zapłacić.

Miała chłopaka. Łysego, wytatuowanego buca o prostym usposobieniu. Gdy Banda przymykał oczy, wyobrażał sobie, jak dojeżdża buca i staje potem naprzeciw dziewczyny jako bohater. Oto ja, twój nowy książę.

Potem ją brał, tak jak lubiła. Od tyłu, czasem na jeźdźca. Nigdy nie wyobrażał sobie, że mu obciąga, choć obciągała bucowi.

Brandzłował się z tymi myślami od dwóch do czterech razy na tydzień. Wiedział, że wkrótce mu się znudzą i będzie musiał poszukać innej księżniczki i innego buca, ale na razie ci wystarczali. Dobrze zaspokajali jego podstawowe potrzeby.

Zawsze na zakończenie jakiegoś tematu ostro sobie folgował. Potrafił przez tydzień nie wychodzić z chaty i się brandzłować.

Ale ta sprawa wciąż nie była zamknięta.

Usiadł przed komputerem i jeszcze raz przejrzał zhakowane z ministerstwa dane. Wyświetlił strony z kodami źródłowymi i dokładnie przeanalizował wszystkie ścieżki. No nie, kurwa, nie ma bata, coś tu nie gra.

I nie może tak tego zostawić.

Sięgnął po telefon, żeby zadzwonić do Lenza. Patrzył na aparat i patrzył.

No i, kurwa, po co mi to?

Najwyżej jutro mu powiem na zebraniu.

W poniedziałek jednak cotygodniowego zebrania nie było. Lenza wezwano do Warszawy i wrócił dopiero wieczorem. Wizyta w stolicy musiała być

wkurzająca. Miał podkrążone oczy, bladą cerę, mówił, jakby coś ciągle chodziło mu po łepetynie. Banda nie chciał go jeszcze bardziej dołować.

W końcu po południu inspektor zebrał cały Wydział.

– Mamy kolejny temat – zaczął bez przekonania. – Pamiętacie tego dziennikarza, którego rolę w sprawie Sawickiego pominęliśmy?

– Maxa? – odpowiedział Banda.

– Tak, Maxa. To on jest naszym tematem.

– Więc jednak miał związek z zabójstwami?

– Nie. Może powinienem powiedzieć: on i jego ekipa. Max to przykrywkiwiec, tajny agent. Pracuje obecnie dla CBA, ale zaczynał w ABW, a gdy kolesie z ABW przeszli do CBA, on ruszył za nimi...

Przez prawie godzinę opowiadał o dziwacznych podejrzeniach dotyczących działalności ugrupowania powiązanego z tajnym stowarzyszeniem kościelnym, mającego na celu wspieranie swoich w strukturach władz oraz w służbach specjalnych i rzekomo manipulującego mediami i politykami.

Starał się mówić o tym jak najpoważniej, choć po twarzach Wandy, Bandy i innych widział, że brzmi trochę jak mitoman.

Lenza wcale jednak to nie ruszało. Dostał zadanie, to je wykona. Sprawdzi każdą, nawet najbardziej absurdalną nitkę. Po to jest ten Wydział. Został powołany także do takich, z pozoru niepoważnych spraw.

Chciałby całym sobą zanurzyć się w tym nowym temacie.

Ale nie mógł.

Nie mógł zapomnieć o rozmowie z Mafią.

Dyrektor Agencji Modeli i Modelek „Magic Gender” miał około pięćdziesiątki, wyglądał na trzydziestkę i mógł z powodzeniem zastąpić Krzysia Ibisza na okładce książki *Jak dobrze wyglądać po czterdziestce*. Kuba podziękował, że zechciał się z nim spotkać, a potem szybko przeszedł do rzeczy.

Dyrektor trochę się z nim droczył, w końcu jednak powiedział:

– Pamiętam tego... aktora. Chłopak był zaraz po studiach. Nie wiedział, co ze sobą począć. Był z niego niezły przystojniak, więc ktoś go namówił, żeby zgłosił się do pozowania i jako aktor. Jedyne doświadczenie, jakie miał, to pozowanie do aktów w szkołach plastycznych. Miał branie, ale był dziwny. Nieprzystosowany. Laski na niego leciały, a on nie umiał tego wykorzystać.

– Gej?

– Nie, to nie to. Po prostu... artysta.

– Co to znaczy?

– Pisał wiersze, malował, był cholernie dekadenski i wycofany. Najlepiej czuł się sam ze sobą. I dlatego dostał... tę rolę.

– Jaką rolę?

– Rolę życia. – Dyrektor się uśmiechnął. – Producent szukał aktora w jego

typie, o dokładnie takich cechach, prawie naturszczyka, który nie byłby znany z ekranu. I twierdził, że ma dla niego rolę życia.

– Kłamał?

– Jakoś nie widziałem żadnego filmu z jego rolą życia.

– Aha.

– I wcale się nie dziwię.

– Dlaczego?

– Bo wie pan, ten producent też chyba nie był z branży... Przynajmniej nie z tej nam znanej...

– Jak to?

– Nigdy o nim nie słyszałem, a gość zachowywał się bardziej jak... agent.

Nie taki prasowy, taki...

– Szpieg?

– Ci z WSI to szpiedzy?

– Można tak powiedzieć.

– No to szpieg. Właśnie tak wyglądał. Pomyślałem sobie, że mógłbym go umieścić w katalogu z charakterystycznymi twarzami i pewnie bym nieźle zarobił.

– Ale on nie chciał?

– Wołałem nie proponować.

Gruby, który dotąd milczał, zapytał nieoczekiwanie:

– Czy poznałby pan tego... producenta? Tego szpiega?

– Kiedyś bym powiedział, że nie. Wiecie, żeby się nikomu nie narazić, lepiej nie chlapać jęzorem. Dziś to chyba już nikomu nie zagrozi. W końcu minęło te dwadzieścia lat. Czasy też inne. Dziś już nikt nie boi się kolesi w czarnych okularach i ciężarówek ze żwirem...

Gruby wyciągnął serię fotek, czym zaskoczył Zimnego, bo nie umawiał się z nim, że je przyniesie. Przy trzecim zdjęciu dyrektor uśmiechnął się i skinął głową.

– To ten? – dopytał Zimny.

– Tak.

– Na pewno?

– Trudno zapomnieć tak szczególną twarz. To on.

Zimny spojrział na zdjęcie i nie wytrzymał.

– O kurwa! – przeklął.

Chyba już wszystko rozumiał.

Lenz pomyślał, że powinien zmienić numer telefonu komórkowego. Nie chciał, by dziennikarze dzwoniли do niego bezpośrednio. Nie lubił ich. Dla Zimnego nie chciał robić wyjątku. Nie wierzył, że cokolwiek może wnieść do jego sprawy. A był piekielnie zajęty. Postanowił więc nie odbierać, a potem włączył blokadę na jego telefon.

– Już nie będziesz dzwonił, chłopcze. Jak czegoś chcesz, zwracaj się do rzeczownika...

Zignorował wiadomość SMS, która nadeszła, i wrócił do pracy.

Chciał ułożyć sobie cały plan nowego śledztwa. Musiał dobrze przemyśleć kolejne ruchy, bo liczba układów, które naruszy, była potężna. Jak tylko stojący za Maxem zorientują się, że są na celowniku i że to nie żarty, przystąpią do kontraktaku. Co wyciągną Lenzowi i jego ludziom? Ilu z nich będzie musiał poświęcić w nadchodzącej wojnie? Jakim prowokacjom się przeciwstawić?

W tych rozważaniach przeszkadzał mu tylko Banda, który wyraźnie kręcił się w pobliżu i chciał zagadać.

– No dobra, co mi masz do powiedzenia? – zachęcił go Lenz, gdy już zostali w biurze sami.

– Szef od razu musi tak prosto z mostu. To mi uniemożliwia zbudowanie atmosfery.

– Atmosfera i tak jest chujowa. Mów albo idź do domu.

– To już powiem.

– No?

– Więc, szefie, mamy jednak mały problem.

– Jaki?

– Jest jedna nieścisłość. Właściwie to parę.

– Tak? Mów wreszcie!

– Ten Rawicz. W ministerstwie niby wszystko się zgadza, ale jak sobie obejrzałem zdjęcie gościa w bazie, to się okazało, że zostało podmienione.

– Jak to?

– Ktoś w tym grzebał. Zamienił oryginalne zdjęcie na tego naszego Rawicza.

Po co?

– Może po prostu to drugie uznał za lepsze.

– Nie, to tak nie działa. Każdą ingerencję odnotowuje się w rejestrze zmian, a tej nie odnotowano.

– Co to oznacza?

– Że ktoś zhakował system, żeby to zrobić.

– Ktoś w tym dobry?

– Niekoniecznie. Wystarczy przeciętny. Wstawił zdjęcie i nikt go nie złapał.

– Po co?

– No właśnie, po co?

– Myślisz, że to nie on? Ktoś sobie przywłaszczył tożsamość Rawicza?

– Skoro robił już za Głazewskiego, to możliwe, że i tam nazywał się inaczej.

Poszperałem trochę i w ogóle przedziwne rzeczy mi wyszły. Karty leczenia się nie zgadzają, pomieszane są różne wyniki badań, nawet w jednej z kart znalazłem zupełnie inne odczyty wagi i wzrostu, zdjęcia w szkolnych papierach to też straszna

dupa, dokumentacja dentystyczna...

– Czyli to nie ten Rawicz?

– Na to wygląda.

– Ale to nie znaczy, że nie był mordercą.

– No, nie znaczy, ale motyw szefowi się mógł spierdolić. No i trzeba by to jednak do końca... wyjaśnić. Wie szef, choćby tak, żeby mieć dupokrytkę, gdyby ktoś coś...

Lenz nagle sobie uświadomił, że zlekceważył wątpliwości, które i jemu się nasuwały. Pomyślał o Zimnym. Powinien odebrać ten cholerny telefon. Sięgnął teraz do wiadomości i odszukał krótką notkę wysłaną przez dziennikarza. Brzmiała:

Proszę zadzwonić. Mam dowód, że to nie Rawicz jest zabójcą.

Lenz wybrał numer Zimnego, ale komórka nie odpowiadała.

Spojrzał na zegarek.

– Lecimy do Warszawy, Banda. Już!

Cholerne gliny, jak są potrzebne, to ich nie ma. Zimny zastanawiał się, czy nie złożyć zeznań na policji, ale ostatecznie stwierdził, że to bez sensu. Zanimby wytłumaczył złożoność sprawy, zniecierpliwiony gliniarz pewnie by go zastrzelił.

Jakie zabójstwa sprzed lat? Jaki trup, który nie jest trupem? Naćpał się pan czy co? A może to zwykłe jaja? Uważa się pan za zabawnego? Co pan w ogóle pieprzy?

Tak to by się skończyło.

Poczekaj, aż Lenz oddzwoni.

Odstawił Grubego do domu, pojechał się przebrać, ale zamiast do knajpy ruszył w kierunku klubu sportowego. Może brak chęci na pijaństwo jest dobrym znakiem. Najpierw wróć do regularnych treningów, żeby potem móc grzeszyć. O tej godzinie klub powinien być już pusty.

Recepcjonista zdziwił się na widok spóźnionego gościa, ale nie zareagował, gdy ten kartą magnetyczną otwierał drzwi. Tak miał przykazane: jeśli ktoś ma kartę, nic mu do tego.

Zimny włożył kimono i rozpoczął rozgrzewkę. Dziesięć minut później zaaplikował sobie małą walkę z cieniem, potem ćwiczył pompki, zrobił krótką przebieżkę i porzucił manekinem. Kończył tę część treningu, gdy usłyszał, że ktoś otwiera drzwi. Skrzypienie, cichy trzask mechanizmu samozamykającego. Kroki. Trzy, cztery. Kolejne skrzypnięcie. Przybysz był już w szatni. Szurnięcie świadczące, że odsunął buty na miejsce. Odgłos przekręcanego kluczyka w szafce.

Wtedy pojawiło się to przecucie.

Sygnal, który przychodzi zawsze za późno, by odmienić los.

Posłaniec, którego wieści niczego już nie zmieniają.

Sekundę później drzwi do sali treningowej stanęły otworem.

Pędzili prawie trzysta na godzinę. Na autostradzie Karateka prowadził brawurowo, ale wyjątkowo pewnie. Ani przez chwilę Lenz się nie bał, że skończą na drzewie. Banda za to drżał z tyłu i pocił się, jakby było trzydzieści parę stopni, a nie ledwie osiemnaście.

Lenz nawet się nie zastanawiał, czy polecieć śmigłowcem. Zanim załatwiłby przelot, skompletował załogę i dopełnił procedur, minęłyby dwie godziny. Może więcej. Potem niby szybki lot. Jednak i tak wychodziło dłużej niż przejazd samochodem na sygnale. W sumie to może ten pośpiech wcale nie był uzasadniony.

– Skoro go dotąd nie wykończył, dlaczego miałby to zrobić teraz? – Banda próbował przekonać Lenza, że nie warto aż tak się angażować.

Inspektor nie zareagował. Nie zamierzał tłumaczyć się Bandzie z przeczuć. Jak coś ma pójść źle, to tak pójdzie – który to punkt prawa Murphy’ego? Nawet nie tyle przeczuwał, że coś może się stać Zimnemu, ile po prostu hołdował żelaznej zasadzie: jeśli masz istotnego dla sprawy świadka, przesłuchaj go natychmiast, choćby był środek nocy. Nie czekaj, aż los postanowi zagrać ci na nosie.

Siedząc w stosunkowo dobrze wytłumionym wnętrzu specjalnej wersji rovera, mógł spokojnie opracować plan działania i wydać komendy jednostkom pomocniczym.

– Nie ma go w domu – odezwał się Banda, odczytując na komunikatorze informację od wysłanego do Zimnego patrolu.

– Niech poczekają.

– Jasne.

– A ten jego kumpel?

– Gruby? Nie odbiera telefonu... zaraz... szefie... odpowiedział na czacie. – Banda przez chwilę mrucał coś pod nosem. – Twierdzi, że Zimny miał jechać do domu, ale jeśli go tam nie ma, trzeba szukać w knajpie.

– Niech poda listę ulubionych lokali.

– Odpisał, że jest ich więcej, niż może spamiętać. Cytuję: „Jak jest w ciągu, wchodzi do pierwszego lepszego”.

– Aha.

– Zaraz... napisał, że może też być w klubie karate. Chodzi tam czasem po godzinach, żeby poćwiczyć samemu. – Banda odczytał adres. – To blisko centrum. Posłać tam patrol?

Lenz spojrział na zegarek i wskazanie GPS.

– Nie, niedługo tam dojedziemy.

– A jak go nie będzie, pochodzimy po knajpach?

– Czemu nie?

Pierwsza myśl: jestem młodszy, sprawniejszy. Dam radę. Naładuję się wściekłością i adrenaliną. Za Magdę. Poradzę sobie. Tyle razy coś nade mną

czuwało, że i teraz się uda.

Artur Czerniewicz mocno się postarzał, ale nie było wątpliwości, że to on. Wciąż męski, diabelnie przystojny, wręcz demoniczny. Śniady, zdrowa opalona cera, oczy czarne z jakimś dziwnym, wpadającym w mroczną odmianę fioletu odcieniem, mocne rysy twarzy, wyraźne brwi. Samiec alfa do potęgi. Co sprawia, że taki człowiek staje się mordercą? Facet, który mógłby mieć u stóp cały świat, niebotyczne pieniądze, wspaniałą karierę, niemal każdą kobietę, zdradza przyjaciół i zaczyna mordować. Dlaczego? Czy odpowiedź, że ta jedna jedyna wołała innego, nie jest za prosta? Czy warto się mścić przez dwadzieścia lat z takiego powodu?

– Od dawna trenujesz, Kuba? – zapytał przybysz.

Wszedł na środek maty i przyjął pozycję. Miał na sobie proste kimono przepasane czarnym pasem. Nie była to pomyłka czy przypadek. Wyglądał i zachowywał się jak stary, dostoyny nauczyciel znający wszystkie tajniki sztuk walki. A potem zrobił potwierdzający pierwsze wrażenie krótki pokaz kata, który sprawił, że Kuba stracił wszelką nadzieję. Nie pokona tego człowieka, choćby nie wiem jak się naładował i na jakie wyżyny umiejętności się wspiął.

Przeciwnik był za dobry.

Żadne banały o sercu i determinacji nie pomogą.

Żaden gniew i chęć pomszczenia Magdy nie odegrają w tej walce roli.

Czerniewicz zakończył kombinację ciosów, rozluźnił się, przeciągnął, strząsnął z ramion niewidzialne więzy.

– Od dawna nie trenowałem – wyznał. – Dam ci fory, jeśli będziesz chciał. Ale najpierw... porozmawiajmy.

Usiadł naprzeciwko dziennikarza.

– Pewnie masz do mnie dużo pytań – zachęcił.

Kuba nie wiedział, co sprawiło, że nie rzucił się na drania. Świadomość przewagi umiejętności czy może jakaś część ciekawości dziennikarskiej? Tak czy inaczej siedział naprzeciwko zabójcy i nie potrafił rozniecić w sobie ognia nienawiści.

– Kto zginął w tym wypadku zamiast ciebie?

– To chyba dość oczywiste – odparł krótko Czerniewicz.

Tak, Kuba też to wiedział. Skoro prawdziwy Rawicz zniknął, jego zamiennik był aktorem wynajętym przez Czerniewicza, który właśnie „zmartwychwstał” i stał przed nim, to było oczywiste.

– Rawicz nie znał się na kobietach. Powinien trzymać się od nich z daleka, ale nie potrafił się oprzeć urokom... jak to ona się nazwała w internecie?

– Shaza – przypomniał Zimny.

– Właśnie. Biedak nie chciał uwierzyć, że przyprawia mu rogi, musiał na własne oczy zobaczyć. Mógł o nią walczyć, ale też nie chciał. Zresztą bić się o jakąś sukę z prawdziwym przyjacielem?

– Ładny mi przyjaciel...

– Zaopiekowałem się nim, roztoczyłem perspektywy, pokazałem przyszłość w zupełnie innych barwach. Przez kilka tygodni go zwodziłem, aż całkowicie poddał się mojej kontroli, i wtedy...

– ...wsadziłeś go za kółko i zabiłeś razem z innymi przyjaciółmi.

– Niestety, musieli... to znaczy musieliśmy zginąć.

– Za Anikę?

Mroczny cień przebiegł przez twarz Czerniewicza. On sam jednak roześmiał się drażliwie.

– A więc ty wciąż niczego nie rozumiesz...

– Nie poszło o kobietę? Zatem o co?

– Jak dużo Karwacki powiedział ci o paliwach?

– Niewiele – skłamał Zimny.

– Myślę, że całkiem sporo, ale niech będzie. Kupiliśmy te cholerne paliwa, żeby podkreślić wynik, a potem nagle wszystko się zesrało.

– Marek chciał się wycofać, a ty nie mogłeś na to pozwolić, bobyś rozgniewał swoich przyjaciół z WSI, którym tak wiele zawdzięczałeś?

Czerniewicz roześmiał się gardłowo.

– Ot, proste postrzeganie rzeczywistości przez dziennikarzy.

– Więc nie tak było?

– Nie tak. Zaraz poznasz prawdę. Pytanie: czy jesteś na nią przygotowany? Bo prawda niespecjalnie ci się spodoba. Więc jak? Gotów?

Do klubu dojechali tuż przed dziesiątą. W środku paliły się światła. Lenz kazał Karatece wyłączyć sygnał i koguta na kilometr przed celem, potem polecił zaparkować uliczkę dalej. Wyszli z samochodu. Inspektor przez chwilę oceniał sytuację.

– Ty zostaniesz tutaj – powiedział do Bandy. – Nie pozwól nikomu stąd wyjść.

– Jasne, szefie.

Banda rozejrzała się wokoło. Drzewa były na tyle daleko, że nie musiał się bać wampirów ani innych stworów nocy.

Nie, to nie może być prawda – pomyślał Zimny. Słowa Czerniewicza wciąż dźwięczały mu w uszach.

– Kłamiesz.

– Nie pasuje ci to do twojej wizji nieskazitelnego Marcinka, co? Dla ciebie stał się prawie święty, nawet po zabójstwie aktora udającego Rawicza pozostał niewinny. Bohater, któremu puściły nerwy. Zabójca z przypadku i przymusu. Moralnie usprawiedliwiony, prawda? I tak właśnie by mu się upiekło.

Marek Sawicki jako ucieleśnienie zła. Sawicki, który wedle słów Czerniewicza z chłodną kalkulacją i precyzją planował kolejne bezprawne

działania. Najpierw z wprowadzaniem fałszywych banknotów, następnie z kreatywną księgowością, oszustwami przy rozliczeniach podatkowych i celnych, kantowaniem partnerów i mafijnymi relacjami z dostawcami. Wielokrotny, precyzyjny, przebiegły i coraz bardziej ostrożny oszust giełdowy. Wreszcie zabójca współników.

To się nie trzymało kupy.

Poznał tego człowieka. Nie mógł go sobie wyobrazić jako bezwzględnego mafiosa.

– Nie wierzę – powtórzył Zimny.

– Jak przemyślisz, to uwierzysz. Marek był niepodzielnym władcą swojego imperium. Dał nam wszystkim szansę. Benkowi, Siergiejowi, mnie. Od początku ciągnął nas za sobą, oczekiwał jedynie lojalności. Lojalność cenił bardziej od inteligencji, choć oczywiście Benek i Siergiej mieli głowy na karku. Ja z nich byłem najmniej łebski. Za to miałem inne atuty.

– Kobiety.

– I to. – Naprężył mięśnie. – Nie pozwalałem sobie w kaszę dmuchać. Chroniłem też chłopaków przed innymi łobuzami. No i przyciągałem dziewczynki.

– Ale Anika wołała Marka?

– A Marek Anikę. Gdy przeleciał tę biedną idiotkę, a ona się w nim zakochała, też oczekiwał lojalności. Jak przystało na takiego świetnego stratega, doskonale wszystko zaplanował. Namówił nawet swojego najlepszego przyjaciela, wiernego głupca, który właśnie siedzi przed tobą, żeby pożarł ochłapy z pańskiego stołu. Świetnie tym manipulował. Nie przewidział jednak, że dziewczyna zajdzie z nim w ciążę.

– Nie wierzę.

– On też nie wierzył. Przecież się zabezpieczał. Przecież stosował prezerwatywy i zawsze się pilnował, żeby nie popłynąć. Zbyt zaufał procentom, pomijając te określające stopień ryzyka. A potem... nie wierzył nawet swojemu najlepszemu przyjacielowi, gdy ten próbował go przekonać, że ona nie stanowi zagrożenia. – Czerniewicz, mówiąc o sobie, ponownie użył trzeciej osoby, z naciskiem na określenie „najlepszy przyjaciel”, i Zimny pomyślał, że to jeden z kluczy do zrozumienia całej gry. – Chciałem się nią zaopiekować. Dla niego, choć bardziej dla siebie. Zająć się nie swoim dzieckiem, wychować jak własne. Byłem na to gotowy. Nie wierzył mi. Doskonały strateg analizował, co mu grozi. Cały czas knuł i rozgrywał sam ze sobą partię szachów. Może nawet nie myślał, że chce go oszukać. Zwyczajnie postawił sobie hipotezę, zgodnie z którą istniała taka realna możliwość. Może niewielka, może tylko kilkuprocentowa. Ale już nieraz wiara w procenty okazywała się złudna. Więc sam siebie na to nakręcił. Wymyślił, że urwałem się ze smyczy. Że potrzebuję tego dziecka, żeby go kiedyś szantażować. Że wcześniej czy później wykorzystam tę sytuację przeciwko niemu.

Wychodził z założenia, że musi planować kilka ruchów naprzód. Inaczej przegra. Postanowił zatem to uciąć i ją zamordował.

– Łatwo komuś przypisać swoje zbrodnie – mruknął Zimny. Nie wierzył w ani jedno słowo, choć podświadomość... podpowiadała coś innego. W każdym razie kazała mu uważnie słuchać.

– Zapytaj go, zobaczymy, co odpowie. Zapytaj też o naszych przyjaciół z tajnych służb, których poprosił wtedy o wykonanie zlecenia i o ochronę, choć wcale nie musiał prosić. Oni sami się zaoferowali. Szukali takich jak my. Przedsiębiorczych, odważnych, niebojących się ryzyka. Raz podał im rękę i tak już zostało. Potem musiał się zgodzić na te paliwa. Nikt z nas nie oponował. Wciąż mu wierzyliśmy. Choć może powinienem powiedzieć: wciąż wierzyli mu Benek i Siergiej, bo ja już przejrzałem na oczy.

– Dlatego powiedziałeś o tym matce?

– To był błąd. O mało nie kosztował jej życia. Dla Marka był to ostateczny dowód, że nie może mi ufać. Ja zaś wiedziałem, co to oznacza. Wiedziałem, że za chwilę pociągnie za spust.

– Więc zaczęłeś przygotowywać swoją śmierć?

– Aż taki wyrachowany nie byłem. Zamierzałem uciec z Polski, jednocześnie szachować Marka kompromitującymi materiałami i pobierać od niego swoją część za pośrednictwem wynajętego aktora, któremu kupiłem na fałszywe nazwisko posiadłość w Gęsiorach. Taki był plan. Jednak Marek mnie wyprzedził. Uznał, że nie potrzebuje już żadnego z nas. Nie przewidział, że w samochodzie mnie nie będzie, że namówię Rawicza, by to on odegrał rolę kierowcy.

– Jedno się nie zgadza. Skoro to był przypadek, dlaczego Rawicz miał twoje dokumenty?

– Nie wybielam się. Wiedziałem, co się stanie.

– Skąd?

Ledwie dostrzegalne, trwające ułamek sekundy wahanie. Oznaczało kłamstwo czy zwykłą niechęć przed odkryciem wszystkich kart?

– Nasi wspólni przyjaciele mi powiedzieli.

– WSI?

– Nie do końca. Nasi przyjaciele oficjalnie nie reprezentowali ani WSI, ani służb cywilnych. To była grupa byłych i obecnych oficerów, którzy z różnych powodów zostali źle potraktowani przez władze lub uważali, że one źle realizują swoją misję, nie dbają o interesy państwa.

– Postanowili więc zadbać o nie sami?

– Żebyś wiedział. To... patrioci.

– Na sztandarach Orzeł Biały, ale kasa musi się zgadzać, co nie?

– Żaden z nich nie jeździł ferrari, choć mógł.

– Bo dobrze ich nauczono zasady: ciszej idziesz, dalej zajdziesz. Zostawmy

to. Czy dobrze zrozumiałem: ci patrioci doradzili Arturowi Czerniewiczowi wykorzystanie zastawionej na przyjaciół pułapki do sfingowania własnej śmierci?

Skinął głową.

– Doradzili takie rozwiązanie – przyznał. – Było idealne, bo oni chcieli się pozbyć Benka, Siergieja i Rawicza, a mnie i Marka dalej trzymać w szachu. I wykorzystywać do własnych celów. Zgodziłem się. Nie będę się wybielać. Jednak to on pociągnął za spust. Twój święty był nie tylko figurą, ale i szachistą, ja jedynie pionkiem.

– Za dużo dziur ma ta historia.

– Jakich na przykład?

– Dlaczego Sawicki wycofał się z transakcji na paliwach? Skoro już się was pozbył, mógł przecież wykorzystać szansę. Jeśli agenci WSI... czy jak ich tam nazywasz, chcieli go szantażować, to...

– Źle mnie zrozumiałeś. Nasi przyjaciele ze służb działali na polecenie Marka, ale nie po to, żeby załatwić sprawę z paliwami. Plan był znacznie bardziej dalekosiężny. Ja go wtedy nie rozumiałem, dopiero potem... to sobie poskładałem. Już ci mówiłem, że dobry szachista przewiduje parę ruchów do przodu, najlepiej całą partię. Paliwa ani nie były planem, ani problemem. Były jednym z wielu forteli. Markowi najbardziej zależało na zaufaniu inwestorów. A żeby je zbudować, potrzeba wielu lat ciężkiej pracy lub... dobrze przeprowadzonej gry na emocjach. I ją właśnie zastosował. Przyznał się do przekrętu, w podtekście zrzucił winę na swoich współników, których już nie miał, bo los ich ukarał, siebie przedstawił jako nieskazitelną postać i zaproponował wszystkim pokrycie strat, rekompensaty czy różne nowe możliwości współpracy. W ten sposób zyskał coś znacznie ważniejszego niż pieniądze. Zaufanie. Sawicki dobrze wiedział, jak sterować nowymi przyjaciółmi. Długo ich wykorzystywał, zręcznie manipulował giełdą, faszerował ją kłamstwami, a gdy ktoś próbował powiedzieć „sprawdzam”, dostawał za swoje. W kolejną wojnę o wpływy wmanewrował ciebie. Ty zaś bezbłędnie wykonałeś zadanie, a potem natychmiast zostałeś odcięty od źródelka. Operacja przeprowadzona z chirurgiczną precyzją.

Zimny aż się wzdrygnął, ale tym razem nie był już taki pewien, co ma myśleć. W gruncie rzeczy tak właśnie się stało, cała historia miała może i słabe punkty, ale zazębiała się i trzymała kupy.

– Vialix istnieje?

– Istnieje coś, co można określić mianem marzenia o vialiksie. To, co widzieliście, jest kłamstwem. Legalnie nie da się tego zrobić. Preparat, o którym mówił Sawicki, wymaga wielu lat badań, testów i przekonywania różnych gremiów. Ten lek powstanie może za dwadzieścia lat. Może doprowadzi do tego Sawicki. A może ktoś zupełnie inny. Ale niewykluczone, że nie powstanie nigdy, bo ktoś powie, że podnoszenie funkcji organizmu za pomocą takiej genetycznie

zmodyfikowanej zabawki jest nie tylko nieetyczne, ale i groźne dla ludzkości. Vialix to pierwszy krok do stworzenia androida.

– Na to nikt się nie zgodzi.

– Koncerny nie będą pytać. Pieniądze przekonują polityków, sędziów, lekarzy. Bez wyjątku. Przeciwnicy albo stają się bogaczami, albo znikają bez śladu.

– Więc to oszustwo?

– Zastanów się, dlaczego taki religijny człowiek jak Marek wchodzi w coś, co w konsekwencji będzie całkowicie niezgodne z nauką Kościoła.

– Gdzieś czytałem odpowiedź na to pytanie.

– Tak, że Kościół też zmienia poglądy. Marek dużo płaci, żeby zmieniał. Ale przecież jemu nie chodzi o religię. Ona też jest tylko sojusznikiem. Gdy trzeba będzie, zostanie porzucona. Marek wierzy tylko w jednego boga. W siebie.

– A twoja rola?

Czerniewicz uśmiechnął się z mieszaniną ironii i zapalczywej złośliwości.

– Nie stoję po jasnej stronie mocy, jeśli o to pytasz. Gdy Marek się dowiedział, że „przeżyłem” wypadek, sam zaproponował, że będzie mnie spłacał przez spółkę w Gęsiarach. Umówiliśmy się na stawkę. Ja zająłem się swoimi interesami.

– Czyli?

Znow ten uśmiech i krótkie:

– Pracowałem dla państwa. Dla... naszych wspólnych znajomych ze służb. Byłych i obecnych.

– Jako agent?

Czerniewicz uśmiechnął się zagadkowo.

– Można tak powiedzieć. Zajmowałem się, jak wy to lubicie mówić, mokrą robotą. Marek o tym wiedział. Do kogo więc miał się zwrócić, gdy zaczął potrzebować mordercy na zlecenie? Przecież nie mógł wykończyć własnymi rękami wszystkich tych, którzy mu zagrażali.

– Skoro był zleceniodawcą, po co kierował na siebie podejrzenia?

Uśmiech.

– Nie on, ja to robiłem.

– Wbrew zleceniodawcy? Wiedział o tym?

– Podejrzewał. Dlatego zależało mu, żeby mnie złapano, czyli zabito.

– A Magda? Magdę też chciał zabić?

– Przede wszystkim Magdę.

Zimny zamilkł i nagle złapał się na tym, że zaczyna podświadomie coraz bardziej wierzyć temu człowiekowi i uczestniczyć w jego rozgrywce. Choć to było chore. Widział, z jakim uwielbieniem Marek patrzył na Magdę. Czuł prawdę podczas tych dziesiątek rozmów, które z nim przeprowadził. Do diabła, sam też znał się na ludziach! To była prowokacja. Czerniewicz kłamał. Po co?

– Zaraz, ale w takim razie dlaczego dał się sprowokować? Dlaczego zabił tego twojego aktora udającego Rawicza?

– W to nie uwierzysz.

– Mało w co wierzę.

– Chciał kogoś zabić. Tego zawsze mi zazdrościł. Że mogę to robić. I on też tego zapragnął. Tak bezkarnie. Na oczach ludzi, przed kamerami, własnoręcznie zabić człowieka i nie ponieść za to konsekwencji.

– Przecież został zamknięty.

– Tak? To zobaczysz, co się stanie...

Lenz pokazał recepcjoniście legitymację.

– Proszę otworzyć drzwi.

– A nakaz? – zapytał zaspany emeryt.

– Chcemy tylko porozmawiać z panem Zimnym.

– Ma gościa. Może nie chce z wami rozmawiać. Poczekajcie tutaj.

Karateka nie wytrzymał.

– Posłuchaj, kolego. Albo otworzysz...

Zrobił najgroźniejszą minę, jaką miał w asortymencie.

Recepcjonista pobladł, a potem uśmiechnął się drwiąco.

– Albo co?

– Po co mi to wszystko mówisz?

Miał wrażenie, że Artur Czerniewicz się roześmieje. Zamiast tego chyba autentycznie posmutniał.

– Studiowałeś, Kuba?

– Tak.

– Miałeś na studiach przyjaciół? Takich prawdziwych?

– Miałem.

– Opowiadaliście sobie różne bzdury, że wskoczycie za sobą w ogień, zrobicie wszystko jeden za drugiego?

– Nie musieliśmy opowiadać.

– Racja, to było oczywiste.

– Właśnie.

– I pewnie nawet nie były to bzdury, co? Wierzyłeś w nie?

– Wierzyłem – przyznał Kuba.

– Z nami było tak samo. Czterech prawdziwych przyjaciół z akademika. Nierozłącznych, niepodzielnych. Mogliśmy przez lata trzymać sztamę i zawojować świat. Nieważne, kto miałby więcej. To było bez znaczenia. Dzieliliśmy się wszystkim. Nie była zdolna poróżnić nas ani kasa, ani kobieta. Dlatego im zaufałem. Nigdy nie pomyślałem, że będę miał takie szczęście. Ale coś się zmieniło. Jeden z nas zaczął uważać inaczej. Uznał, że to on jest panem świata, a my tylko jego sługami. Poniekąd miał rację, lecz ja bym chciał, by się okazało, że

był w błędzie. Poświęcił wartości i ludzi w zamian za mglistą wizję sukcesu, który rzeczywiście osiągnął. I który, przyznaję, pewnie mu się należał. Marek rzeczywiście jest wizjonerem, a ja jestem tylko prostym zabijaką.

Zimny chyba już zrozumiał cel swojego rozmówcy. Ten drań chciał go wykorzystać. Chciał, żeby ta historia nie umarła razem z nim ani nie odleciała za ocean. Wybrał sobie dziennikarza, bo wiedział, że Kuba tak tego nie zostawi.

Że będzie musiał napisać prawdę.

Jakakolwiek by była.

Emeryt z zakneblowanym pyskiem i skutymi na plecach ramionami stracił animusz. Nie mógł protestować ani wyzywać ich od bandytów. Karta, którą miał przy sobie, zadziałała za pierwszym razem. Czerwona dioda zgasła, zielona się zapaliła. Lenz wyciągnął i odbezpieczył broń. Przeczucie podpowiadało mu, że gość, z którym Zimny był na sali, może mieć związek ze sprawą. Lepiej być przygotowanym.

Dziennikarz siedział na środku maty, jakby medytował.

Nie ruszał się. Miał zamknięte oczy.

Dopiero kiedy podeszli, uniósł powieki.

– Uciekł ewakuacyjnymi. – Wskazał na drzwi po drugiej stronie.

Lenz potrzebował tylko sekundy, żeby zrozumieć, o kim mówi.

To był ich człowiek.

Morderca.

Prawdziwy morderca.

Banda uwielbiał tę scenę z *Psów*, w której Lubaszenko, opychając się hamburgerem czy kanapką, widzi nadchodzących bandytów, chwyta za broń i biegnie ich aresztować, lecz nie wie, że w pistolecie nie ma magazynku.

Przypomniała mu się dlatego, że właśnie pochłaniał spokojnie podwójnego cheeseburgera kupionego w pobliskiej budzie, gdy zobaczył starszego klienta, który na bosaka i w kimonie obiegał budynek.

To nie mógł być przypadek.

Człowiek w kimonie też go zobaczył i po krótkiej ocenie sytuacji ruszył w jego kierunku. Najwyraźniej zamierzał zrobić Bandzie krzywdę, zanim ten zdąży wyciągnąć spluwę, włożyć magazynek, przeładować broń, wymierzyć i strzelić.

Tyle że Banda tak się rozkochał w tamtej scenie, że zawsze miał broń gotową do strzału.

Strzelał też znacznie lepiej, niż na to wyglądał.

Artykuł był doprawdy przejmujący. Max przechodził samego siebie, udowadniając, że Marek Sawicki powinien jak najszybciej opuścić areszt.

Nie dość, że największy i najważniejszy polski przedsiębiorca poniósł w wyniku tej historii najbardziej dotkliwe straty, to jeszcze może się niewątpliwie spodziewać konsekwencji prawnych, których z pewnością nie uniknie. Ale czy powinien oczekiwać na proces w więzieniu? Czy wolno podwójnie karać takiego człowieka? Czy wolno razem z nim bez sądu skazywać tysiące pracowników i inwestorów, którzy wciąż wierzą w dobrą markę produktów firmy Sawicki?

Max dodawał, że wina Marka Sawickiego wcale nie jest bezsporna. Według adwokatów nie ma tak naprawdę żadnych dowodów, które by świadczyły, że to właśnie biznesmen pociągnął za spust, a twierdzenia prokuratury, jakoby przyznał się do winy, są pozbawione podstaw, gdyż korzystając z przysługującego mu prawa, przedsiębiorca odmówił wyjaśnień do czasu procesu.

„Nie bez podstaw” – dowodził dziennikarz.

W okresie bezpośrednio poprzedzającym zbrodnię spółka i biznesmen byli atakowani przez grupę mafijną sterowaną przez agentów służb specjalnych, polityków i prawników. Grupa ta ma szerokie wpływy w establishmencie, w tym również w sądach. Dlatego trudno się dziwić Markowi Sawickiemu, że nie ufa polskiemu wymiarowi sprawiedliwości.

Z artykułem sąsiadowało dziesięć kolumn wykupionych przez stowarzyszenie biznesowe, które prezentowało listę osób wyrażających poparcie dla Marka Sawickiego. Wszyscy domagali się jego uwolnienia. W mediach kilku znanych biznesmenów wypowiadało się wprost:

Każdy na jego miejscu zrobiłby to samo. Gdyby zamordowano wam dziecko, też byście tak uczynili. Nawet jeśli Marek Sawicki jest winny, to działał w chwili wyższej konieczności i wzburzenia. Każdy psychiatra wyda opinię, że nie był w stanie się kontrolować, nie mógł ocenić skutków swoich czynów, nie może więc za nie odpowiadać.

Za Sawickiego ręczy zresztą tak wielu, że grzechem byłoby marnować pieniądze podatników na przetrzymywanie go w areszcie. Kto rozwinie projekt „Vialix”? Kto uratuje naszą największą markę?

Kuba obserwował zdumiony, jak to działa. Strategia była idealna. Obrońcy Sawickiego, podobnie jak sam przedsiębiorca, doskonale wiedzieli, że proces rozpocznie się najwcześniej za trzy lata, a wyrok – jeśli wszystko zostanie dobrze rozegrane – może zapaść po dziesięciu czy piętnastu latach. Sawicki ma ponadto dużą szansę na uzyskanie nadzwyczajnego złagodzenia kary. Niewykluczone, że w ogóle jej uniknie, a nikt nie podniesie larum.

Sprawiedliwości stanie się zadość.

Tak oto dokonuje się zbrodni doskonałej.

Kuba przewijał artykuł Maxa, czytając go po raz dziesiąty i wychwytyjąc niuanse.

– Gdyby chociaż ktoś inny go napisał...

Lenz zdziwił się, że Ania chce rozmawiać o szczegółach sprawy. Zwykle gdy tylko zaczynał mówić o pracy, ucinała, że jej to nie obchodzi.

– Nie dziw się – odparła ze śmiechem. – Nawet gazety plotkarskie o tym piszą. To sprawa głośniejsza niż seksualne skłonności Bińczyka.

– Czyje?

Leżeli na cyplu, obserwując przepływające łódki. W jednej z nich chował się Mafiam z dwoma najstarszymi synami i Stasiem.

– Taka historia miłosa... – Pokręciła głową. – Jak z *Wichrowych wzgórz*.

– Raczej z Poego. Albo jeszcze lepiej z jakiejś powieści gore.

– Krwawa i namiętna. To lubimy.

– Morderstwa?

– Jeśli popełniane są z miłości...

– Tu raczej z nienawiści.

– Od jednej blisko do drugiej. Sądzisz, że ten dziennikarz mówi prawdę?

– Tak przypuszczam, ale pamiętaj, że on sam nie bardzo wierzy takiemu świadkowi jak zabójca.

– Masz na myśli Czerniewicza? Czerniewicz i Sawicki. Agent zabójca i miliarder geniusz. Trudno o lepszy zestaw dla hollywoodzkiej produkcji. Dwóch kochanków jednej kobiety – pół Polki, pół Syryjki. Jeden zostaje ojcem, którym nie chce być. Drugi zgadza się go zastąpić, nawet mając świadomość, że tym ojcem nie jest. Ale prawdziwy ojciec zabija kochankę, a potem próbuje zabić rywala, organizując zamach pozorowany na wypadek samochodowy. Nie przewiduje, że tamten przejrzy intrygę, ucieknie za granicę i będzie go szantażował, by po dwudziestu latach powrócić z istic diabolicznym planem zemsty.

– Jeśli wierzyć wersji przedstawionej przez mordercę – przypomniał Lenz.

– Przy czym tak naprawdę pomieszałaś kilka hipotez, które wzajemnie się wykluczają.

- Która twoim zdaniem jest prawdziwa?
- Nie mogę o tym mówić.
- Kto cię tu usłyszy? Podsluch w piasku?
- Ty.
- Ja nie mogę słyszeć?
- No, nie możesz.

Udała obrażoną.

Lenz przetoczył się na plecy i bardzo cicho, jakby mówił do siebie, zaczął:

– Możliwości właściwie mamy trzy. Pierwszą, najbardziej chyba nieprawdopodobną, jest ta przedstawiona... zaznaczę: z małymi błędami... przez ciebie. Sawicki jest prawdziwym arcydiabłem, od początku kierującym działaniami Czerniewicza. Draniem wykorzystującym przyjaciół i niecofającym się przed żadną zbrodnią. Ulega urokowi Aniki, lecz gdy ta zachodzi w ciążę, postanawia ją zabić. Zwraca się do swoich przyjaciół ze służb, by to zrobili w zamian za jakieś biznesowe korzyści, a Czerniewicza, który jest wtajemniczony w sprawę, próbuje się pozbyć w sfingowanym wypadku. Prawdę mówiąc, wydaje się wielce prawdopodobne, że to sam Czerniewicz był zabójcą dziewczyny, nawet jeśli tego nie chciał. Dla służb jednak jest zbyt cenny, by pozwoliły mu umrzeć. Ostrzegają go zatem, a ten wrabia wykorzystywanego przez siebie Rawicza, ministerialnego urzędnika nieudacznika. Ucieka z kraju, za pośrednictwem wynajętego aktora szantażuje Sawickiego, samemu robiąc karierę zawodowego zabójcy działającego na zlecenie polskich służb. Po dwudziestu latach Sawicki ma kolejnych wrogów i musi walczyć o firmę. Wynajmuje więc Czerniewicza, by ten ich zamordował. Zabójca przyjmuje zlecenie, ale jednocześnie prowadzi własną grę. Jeśli wierzyć dziennikarzowi, twierdzi, że Sawicki bierze w niej udział, na koniec korzystając z okazji, by własnoręcznie kogoś zabić.

Ania milczała. Bawiła się źdźbłem trawy. Przekręciła się na brzuch i objęła męża. Chwilę całowała jego sutki, po czym jej usta znalazły się na brzuchu. Poczuł gorąco poniżej. Wtedy przerwała.

- Mocno naciągane – szepnęła.
- To prawda – przyznał Lenz. – Ale gdy się czyta te artykuły Maxa, zaczyna być podejrzenie prawdopodobne.
- Co to znaczy?
- Przy dobrych wiatrach Sawicki rzeczywiście może się wywinąć. – Spojrzał na zegarek. – Siejka nie wnosi o przedłużenie aresztu. W poniedziałek go wypuszczą.

- Bo nie wierzą zabójcy, prawda?
- Prawda. Wersja najbardziej prawdopodobna jest taka, że to Czerniewicz, żeby zniszczyć, skompromitować i wykończyć Sawickiego, wszystko od początku dokładnie zaplanował. Może doprowadzić go do najcięższej dla gorliwego katolika

zbrodni: samobójstwa.

Patrzyła na smugę pozostawioną przez samolot na niebie.

– Opowiedz – poprosiła.

– Wedle tej hipotezy Czerniewicz dowiaduje się o ciąży Aniki, wpada w furję, morduje kochankę, winę próbuje zrzucić na Sawickiego. Nie udaje się, może jest to wbrew interesom innych uczestników tej gry. Kombinuje więc dalej, by w efekcie zorganizować zamach na współników i rzekomo na siebie. W ostatniej chwili przed wyjazdem namawia Rawicza, by ten go zastąpił. W jakiś sposób nakłania go, by zamienili się dokumentami, choć może to nasi wspólni agenci podmieniają później te papiery. Tak czy inaczej wraz z zabójstwem przyjaciół finguje swoją śmierć. Nie ma go. Ucieka. Możliwe zresztą, że rzeczywiście chciał po prostu uciec. Wynajmuje aktora, który jest samotnikiem i marzy o życiu z dala od ludzi, i przy jego pomocy próbuje szantażować Sawickiego. Ten nawet się o tym nie dowiaduje, bo żeby go chronić, sprawę przejmuje mecenas Mastalerz. Opłaca szantażystę, wystawiając lewe zlecenia. Trwa to dwadzieścia lat. Czerniewicz chyba rzeczywiście jest zabójcą na zlecenie. Ciągle jednak myśli o zemście. W końcu nadarza się okazja albo nadchodzi czas na finał. Czerniewicz zabija, a winę próbuje zrzucić na Sawickiego. Drobiazgowo organizuje ostateczną rozgrywkę, podczas której morduje córkę dawnego przyjaciela i prowokuje zabójstwo aktora grającego rolę Rawicza.

– Z tego wynika, że Sawicki jest bohaterem.

– Ale też zabójcą.

– W afekcie.

– Musi ponieść karę. – Lenz szybko się poprawił: – Musi zostać osądzony.

– W którą wersję tak naprawdę wierzysz?

Wzruszył ramionami.

– Po dwudziestu latach trudno ponownie ocenić dowody, zebrać zeznania świadków. Ten Czerniewicz był wyjątkowym dziwakiem. Banda twierdzi, że w jego oczach zobaczył szaleństwo i dlatego strzelał niemal na oślep. Potem powiedział, że to chyba było takie niewypowiedziane życzenie śmierci. Jakby to ona miała być dopełnieniem planu zemsty.

– Niby w jaki sposób?

Lenz nie odpowiedział. Myślał o trzeciej wersji, której nikt już nigdy nie zweryfikuje, i wielu pytaniach na zawsze mogących pozostać bez odpowiedzi.

– Może ten Czerniewicz rzeczywiście kochał Anikę. Może wcale jej nie zabił. Może ona sama popełniła samobójstwo, a on się za to mścił na całym świecie – podsunęła Ania.

– Może – odparł Lenz.

Spojrzał w niebo. Chmura zasłoniła słońce i poczuł, jak chłodny powiew przyprawia go o dreszcz.

Kuba myślał, że Sawicki będzie go unikał, ten jednak wyznaczył spotkanie już następnego dnia po wyjściu z aresztu. Wyglądał jak cień. Schudł z dziesięć kilo, stracił pewność siebie i poczucie wyższości. Był bardzo słaby. Jeśli wcześniej przypominał drapieżnika, to teraz wyglądał, jakby struł się mięsem upolowanej ofiary.

– Możemy porozmawiać bez niego? – Kuba wskazał na Mastalerza.

Sawicki skinął głową. Gestem poprosił Mastalerza, by wyszedł.

Kiedy zostali sami, pociągnął dziennikarza do drzwi obok. Mieścił się za nimi znacznie przyjemniejszy, zdecydowanie bardziej kameralny gabinet niż ten, w którym siedzieli wcześniej.

– Lubię to miejsce. Przepraszam, Kuba.

– Za co?

– Zakończenie naszej współpracy nie było zbyt szczęśliwe.

– Rozumiem.

– Nie będę zrzucał winy na innych. Przepraszam. To ci się należy.

– Dostałem solidną premię. Dziękuję.

– Ale liczyłeś na znacznie więcej, prawda?

Milczał.

– Nie pracuję dla pieniędzy.

– Wiem, ale bez nich się nie da, prawda?

– Tak.

– Dobrze, o co zatem chcesz zapytać?

Kuba z wahaniem opowiedział mu wersję Czerniewicza. Nie oszczędzał Sawickiego. Mówił wprost i dosadnie. Gdy dotarł do zabójstwa Magdy, głos mu się minimalnie załamał. Sawicki dostrzegł to i skinął nieznacznie głową, jakby chciał go zachęcić. Dowal staremu. Należy mu się. Popęłnił w życiu wiele błędów, musi odpokutować.

– Co mogę odpowiedzieć?

– Prawdę. Podaj swoją wersję.

– Przecież ją znasz. Nie zmieniła się. Prawda się nie zmienia tylko dlatego, że ktoś inny o niej opowiada. Artur... może rzeczywiście go nie doceniłem, może zdradziłem. Był dla mnie jak brat, a w gruncie rzeczy został odtrącony, odsunięty. Czuł, że coraz bardziej się oddalamy. Ja też to czułem. Benek i Siergiej powoli zaczęli sugerować, że powinniśmy go przenieść do jakiejś spółki zależnej, odsunąć od zarządzania. Ta transakcja na paliwach przeważała szalę. Artur nie miał prawa podjąć tej decyzji. Jednak był już tak zdeterminowany, że nikt nie mógł go powstrzymać. Podrobił podpis jednego z członków zarządu pod umowę. Postawił nas przed faktem dokonanym, skłócił, a potem... jak się okazało, uknuł całą intrygę, by nas pogrążyć. Zabił Anikę, potem naszych przyjaciół.

– Oszczędził ciebie. Dlaczego?

– Nie wiem. Może z czystej nienawiści. Uznał, że będę bardziej cierpieć, gdy wszystko mi się zawali. Myślał, że stracę firmę, że nie dogadam się z agentami, że będę upadał powoli, aż w końcu sam odbiorę sobie życie albo ktoś mnie wykończy po torturach. Nie przewidział, że się podniosę, że mi się uda. Pewnie wielu by poległo. Ale mnie pomógł Bóg. To On mi powtarzał: „Nieważne, ile razy będziesz upadał. Ważne, żebyś powstał”. Diabeł ma jednak swoje sposoby, wie, jak oszukać, podejść, zastawić pułapkę. I zastawił. Zabiłem człowieka. Niewinnego człowieka. I będę musiał z tym żyć. Żyć ze świadomością, że doprowadziłem do śmierci własnej córki, do śmierci wielu przyjaciół. Dziś mogę się tylko modlić.

Sawicki mówił jeszcze trochę o firmie, o powinnościach, o odpowiedzialności, po czym nagle wstał i wyszedł bez pożegnania.

Mastalerz pojawił się prawie kwadrans później.

– Musi mu pan wybaczyć, Kuba – powiedział. – Wiem, co myślisz, chłopcze, ale źle go oceniasz. Marek to najjaśniejsza gwiazda na niebie. Człowiek tak czysty, jak tylko można. Tyle że ludzie wokół do niego nie dorośli.

– Tacy jak ty?

– Zawsze znajdują się tacy jak ja. Tacy, którzy podejmują trudne decyzje, by go chronić.

– Czerniewicz też taki był. Pasowaliście do siebie, co?

– Nie. Dwa zła nie tworzą dobra. Odpychają się, walczą. Tylko zło i dobro stworzą idealny duet. Tak jak my.

– Wykorzystujesz go.

– Jestem mu potrzebny.

– To ty podjąłeś decyzję o moim zwolnieniu, prawda? Marek nic nie wiedział. To ty podejmowałeś za niego wszystkie decyzje. Ty płaciłeś fałszywemu Rawiczowi. Ty negocjowałeś z Czerniewiczem. Wiedziałeś, że nie zginął w wypadku. To twoja robota.

Mastalerz zbladł, ale nic nie odpowiedział.

– Zleciłeś mu te zabójstwa?

Mecenas długo patrzył w oczy Kuby.

– To niedorzeczne.

Akurat, niedorzeczne!

Kuba wyszedł i usiadł na ławce przed kościołem. Chyba już wszystko rozumiał. Chyba poznał przyczynę, dla której Czerniewicz tak to zaplanował i zrealizował. Sawicki był rzeczywiście niewinny. Był za czysty. Czy jednak to nie był jego błąd? Jego wina? Taka bierna postawa, która pomogła rozniecić ogień zła? „Wystarczy, żeby dobrzy ludzie nic nie robili, a zło zatriumfuje” – to był cytat, który wywarł na Kubę wielki wpływ, a o którym chyba zapomniał Sawicki.

Wiara zbudowała Sawickiego, pozwalała mu przetrwać, podnosić się z każdego upadku, a nawet oswajać zło, rozumieć grę szarości w związkach bieli

z czernią, ale jednocześnie nakazywała nie widzieć zła, jakie nosili w sobie Czerniewicz czy Mastalerz. Bóg zabronił mu ich oceniać. Może miał do tego prawo. W końcu jeśli założymy, że Bóg nie powinien zgadzać się na zbrodnie, to jak możemy przyjąć, że zgadza się na istnienie zła? Wiara uniemożliwiała więc Sawickiemu ocenę najbliższych współpracowników. A wszystko było próbą. Może tak? Nienawiść jednego i miłość drugiego osaczyły dobro i ciągnęły, każda w swoją stronę, nieświadomego i ufego Marka.

Nic nie jest czarno-białe – pomyślał Zimny. I tak powinienem to przedstawić.

Epilog

Kuba odłożył na stolik gazetę, na której czołówce Marek Sawicki tłumaczył zawieszenie projektu „Vialix”.

Względy etyczne nie pozwalają na kontynuację badań, przynajmniej na tym etapie. Jeśli w przyszłości vialix uzyska akceptację naukowców i badaczy, z pewnością do tego projektu wrócimy.

Znów dwie prawdy, dwie możliwości, których ze swojej perspektywy żaden inwestor nie jest w stanie ocenić. Kuba też nie. Może to prawda, może Sawicki nie chce dopuścić do zła, jakim byłby vialix? A może po prostu oszukał inwestorów, a teraz ratuje się, udając wielkiego etyka? Trzecia możliwość? Też jest: może od początku vialix był kłamstwem, ale Marek Sawicki dowiedział się o tym dopiero teraz i postanowił przerwać łańcuszek. Miał się znów przyznać, jak z paliwami? Miał poświęcić firmę? Zawsze jest argument, który uzasadnia wybór mniejszego zła. Ale zło to zło.

– Zło to zło.

Spojrzał na zegarek, poprawił marynarkę i wszedł do sali, w której miała się odbyć konferencja związana z jego najnowszą książką. *Marek Sawicki – biografia nieautoryzowana*. Dwie prawdy. Wiele hipotez, pytań pozostawionych bez odpowiedzi. Do uznania czytelników. Niech sami się zmierzają z pytaniami i wątpliwościami, sami spróbują wyciągnąć wnioski, zdecydować, co jest prawdą.

I tak właśnie odpowiedział na pierwsze pytanie. Czy to Sawicki stał za serią morderstw, czy próbowano go w nie zrobić?

– Nie wiem.

Rozbrajająco szczerze.

W kącie zobaczył znajomą twarz. Ponurą, siną.

Jarosław Mastalerz patrzył na niego ze złym błyskiem w oczach.

Kuba pomyślał, że jednak zna prawdę.

Gdyby wersja Czerniewicza była prawdziwa, ta książka nigdy by się nie ukazała. Już Mastalerz by się o to postarał.

Chyba że coś się stało i była mu potrzebna.

Prawnik odwrócił się i wyszedł.

Kuba poczuł, jakby w pomieszczeniu zrobiło się chłodniej o dobre parę stopni. Zło miało dziś wysoką temperaturę, choć potrafi oszukiwać i być piekielnie zimne.

The poster features a man in a dark suit in the foreground, looking towards the right. Behind him, a woman in a black hijab looks directly at the camera. The background is a cityscape at night with illuminated skyscrapers and a road with light trails. The text is overlaid on the image.

CZARNA SERBIA
SENSACJA

MARIUSZ

ZIELKE

NIENAWIŚĆ

